

Waldemar Lysiak

KOLEBKA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

KOLEBKA

Waldemar Łysiak

KOLEBKA

WALDEMAR ŁYSIAK

КОЛЛЕБКА



Wydawnictwo Nobilis





Nota edytorska

„**Kolebka**” jest — nomen omen — kolebką Waldemara Łysiaka pisarza: to jego absolutny debiut książkowy. Co prawda ukazała się równocześnie z „**Wyspami zaczarowanymi**” w 1974 roku, lecz była napisana dużo wcześniej aniżeli „**Wyspy zaczarowane**” — w 1970 roku. Rok później (1971) została nagrodzona przez jury wielkiego konkursu literackiego, ogłoszonego dla uczczenia 50-lecia Związku Literatów Polskich i 25-lecia PRL. Fakt, że druk tej powieści trwał aż trzy lata, był spowodowany charakterystycznym dla tamtych czasów, patologicznie długim przygotowaniem redakcyjnym książek do druku, oraz równie charakterystycznymi dla tamtych czasów problemami z cenzurą. Sito cenzury nie okazało się wszakże szczelne aż do końca, nieopatrznie puszczając kilka aluzyjnych „perełek” antyreżimowych, którymi Łysiak za czasów PRL-u tak chętnie szpikował swoje książki. Już dwie pierwsze — „**Kolebka**” i „**Wyspy zaczarowane**” — dały tego przedsmak. W „**Wyspach**” główną „perełką” puszczoną bezmyślnie przez cenzurę była zapowiedź upadku imperium sowieckiego: *„Nie ma wiecznych imperiów, i nie trzeba tu prorocत्व (...) Wszystko to tylko problem czasu i umiejętności doczekania. Ludzie będą przez ten czas umierać, lecz narody nie. Cierpliwości — trawa z czasem zamienia się w mleko”*.

„**Kolebka**” dała czytelnikom kilka takich aluzji. Warto wskazać przynajmniej dwie. Jeden z dwóch głównych bohaterów powieści, Jan Karśnicki, rzuca w twarz grającemu bezkompromisowego patriotę człowiekowi, dla którego carat jest mimo wszystko opoką: *„... a ty, gadzie, Polakiem się mienisz... i wyprzedajesz polskie serca i czucia, i narodem frymarczysz, by się za to migać przed carem!”*. Aluzja wobec komunistycznych aparatczyków, grających patriotów, a władających zniewoloną Polską z rozkazu Kremla — była czytelna jasno. Zaś gdy w scenie rozgrywającej się dwadzieścia trzy lata wcześniej tenże Karśnicki narzeka, iż cesarz Bonaparte wskrzesił Polskę pod zbyt skromną nazwą Księstwa Warszawskiego — jego młodszy brat perswaduje, pytając: *„Cóż znaczą nazwy, coż wolałbyś? Księstwo wolne i niepodległe, jakie mamy, czy Polskę Polską zwaną, z pozorami wolności jeno?!”*. Każdy czytelnik rozumiał, iż *„Polska Polską zwaną, z pozorami wolności jeno”* — to Polska komunistyczna, której rzekoma wolność jest li tylko kłamliwym frazesem rządzących renegatów.

Debiut Łysiaka bezzwłocznie przyniósł mu laury. W „**Kulturze**” pisano o nim: *„Wschodząca gwiazda naszej najnowszej literatury przez duże L”*. Stefan Bratkowski wyraził wówczas taki sąd: *„Proza Łysiaka oddycha tęsknotą za czymś ponad codzienną miarę, za niezwykłością, za wielkością (...) Zjawisko: w pokoleniu uważanym za najbardziej przyziemne, on lata; może uosabia jakieś marzenia ich wszystkich?”*. Spośród dużych recenzji „**Kolebki**” zacytujemy fragment tekstu Marka Wydmucha :

„Jest to książka szczególna — powieść historyczna z epoki napoleońskiej, przedstawiająca losy dwóch braci. Mamy tu i epopeję wojenną (m.in. imponująco ukazaną bitwę pod Pruską Hławą), i dramat wielkiej miłości, i dzieje spisku uknu-

tego na życie Napoleona, a także galerię wielkich postaci historycznych, od księcia Poniatowskiego, generała Dąbrowskiego, Józefa Wybickiego, do ministra Talleyranda, którego dialog z cesarzem — brawurowo skonstruowany — nie przynosi Łysiakowi wstydu, choć podobne próby innych pisarzy tak łatwo chybiamy celu (...) Jest to literatura pisana bez recept, z temperamentem i kunsztem. Powieść autora tak młodego (pamiętajmy, że Łysiak kończył ją w 1970 roku, a więc licząc sobie 26 lat) miałyby czasem prawo zabrzmieć naiwnie, szkolnie, może zazgrzytać takim czy innym dysonansem. Nic z tych rzeczy! W «Kolebce» czuje się pewną rękę i artystyczny instynkt, bez którego nie można by nawet marzyć o stworzeniu tak rozległej panoramy (...) Waldemar Łysiak potwierdza «Kolebką», czy raczej — z ówczesnej perspektywy — zapowiada swój wielki talent. Warto zajrzeć do tej kolebki — musiał z niej wyjść pisarz».*

I na koniec ciekawostka. Uważni czytelnicy książek Łysiaka zauważyli niewątpliwie, iż główny bohater jego powieści „**Dobry**” (1990) nosi to samo nazwisko, co główny bohater „**Kolebki**”: Karśnicki. Z całą pewnością nieprzypadkowo, obaj bowiem przeciwstawiają się wrażemu despotyzmowi, niewoleniu Polaków. Dotykamy tu i motywu „*alter ego*”, który jest nagminny w twórczości Łysiaka, ale to już osobny temat...

* — Recenzja ta została napisana dla drugiego wydania „**Kolebki**”.

Dominik

Między ojcem a bratem

Koła bryczki grzęzły w rozpaskudzonej wczorajszym deszczem drodze i wówczas milkł piskliwy rytm źle naoliwionej ośki. Dominik siedział tyłem do kierunku jazdy, podskakując na obitej skórą ławeczce, która raz za razem tłukła mu siedzenie, wyrzucana w górę i w dół, gdy szeroka, sześćoosobowa bryka zataczała się jak pijana w wodnistych koleinach. Przy bardziej gwałtownych przechyłach ukradkiem wysuwał nogę, próbując sięgnąć trzewikiem kleistego blocka na poboczu, lecz po chwili pojazd odzyskiwał równowagę i szarpnięty w przód toczył się dalej.

Nie widząc koni, a tylko gęstą ścianę lasu, chłopiec miał uczucie, że bryczka porusza się sama, pchana siłą wiatru, który niósł ze sobą zimny, wczesnowiosenny zapach okolicy. Kiedy podnosił wzrok ku górze, zdawało mu się, że stoją w miejscu i że to korony drzew poruszają się do tyłu, w ukłonach, do których zmuszał je powiew. Przymykał oczy śniąc o wędrującej armii konarów i dopiero skrzekliwy głos siedzącego na koźle Marcina, który z rzadka pobudzał konie do wysiłku, wyrwał go z tych rojeń. Wówczas powoli, z ociąganiem rozklejał oczy i znowu wpatrywał się tępo w kolana siedzącego naprzeciw ojca lub w mijane rzeki kałuż.

Gdy wyjechali na piaszczystą równinę, w kałużach nagle zamigotało czerwone, jaskrawo świecące jabłko — zachodzące słońce. Dominik obserwował, jak szkarłatny krążek drga, tańczy i zmienia kształty, w czym sam mu pomagał, lekko uderzając butem w lustro wody.

Krajobraz umykał coraz zwawiej i stawał się blady w zapadającym zmroku. Janek jest już na pewno w domu — pomyślał Dominik. Poczul żal, że nie może jak brat odbiec na koniu przed tym zmierzchem, który przynosił mu wspomnienie matki i jej bezradny, skrywany przed ojcem płacz. Kiedyś ojciec i jemu podaruje jakąś szkapę, ale choćby była najściglejsza, matki nie dogoni.

Gwałtowny klaps w udo i gniewny głos ojca wyrwał go z zadumy. Lewą nogę powyżej kostki miał mokrą i utaplaną w brązowej mazi. Ze spuszczoną głową wysłuchał reprimendy i przyjaznego rechotu kompanów ojca, czując jak zamoczoną stopę opływa wilgotne, lepkie ciepło.

I znowu drzewa rozpoczęły ruch do tyłu, a tamci powrócili do swoich słów, wyciszonych teraz ciemnością, dalekich i nierealnych. Czasami głośniejsze przekleństwo któregoś z mężczyzn przerywało na moment szmer

rozmowy i zaraz wszystko wracało do normy, oddalało się, rozpływało, ginęło w szumie drzew. Czerwony nos landrata skrył się w mroku i chłopiec zamiast twarzy dostrzegał ognik ojcowskiej fajki i błysk srebrnych guzików rozpartego obok urzędnika. Zajęty swoimi myślami i senny, z rzadka tylko przysłuchiwał się wymianie zdań. Warszawa, Kościuszko, Dąbrowski, król Fryderyk, koloniści, rzeczy dalekie i bliskie. Rzeczy złe.

Taki Dąbrowski. Dominik jakoś nie potrafił znienawidzić tego Sasa, który sprzedał się Polakom i ośmielił się podnieść rękę na najjaśniejszego pana, a którego nazwisko przyprawiało ojca o napady furii. Jeszcze za życia matki ten obcy, trochę nierzeczywisty bandyta śnił mu się czasami po nocach. Miał długą, rudą brodę i olbrzymie przekrwione ślepia, pas skórzany z gołym nożem i... i w ogóle był podobny do jakobinów—królobójców, o których nieraz opowiadał ksiądz Lomazzo i którymi straszyla go służąca Anna. Tym Dobrowskim, który jak postać z bajki o upiorach wzbudzał tylko obrzydzenie swoją malowniczą brzydotą, nie można już było Dominika nastraszyć. Cieszył się, że jest na to za dorosły.

Raz jednak zdarzyła się rzecz dziwna. Dominik pamiętał, że gdy kiedyś przed snem Anna krzyknęła nań, grożąc, iż zabierze go „*der Häscher Dombrowsky*”^{*}, matka stojąca w drzwiach sypialni zbesztala dziewczynę i kazała jej zamilknąć. Niemka wyszła z krzywym uśmiechem, a matka położyła mu dłoń na głowie i długo głaskała, nic nie mówiąc. Tego samego wieczoru Dominik słyszał gniewny głos ojca dobiegający z salonu i czuł raczej, niż rozumiał, że to przez niego matka pokornie odbiera łajanie. Potem już zawsze, gdy padało nazwisko Dąbrowskiego, Dominik miał nienawiści, czuł jedynie ciepłą dłoń matki na swoich włosach i pamiętał jej smutne oczy. Nie widział ich wtedy, stojąc ze spuszczoną głową, zawstydzony, ale poprzez tę dłoń wychwytywał cały smutek, wilgoć rzęs i coś jeszcze, czego nie potrafił bliżej określić.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk nazwiska, nazwiska jego i ojca. To landrat perorował głośno, czyszcząc nos wyszywaną chustą, którą złożył po chwili starannie i wsunął do kieszeni surduta. Mówił o Hansie.

— Nie ja będę pana uczył, Herr Rezler, jak należy wychowywać syna! Książulek... ach tak, niech będzie, że pasierba, to nie zmienia postaci rzeczy. A więc powtarzam. Książulek Lomazzi czy Lamozzo, jakże mu tam, bardzo to pięknie. Ci francuscy emigranci potrafią uczenie gadać o porcelanie, rymach i wojnach Hannibala, ale to dobre dla pańienek. Pański pasierb lepiej jak słyszałem szwargoce po francusku niż po niemiecku!

* — Siewacz (zбір) Dąbrowski.

— Ja, ja, das ist nicht gut!* — przytaknął skwapliwie siedzący obok Dominika opasły oficer, który spychał chłopca swym cielskiem na skraj ławki.

— No, nie przesadzajmy. Kto z nas w młodości nie miał swych fanaberii, które, ośmielę się zauważyć, muszą rzecz prosta z wiekiem wyparować z łepetyny — odezwał się wesolo pan Bronikowski, który razem z landratem i wojskowym przyjechał z Poznania. — Taki już bieg spraw! A francuski, ośmielę się zauważyć, przydatny jest nad wyraz i to nie tylko w salonie. Jakobinów król jegomość nieraz jeszcze bić będzie zdrowo, a jak mówią: ucz się języka wroga twego, bo bardziej przydatny od języka, jakim przyjaciel gada!

Prusak burknął coś niezrozumiale i wzruszył ramionami. Zapadła męcząca cisza, przerywana sapaniem ojca.

Dominik nie podnosząc oczu czuł, jak ojciec sinieje, jak mu żyły występują na skroniach i jak zaciska pięści:

— To wina matki, panie Scholz. Rozpieściła szczeniaka, ale ja! ja!... ja go... — głos ojca brzmiał chrapliwie, krztusił się, napotykał w krtani tamę nie do przebycia. — Zresztą taki on syn... cudzy miot, choć prawda, z mojej kobiety!

— Ja pana znam, Herr Rezler, mnie nie trzeba przekonywać. Pan jesteś dobry poddany króla jegomości. Ale babą się pan nie zastawiaj! Kijów w pańskim majątku rośnie dość, a chłopci pańscy nieraz ich kosztują. Na mnie ojciec połamał tyle, że całą tę przeklętą drogę można by wymościć. I opłaciło się... Polki są niezłe w łóżku, to prawda. Ale ja panu nie kazałem żenić się z Frau Karsnycky, Bóg z nią, o umarłych źle nie mówmy... Mnie się ten smarkacz nie musi kłaniać, gwizdź na to! Tylko co pan powie, kiedy pułkownik Vorstermann zapyta, gdzież to synalek lub jak pan woli — pasierb, gdzież bawił, kiedy Dombrowsky psuł nam krew pod Bydgoszczą?

— Młody, dwudziesty rok mu idzie, jucha gorąca, dziewczki go ciągną. Nieraz na tydzień i na więcej z domu umykał, ale teraz...

— Teraz już po wszystkim, Herr Rezler! Ja pana nie indaguję, jak się to stało, że chłopysia podobnego do synalka jak dwie krople wody widziano we Włocławku, gdy kasztelan Mniewsky barki nasze na Wiśle topił. Cały transport pod wodę poszedł! Zdziwiłby się verfluchten** kasztelan, gdybyś go pan w spódnicę przyodział. Taka z niego dziewczka, jak ze mnie linoskoczek, Herr Rezler! —landrat zaśmiał się głośno, oficer zawtórował i tylko ojciec milczał ponuro.

— Ech, jakiś podobny z lica hultaj, małoż to razy się zdarza, ośmielę się

* — Tak, tak, to niedobrze!

** — ... przeklęty

zauważyć. Mnie raz pono widziano w Gnieźnie, gdy ja tymczasem w Berlinie za interesami bawił, zwyczajna rzecz — przerwał ciszę Bronikowski, lecz jakoś lekliwie i ostrożniej niż uprzednio.

Landrat zdawał się nie słyszeć jego słów.

— Pan się nie turbuj, Rezler. To się da uładzić. Szczeniaka trzeba krótko, najlepiej ożenić z jakąś sąsiedzką córką albo na przykład z córką kapitana! Ręczę panu, że i Niemki są ciepłe, a jak gotują! Co, Ertli — zwrócił się do oficera — dałbyś mu dziewczynę, Ha? No, dość! bo, tego... no... sprawa jest taka. Tych trzydziestu nowych kolonistów...

— Kolonistów? Znowu?! — głos ojca zachrypiał gwałtownie i stłamsił się w napadzie kaszlu.

— Tych trzynaście, czy dwanaście rodzin z Wirtembergii posadzi pan nad stawem, Rezler. Wykarczują las, a... a i drzewo gorzelni się przyda i...

— Aber, Herr Scholz, ich bin...*

— Panie Rezler, pan zawsze był wiernym poddanym króla, pan rozumiał znaczenie akcji kolonizacyjnej, pan wie, że dla pana tych kilkanaście rodzin to drobiazg. Pan się podporządkuje!

— Przecież ci przekłęci olendrzy, jak ich tu zwa, pan wie... Do czynszu płacenia ostatni są, do mędrkowania zaś pierwsi, a i o ziemię nie dbają, jak należy.

— Herr Rezler! Przecież nie na pańskiej ziemi siędą, tylko na królewskiej. Pana rzecz pomóc i dopilnować. Trochę to wysiłku kosztuje, wiem, ale też i mnie kosztuje sporo, by z powodu synalka nie ciągnano pana po Kreisgerichtach** i regencjach. Tak! Niech pan popracuje nad Hansem i dba o pruskich poddanych na tej ziemi, a ja... — przerwał wpatrując się przez chwilę w ciemność. — Ot i już dojeżdżamy. Zbudź się, Ertli! — szarpnął siedzącego przy Dominiku oficera. — He, he, jak ten czas galopuje.

Dominikowi wydawało się, że ojciec jeszcze coś powie, ale zapadła cisza tak głęboka, że aż dźwięczało w uszach. Po raz pierwszy Dominik dostrzegł, jak głośnie może być milczenie. Nigdy dotąd nie słyszał, by ktoś przemawiał do ojca takim tonem i by ojciec tak się kurczył, malał, tak gubił swoją siłę.

Dominik nie rozumiał, dlaczego landrat, który gościł u nich już od tygodnia, dlaczego ten siny nochal odzywa się do ojca tak, jak ojciec zwykł mówić do księdza Lomazzo czy do Greta.

Poczuł, jak narasta w nim złość przeciwko temu człowiekowi i przez chwilę zastanawiał się, czy nie warto go kopnąć w kolano, tak by w ciemności

* — Ależ, panie Schulz, ja jestem...

** — ... sądach powiatowych

nie dostrzegł, kto to uczynił.

Przestraszył się jednak własnej zuchwałości i jeszcze bardziej podkurczył nogi, z których jedna zamarzała w namoczonej buciku.

— Dominik, śpisz? — usłyszał pytanie starego, ale nic nie odrzekł. Wiedział, że lepiej jest udawać sen, lepiej dla ojca.

* * *

Obudził się nagle.

Słońce wpadało przez szybę i malowało przeciwległą ścianę w złociste pasy, w snopach światła kłębiły się burze pyłków, wirujących wokół siebie w przedziwnych splotach.

Późno — pomyślał, zjeżdżając z łóżka w miękkie pantofle, stojące obok skrzyni z ubraniami. Dwa kroki w kierunku drzwi i zatrzymała go panująca w domu cisza. Ojciec już pewnie nie śpi, a śniadanie, a Greta? Stał powoli w kierunku salonu, nasłuchując co chwila, ale w domu nic nie drgnęło, dwór cały milczał, martwy jakiś, zimny...

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!... W jadalni kryło się maleńkie tykające życie, lecz zamiast szarpać ciszę, bardziej ją jeszcze pogłębiało swoją rytmiczną wędrówką. Stary zegar z Amorkiem siedzącym okrakiem na globusie, w otoczeniu kiści winogron, powiedział mu wszystko. Nie było jeszcze piątej, co w tej samej chwili potwierdziła dolatująca z zewnątrz pobudka koguta i znowu zapanowała cisza odmierzana tykaniem zegara. Dom spał.

Dominik wybiegł na podwórze i pomaszerował w kierunku stodół, oddalonych od dworu, schowanych za sadem, który rozkwitał radośnie. Daleko nie zaszedł. Minał spichrze, załatwił ranną potrzebą pod stajniami, przyłożył ucho do ściany obory i słuchał przez jakiś czas sapania i chrząkania wieprzy, potem raz jeszcze zawrócił ku sadowi, nie bacząc, że mu błoto utaplało białe pantofle.

Stał na pagórku wśród bieli, którą tryskały jabłonie, i próbował dojrzeć zabudowania dworu. Ale śnieżność kwiatów przesłaniała widok i tylko z przeciwnej strony jawiło się okienko z czerwonym dachem gorzelni, którą ojciec postawił w zeszłym roku. Dominik wspiał się na najbliższe drzewko, lecz dwór dalej bawił się w chowanego, oprawiony w parkowy starodrzew i skryty za nim, tak że tylko fragmenty czterokolumnowego portyku prześwitywały między olbrzymimi wiązami. Z dala dochodziły pogwizdywania chłopów wychodzących do pracy w polu.

Wracał nucąc cichutko zasłyszana melodyjkę. Na widok otwartego okna sypialni ojca zamknął usta i stanął bez ruchu, wstrzymując oddech, w obawie

by nie zbudzić starego. Zrobił krok w kierunku wejścia, potem drugi i trzeci, lecz o dziwo, zamiast do drzwi zbliżał się do okna, którego okiennice, szeroko rozrzucone na boki niczym ramiona, zdawały się przywoływać, zapraszać... Czuł, że nie idzie, lecz stąpa na palcach, że się skrada jak złodziej, ale nie odczuwał wstydu, tylko ciekawość i strach, że go ktoś nagle dostrzeże.

Ścieżką między klombami dotarł do celu, przykucnął pod okiennicą i nasłuchiwał świstliwego oddechu ojca. Ręką odgonił natrętą pszczołę, której brzęczenie wydawało mu się tak potężne, że mogłoby obudzić służbę. U góry nic się jednak nie poruszyło. Z pokoju nadal promieniowała niczym nie zmacona cisza. Dominik podniósł się i ostrożnie uchwycił zawiasę okiennicy. Drugą ręką namacał rzeźbiony profil parapetu i oparł nogę na cokole. Dwoma energicznymi ruchami pozbył się obuwia i powoli zaczął ciągnąć tułów wwyż.

W pokoju panował półmrok. Słońce penetrujące wschodnią część dworu nie miało tu jeszcze dostępu. Dominik położył brodę na okapniku i cał po cał w gryzał się wzrokiem w czeluść komnaty, do której wstęp był mu wzbroniony, podobnie jak Hansowi i służbie. Nawet Greta nie miała do tego prawa. Co prawda kiedyś, dawno, matka przyprowadziła go tutaj, posadziła na kanapie i długo mówiła o sprawach, których nie pojmował. Natomiast po śmierci matki ojciec zamykał komnatę na klucz, bacząc, by nikt w niej nie gościł, prócz tych, których o to prosił.

Teraz wzrok chłopca odkrywał tajemniczy ład, ślizgał się po sprzętach i ścianach pokoju, z którego było dziwne ciepło, pachnące perfumami i pomadą, dotykał mebli, czerwono-złotych tapet i wiśniowych kotar, wił się wśród mnogości porcelanowych figurek, bibelotów, luster i sreber. Z przeciwległej ściany, na prawo od drzwi, których kłamkę z głową lwa znał jedynie od strony korytarza, patrzył na chłopca stary, brzydki mężczyzna w żołnierskim mundurze, z trójgraniastym kapeluszem na głowie. Pod portretem, na frędzlastym kobiercu, krzyżowały się dwa rapiery i pyszna króćca, o rękojeści poprzecinanej zwojami arabesek.

Świstanie ojcowego nosa dochodziło z lewej strony, gdzie wzrok Dominika nie sięgał. Podciągnął się ostrożnie, lekkim odbiciem pozbawił boscę stopy oparcia i zawisł na okapniku, wsuwając głowę w ciepły półmrok wnętrza. Przechyliwszy się jeszcze bardziej, przebiegł wzrokiem po kotarze szerokiego łoża. Zesztywniał nagle, czuł, że ręce zaczynają mu drżeć, że mu coś wędruje pod gardło i płonie twarz. Zamknął oczy i zaraz odemknął je, bojąc się, że to, co zobaczył, umknie bezpowrotnie.

Włosy dziewczyny odcinały się ostro od włochatej piersi ojca, zrastając się gęstymi splotami ze zmiętą pościelą, brudną, zsuniętą na dywan, który mościł

podłogę od ściany do ściany. Rybia biel brzucha i rozrzuconych bezwstydnie ud, lśniące fałdy kobiecego ciała, przygarniętego owłosioną ręką mężczyzny, przypominały Dominikowi obrazek z ukradkiem przeglądanej albumu, na którym mocarny pół-człowiek pół-diabeł, z kopytami i ogonem, obejmował otyłą kobietę obok źródła obrośniętego winoroślą. Jedyne piersi kobiece, tam nabrzmiałe, pełne jak melony, tu leżały płaskie i rozmyte, prawie niewidoczne.

Dopiero po długiej chwili zrozumiał, że patrzy na Annę, służącą-Niemkę, którą ojciec przywiózł wraz z Gretą, a która zawsze schodziła matce z drogi ze spuszczoną głową, jego zaś częstowała łakociami wyjmowanymi z kieszeni fartucha. Mimo to Dominik nie lubił jej, owszem, słodczyce brał, czując dziecięcą intuicją, że się pozwala kupować, choć bez świadomości, za co i w jakim celu. Teraz zaś, wraz z falą gorąca, przyszło obrzydzenie, zaczęło go wypełniać, przemieniać w nienawiść, zrobiło mu się mdło, ale wzroku nie odrywał, jakby przykuty do oglądanej sceny.

Nagle ojciec ciężko się poruszył, przewrócił na bok i nie otwierając oczu począł sunąć ręką po udzie dziewczyny, sapiąc coraz szybciej i głośniejsze. Ta, przez moment jeszcze nieruchoma, fuknęła sennie, po czym uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie, wyprężając nogę i do reszty spychając pościel na podłogę.

Dominik nie wiedział, jak odpadł od okna, jak, zapominając o trzewikach, biegł przed siebie, nieprzytomnie, byle dalej, aż ocknął się na skraju gościńca, skąd widać było w oddali modry, zamglony pas jeziora. Szedł na przełaj, gramoląc się poprzez trzciny, płosząc dzikie ptactwo.

Uświadomił sobie, że tej właśnie nocy, po raz pierwszy od czasu pogrzebu matki, nie płakał. I nie czuł teraz ani wstydu, ani nienawiści do Anny, a tym bardziej do ojca, wszystkie te stany opuściły go zdradliwie, pozostawiając na pastwę otepiałej świadomości, poczucia jakiejś dojrzałości, zrozumienia, a wreszcie zmęczenia i obojętności.

Spróbował rzucić parę kaczek po lustrze wody, po czym powlókł się do domu, w sam raz trafiając na chwilę, gdy Anna wymykała się z pokoju ojca, ziewając szeroko, w nocnej koszuli, z rozpuszczonymi włosami. Mijając go zaszczębiotała radośnie i poklepała po policzku spoconą, brzydko pachnącą dłonią. Nie uchylił twarzy.

* * *

Dźwięk wydobywany przez sztucce z talerzy i półmisek, brzęk szklanicy i podniesione głosy pozwalały Dominikowi stać za niedomkniętymi drzwiami do dawnego pokoju matki i obserwować mężczyzn skupionych wokół długiego

stołu o zaokrąglonych narożach i masywnych, rzeźbionych nogach, uformowanych ze zmniejszających się ku dołowi kul.

Światło z nasyconych świecami kandelabrow rzuciło głębokie cienie na twarze siedzących, a zarazem modelowało uroczysty nastrój, o jakim marzył ojciec, pokładający tak wielkie nadzieje w tej wieczerzy. Dominik, którego nie interesował temat rozmowy, wpatrywał się jak urzeczony w twarz brata, bladą, z wpadniętymi oczami.

Domyślał się, ile kosztowało ojca posadzenie pasierba, Jana, przy jednym posiłku z landratem Scholzem, człowiekiem wywierającym na starego Rezlera przemożny wpływ. Był z nimi również osobisty przyjaciel landrata — kapitan Ertli, grubas o nalanej, jowialnej twarzy i tonących w fałdach tłuszczu, choć niegłupich oczkach, oraz pan Bronikowski z rodziny podobno od dawna pozostającej w służbie elektora saskiego, a obecnie wiernej królowi, co landrat podkreślał przy lada okazji. Janek towarzyszył im i chociaż nie pił, to przecież jadł z apetytem, a sam fakt jego obecności był wydarzeniem wystarczająco niesłychanym, by Dominik warował pod drzwiami w napięciu, którego źródła tkwiły w całej atmosferze tego domu. Pupil matki, Janek, syn Karśnickiego, pierwszego męża rodzicielki (dowiedział się o tym od Grety), nie demonstrował swej wrogości wobec ojca, częściej milczał, całymi dniami nic nie mówił, jadł sam, unikając ojca, lub znikał na całe tygodnie, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z jakimi kompanami. Ojciec musiał ich znać, bo twierdził, że to banda buntowników, godzących w najjaśniejszego króla. A może brat naprawdę jest chory? Ojciec czasami mówił, że to wariat, ale Dominik nie bardzo w to wierzył.

Nieraz chciał podejść do starszego o dziesięć lat brata, porozmawiać o koniach i o polowaniu, ale pierwsza niefortunnie zakończona próba odstraszyła go na długo. Odezwał się wtedy przymilnie, ofiarowując się wyczyścić dwururkę Janka, ten zaś spojrzał nań zimno i odparł, że może czyścić strzelbę „swego ojca”, a od jego, Jankowej strzelby, wara! Zawział się wtedy i poprzysiągł sobie, że już nigdy nie podejździe do dryblasa i że gniewać się będzie do końca życia. Nie da się przeprosić, choćby Janek klęczał przed nim na kolanach, a nie wątpił, że moment taki przyjść musi.

Gniewał się dwa dni i bezwolny, przyciągany jakąś nieuchwytną nicią sympatii, znowu krążył koło brata, łudząc się, że ten zagadnie ciepłym słowem. Janek milczał, chociaż nie unikał wzroku Dominika i z każdym dniem stawał się bardziej daleki. Pisarz dworski, Borek, rozповідаł nawet, że Janek chadzał do buntowników, w co Dominik nie wierzył, aż do chwili wieczornej rozmowy, gdy wracali bryką do dworu w Buszewie.

Ten oto, znienawidzony przez ojca, landrata i zapewne oficera jego brat,

siedział teraz pośród nich, wzbudzając tym samym sensację w całym domu, od Dominika począwszy, a skończywszy na Annie, która usługiwała do stołu, wpatrzona na przemian w twarz Janka lub ojca.

Odbite od metalu światło świec lizało oblicza siedzących, sprawiając igrającym cieniem wrażenie ruchu warg, nawet wtedy, gdy nie mówili nic. Ta pantomima ust, polerowanych złotym blaskiem, fascynowała Dominika bardziej niż treść rozmowy, zrazu nudnej, tyczącej ojcowskich interesów.

— Takich jak pan, Rezler, to ja bym kupił worek cały, całe południowe Prusy od Odry po Wisłę, zasiedliłbym lojalnymi poddanymi króla, starostwa na amty poprzewracał i porządek ku chwale monarchii utrzymał! Durna ta wasza szlachta „gospodarze kraju” pożał się Boże! Nie, nie o was mówię — odwrócił twarz ku Rezlerowi i Bronikowskiemu — i nie o braciach protestanckich, którzy mądrzejszymi oczami na świat patrzą i wiedzą, kiedy i co cesarskiego cesarzowi oddać należy, a gospodarki haniebnie dla zbytków nie zaniedbują. Ale ilu takich?! Pan, panie Rezler — Scholz mówił tak szybko i tak gwałtownie, że drobinki śliny wytryskiwały mu z ust — pan gorzelnię pierwszą wybudowałeś, udziały w sukiennictwie Leszna, Rawicza i Wschowy posiadasz, pan starasz się manufaktury zakładać, zboże ku morzu ślesz, a pański sąsiad, arystokrata, panek zasrany, tyłkiem się nad pana wynosi, bo on, słuchaj, Ertli!, on gardzi przemysłem, handel i rzemiosło za zniewagę ma, za plamę na swoim honorze, on się w Żyda, rozumiesz, bawić nie chce! Zapijać się będzie jak bydlę, burdy czynić, chłopca na śmierć skatuje i tak ciągnie, z dnia na dzień, od rebelii do wesela, a od wesela do rebelii, rycerz pieprzony!!! Dziadują, ledwie zipią, o pożyczki u bankierów naszych żebrzą i hipoteki obciążają tak, że skarż mnie Bóg! Nie spłacą się do sądu ostatecznego, ale popatrz, honor pielęgnują! Honorem hipoteki nie odciążysz, choć niejedyn i na to by przystał!

— Prawda jest — Bronikowski odezwał się z pełną gębą, żując i na przemian wyciskając wyrazy — prawda, ośmielę się zauważyć. Nieróbstwo, swawola i niekarność to choroby toczące naród jak czerw, który drzewo piłuje. Gospodarka święta rzecz, ziemia nasza potrzebuje...

— Czego ziemia nasza potrzebuje najsampierw, nie tacy jak pan, mości Bronikowski, wykładać będą! — przerwał Janek.

— A jacy?! Że co, protestanci nie mają prawa wedle was, bo wiara inna? Jeden jest Bóg i my wszyscy synowie tej ziemi. I... nie o to, ośmielę się zauważyć, chodzi. Ojczym pański, katolik, jako i inni, jednako nie jak inni, lecz o stokroć lepiej gospodaruje, sobie i królestwu dostatku przysparzając.

— Nie o wiarę tu chodzi, nie udawaj pan głupiego!

— Tedy o co waści idzie? Co byś nie prawił, panowie bracia rujnują kraj

i samych siebie, ośmielę się zauważyć. Pan landrat ma rację świętą w tej materii.

— Bydło! — Ertli czknał i popił winem. — Podatków płacić nie łaska, bo, jak mówią, chłop im nie pracuje, jak należy. Jak ma pracować, kiedy pierze zeń żywcem drą? W Dobrojewie dziedzic kmiotka tak batem popieścił, że mu żebra przez mięso na grzbiet wylazły, ot mi sposób...

— Zły sposób, kapitanie? Z dobrej jednak szkoły wzięty! — wtrącił Janek. — Trzy niedziele temu widziałem — słowa padały z takim impetem, że Dominikowi zdawało się, iż miotają płomieniami świec, czyniąc bardziej nerwowymi cienie na twarzach — widziałem, jak przeszedł przez kije wasz żołnierz. Dwa szeregi...

— Co znaczy w a s z ! ? A pański, panie Karsnycky, bo nie wiem, czy Rezler zwać się zezwolicie, choć to zaszczyt być wam powinien, zważywszy zasługi ojczyma, a wasz to nie?! Ktoście więc? Czyj poddany? — wyrzucił z siebie landrat.

— Pan wie najlepiej, czyj. Niech będzie, że i mój to był żołnierz. Żaden żołnierz nie godzien takiej pieśczoćty, że nazwę jak pan kapitan, i nie żebra wtedy przez mięso wylazły, bo już i co wychodzić nie miało! Do połowy szeregu żywy nie dojechał!

— Gdzie?! — Ertli stęzał momentalnie, a oczy wypłynęły mu z fałd skóry, lepiej i bystrzej widzące.

— W Poznaniu, na rynku. Niejeden żołnierski balet wśród kijów oglądały ściany placu. Panu to trzeba mówić?

— Żołnierz to żołnierz, niesubordynacja grzech śmiertelny! I koniec! — Ertli uderzył ręką w stół, aż kieliszki podskoczyły i zabrzęczały chórem.

Dominik skulił się w przypiływie strachu. Ale wciąż był jeszcze pod wrażeniem niemczyzny brata, tak poprawnej, jakiej z ust jego nigdy nie słyszał i swobody, z jaką Janek siedział za stołem i perorował do rzeczy. Że za spokojem tym kryje się czujność zwierza gotowego kąsać, Dominik wiedzieć nie mógł. Ojciec wiedział. I już kolejkę nową rozlewał, do kielbas i ogórków zapraszał, łagodząc, na gospodarski temat wracając.

— Ma pan rację, Herr Scholz, prawda to, chłop też człowiek i że urząd pruski w opiekę go bierze, chwała królowi. Tylko że kanalie jednym żyją, jedno z mlekiem matki ciągną, jedno we krwi mają, jak od pańszczyzny uciec, jak się migać, jak...

— To pańszczyznę na czynsz zamieńcie! — warknął landrat.

— I bez tego wzbogacić się można łącno, kłopotów na głowę, ośmielę się zauważyć, nie ściągając. — Bronikowski gestykułował zawzięcie ręką wolną od kieliszka. — Trójpolówkę wprowadzić nie tak znowu trudno, radzę panu

spróbować, panie Rezler. Kilku innych panów braci, trzy kalwińskie rodziny, sąsiedzi moi, lepszy jeszcze środek odnalazło. Miast zboża, którym chłop ich do tej pory się pożywiał, ziemne bulwy, owe kartofle, które pono sam Kolumbus z Ameryki przywiózł, pejzanowi nakazali sadzić i spożywać przez rok okrągły. Kartofle na gruncie lichszym niż pszenica rodzą się bogaciej, przeto, ośmielę się zauważyć, chłopu ziemię, którą dla siebie uprawia, można uszczuplić, bo mu teraz tyle co wprzód nie trza. Dwór się na tym tylko bogaci i w ziemię obrasta... A kartofel ów, ośmielę się zauważyć, smaczny jest, sam go nieraz kosztowałem. Co do czynszu, nie przeczę, być może, być może...

— Nie takie to proste i niejedni zęby sobie połamał. Pańszczyzna to dobra machina, ale i to prawda, że czasami kijem naoliwić ją trzeba! — Rezler odpowiadając Bronikowskiemu, choć do landrata słowa te kierował pośrednio, śmielszym był i pewniejszym w głosie.

— Ja panu, Rezler, kijów, co na grzbiety pańskich ludzi spadają, nazbyt skrupulatnie rachował nie będę — powrócił do rozmowy Scholz. — Wasza rzecz. Ale krzywdzić chłopów zanadto, wbrew ustawom, nie dam! Żenić się prawo mają, rugować też nie wolno, chyba takich, jak owi, co ongiś do Dombrowsky'ego poszli — Scholz spojrzął znacząco na młodego Karśnickiego, ale ten udko kuraka obgryzał ze stoickim spokojem — i którzy teraz w lochach naszych bawią... Ha! Trzy lata już mijają, jak im nasi skórę przetrzepali!

— Nie wasi, tylko Suworow, to raz. A ślady trzepania pan kapitan jeszcze dzisiaj na czole ma wypisane — cedził Janek z jawnym szyderstwem.

Milczenie trwało chwilę, ale Dominik czuł, że skóra mu cierpie.

— Z pułkownikiem Szekelym Bydgoszczy bronilem! — wykrztusił Ertli, pijany już dobrze, bo mu głowa latała na boki.

— Słaboście jej panowie bronili. Dąbrowski i Madaliński rozdeptali was w dwie godziny, a pan pułkownik, „*lumen mundi a belli*”^{*} zwano go, choć Polaków nienawidził jak własne wszy, zanim do piachu poszedł, u stóp generała Dąbrowskiego czołgał się i o litość błagał.

— Kłamstwoo!!! — Ertli poderwał się siny.

— Dla jednych kłamstwo, dla drugich prawda, bardziej gorzka niż ta pejsachówka, którą popijacie, mój panie — Janek chyba prowokował i Dominik czuł, że nieszczęście czai się w mroku.

— Ładnie umiecie bajać, panie Karsnycky — to Scholz rozładował napięcie. Trzeźwy był jeszcze, choć sporo wypił i uśmiechał się teraz przymilnie, mrużąc chytre ślepie. — Tylko skąd tak dokładne wiadomości? — landrat pochylił świdrujący wzrok w kierunku Janka, kręcąc na palcu

* — Osobistość wysokiej klasy; człowiek o pięknym, wytwornym rozsądku.

łańcuszek monokla.

— Wiatr niesie, ludzie gadają, cały Poznań o tym trzepie, ot i do mnie dotarło — brat wycierał usta serwetą, a może chował uśmiech, Dominik nie zdążył dostrzec, gdyż z tyłu, za plecami, usłyszał kroki. Odskoczył za kotarę, w samą porę, by nie zauważyła go Greta, która wśliznęła się do komnaty. Na palcach podeszła do drzwi i zajęła miejsce Dominika.

Teraz już niewiele słyszał. Landrat proponował coś Jankowi, jakąś służbę czy urząd, ten jednak odmówił, mimo iż ojciec i Bronikowski żarliwie go do tego nakłaniali. Potem już nic nie było słychać. Dominik, któremu nogi drętwiały, złościł się w duchu na Gretę, bezradny aż do chwili, gdy ręką natrafił na szklaną kulę zwisającą na końcu sznura od kotary. Zdjął ją szybko i krótkim ruchem ręki cisnął w przeciwległy kąt pokoju. Zamarł... Kulka odbiła się od poręczy fotela i grzmotnęła w boazerię. Greta odskoczyła jak oparzona i w chwilę później Dominik był już sam.

— ...A rządy króla jegomości to właśnie na celu mają! Sprawiedliwość dla panów i włościan, i zagospodarowywanie ziem odłogiem leżących, co intraty mnożyć będzie... Odłogiem, słyszysz Rezler — landrat wychylił się zza pleców Anny, która rezydowała mu na kolanach. — Kolonistów nowych osadzać będziemy, oni waszemu pospólstwu szkołę dadzą.

— Dadzą, dadzą — mruzczał gniewnie ojciec, nie wiadomo, do siebie czy do landrata, Ertli bowiem spał z głową na stole, a Bronikowski przeglądał butelki, czy w której co na dnie nie zostało. — Najgorszą hołotę z Prus tu ściągacie. Żrą ziemią nie płacąc podatków ni czynszów, a gdy im lata wolnizny miną, pakują się i dalej w świat szeroki idą. Gnidy zatracone.

— O... odłogiem — czkał Scholz, manipulując pod spódnicą wiercącej się Anny. — Odłogiem, Rezler! — I palcem drugiej ręki kreślił jakieś jemu tylko wiadome znaki przed nosem ojca.

— Odłogiem, psiakrew! — Janek wypluł z siebie po polsku. — Zniemczyć byś chciał tę ziemię do cna, gdybyś potrafił, to i krowom kazałbyś po swojemu szprechać!

Zerwał się i ruszył od stołu prosto ku drzwiom. Bronikowski, jedyny chyba, który usłyszał i pojął jego słowa, zatrzymał go, chwytając za ramię.

— Czego pan chcesz, czemu zwady nawet we własnym domu czynisz? Jakie ci zło czynią ludzie, że kąsałbyś tylko? Czy już żadnej estymy i poszanowania dla zwierzchności nie znasz? Kraj nasz, ośmielę się zauważyć, odbudować możemy w kwitnący, słuchając przykazań króla jegomości...

— Przykazania Boże i te, które serce i dusza rodzi, pod tyłek chowając, prawda?

— Nie, ale władza od Boga pochodzi i należy współpracować z nią

godnie, co, ośmiela się zauważyć, owoce wyda obfite, tak iż pokolenia błogosławić nas będą. A pan byś jeno warczał i bunty czynił, które kraj w pustynię zmieniają spaloną!

— Lepsza spalona pustynia, aniżeli ogród kwitnący, pełen płazów wijących się po ziemi i liżących łodygi słoneczników, które władzę zwierzchnią, z woli Bożej, nad wszelaką roślinnością sprawują. I o s m i e l ę s i ę z a u w a ż y ć — Janek rozciągnął złośliwie wyrazy — że władzę, którą Bóg daje, Bóg też odbierać może, jeno trzeba mu w tym pomóc czasem, albowiem...

— Milcz waść, bo!...

— Bo co! Nie strasz, sługo, bo tylko takiego jak ty sam przestraszyć byłbyś zdolen! I zakonotuj sobie, że gdy Karśnickiego Bronikowski za rękę chwyta i dyskursa prowadzić zamiaruje, to się Karśnicki nerwowym czyni i nad rączętami nie panuje, przez co krzywdę łącno uczynić może!!

Odepchnął tamtego i otworzył gwałtownie drzwi, wpadając na Dominika. Z salonu dognało ich chrapliwe „do zobaczenia!” i jeszcze kilka bełkotliwych słów, utopionych w piskliwym śmiechu Niemki.

* * *

Wkrótce po wyjeździe landrata, oficera i Bronikowskiego, których ojciec zegnał w niskich ukłonach, choć nie w smak mu była obietnica zasiedlenia w pobliżu nowych kolonistów, rozpoczął się Wielki Tydzień.

Dominikiem mało kto się interesował. Greta, odkąd skończył dziesięć lat, poświęcała mu coraz mniej uwagi, co cieszyło chłopca, ojciec zaś nieustannie wściekły, najczęściej siedział u siebie i pisał listy do landrata lub do kreisrata Kuntzego, albo też naradzał się poufnie ze swą prawą ręką, pisarzem dworskim, Borkiem. Dominik, zziąjany gonitwą po polach, gdzie obserwował owady, które budziły się do życia, wracał do domu umorusany i głodny, martwiąc się, że post zabrania kielbasek, pieczeni i w ogóle wszelkiego obżarstwa. Podśluchiwać narad starego z pisarzem nie opłacało się, pletli bowiem przeraźliwe nudziarstwa o amtach i dzierżawach, o zdejmowaniu wełny i podymnym oraz o propozycjach kupna nowej ziemi. Dominik wiedział, że ojciec jest najbogatszym właścicielem ziemskim w promieniu wielu mil od Szamotuł i dziwił się, na co mu jeszcze więcej ziemi, kiedy i z tym, co już posiada, kłopotów jest w bród.

Nie opłacało się więc sterczeć u drzwi i narażać na przychwycenie, jak wtedy, gdy nie zdążył się cofnąć przed Jankiem. Stał wówczas przerażony, ale brat popatrzył tylko błędnym, nic nie widzącym wzrokiem i niespodziewanie

uśmiechnął się do niego aż Dominikowi fala radosnego gorąca przebiegła przez ciało, po czym szybko wyszedł z komnaty. Całą noc Dominik hołubił ten uśmiech, nie mogąc zasnąć. Zdrzemnął się dopiero nad ranem i obudzony przez Grekę na próżno szukał brata. Ten zniknął bez słowa, czego chyba nikt poza Dominikiem nie zauważył, tak zwyczajne to było i częste. Któregoś dnia, pełnego przedświątecznej krzątaniny, Dominik, leżąc w korytarzu, próbował wyłuskać spod komody kulkę od kotary, tę samą, którą tak skutecznie przeraził Grekę, a która teraz wypadła mu z ręki, gdy nagle otworzyły się drzwi od pokoju ojca i ukazały się w nich dwa opięte w zielone sukno pośladki, okryte z wierzchu brązowym, skórzanym kabatem. Pośladki, wspierające się na drobiących muskularnych nogach, wciągnęły do korytarza zgięty grzbiet i opuszczoną rękę z modnym czepkiem, podczas gdy drugie ramię obejmowało plik papierów i zakładkę. To Borek wycofał się usłużnie, z rozbrajającym uśmiechem, rysującym się jak obca skaza na przystojnej gębie, której Dominik nie cierpiał, sam właściwie nie wiedział dlaczego, ale chyba przede wszystkim z powodu tego uśmiechu. Uśmiech Borka pojawiał się najniespodziewaniej i równie nagle zniknął, ustępując złośliwemu grymasowi, który znakomicie harmonizował z zimnym okrucieństwem szarych, ocienionych gęstymi brwiami oczu.

Z otwartej komnaty dobiegł rozkazujący głos ojca:

— Panie Borek! W sobotę pojedzie pan z nami do kościoła. Czekam na pana o siódmej rano. Zobaczymy, co klecha zaśpiewa na pożegnanie!

Pisarz, któremu zagulgotało w gardle, ni to przymilnie, ni radośnie, nie rozprostowując karku wycofał się całkiem w głąb korytarza i ostrożnie zamknął drzwi. W chwili gdy zamek zaskoczył, Borek wyprostował się jak zgięta gałąź młodej leszczyny, niedbałym ruchem strącił pyłek z rękawa i skierował się powoli, godnie, w stronę wyjścia, obok skulonego za komodą Dominika.

„Klecha” nazywał stary księdza Zimorowicza. Do kościoła w ich wsi Buszewo zaglądał rzadko, jako że nienawidził duchownego — „*jakobina w sutannie*”, jak ciągle powtarzał. Dominik nieraz słyszał odgrążania ojca, że wyświęci „klechę” ze wsi i że dobra parafialne zagarnie. Nie wyświęcił, bo przeciw zwierzchności kościelnej i sam Scholz nie mógłby wystąpić, ale doczekał się upragnionej chwili, gdy Zimorowicza, zbyt już starego dla pełnienia obowiązków duchownych, biskupstwo przeniosło w stan spoczynku. Pożegnalna msza, na którą się wybierał, miała stać się celebracją tryumfu Rezlera. Scholz zaś obiecał mu, że nowy proboszcz będzie inny.

Przyszła Wielka Sobota. Dominik siedział w bryczce, odświętnie ubrany, na „swojej” ławeczce, naprzeciw Borka i ojca, którzy rozprawiali o

pożyczkach, hipotekach i innych mało interesujących szczegółach rozliczeń finansowych. Wydawało się, że bankructwa bankierów — Teppera, Blanka, Schultza, Kabriego i Majznera, o czym Borek zawzięcie gardłował, to jedyny temat godny ojcowskiej uwagi. Lecz Dominik czuł przez skórę, że i ojciec i pisarz myślą o czym innym i że lawiną słów chcą zagłuszyć napięcie, wzrastające z każdą chwilą.

Dojeżdżali do cmentarza, przyklepionego do świątyni płaszczyzną nagrobnej zieleni, u wejścia którego straż pełniły dwa potężne dęby, wiekowe już i wyższe od ceglastej wieży kościoła. Z głębi cmentarza dochodziły głosy chłopów, roztopione we mgle, która nie chciała ustąpić od wschodu słońca i błyszczała dziesiątkami ogników, sunących nad głowami, jakby były niesione wiatrem w poprzek białego mleka, żywe i mrugające. Starym zwyczajem wielkosobotnim chłopci palili ciernie, by opalone zatykać na polach dla urodzaju, poważni i skupieni, pewni, że od owego palenia zależeć będzie przyszłe powodzenie lub niedola.

Dominik aż wstał, by lepiej się przyjrzeć ognikowemu misterium, które w białej, zawieszistej scenerii nabierało klimatu urokliwej tajemnicy.

Bryczka stała już dłuższą chwilę, tak że dogonił ich stary powóz z Gretą, Anną i księdzem Lomazzo. Przez czas jakiś nikt się nie odezwał, wszyscy śledzili wzrokiem błędzące ognie. Dopiero gdy pisarz począł wrzeszczeć, że należałoby hołotę zegnać i ognie pogasić, bo kościół może spłonąć, ojciec ocknął się i nie zważając na Borkowe gadanie kazał Marcinowi jechać dalej.

Dominik domyślił się, że ojciec patrząc w rozgwieżdżoną mgłę wspomina matkę. On również na widok cmentarza chciał przywołać jej twarz, lecz ze zdziwieniem zauważył, że nie potrafi, mimo całego wysiłku, wydobyć z pamięci nic ponad mglisty zarys postaci, z rozmytą plamą twarzy, jakąś bezosobową i obcą. Tak niedawno jeszcze był pewien, że ta twarz będzie przychodziła codziennie, do końca jego życia i oto pamięć zdradziła go. Przywoływana na siłę żalność umknęła, gdy stanęli przed gotyckim portalem.

Weszli spóźnieni nieco przez postój u wrót cmentarza. Dominik, wleczony ręką ojca, zgubił się w tłumie wysokich postaci, stłoczonych gęsto w trzech nawach kościoła. Ławki, na których kiedyś siadywała matka, zajęte były i napełnione mrowiem szlachty przybyłej z całej okolicy, wystrojonej i napiętej oczekiwaniem.

Rezler stanął gwałtownie widząc tyle twarzy zupełnie obcych lub znanych przelotnie, tych wszystkich panków, którzy mając swoje parafie zjechali się z najdalszych krańców ziemi szamotulskiej, by zająć jego miejsce i manifestować swoją wrogość. Wiedział, co ich sprowadza, nie chcieli opuścić ostatniego kazania niezrównanego kaznodziei, za jakiego uchodził

Zimorowicz. I czuł radość, właśnie dlatego, że będzie ono ostatnie. Wiedział, że po wsiach i dworach krąży plotka, iż dzięki niemu Zimorowicz został odwołany i chociaż nie była to prawda, radowało go, że mają go za tak silnego i że oto wściekają się bezradnie. Nie bacząc na błyski złych spojrzeń oparł się o filar, obojętny na pozór i spokojny, choć przez palce Dominika przenikały nerwowe skurcze ściskającej go dłoni.

Powoli morze głów odwróciło się od nich i wszystkie oczy spoczęły na ustach starca, który stał na ambonie o konstrukcji stylizowanej na Łódź Piotrową, i suchą, kościstą dłonią o przezroczystej fakturze pergaminu, wertował foliał Biblii.

— „...A oto stało się wielkie trzęsienie ziemi, albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba i przystąpiwszy, odwalił kamień...”

Dominik począł wiercić się niecierpliwie, aż ojciec podsadził go nieco i postawił na bazie filara, tak że nagle stał się wyższy od ojca i nawet od cienkiego jak topola księdza Lomazzo.

— „...A z bojaźni przed nim przerazili się stróże i stali jakby umarli. Anioł zaś odpowiadając rzekł niewiastom: « Nie bójcie się, gdyż wiem, że szukacie Jezusa, który był ukrzyżowany. Nie ma go tu, albowiem powstał, jak powiedział »”.

Dominik patrzył na Annę i spostrzegł, że odwróciła głowę. Podażył za jej wzrokiem i raptownie szarpnął się wyżej, omal nie spadł. Tam, po drugiej stronie, w cieniu konfesjonału przeciwległej nawy, stał Janek. Jakby czując, że patrzą na niego dwie pary oczu, brat odwrócił twarz i spojrzął na Dominika, dziwnie jakoś, bez uśmiechu.

— „...A prędko idąc, powiedzcie uczniom jego, że powstał i oto uprzedza was do Galilei, tam go ujrzycie. Oto wam zapowiedziałem!”

Ksiądz zamilkł i pochylił głowę. Powtórnie zapanowała cisza, ale tylko na krótko, bo wtem wrzawa przyciszona wyrwała Dominika z odrętwienia. Tłum falował, znowu wszystkie twarze zwrócone były przeciw nim, posępne i gniewne. Dominik szybko zsunął się na posadzkę, przerażony tym atakiem, bezpieczny między ojcem a kolumną i nie pojmujący jeszcze, czego chcą od nich ci ludzie.

Ksiądz podniósł obie ręce.

— Bracia i siostry, pozwólcie mi pożegnać się godnie. Nie kapłana czcicie, jeno Boga miłosiernego i jemu służyć będziecie, nie sutannie! Mnie czas odejść. Jakom rzekł, dzięki wam, tobie, ludu prosty i wam waszmościowie, dzięki wam... dzięki... — głos księdza drżał i łamał się po dziecinnemu.

Dominik schował oblicze w płaszcz ojca, nie dlatego że bał się wrogości

tej masy, która otaczała ich ciasnym kręgiem, ale bał się własnych myśli. Dlaczego ojciec nienawidził kapłana, do którego matka czuła tyle sympatii i którego kochali wszyscy chłopci i szlachta? Cóż ojcu zawinił ten starzec, mówiący tak łagodnie i ujmująco? Buntownik! — szeptało mu coś z drugiej strony. „— *Kto myśli jak buntownik, sam jest buntownikiem!*” — przypomniał sobie słowa ojca. Jakże bardzo chciał wierzyć, że ojciec ma rację, ale jeśli wszyscy buntownicy wyglądają tak jak ten... Dominik czuł, że te sprawy przerastają go, że nie potrafi wiele zrozumieć, a jednocześnie dziwił się, że tak szybko wycieka zeń zaufanie do postępowania rodzica i marzył, by obok stanął Janek i wyjaśnił mu...

— ...Niech nikt z was nie zapomni, że ten kraj Wielkopolską się zowie! — Dominik spostrzegł, że głos księdza podnosi się, wibruje, nabiera mocy. — ...Prawdziwie to Wielka Polska, ziemia Przemysławów, z której królestwo całe zjednoczyć chcieli!

Dominik przypomniał sobie, jak kiedyś matka, w ojcowskiej sypialni, mówiła podobnie o Polsce, o jakimś Przemysławie, o...

— ...Przyjdzie czas, że z onej ziemi, z której jemy i w której dziadów naszych kości spoczywają, dłoń mocarza narodu kamień ciężki odwali, że się ona kolebką stanie, iskrą, która płomień roznieci. I powstanie Polska, jak powstał Pan, i sprawdzą się słowa ewangelii. Przerazą się stróże i „*powstanie, jak powiedział*”. Oto wam zapowiedziałem!

Ostatnie słowa ksiądz prawie krzyczał, z wyciągniętą ręką, jakby błogosławił, aż nagle zamilkł, spuścił głowę, lecz w tej samej chwili rozległ się krzyk Borka:

— Zdrajco! Przeciw królowi bluźnisz!!

Rezler krzyknął doń, by zamilczał, ale że uczynił to zbyt gwałtownie, a gwar zagłuszył słowa, wyglądało tak, jakby i on wrzeszczał przeciw księdzu. Zanim pojął, że źle czyni, dając się nerwom ponieść, już było za późno, już go opadł zewsząd rój rozszalałej szlachty.

— Łotrze sprusaczony, taki synu, sługę Boga nad grobem stojącego w świat pędzisz, by nam swojego diabła, w komżę wystrojonego, sprowadzić!

— Na szable, psubrata!

— Dać go!

— Bij, kto w Boga...

— Bracia, tuuu!

Pisk kobiet zagłuszył krzyk mężczyzn. Rezler ciągnął syna do wyjścia, torując sobie drogę pięścią, za nim kulił się spokorniały nagle Borek i abbe* Lomazzo. Greta i Anna zniknęły w chłopskim mrowiu, które obojętnie

* — Ksiądz.

przyglądało się szarpaninie.

Byłby ojciec dopadł przedsonka, gdy w ostatnim momencie żyłasty szlachcic, odziany w futrzaną szubę, przyskoczył doń, chwycił go za rękaw i osadził w miejscu.

— Czarnocki jestem, do usług! Mnie żeś to, waszmość, ze starostwa wyrugował jak psa, tedy ci podziękę złożyć czas nadszedł! Wiary naszej i świątyń nie będziesz plugawił, choć się pono tym samym krzyżem znaczysz!

— Precz! — zachrypiał Rezler.

— Milcz, psi gnacie, bo ci uszy poobcinam, jeno z kościoła wyjdź, bym ołtarzy nie brukał!

I już wypchnięci przez tłum na zewnątrz wypadli. Rezler nie puszczał dłoni syna. Szarpani dziesiątkami rąkszponów przetoczyli się przez furkę, gdzie Czarnocki do boku już sięgał, gdy wtem dłoń jakaś stalowa przydusiła mu nadgarstek, aż kości zatrzeszczały.

— Wolnego, panie bracie, bym ja ci uszu nie porachował! Przejście daj!

Dominik ujrzał Janka, który wyrósł jak spod ziemi, odrzucił Czarnockiego i ojczyma zastawił piersią.

— Z drogi, Karśnicki! —grzmiało kilkanaście głosów.

— Nie broń łotra, chyba żeś ojca przepomniał.

— Z drogi, na Boga! —napierali nań gwałtownie.

— I to ojciec. A krwi przelać nie dam, czy diabłem, czy Bogiem wymuszać ją będziecie! Ustąpcie!

Rezler już do bryki dopadł i konie podcięte przez Borka —Marcin wymknął się, nie wiadomo kiedy — runęły w tłum i pędziły traktem, aż bryzgi spod kół błocily konary drzew na poboczu.

Dominik obejrzał się i ujrzał głowę brata w rozedrganym tłumie. Za chwilą zniknęła, a oni lecieli dalej. Ojciec milczał, dziwnie skurczony, nie widząc, że synowi po policzkach płyną łzy, czyste, nie rozmazywane.

* * *

Noc była w pełni, gdy obudziło go delikatne szarpnięcie, jedno, potem drugie. W mroku zamajaczyła twarz Janka.

— Pamiętaj, Dominiku, że ksiądz prawdą rzekł! Tyś się tu urodził i prawym Polakiem będziesz, albo nie ma Boga na niebie! Ja tu wrócę... wrócę. Słyszysz? A kiedy wrócę, chcę byś mnie polskim dobrym słowem powitał. Albo zaprzyj się matuli i niech cię piekło! Co ci, Dominiku? Pamiętaj! — głos brata drżał w gorączce — pamiętaj! Nie Prusy to, jeno Wielkopolska, ziemia nasza... kolebka. Wrócę... żegnaj mi... — pochylił się i przycisnął brata z całej

siły, potem wyrwał się z kurczowo obejmujących go rączek i wybiegł.

Wspomnienie I

W studni

Czas był ostatni. Po tym, co przed kościołem zaszło — ni w domu, ni w okolicy ostać się już nie mogłem.

Nie tak łatwo przyszło mi progi rodzinne opuszczać, boć przecie i od Mniewskiego, i od Dąbrowskiego wróciłem do dom, kiedy już Naczelnika do ostatka Moskale zdusili, ale chociaż ojczym i całe jego do prusactwa umizgi nie wadziły mi, bom się uodpornił i zobojętniał, atoli siebie się bałem, że tej zasłony sztucznej nie starczy, że mnie kiedyś nienawiść zbrodnicza porwie, że zapiecze, aż... Strach było myśleć. Człek, choć nie zwierz, do wszystkiego zdolny i nie zawsze tamę afektom w samą porę stawi.

Rozczulać się nad sobą nie nawykłem, jeno śmierć matki splaksiała mnie tak okrutnie, że mi się żyć odechciało. Ojca nie pamiętałem dobrze, umarł, gdym jeszcze smarkiem był. Pono nie bardzo był dla matuli łaskawy, pił dużo i hulał, dom ostawiając na jej głowie. Zanim się zapił, zdążył tyle napożyczać i tak obciążyć majątek długami, że wystarczyły dwa chude lata w gospodarce i spadek cen zboża, by matkę z kretesem zgubić.

Zjawił się wówczas człowiek, który nabył od wierzycieli prawie wszystkie weksle podpisane przez ojca — szlachetka z Królewca, Franciszek Rezler, twardy i stanowczy, pięścią bijący gdzie popadło, żądający natychmiastowego wykupienia nieszczęsnych dokumentów. Że nam wyrugowanie z ojcowizny i nędza ostatnia groziły, że matka do rodziny z czym iść nie miała, bo ją magnaty zatracone — z Potockich, tych lichszych się wywodziła — za miłość młodzieńczą i ślub z szarakiem na wieki wykleły, tedy rękę oddała Rezlerowi, o co zaciekle nastawał, wietrząc łup bezbronny, przeto łatwy, a także i obfity. Prawił, że familia jego z grafów inflanckich się wywodzi, ale mi się patrzy, że prędzej z krzyżackich diabłów, bo po prusku jęzorem machał lepiej niż po polsku i chętniej. Z landratem szamotulskim Scholzem spiknął się w okamgnieniu i już z Buszewa nie wyjechał. Wkrótce zaś pokupował inne wsie i ziemie, które mu Scholz wskazywał, podupadłych szaraków ze starostw wysadzając. Za pomoc część pieniędzy Scholzowi do kieszeni wkładał.

Małym będąc nie pojmowałem tego wszystkiego, anim nie widział ogromu poświęcenia matki. Z wiekiem dopiero przyszło zrozumienie i świadomość rzeczy.

Do szkół ojczym posyłać mnie nie dał. Powietrzem dla niego byłem, tyle

że mi czasami skórę złoił zdrowo, do chwili, gdy za nóż złapałem, przyparty do ściany. Przekleństwem rzucił, okręcił się na pięcie i warcząc odszedł, ale ręki na mnie nie podniósł już nigdy, a matce ani słowem nie wspomniał o zdarzeniu.

To, co w głowie mam, jej tylko i księdzu Lomazzo zawdzięczam, którego Robespierre z rodzinnej Prowansji wyżenał, i który u nas na prośbę matki gościnę i łaskawy chleb znalazł. Dziw człeka brał, jak rozległą wiedzę dysponował abbé Lomazzo, zważywszy, że oprócz religii, łaciny i francuskiego, do geometrii i matematyki mnie przyuczał, początki historii dawał, tłumaczył komentarze Cezara, „Wojnę Jugurty” Salustyusza i „Historię Ludzi Wielkich”, tak iż lat mając piętnaście nieźle sobie z pomienionymi dziedzinami radziłem.

Matka co innego. Jej ukochanie kraju zawdzięczam, ona mi impuls tajemny do ruszenia w pole dała, wraz z listem do kasztelana brzeskiego Mniewskiego, który ojca serdecznym był druhem. Boleśnie odczuła matka Maciejowice, nie pojmowała jednak, że nie traf czy podła fortuna jeno, ale też i ludzie za prywatą wężący kraj nam zgubili. Tak prawił Zimorowicz, który przy każdej okazji dziedzicom prywatą ich wytykał i za brak miłości ojczyzny gromił. A przecież, o dziwo, chociaż żaden inny proboszcz w okolicy nie ośmielał się panów zawstydząć publicznie i przy chłopskich uszach wyklinać, to przecież właśnie on, a nie żaden inny, jednakowo był od wszystkiej szlachty umiłowań. Ongiś w Warszawie, pono ksiądz Skarga wyrazy równie ciężkie i sumieniami szarpiące książećtom w twarze ciskał. Toteż kiedy Scholz pomstował na panów braci, do wtóru tego pajaca w mundurze, ojczyrna i wystrojonego w koronki brabanckie Bronikowskiego, racji przeciwnej w duchu znaleźć nie potrafiłem, choć gęba inaczej działała. Jeno nie o kijach na chłopskim grzbiecie myśl pierwsza, kraj niech się wprzódy z prusactwa otrząśnie i wyzwoli, wtedy i o chłopach się pomyśli...

Śmierć matki zmieniła wszystko. Za intruza już mnie miano w tym domu, który jeno wyglądem zewnętrznym rodzinny przypominał, tak w nim wszystko ojczym przewracał, od tapet po meble; pokoju, gdzie z matką sypiał, nie tknął, czort wie czemu. W innych komnatach konterfektów z Królewca przywiezionych nawieszał, służby niemieckiej nazwoził, gdyby się to godziło i gdyby był zdolny, to i winorośl na ścianach by sprusaczył. Z księdzem nauczycielem też mi się na dyskursa nie zbierało jak dawniej, gęby zaś niemieczyzną strzepić nie chciałem, szukałem tedy fortuny po polach, gdzie za zajacem ganiał albo na dziewczki chodziłem, odkąd w Bydgoszczy smaku tego miodu starsi kompani z brygady Madalińskiego poznać mi dali.

Gdym się wyrwał z hurmy panów braci pod kościołem, poszarpany nieco i

zmiętoszony, i gdy do domu wróciłem, czas już był ostatni, jako rzekłem, by w świat uchodzić. Nic tu po mnie — ot i kwita! Dąbrowski, mówią, w Italii wojsko polskie szykuje, hańba Polakowi dziewczki macać i kuropatwy strzelać w niewoli.

Dominika żał było, gówniarza zatraconego, o którego matka przed śmiercią prosiła, bym go w opiekę wziął. Lubo go ojczym na swoje urabiał, ile siły, i krew matczyną zatruwał, to przecież serce w nim widziałem, a po matce polską duszę chwacką i nadzieję żywiłem, że mu się ta dusza nie spodli i że w przyszłości karku przed Prusakim chylić nie będzie. Ano, wszystko w rękę Boga. W czupryną go boćknąłem, zaklinając, by umiłowania Polski z duszy nie wypływał i dalej ruszyłem.

Ojczyma ani widzieć chciałem po tym, jak na zacnego Zimorowicza gębę rozdarł. Zali to prawda, co mówią, że go do spółki z Scholzem wyženęli z parafii? Że go aż tak nienawidzi, dowiedziałem się dopiero w czasie mszy. Późno! Dziwne to, sam, gdybym obcym był, w gębę bym lał za ten iście pruski wrzask, ale kiedy go szturchać zaczęli, nie zdzierżyłem — matki to przecież ślubny — i bić nie dałem. Już on, przy pomocy Scholza, zdrowo zapłaci i Czarnockiemu, i drugim, aż żał było narwańców, gdy człek pomyślał. Że przeciw jego paskudnej naturze nic bym i tak nie zdziałał, tedy uchodzić mi trza było, albo grzech śmiertelny na barki kłaść. I on, łotrzyk jakich mało, coś przecież ludzkiego wewnątrz dzierżył, bo choć zimną butą świecił na pogrzebie matki, a i przedtem jeszcze nie skąpił jej upokorzeń, w noc pierwszą po powrocie z cmentarza u siebie siedział jak martwy, głowę w dłonie skrył i jęczał głucho, aż żał serce ścisnął.

Od Dominika wyskoczyłem i stapałem korytarzem, bez światła, by domu nie poruszyć. Torbą wojażną u siodła konia zapiąłem, przy wrotniach go uwiązawszy, dwa kroki i już wszystkie drogi do Rzymu prowadzące są moje, choć przecież tę na Warszawą wybrać trzeba, dlaczego — jeszcze wspomnę.

Wtem ręka jakowaś biała wychynęła z ciemności i za ramię mnie ucapiwszy, nogi mi zatrzęsła, bo choć w duchy nie wierzę, widzieć chciałym, który rycerz na moim miejscu, w mroku zupełnym, portkami by nie zatrząsł, zjawę takową widząc.

— Ktoś jest?! — szepnąłem.

— Hans, to ja, Hans...

Anna. Dyszała chutliwie waląc się na mnie i do kąta przypierając, rozmamłana, ciepła, w koszulinie tylko, trąc się jak kotka. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że na moment zeszywniałem, bez ruchu stojąc, co ją pewnie ośmieliło bardziej.

— Hans... Hans...

Nie wiem, jak się stało, ale nagle prawą ręką uderzył jak gada. Poleciała w tył, tylko się biała plama zwinęła i rozpląnęła w mroku w hałasie okrutnym, bo też coś widać z komody zleciało, a ja już, z domu wyskoczywszy, gniadosza w bieg puściłem, bacząc, by o jaką gałąź nisko zwieszoną nie zawadzić głową, bo noc bezksiężycowa była i czarna.

— Zdrowa dziewczka! — szumiało mi w łepetynie. Sam bym do niej zaszedł i nieraz, ale gdy spostrzegłem, że ją ojczym po matce w bety swoje wsadził... Batem bym siekł za matusią, za wszystko... Nienasycenica! Kłąc począłem jak wściekły, a koń znać za poganianie to wziął, bo w galop taki wpadł, zem mu cugli przykrócić musiał, by w tej smole w dół jaki nie skoczył, kulasy łamiąc i mnie kark skracając.

Noc minęła jak błysk. Anim się obejrzał, jak w Poznaniu stanąłem, atoli miarkując, że droga w wiosennej słońce to nie przelewki, a i w tylnej części ciała czując przebyty dystans, na przedmieściu Jeżyce szkapę Żydowi odprzedałem.

Z Poznania krytą bryką, w kurierskie konie uzbrojoną, przez Kostrzyn, Wrześnię, Słupię, Kleczewo, Kłodawę, Kutno, Łowicz i Błonie do Warszawy dotarłem, gdzie u Cisowskich, rodziny druha, któregom u Madalińskich poznał, gościnę serdeczną znalazłem. Trzy niedziele trwało, nim się Janusz o paszport dla mnie wystarał u Ormianina, który gardłem hazardując, papierki potrzebne za ciężki grosz preparował. Czas się nie tyle mnie dłużył, co Cisowskim, którzy niezbyt łaskawym okiem na moje podrygi ku córeczce Jadwisi spoglądali. Do śmiechów, tańców i po kątach szeptów panna skora była aż nadto, lecz dalej ani rusz! Oczkami przewracała zalotnie, atoli gdym ją raz w bawialni przycisnął, za staniczek chwytając, w gębę mnie strzeliła siarczyście i umknęła, zanosząc się od śmiechu. Nie było po co sterczeć dłużej, toteż nie dając się więcej skusić Januszkowi na warszawskie szaleństwa, choć pod Blachę usilnie mnie namawiał, ruszyłem na południe, przez Galicję przedostać się chciałem.

Wieczór był, gdy dyliżans do miłośnicy lichej dotarł, gdzie na komorze papiery widymować miano. Towarzysze moi — dwaj rozmowni kupcy podążający na Węgry, podstarzała kokietka z mężem i nudny urzędas wiedeński, który zapewniał gorąco, że cesarz z Bonapartem rozprawi się niechybnie — dla ogrzania się przed dalszą drogą pod dach się udali do poczekalni stacyjnej. Ja zaś w powozie, przezornie, jakem koncypował, zostałem, głupstwo czyniąc nie do wybaczenia.

Strażnik paszporty nasze zebrał, by je naczelnikowi komory do podpisu przedłożyć. Skuliłem się w kącie i drzemałem, kołysany nocną ciszą. Ocknąłem się nagle, widząc przed sobą rude wąsiska, nad którymi świeciły

przenikliwe ślepie. W otwartych drzwiczkach dyliżansu stał mały człowieczek w wyszmelcowanym mundurze. Asystował mu drugi, młody i rosły człek, którego twarzy nie dostrzegłem zrazu, cofnął się bowiem, mnie zaś raziło światło bijące z okna stacji.

Chudzina przedstawił się jako naczelnik komory i przyklepiając na licu blady uśmiech zapytał, czemu nie korzystam z kubka wina w taki ziąb. Odburknąłem, że nie pojmuję niemieckiego i udając rozespanie, wcisnąłem się głębiej w kąt powozu. Wtedy zbliżył się młody, Polak widać, bo gdy głowę w otwór drzwiczek wsadził, po naszymu zagadał:

- Waść gdzie jedziesz i po co?
- Do Krakowa, za interesami.
- Za jakimi interesami?
- Nie pańska rzecz! Paszport mam w porządku, to wystarczy!

Teraz dopiero spostrzegłem, że się bawi jakimś paszportem, zapewne moim, uderzając nim lekko o mankiet. Nagle przerwał, podniósł oczy, patrzył mi chwilą w oblicze i powiedział:

— Dość zabawy, panie Karśnicki. Nawet nasi przemytnicy lepiej podrabiają pieczęcie, a my szczególnie lubimy podróżnych, co tak zimno admirują, że nosa z dyliżansu nie raczą wychylić. No!

Rany boskie! Kochany Januszek kłął się, że takiego paszportu sam Thugut w Wiedniu nie posiada. Że jest różnica, zrozumiałem teraz, gdy na własnej skórze miano mi to wykaligrafować. Rejterować nie było jak i gdzie — z drugiej strony powozu stał w drzwiczkach strażnik i uśmiechał się beczelnie. Stąpnałem na drewniany pomost przerzucony przez kałuże i — zanim strażnik przeszedł na naszą stronę dyliżansu — przyłożyłem pistolety fagasowi do brzucha, zaś naczelnikowi do siwego łba.

— Ano, dość zabawy, panie ładny!

Odwróciłem się do strażnika:

— Karabin praśnij i konia dawaj, albo dwa trupy pochowasz i sam nażresz się piachu!

Nikt się nie ruszył. Młodemu oczy stanęły w słup, podniósł obie ręce w górę, choć o to nie prosiłem, naczelnik drżał jak liść, aż mu głowa stuknęła o wylot lufy, którą przyciskałem do skroni. Strażnik skamieniał.

— Słyszysz, suczysynu!

Nagle zrozumiałem, że nie pojmuję polskiego, że czuje grozę sytuacji, bez rozeznania czego żądam.

— Pomóż mu, dziecino! — zagadnąłem młodego takim głosem, że mu w oczach mignął strach śmiertelny. Szczeknął coś, czego nie zrozumiałem i strażnik rzucił karabin, zniknął i za chwilą pojawił się z koniem, mokrym od

potu, dopiero co wyjęty z cugu. Czas biegł, a ja stałem jak bohater w heroicznej scenie na teatrum i dawałem się tumanić. Poczułem jak ogarnia mnie wściekłość.

— Dziecino — zniżyłem głos do szeptu — jeśli zaraz nie dostanę dobrego konia...

Przerwał mi, krzycząc do strażnika jakieś rozpaczliwe nakazanie i za chwilę miałem konia, na oko niezłego i okulbaczonego prawidłowo.

— Na ziemię!

Strażnik padł pierwszy, naczelnik przyklęknął i położył się na kładce, zmuszając młodego do zwalenia się w błoto. W drzwiach stanęła owa niewiasta, towarzysza podróży, i ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk, ginący mi za plecami w nocnej ciemności.

* * *

Tydzień już siedziałem w starej stolicy, łazikując jak kramarz, jeno że bez celu i konceptu nijakiego. Gdy z bożą pomocą pogoni uszedłem i konia u bram Krakowa sprzedałem, pierwszym, co uczyniłem, było kupno nowych łąchów — stare gonitwa po bezdrożach niezdatnymi uczyniła, a kuferek na komorze przepadł. Wąsy też zapuszczacz zacząłem, dla zmylenia, bom nie wątpił, że mnie austriackie pludry tropią jak lisa. Szkoda, że lisiej chytróści mi nie stało.

Postój obrałem w gospodzie na Grodzkiej ulicy i zrazu nie ruszałem się prawie. Nie przepomniałem o celu mych poczynań, lecz cóż uczynić mogłem? Skąd dobrać papiery na dalszą drogę? Albo chociaż przewodnika, miejsca tajemne, zdatne do przejścia przez granicę znajdującego. I czymże bym go opłacił? Tedy migąłem się jeno posterunkom i patrolom, nie wiedząc, czy mnie wypatrują, czy też nie, i kłąłem głupotą własną, bom się czuł prawdziwie jak sum we włók schwytyany — ni w jedną stronę, ni w drugą. Sakiewka kurczyła się jak nakłuty pęcherz, a i w głowie pusto, konceptu nijakiego na dalszą drogę. Po gościńcach szeptano, że legie polskie białasów piorą w dalekiej Italii, a ja sterczałem w miejscu, bezradny jak niemowlę. Aż przyszedł ów dzień, gdy z barłogu się zwlokłem i w rynek wstąpiłem, przepychając się ku Sukiennicom przez tłum barwny i rozgdakany, rzemieślników, marszandów i ludu wiejskiego, czeladzi wszelakiej, a i przez gemejnów mrowie. Pełno ich tu było — lejbiiki białe, kaszkiety, pióropusze i hełmy, gwarancją bezpieczeństwa mi się widzieli, bo jak powiadają: pod łuczywem najciemniej. Miasto tak było mundurami nasycone białymi, iż się zdawało, że to kazerma austriacka, a nie gród znamienity. Istny Poznań z Prusakami — jedna niedola. Prawdziwie też cesarscy kazerne z Krakowa uczynili, bo nie dość, że na rynku, kozły swe

ustawiając, postoję zarządzili i że obozy budowali na Promniku, i to jeszcze Zamek zajęli i spustoszyli okrutnie. Pokoje królewskie i pamiątki po władcach naszych wapnem pono zachlapano i plugawiło je bestwiące się żołdactwo. Kiedy już tak Wawel do upadku ostatniego sprowadzić mają, pomyślałem, lepiej by było, gdyby ten piorun, o którym gadano, że zeszłej jesieni w mennicę starą rąbnął, o krok ledwie od sklepów z prochami, w ordynku pludrów do piekła wysadził. Zamku jeno szkoda, bo może jeszcze odzyszcze go polska szabla i orła białego na komnatach zasadzi, w miejsce dwułbiastego, czarnego gada. Pchałem się tedy do golibrody, wasy świeżo posiane przyrównać i włosy podciąć, a baczyłem pilnie, czy gdzie zbyt wścibskiego wzroku, postać moją głaszczącego, nie dojrzą, choć trza prawdzie się uklonić, że czujność moja, co jak wyostrzona gotowość wilka nagonką czującego, unikać mi pozwalała kłopotów, słabnąć już zaczęła z biegiem dzionków. Rozzuchwalająca bezkarność, a i zmęczenie ciągłym ślepieniem na boki i za plecy uspiły mnie dostatecznie, bym wówczas sentymentom dał się ponieść, zem oślepl i zgłupiał do cna. Mogłemli jednak nie zgłupieć?

Pierwej nim ją ujrzałem, w uszy zawitały dźwięki przedziwne, ażem stanął w miejscu i słuchał oczarowany, wypatrując skąd też napływają. Coś, anim rozumiał co, za serce chwyciło mocno, rodzime łąki i lasy przypominając. Dźwięki bręczące nad głowami ciżby płynęły przez rynek, odbijając się od kamienic, wdzierały się pod sklepienia Sukiennic i ludziom głowy odwracały w stronę Mariackiego kościoła. Tam ci to kupa czynić się poczęła i rosła w oczach.

Nie wiem, falą kolorową, co się nagle w tę stronę sączyć poczęła, czy podniętą serca zasłuchanego ciśnięty, ruszyłem coraz szybciej i szybciej, a usłyszawszy, że dźwięki rozplnęły się nagle we wrzawie wesołej i zamarły, biec zacząłem. Ludzi obijając, przerażony, że nie zdążę. Dopadłem koliska zwartego i kułakami ciżbę roztrącając, torowałem przejście, pókim mógł, póki ścieśnisko w gęstwę się nie zbiło taką, że ni kroku postąpić. Ale że Pan Bóg wzrostu nie pożałował, oczy już napaść się mogły do woli.

Przy trzeciej bodaj od strony kościoła kamienicy stał gruby, stary Cygan, wąsaty, a długowłosy jak niewiasta, w kapocie wiatrem podszytej i skórzanych, wojskowych buciskach. Skrzypki przedziwnie poskręcane do twarzy tulił, smyk do ziemi opuściwszy, z głową przechyloną, słuchając co mu dziewczyna, też Cyganka, do ucha kładzie.

Gdyby mi kto przedtem rzekł, że się od jednego widoku można w dziewce zauroczyć, palcem bym człowiekowi w czoło popukał. Anim to pojmował wówczas, a i dzisiaj nawet nie pojmują. Na różne dziewczki chadzałem i niejedna uśmiechała mi się, sercu choć na krótko bliska, ale ta! Z nią żadna równać by

się nie śmiała. Smukła jak łania, czamobrewa, z okiem jak u smoka wielkim, z barwinkowym na kosach zaplotem, w sukni długiej, stubarwnej, fartuszkim zdobnej i z pasem srebrzystymi guzami i dzwoneczkami nabijanym. Wokół czoła i czarnych włosów owijał się łańcuszek z nanizanymi nań miedziakami. A przy tym cera, miast zwyczajnie po cygańsku śniadej, biała jak mleko...

Tłum pięknnością jej zwabiony bardziej niż sztuką czekał w milczeniu. Ona, znać to czując, zawirowała nagle, aż się kosy owinęły wokół szyi i tamburinem uderzyła w rękę nad głową wzniesioną.

— Hrajte meni!

Dzwoneczki zadzwoniły jak szalone, spódnica furkotała, wir leciał przez kolisko, a skrzypce śpiewały jakąś nutę taborową, nieludzko piękną.

Wtem dźwięk tamburinu spotężniał i w twarz mi prawie uderzył, tak do mnie podskoczyła, wyciągając rękę w falbanie kwiecistej nad przekupką, która stała przede mną. Zęby błysnęły w uśmiechu i znowu zawirowała wzdłuż koliska. W każdym ułamku chwili, gdy jej twarz obracała się w moją stronę, zdawało mi się, że na mnie spoziera, lecz ruch, jaki nadała ciału, wyrzucał te oczy w obrót i znowu przez sekundą widziałem je w przelocie.

Skrzypki zamilkły i ona wpół stanęła jak wryta... tyłem do mnie. Groszaki sypnęły się gęsto w kapelusz Cygana, a ja stałem i patrzyłem w krasną wstążkę, z kosów spływającą wzdłuż pleców dziewczyny. Wstążka rosła, przybliżała się, aż mi w oczach poczerwieniało mgliście. Dziewczyna na brawa i wiwaty obojętna obracać się zaczęła powoli. Patrzyła na mnie z powagą, w oczy prosto, jakby mi chciała do wnętrza duszy zajrzeć.

Dźwięk skrzypiec mnie i ją z oszołomienia wyrwał.

— Hrajte meniii!

Chwyciwszy za fartuszek, kołomyjkę przedziwną, wesołą, zakręciła, śpiewając:

*„Lach i Rusin, ridnyje bratia,
znajtie o tom lude,
taj, ne ridnyj, a vse lipszyj,
jak toj Nimec chudyj!”*

Śmiech perlisty przetoczył się nad tłumem i szezł raptownie. Po przeciwnej stronie koliska stało kilku żołnierzy austriackich. Patrzyli na dziewczynę ponuro, a ciżba cofać się poczęła.

Miarkowałem, że dziewczyna głupstwo strzeliła, w Austriaka piosenką godząc, lecz że mi nagle przejście dano, stąpnąłem do przodu, wrywając się z rzednącego pierścienia. Ona stała, znowu we mnie wpatrzona, ja zaś w nią, o

trzy kroki już, bezwolny i dziwnie radosny. Tłum rozstępował się coraz zwawiej, ściszony i lękliwy, lecz pilnie wpatrzony i nasłuchujący. Sam nie wiem kiedy spostrzegłem, że nie na Cygankę patrzę, lecz na stojącego obok żołnierzy chudego jegomościa w okularach, w szarym fraku z wysokim kołnierzem i z masywną laską w dłoni, do pałki znacznie podobną, gdyż na chromego nie wyglądał. Człek ten, w punkt jeden skupiwszy spojrzenie, trwał nieruchomo.

Długa chwila minęła nim stało mi się jasnym, że oczy zza szkieł spozierają na mnie. Pojąłem! I ona pojęła, z oczu mi lęk czytając, bo drgnęła nagle jak przebudzona, podczas gdy ja już pierwszy krok w tył uczyniłem, potem drugi i trzeci, jeszcze jeden i jeszcze... Ścigał mnie wzrok Cyganki zalękniony i nieruchome okulary tamtego.

Gdy mi dłoń jakowaś na ramieniu ciężko siadła, nie zdziwiłem się. Oczekiwałem jej i tego wszystkiego, co miało nastąpić.

Strach mnie już pożegnał, tylko dziewczyny żal się zrobiło, że nie można jej dłużej w oczy patrzeć. Nie odwracając się, ku niej znowu postąpić chciałem, ale ręka nie puszczała. Jegomość z lagą szedł wprost na mnie, a wokół pobielalo od mundurów.

— Rachunki czas płacić, Karśnicki — usłyszałem głos zza pleców spokojny, nieafektowany, znany mi skądś. Skąd, przypomnieć sobie nie mogłem. W obawie, że już jej nie zobaczę, nie odwróciłem się, rzucając machinalnie:

— Jakie rachunki?

— Za kabaty, coś je nam waszmość w bloku wypluskał! Za konia nie trza, znaleźliśmy.

Szarpnąłem się do tyłu. Stał przede mną, nie śmiejąc się, na pozór obojętny. Ten sam, z komory. Mogłem wtedy gnidzie kiszki przewiercić ołowiem, lecz darowałem.

Co było czynić. Ręce pod sznur wyciągnięte w mig mi spętali, pistolet zza pazuchy dobyli, gdy nagle Cyganka, gemejnow roztrąciwszy, przedarła się tuż, do młodego i okularnika podskoczyła. Nie miarkowała, w czym rzecz lub udawała dobrze, bo na wysuniętej pod nosy osłupiałych kanalii dłoni lewej ręki, dwoma palcami prawej poczęła naśladować przedziwnego sztajera, przyśpiewując na nutę „Mein Lieber Augustin”, jak tupiący żołnierz: eins, zwei, drei... Nie udawała. Głosik łamał jej się żałościwie, a w oczach łzy drżały. Młody ocknął się pierwszy, przerwał rozpaczliwą pantomimę i pchnął Cygankę. A gdy ciągle jak dziecko nieświadoma raz jeszcze rękę mu pod nos podsunęła, uderzył. Zachwiała się, milknąc i usta otworzyła jak do krzyku.

Źle zrobił! Sznura, który z wiązania przegubów moich trzymał w ręku, nie

zdażył już skrócić. Odchylając się nieco, kopnąłem go w słabiznę, ból straszny chyba zadając, bo nawet nie zawył, tylko oczy prawie do białka przewrócone z orbit mu wyszły, jakby wyskoczyć chciały i w tym samym momencie, nim ktokolwiek ruch uczynił, dwoma zwartymi kułakami rąbnąłem w wyszczerzone bólem zęby, czując jak coś kruszy się i drze mi skórę.

Zaraz też przestałem czuć wiele. Przedmiot ciężki, pałka lub kolba, spadał mi na czaszkę raz po raz, wir wzniecając, kolory migotliwe wstrzeliwując, oddech dusząc...

Nie straciłem przecie do ostatka świadomości. Czułem jeszcze, że mnie na czymś twardym niosą, pewnie na desce, która gwóźdź wielki musiała mieć tam, gdzie głowa spoczywała. Gwóźdź ten mózg mi przeszywał na wylot, czołem lub na przemian oczami i uszami wychodził. Słyszałem krzyk dziewczki daleki: „Nieeee!” w szlochu roztopiony, chciałem coś odrzec, odwrócić do niej głowę... Gwóźdź z wolna wypłynął mi z czaszki i przestałem czuć na dobre.

* * *

Szara kolebka sufitu oddalała się i przybliżała rytmem pulsu, który mi w skroni tętnił, zrazu szybko, potem coraz wolniej i ospalej, aż stanęła prawie, bujając się lekko na boki jak łódź na spokojnej fali. Liczne spękania tynku, łąty czerwonej cegły w plamach wykruszeń, smugi brunatnych zacieków, robak wędrujący grzbietem do dołu i nie spadający — wszystko to jawiło się coraz ostrzej i kanciąściej.

Zamknąłem powieki, by ponaglić pamięć, wyrwać ułamki zdarzeń, skleić i odtworzyć, lecz nowo narodzona świadomość buntowała się tępym bólem, wypychając z żołądka pod gardło kwaśnosłodką mdłość. Nie myśleć, lepiej nie myśleć, ten szum przeklęty... Nie myśleć... Nie będzie bolało... nie myśleć! Dźwięk jakiś, od dawna już słyszalny, lecz nie docierający rozumnie przez wał odrętwienia, zwrócił moją uwagę. Krótkie, miarowo odmierzane plaśnięcia, błyszczący punkcik, oderwany od sklepienia, leciał wprost na twarz, coraz większy i cięższy... uderzy! Przeleciał obok. Woda, krople wody... pić! Spadały tak blisko, prawie muskały policzek i rozbijały się gdzieś głęboko pode mną, w niewidocznej czeluści. Pić!

— Lepiej ci?

Obok siedział stwór jakiś, do człeka mało podobny, zarosły kudłami, co mu łeb gęsto oplatały. Dawno już musiał gnić w tej norze. W ślepiach pochylonych nade mną i jarzących się blaskiem niezwyčajnym, poczciwość tak jawna gniazdo swe uwiła, że choćby i kły mu z gęby sterczały — nie przeraziłby nawet dziecka.

— Masz, pij! Łbem nie ruchaj, bo cię zaś ciemnota obleci, jako wprzód. Z miski blaszanej wodę mi sączył do ust, bacząc bym głowy podnosić nie musiał.

— Dość będzie?

Powiekami znać mu dałem, że dość i próbowałem się uśmiechnąć, by wdzięczność mą poznał, lecz miast podzięki pewnikiem grymas koślawy na gębie mi wykwitł, bo straszycło zarechotało nagle.

— Nie ruchaj, mówię! Jeszcze ci się czerep nie złożył w jedno, a już byś o ścianę trykał. Mocnyś, wyżyjesz. Jakaś do dziś nie zdechł, już cię złe nie weźmie, chyba że mu owi dobrodzieje pomogą, co ci głowinę jak jajco połupali.

Wstał i zniknął jak duch. Czułem go i słyszałem obok, ale widzieć nie mogłem, bom się czerepem, jako rzekłem, ruszać bał. Sam on często się przed oczami moimi jawił, wodę i papkę o nijakim smaku do gardła mi kładąc, gaworzył chwilę, po czym znowu zniknął, a ja zapadałem w sen kojący.

— ...Za kulasy go chycisz, a ja wygarnę!

Obudziłem się, słysząc głos kudłacza. W tejże chwili głos drugi się ozwał:

— Czego? Lokaj się znalazł, psiakrew! Służ paniczowi na kolanach, ozorem wyliż, może ci „Bóg zapłać” ciśnie, jeśli mu humoru stanie! Mnie już smród nie szkodzi, twój i swojogom się naniuchał, że mi to za jedno. Niech gnije we własnym łajnie!

— Człek to przecie, Polak, dusza jako i ty krześcijańska... Pomóż mi.

— Od duszy mojej łapy z dala trzymaj i ozorem nie miel!

— Ranny jest, cóż mu czynić. Kukła to jeno.

— Tedy niech się kukłą ostanie!

— Człowieku!

— Paszoł!

Uniosłem głowę. Bolało, ale nie tak jak wprzód, wydoleć mogłem. W kącie, w wąskiej ścieżynce światła, które sączyło się z otworu sklepiennego, siedział w kucki człek słusznej postury. Rękami obejmował kolana i głowę na nich złożył. Znać drugi kompanion niedoli. Twarzy zrazu dojrzeć nie mogłem, aż ją podniósł powoli i w oczy mi popatrzył, swoimi zaraz w bok rejterując. Kudłaty stał tyłem, pierwszy raz widziałem go całego. Niski, nie otyły, krępy raczej i nabity w sobie, nogi szeroko rozstawił i kołysał się jak wahadło palcem w ruch puszczony, coraz słabiej, aż ustał.

— Bier się z ziemi, pomożesz, wola czy niewola! — głos miał dziwnie inny, twardy i rozeźlony, nie ten co zwykle.

— Bier się, mówię! Duchem!

Krok do przodu postąpił, zasłaniając przykucniętego ciałem, nagle schylił

się, szarpnął w tył i już obaj stali. Ten drugi, poderwany, o głowę wyższy — zdawało się, że gdy uderzy, kudłacza jak kloc siekierą ciachnięty obali — głowę na bok odkręcił, boki przeszedł i za kostki mnie chwyciwszy, podniósł nieco. Kudłacz rękę pod zad mój wsadził, tarł i wybierał, aż mnie położyli na powrót w wilgotne lecz nie kleiste, jako tako obskrobane wyro. Gorąc mi twarz palił, iście kukłą byłem, jak prawil ów człek. Ile razy tak mnie opierował?

— Długo leżę? — pierwsze słowa gładko wyszły, widać dobrzałem z wolna.

Mały w kącie coś upychał. Odwrócił się i podszedł.

— Długo. Trzy niedziele będą.

— Męczyłem was?

— Ano.

— Bóg wam zapłać, dobry człowieku, bo ja nie mam czym.

— Nie trza. Ni wam, ni Bogu rachunków stawiać nie będę.

Zanim rzekł, ów wyższy, znowu w kucki się posadziwszy, śmiechem histerycznym do szlochu podobnym ryknął i krztusząc się mamrotał:

— Bóg... ha, ha, ha... Bóg zapłać! Wyprorokowałem!... Ha, ha, ha...

— Ktoście?

— Nikto. Drzewiej chłop, ziemi i panu przypisany, teraz zbrodzień jako i wy.

— Nikogo nie rzezałem, ni gwałciłem, tedym nie zbrodzień. Karśnicki jestem, z Poznańskiego.

— Szlachcic, znaczy. Iście i bez waszego gadania znać to było, choć na łachy zważywszy, za dziada żebry odprawującego łacniej poczytać was było można.

— Skąd tedy wiecie?

— Spać nie daliście, krzycząc w zaćmieniu i ciskając kałdunem, aż utrzymać nie wydoliłem.

— Krzycząc?

— I jak jeszcze. Tylachne rzeczy, ino że nic wyrozumieć się nie dało, tyle co pański to był skowyt, nie nasz. I jęczeliście takóż, jak ranny zwierz — naśladował zabawnie, zwijając wargi w trąbkę i wysuwając do przodu. — Śniło się wam co, czy strachy dusiły?

— Nie wiem.

— Takoście się przedstawili, panie. Człek we śnie drugim żywotem żyje, ale skóry nie zrzuca.

— Nie po chłopsku rozumujesz.

— Bom lat kilka u cesarskich kapralował, świat widział, a i nie krzyżem

jeno na pergaminie się znaczę. Nie wasza rzecz!

— Nie moja. Ale gadać chcę, by mi jęzor do zębów nie przyrósł.

— Tedy o sobie gadajcie. Rozejrzałem się wokół.

Kazamata uszargana, trzy wyrka, stołek, ką z nieczystościami i drzwi okute, z klapką judaszową.

— Gdzieśmy?

— W starej prochowni, przy Zamku. Takich jak my Austriaki więcej tu dzierzą. Nie samotnyś, jak widzisz.

— Tamten kto?

— Kancelista folwarczny. Panu swemu przewinił, aż go ten do lochu cisnął, grzbiet wprzód bacikiem pokroiwszy. Panów nienawidzi, tedy i tobie nieprzyjazny. Nie dziwota.

— Moja to wina, że panowie bracia ludzi swych batożą? Sam nigdy ręki na chłopca nie podniosłem. Krzywdy na świecie moc, ale...

— Nie o świecie mówim, jeno o naszej krakowskiej ziemi. Nie ambona tu, od kazań się waść, panie dobrze urodzony, powstrzymaj!

Zapiekle mnie ta złośliwość, alem się ze słowa wybić nie dał:

— Powtarzam, ludzi moich nie biłem, tedy prawo mam...

— Prawo masz takie samo, jako i my obaj. Ciemnica wszystkich równa, jako grób, bo i do grobu podobna! — znów mi przerwał i poważnie, surowo prawił: — "Ludzi moich", powiadasz. A jam miarkował, że ludzie do Boga należą, krom tych, co diabłu duszę zapredali. Widać, źle miarkowałem.

— Nie drwij. Nie tak rzekłem, jako chciałem.

Nie odrzekł nic. Derką tylko wyżej mi naciągnął, gestem dając znak, bym spał i sam legł pod ścianą.

Wstałem dnia następnego, by potrzebę załatwić samodzielnie i łaski cudzej nie cierpieć. Sprawnie mi nawet szło, pókim nie spróbował szyją ruszać. Żeby nie kudłacz, jak byk silny, bo mnie padającego jedną ręką w locie ucapił, sam bym się bez ochyby o posadzkę ceglana utłukł. Wieczorem — pory dnia odmierzała dwukrotnie wsuwająca się łapa strażnika, który odbierał pusty kociołek i dawał pełny — usiadłem, opierając się o ścianę w miejscu, które wprzód za w miarę suche uznałem. Kancelista rysował okruczem na cegle znaki jakoweś, głowy nie unosząc, lecz trzymając ją między kolanami, gdyż siedział w kucki. Jakoż nigdy nie widziałem go w innej pozycji — tak jadł, załatwiał się, przesuwał do kąta, lub zabawiał z dłonią wsadzoną w rozpór, odwrócony do nas tyłem, nawet spał skurczony, z kolanami pod brodą. Całymi dniami dokuczał memu opiekunowi, wykrzykując: „Podaj jaśnie wielmożnemu panu zupkę, chamie! Pupcię wytrzeć?... Sługa jaśnie pana!” — na co tamten nie reagował wcale, a co mnie niepomrotnie srożyło.

— Zimno trochę, prawda? —zagadnałem kudłacza.

— Tu zawsze zimno. Przywykniesz.

— Cichaj, chamie, o pozwolenie mielenia ozorem zapytałeś panicza? — przerwał kancelista, pokazując zęby w krzywym uśmiechu.

Nie zdzierzyłem.

— Zamilcz pan! Chamem nigdy bym człowieka nie przezwał!

— Nie obrażę się. Pan Bóg Chama stworzył jak i wszystkich. A ty nie zapieraj się, nie ty to krew twoja za ciebie przemówi — odezwał się spokojnie chłop.

— Nie może być! Czego znowu od krwi mojej chcesz?! Krew tę za ojczyznę lałem! Z Madalińskim, z Dąbrowskim pod Bydgoszczą.

— Dużoś przelał? — oczy mu się zaśmiały drwiąco.

Rumieniec mnie obleciał, bom nieco przeholował.

— Nie moja to wina, żem się od rany uchował! Pan Bóg kule nosi... Ale karku nie szczędził!

— Znaczy, czasem panowie i swego karku nie szczędzą?

— Rzekłem już, nie biłem!

— Ty może nie, za młodyś. Ale biją inni, wszyscy prawie! I za wszystko. Za pańszczyznę, żeś w chorobę nie wylazł na pole, za drewno z boru wzięte, by dzieciary z zimna nie skisły, za humor własny, zły po pijaństwie, a często i z umiłowania krwi. Nahaj i dyby!

— To się zmieni. Chłop wolę otrzyma i ziemię. Ale w wolnym kraju. Rzecz pierwsza za miecz społeczeństwem chwycić, zaborcę, co nam na piersi siedzi, porazić i przegnać!

— Społeczeństwem, prawisz? — w głosie mu coś zaskrzypiało, nastroszył się, jak wtedy, gdy tamtego z ziemi szarpnął. — Ot, edukują was, pięcioma językami pewnikiem brechasz, tuzin tańców znasz, ale rozumu zawżdy, co za uchem brudu! Na chłopca liczysz, że ci pomoże? Że Austriaka i Prusaka z ziemi tej razem z tobą gnać będzie, znaczy tego, co go broni, bo on cesarz, co we Wiedniu siedzi, chłopca zakazał bić i rugować. A patenta józefińskie? Trzy dni w tygodniu pańszczyzna ma być, nie więcej, tego Austriak pilnie dogląda, choć prawda, że nie upilnuje wszystkich, bo gdzie tylko pan może, ustawy gwałci, chłopca katuje i do roboty jako dawniej przymusza!!

— Że resztę tygodnia lud dla Austriaka robi, drogi budując lubo też wały sypiąc forteczne, tego nie wiesz? Nie dla chłopca, a dla siebie pańszczyznę skrócili, by ludzi do swoich robót gnać! — warknąłem zniecierpliwiony.

— Wiem. Ale drogi i wały nie wszędy i raz się je jeno buduje. A folwarki jako krople deszczu... Austriak starych i bolejących do łopaty nie gna i dzień święty, gdy wypadnie, uszanuje!

— Tedy się w cesarskich zamienicie bez żalu? A miłość ojczyzny, gdzież jest?

— Na gębie u panów, gdy im ochota szabelką pomachać przychodzi.

— Bluźnisz, na Boga!

— Dla was i prawda bluźnierstwo. Jeno prawda jest, że Austriak nie morzy ludu tak, jak pany. Prusak także, pewnikiem.

— Bluźnisz! Ojczyzna przecież... Kościuszki kosynierzy!

— Ci co z Kościuszką poszli, kosynierzy jako prawisz, gdy do chałup wrócili, tych panowie szlachta — Polacy, słysz! — po sto batów w podzięcie za miłość ojczyzny im wlepiwszy, w niewolę okrutną wzięli, a niektórych Austriakom w rekruty oddali!

— Neeee!

Rzec już co nie miałem, szął mnie jakiś chwytać począł, myśli mącąc.

— Prusak i Austriak żołnierza swego katują pałkami, za to w naszym wojsku... — wypaliłem w gorączce, ogłupiały z niemocy.

— Jednakoż! I w naszym, znaczy pańskim, choć w regulaminie kary takowej nie ma, leją, jeno solidniej, bo po polsku, bo swojego, własnego, niewolnego od wieków psa przez kije prowadzą.

— Łżesz!

— Sam Naczelnik kija nie żałował!...

— Co mówisz?! Toż...

— ...Kijaszkami ciało z żeber obierając. Jeśli nie on sam, to oficjerowie jego...

— Neeee!!! — chciałem uszy zatkać.

— W Warszawie, na Pradze, gdy dwóch ludzi w czas ataku z linii zeszło, bo źle komenda przez jaśnie wielmożnego oficjera rzuconą była...

— Na rany!...

— ...pan Naczelnikowy porucznik dwa razy po dwa szeregi ustawił i kijaszkami zagrały taki taniec, że się czerwieniejsze stały niżli mundurowy karmazyn, a w końcu i szerniały od juchy.

— Na rany Chrystusa, przestań!!!

— Gdy zaś książe pan Poniatowski na linię, pijany, spóźnił się, źle mu jeno spojrzenie Naczelnik rzucił.

— Jezusie, co prawisz?!

— Tak to naczelniki i szlachta na chłopskim karku wojowali, żeby oną Polską naszą wyzwolić...

— Boże miłosierny! Czyś oszalał?!

— ...Wyzwolić tak, co by już pełna w niej wola była chłopa żywcem ze skóry drzeć, w smole gotować...

— Milcz!!

— ...i w potrzebie mamieć, że jak pierś nadstawi, to się potem pomyśli łaskawie, by mu los zelżał!

— Milcz, chamie!!! — ryk taki z gardła dobyłem, że aż echo w korytarzach pogoniło, kroki zatupotały i wrzask straży się rozległ: „Ruhe!”, głuszony śmiechem pełnym, szerokogębnym, radującego się kancelisty. Chłop patrzył na mnie, rozumnie i życzliwie, milcząc.

* * *

Milczeliśmy, bo i nie było co mówić. Mnie wstyd palił i poczucie klęski, chłop zaś, jakby sam był, nie zwracał uwagi ni na moją osobę, ni na kancelistę, któremu chyba loch i wilgoć rozum odebrały, bo tylko chichotał, w kącie się skrywszy i miny robił takie, jak gdyby tajemnicę wielką posiadał.

Wiele zmiarkowałem, w nocy szczególnie z myślami się pojedynkując, z tego, co mi chłopski mędrak ekskaprał, w oczy owego wieczoru wypluł. Powiedzieć mu to chciałem, zagadać, dobrym słowem krzywdę umniejszyć, ale on jakby czuł, że go wzrokiem ścigam, gały w bok wykręcał, obojętny i senny stale. Może bym i w końcu gębę otworzył, gdy ranka pewnego, ledwie zdażyłem wylizać miskę z brunatnej polewki, drzwi otwarły się, skrzypiąc niemilosiernie. Strażnik wskazywał na mnie, bez słowa dając znać, bym podążał za nim. Gdy wyszedłem, drugi stanął za mną i tak, w asyście więziennej, ruszyłem w niewiadome.

Długim korytarzem, schodami i znowu korytarzem dotarliśmy na galerię krytą, po przebyciu której, w trzecim korytarzu, jaśniejszym nieco, strażnik otworzył drzwi blachą obite i zostałem wepchnięty do wnętrza, światło słoneczne, bijące przez półkoliste okno, poraziło mnie jak kreta, tak świat mrocznej zgnilizny za swój już uznałem. Na ścianie, nad rzeźbionym biurkiem, zarzuconym papierzyskami, widniał orzeł czarny, górujący nad grupą konterfektów uformowanych w zgrabne koło. Zbliżyłem się do okna, oczy mrużąc i ręką osłaniając, gdy zza pleców głos dziwacznie cienki, piskliwy, rzekłbym kobiecy, a przecież znany mi doskonale, zatrzymał mnie w miejscu.

— Zdrowyś już... dziecino? Patrzej, a ja krajcara bym za ciebie nie dał. Wyżyłeś jak i ja, tedy pogawędzić czas!

On to był. Ileż razy jeszcze spotykać go będę? Warga stłuczona, na pół rozdarta, strup siny w kąciku ust, a spojrzenie to samo, okrutne i zimne jak u jaszczurki. I głos ten sam, a przecież inny, piskliwy jak u dziecka czy niewiasty. Milczałem.

— Paszporcik takiś zgrabny dzierzył — wyciągnął papier z szuflady, nie

przerywając — że oczu oderwać nie mogłem! Kto ci go sprawił, dziecino?

To „dziecino” rozciągał i modulował grymaśnie, mszcząc się za kąpiel przy komorze.

— Znalazłem.

— Gdzie?

— Na ulicy, w Warszawie — głupie to było, ale nic bardziej rezolutnego do głowy mi nie szło.

— Na jakiej ulicy?

— Jezuickiej.

— I Karśnicki w nim stało?

— Właśnie. Dziwna familia... Mnie zaś Rezler. Hans Rezler.

— Dworujesz, czy o drogę pytasz? Kto jesteś, gadaj!

— Rzekłem już. Rezler, Hans Rezler, spod Poznania! Łatwo sprawdzić, wieś Buszewo, blisko Szamotuł.

— Sprawdzimy! Po coś granicą przekraczał?

— Do Krakowa, za interesami.

— To już wprzódki śpiewałeś. Teraz zaś prawdą nie żongluj, byś się później sam za głupotę swoją przeklinać nie musiał. Tedy jak było?

— Jak mówiłem. Handlową fortuną w Krakowie chciałem znaleźć.

— Z fałszywym paszportem? Dziwne to interesy musiały być, dziwne. Jakie?

— Nie pomną. Łeb mi obiliście, klepki nie te same...

Rozparł się wygodnie i zmrużył ślepią.

— Żartowniś, krotchwile ci miłe. Taaak! Nie znasz Olizara? Poznasz, dziecino!

Sięgnął wolno po srebrny dzwoneczek i brzdęknął.

— Herr Inspektor! — moja eskorta stała w drzwiach wyprężona.

Drgnięciem głowy wskazał na mnie i zaraz stanęli mi po bokach.

— No jak, panie Karśnicki vel Rezler? Chcesz, by ci moi ludzie dowiedli, że się mylił ów mąż starożytny, co milczenie ze złotem równał?

— Który mąż? — próbowałem z głupia frant, ale się przeliczył.

Ciosy spadały raz za razem. Głową chronilem, bom się bał, że mi ją znowu wstrząsną, ale czułem, że długo nie wytrzymam. Koncept mi przyszedł, by zemdlonego udawać. Paść chciałem, ale mnie podtrzymywali, wreszcie ześliznąłem się na podłogę. Teraz jeno parę razy zdzierżyć nieruchomo... zdzierżyłem. Trzy czy cztery kopnięcia i spokój. Leżałem z zamkniętymi oczami, czekając aż mi wodę chlusną, gdy nagle młody pisnął cienko:

— Heraus!

Wyszli i został sam ze mną. Gdy śmiać się począł diabelskim chichotem,

ciarki mi przebiegły po krzyżu, tak straszny był ten ni to śmiech, ni skowyt. Chciałem się zerwać, lecz cisnęło mnie do ziemi przerażenie potworne. Czulem jeszcze, jak mi nogi rozsuwa butem i gdy otwierając oczy pojąłem, zapiekł mnie taki ból w kroku, że straciłem przytomność.

* * *

Krótko w niemocy leżałem, bom się tego samego dnia obudził, ucisk zimny na czole czując.

Kudłaty nad legowiskiem stał i mokrą szmatą twarz mi przemywał. Spozierał uważnie, a na obliczu wypisaną miał troskę, zarostem nie przykrytą, jakby nic między nami nie zaszło. Widząc mnie przytomnym, uśmiechnął się i zębiska białe wyszczerzył.

— Twardyś! Nielatwo cię ukrzywdzić. Zdrowo cię pomacali, a dychasz.

Uniosłem głowę. Skórę na styku uda i pachwiny but okuty zdarł ze szczędem, aż sukno czerwienią przemokło i do ciała się lepilo, ale źle kanalia wymierzył i dziewczek mi na całe życie nie odebrał, jako ja mu uczynilem.

— Kto cię tak...?

— Nie wiem. Inspektor ichni, po naszymu prawiący, pewnikiem swój, jeno Austriakowi cyrograf podpisał.

— On czy ludzie jego?

— On sam. Wysoki, włos biały, lis na gębie...

— Olizar!

— Kto taki?

— Rzeźnik! Pomocnikiem u kielbasiarza był wprzódy. Prawda li to? — czort znajet! Takem słyszał, iście rzeźnik, choć rzadko tu bawi, komory objeżdża, gdzie ptaszków tajemnych łowi, a i gdy na miejscu siedzi, sam nie bije, jeno nadzór nad biciem trzyma. Dobrześ mu dopiec musiał, kiej cię sam pogłaskał! A i miejsce wybrał, jakby ubić zamiarował. Znał cię?

— Znał. A miejsce sam wybrałem w słabiznę go na rynku koląc, jeno celniej, gdy mnie pludry brali.

— Tedyś ze szczędem durny! Gdy biorą, trza iść, łba hardo nie stawiać, by zaś kolby lub bagnetu nie kosztować!

— Iść chciałem, ale dziewczynę trzepnął.

— Dziewczynę?

— Cyganę. Na rynku tańczyła. Uderzył ją, psi syn, a ja... Chciałem...

— Coś chciał, twoja rzecz. Ale żeś taki dumy, panoczku... Oj! Oj! O ojczyźnie wykrzykują, do kraju ratowania się drą, a przez Cyganicę loch wachają. Dziewczyńska dupa zawsze pierwsza na myśli, oj!

— Nie poradzę! Nie mnie tłumaczyć, z em ogłupiał. Jen o nie mogłem inaczej, serce mi ślepiami owinęła, Boże mój, sam nie pojmuję nic. Nic!

— Ano tak, było, minęło, nie pora teraz...

— Kiedy nie minęło. W nocy mi po snach łązi.

— Tedy przegnaj marę. Jedno ci tylko ostało — słabego udawaj, ledwo dychaj, kiedy straż zachodzi, może cię przepomną na czas jaki.

Tak też i czyniłem. Gdy straż szła, leżałem bez czucia niby. Chłop — Gil Józef mu było — wokoło chodził, jęczącego opierając. Kancelista śmiać się przestał, niedługo zaś zabrali dziwaka i już nie wrócił. Sami ostaliśmy. Kudłaty mało co gębę otwierał, mnie wolę na paplanie dając. Czegom mu nie nagadał! O śmierci matuli, o Dominiku, o ucieczce, o ochocie do legii włoskiej i Bóg wie, o czym jeszcze. Gdy o Dąbrowskim mowa była, ożywił się nieco, inne wszystko koło uszu puszczając, jakby wcale nie słuchał.

— Głupi, jak zając przez trzy granice do legijów się miga i we wnyki wpada. Rozumnego same Austriaki do Bonaparta zawiodą! — powiedział to cicho, ale z takim głębokim przekonaniem, że anim śmiał wątpić, jakby wtajemniczonego w niepojętą kabałę przed sobą mając.

— Co mówisz! Jakim sposobem?

— Mundur jeno biały przyodziać i w cesarski szereg stanąć, gdy zaś swojaki w bliskości zamigoczą, cichcem umknąć i skórę nową przyodziać! Nieraz chłopaki nasze, krakowskie, czmychali w świat, moderunek pludracki praskając. Łeb można stawić, kiej się fortel nie uda, ale i wolę własną kupić, jak los pobłogosławi.

— W Austriaki, a potem zdezerterować? Hańba!

— Hańba? Nie chłopskie to nazwanie, pańskie! Nie hańba panom lud prosty deptać, a hańba wroga sposobem omamić. Kiedy tak, rób, co ci twój pański honor nakazuje! Mnie się o radę niedopraszaj!

* * *

Tygodnie mijały i miesiące, a niewola jak żółć rozlana gryzła, chęć do życia odbierając. Gil milczał i ja do milczenia przywykłem z wolna. Robić cokolwiek — cel był to poczynań wszystkich. Każdy gest, ruch, czynność wszelaką, monotonię pobytu rozproszyć mogącą, celebrowałem z namaszczeniem i powoli dla przyśpieszenia biegu kolejnych dni, tygodni, miesięcy. Jedzenie, wstawanie, spacer po celi, łamigłówka myśli, wspomnienia, dłubanie w nosie i ziewanie nawet, były to epopeje rozciągane wzdłuż i wszerz, z dzikim uporem, w rozpaczliwym zapamiętaniu. Gil inaczej. Miast moje sposoby w czyn zamieniać, spał dwukrotnie dłużej, aż dziwnym

było, że mu się ten sen nie przeje. Ale też jego nie męczyły po nocach widma owe z rodzinnego domu, z Bydgoszczy czy z krakowskiego rynku.

Czas płynął bez rachuby i rozeznania, bo w przyznie ni zima, ni lato różnicy większej nie czynią. Wilgoć i chłód skręcały kości i stawy, lecz i do tego przywykłem, komedią z udawaniem półtrupa dawno rzuciłem. Nawet dyskurs z Olizarem mniej mi się straszonym wydawał od tego sterczenia bez nadziei. Ale nikt nie przychodził, czasem tylko strażnik klapą w drzwiach uchylił i zajrzał, a dwa razy dziennie zupa śmierdząca wjeżdżała. Włos gęsty puścił mi się na głowie, do chłopca podobnym czyniąc.

Miesiące mijały i mijały.

Ranka pewnego, gdy strażnik łachy nowe przyniósł, stare ze sobą biorąc, chwyciłem go za rękaw prosząc, by mnie do Olizara prowadził. Nie myślałem, co czynię, za nic mi było, co stać się może, byle wyjść, choćby na moment. Strażnik rękę moją odepchnął szorstko i zniknął, drzwi zamykając z łoskotem, a mnie płacz straszliwy na wyro zwałił. Jezuuu! Ubić się chyba przyjdzie! Chłop po włosach jak dzieciaka mnie głaskał, a ja dzieckiem się prawdziwie czując, łzy ronilem rzesiste. Gdy ustały, leżałem długo, twarzą w słomie, marząc o śmierci. Nagle nad głową ryknęło:

— Aufstehen sie!

Wstałem, oczom własnym nie dając wiary. Strażnik stojący w drzwiach wydał mi się dobrodziejem umiłowanym. Rad szedłem za nim i dopiero na galerii, którą już uprzednio kroczyłem, opadła ze mnie fala uniesienia, a rozsądek przemówił, potem wahanie, w końcu strach zimny... Pchnięto mnie do owej komnaty z konterfektami. Za biurkiem siedział ktoś, kogo już znałem, nie Olizar przecie. Oczy–szpiegi zza okularów okrągłych spozierały, jak wtedy na rynku. Tegoż samego milczącego człeka przed sobą miałem, jeno nie w surdut, tylko w mundur zielony z żółtymi wypustkami odzianego.

— Panie! — wyrwałem się, przerywając milczenie. — Jak długo trzymać mnie zamierzacie bez sądu, bez wyroku?

Powtórzyłem po niemiecku to samo. Zmiarkował widać, bo mu się w oczach coś ruszyło.

— Panie!

— Nic wam powiedzieć nie mogę, dopóki nie wróci inspektor cesarski, pan von Olizar — mówił cicho, ledwie słyszalnie, akcentem różnym od tego, jaki u innych Austriaków słyszałem.

— A wy, panie?

— Ja niewiele mogę, w jego ręku sprawa.

— Przecież urzędujecie!

Uśmiechnął się, ręce rozkładając i czekać kazał cierpliwie. Czekać

cierpliwie! Gdyby dzień chociaż w lochu spędził, nie o cierpliwości by prawił.

— Przywieść was kazałem, z nadzieją, że się wreszcie przyznacie, sobie i nam fatygi szcędząc.

— Do czego mam się przyznać?

— Tego ja nie wiem.

— Tego nikt nie wie, niewinnym jest.

— Wiedzieć winniście, jako wobec władzy więziennej niewinność najcięższym jest wykroczeniem. Tedy zreflektujcie się póki czas. Zali zabawa z pistoletami na komorze granicznej, takż w oczach waszych winą nie jest?

— Tedy sądźcie mnie za to, niech wiem chociaż, ile czasugnił jeszcze będę!

— Imaginujecie sobie, że za to i do końca żywota posiedzieć można?

— Boże mój!

— Wina wasza ciężka, a i w pełni nie znana. Prawdy nie mówicie, a szkoda. Verba veritatis kary pomniejszeniem często bywa nagradzana. Zważcie!

— Mówiłem już. Rezler jestem... pod Poznaniem, blisko Szamotuł, wieś Buszewo, ojczym mój tam siedzi. Sprawdzić mieliście.

— Sprawdzimy.

— Kiedy?!

— Przyjdzie czas.

— Panie, na Boga Wszechmogącego, kiedy?! Sprawdźcie rychło, zapłacę! Na cóż wam dierzyc mnie tu do śmierci?

— Czym pan zapłaci! Kilkadziesiąt florenów mieliście w kapocie. Za tyle i strażnika nie kupicie.

— A was za ile kupić można?! — krzyknąłem i natychmiast pożałowałem wybuchu przerażony, że mnie do lochu odprowadzić każe. Gdym usłyszał odpowiedź, krew mi cała z twarzy odpłynęła.

— Za dziesięć tysięcy talarów! Napiszcie do ojczyma, niech wam sumkę przyśle. Wolno was puszczyć!

— Całkiem wolno?

— Niezupełnie. Do wojska pójdziecie, by Olizar protestacji wnosić nie śmiał. Swoje ma on z wami porachunki, więc ostrożnym być muszę. Dać wam papier?

Myśli kłębiły się jak huragan. Do wojska i zdezerterować, gdy się pora nadarzy, jak Gil prawił. Ale ojczyma prosić znieawidzonego, co matkę zadreć... Tedy nie pisz i w lochu zgnij, honorem onym i hańbą, które ci chłop wypomniał, zastawiając się... Boże, zmiłuj się! Co czynić? Słońce strzeliło mi w ślepią, wyłaząc z za chmur i przez okno wdzierając się do

komnaty. Życ po drugiej stronie, nie w cieniu, w słońcu. Boże, Boże...

Słabo się nagle poczułem, widać loch organizm mi dobrze podjadł, bo się Austriak ruszył:

- Hej! Co wam?
- Nic. Papier i inkaust dajcie.

* * *

Trzy miesiące minęły. Szczurza nasza dola nic się nie zmieniła. Nasza powiadam, bo — choć rzadko do siebie przemawiając — zbrataliśmy się z Gilem na dobre. Mnie się zdawało, że od wieków go znam. Co on myślał, nie wiem, pewnikiem podobnie. O pisaniu swym starałem się nie myśleć. Pierwszy raz w życiu zebrałem, choć gdyby mi to kto przepowiedział, nie dałbym wiary. Ojczym warknie jeno i podrze, albo i nacieszy się, i nadworuje z Borkiem do syta. Wstydzilem się chwili słabości, ale cofnąć czasu nie było w mojej mocy, choć, klnę się, cofnąłbym, gdybym mógł. Loch mnie półmartwym uczynił i obojętne mi już było, czy zdechnę tu, czy gdzie indziej. Byle rychło.

Kiedy więc po raz wtóry przed urzędnikiem w okulary zdobnym stanąłem i gdy mi papier pokazał z przeznaczeniem do jednego z pułków austriackiej infanterii, który na Węgrzech stał, myślałem, że śnię.

- Talary wam wypłacono? — spytałem głucho.
- Bez nich nie wyjąłbym was ze studni... żegnam. Nie wracajcie tu, bo wam Olizar nie daruje. No! Niech się pan pośpieszy! Żołnierze czekają, odwiozą pana.
- Ilem czasu siedział?
- Styczeń jest, roku 1800. Sami liczcie!
- Styczeń... roku...

Trzy lata z okładem. A ja trzy wieki naliczyłem. Skłonić się chciałem i wyjść, gdy naraz pamięć drgnęła.

- Prośbę mam.
- Jaką?
- Pozwólcie mi do celi wrócić, druha pożegnać.
- Druha?! Kpicie chyba? Olizar na złość wam do chłopca was wsadził, a wy... wy zbrataliście się z chłopcem. Szlachcic przecież jesteście! Cóż, idźcie.

Chwilę potem stanąłem w drzwiach celi. Mówić nie musiałem, z oczu mi wszystko wypatrzył.

- Żegnaj, złego słowa nie pamiętaj.
- Co wy, panie...

Na pięcie się obróciłem, by odejść, gdy mnie coś jeszcze kolnęło.

— Czekaj! Nie pytałem jakoś, a przecież znać chcę. Za co w lochu siedzisz i kiedy ci pora wychodzić?

— Niedługo, szkoda frasunku. A za co? Za kradzież!

— Co ty?! Toż...

— Kazań nie praw! Pożyjesz, obaczysz, że złodziejstwo występкови nie zawsze równe. Pan Bóg miłosierny, na niebie sądy odprawiający, przykazał — po prawdzie ubogim tylko — „nie kradnij!”. Jeno zapomniał dodać: choćby ci dzieciska i kobieta z głodu na oczach zdychały!

Plecy pokazał, a moje kroki zadudniły echem w korytarzu.

Dominik

Edukacja

Dopiero gdy Janek wyjechał, Dominik pojął, co oznacza samotność. Tak jak teraz nie odczuwał jej jeszcze nigdy. Nawet po śmierci matki, w kotle wrzącym od ruchu, bieganiny i wrzasków, jakim był dwór w Buszewie, w korowodzie wizyt i polowań, w oczekiwaniu świąt, czuł się otoczony życiem, buchającym jak para, rozgrzewającym, pozwalającym myśli oddalić od smutnych spraw przynajmniej na czas dnia. Obecność brata była tak mocno z tym wszystkim sprzężona, że

Dominik nie zdawał sobie sprawy z tego, czym mogłaby stać się jego nieobecność. Nie krótkie, kilkudniowe wypadki, ale nieobecność wieczna, nieskończona, niepojęta.

I teraz żywił przez kilka dni nadzieję, że brat lada chwila się zjawi, jak zawsze konia do stajni wprowadzi, budząc zdziwienie służby, że nie na tej samej szkapie przybył, na której wyjechał, i gniew ojca, jeśli nowy koń wyglądał na gorszego; że na ganek skoczy, zamknie się w swojej komnatce i zwali na posłanie w buciorach, w mig zapadając w sen głęboki. Wejść wtedy doń można było przez okno, poprzeglądać pistolety długie, srebrzone, z których za domem się często wprawiał, a które po ojcu swoim odziedziczył, pierwszym mężu matki, owym Karśnickim; w but długi skórzany nogę wsadzić i siedzieć, wpatrując się w leżącego z uczuciem radości, że oto czuwa nad tym wielkim bratem, śmiałym i zgrabnym, kochanym przez całą czeladź, a zwłaszcza przez co młodsze dziewczyny.

Ale Janek nie wracał.

Dni parę zaledwie minęło — święta się dopiero kończyły — lecz Dominik czuł, że tym razem brat już nie wróci. Nocna scena, gdy zbudzony, ledwie przytomny zobaczył przed sobą twarz rozognioną, majaczyła mu w pamięci jak sen lub przywidzenie. Pojedyncze tylko słowa zachował: „Wielkopolska... kolebka ojczyzny... pamiętaj! pamiętaj”! Ojczyzna, nie stanowiąc zjawiska materialnego, nie dając się wziąć do ręki, pogłaskać czy na przykład rzucić o ścianę, była dlań czymś nieuchwytnym, czymś odległym, obcym, pachnącym kadzidłem i ulotnym jak cytaty łacińskie mamrotane przez księdza w czasie nabożeństwa, a przecież ważne i potężne, jak dusza, jak Trójca Święta... Była wszakże wyrazem i niczym więcej. Ojczyzną ojca był Królewiec, leżący gdzieś daleko nad morzem i Buszewo, i król, który w Berlinie na tronie zasiadał.

Ksiądz Lomazzo swoją ojczyznę oplakiwał, która znajdowała się hen za górami. Tę jakobini we krwi chrześcijańskiej skapali... A Janek? A matka? W pewnym momencie spostrzegł, że nie jednym, lecz dwoma językami potrafi mówić, po polsku i językiem, który z wolna przyswajał sobie od Anny, Grety i od ojca. Ojciec, który tym drugim językiem rozmawiał z częścią służby i z landratem, nieraz perorował, że już Polski nie ma, że na wieki pogrzebana, że za butę swą i hardość karę na się ściągnęła i że już na zawsze Prusy na ziemi tej zasiadły. Dominik pojmował, że tak jest słusznie i że tak być musi wiecznie, gdyż sam Pan Bóg tak postanowił, a co on stanowi, tego ludzie zmieniać nie powinni, by grzechu śmiertelnego na duszę i ciało nie ściągać.

Nocne wyrazy zapalczywie szeptane przez Janka, choć zrozumiałe, wydawały mu się obcymi, a sens ich wywoływał w głowie Dominika przedziwny zamęt. Janek, Polskę ową, nie istniejącą, skazaną i pogardzaną, uważał za swą ojczyznę i na matkę się kłął, że i jej to jest ojczyzna, a także Dominika. Za takie słowa drogo można było zapłacić, przeciw pruskie, przeciw królewskie, przeciw ojcowskie to były słowa. Czemuż więc z myśli precz ich nie wyrzucił? Może dlatego, że Janek nie okłamał go nigdy, że gdy o Polsce mówił, patrzył oczami matki, tymi samymi, które Dominik tak ukochał i za którymi płakał. I czuł w sercu jakąś dziwną i rozpierającą radość, że go Janek ze sobą równa. Ojciec. Ojca kochał, ale nie potrafiłby przytulić się do jego rąk jak do rąk matczynych, czy do pachnącej kuchnią Grety.

Niemka Greta, która pono niegdyś, w młodości, była opiekunką ojca, mówiła tylko po niemiecku, a przecież nie nienawidziła Polaków, polską czeladź dworską, kiedy mogła, dokarmiała i broniła przed gniewem starego. Mogło by się wydawać, że samą miłość nosi w swoim zwalistym łonie, przykrytym stosem koronek i fartuchów haftowanych, że nie potrafi na nikogo w świecie krzywo spojrzeć, nadać się czy zęby pokazać. Mogłoby się tak wydawać, gdyby nie pisarz dworski Borek — jego Greta nie cierpiała z całej duszy.

Ów Borek, tutejszy Polak, Wielkopolanin, indywiduum znieawidzone przez wszystkich prócz ojca, choć i to nie wydawało się być pewnym, za Karśnickiego był parobkiem, doglądał koni. Gdy raz dziewczynie dworskiej zrobił dziecko, a żenić się nie chciał nawet pod groźbą chłosty, stary Karśnicki po pysku go łapą wytrząsał, zęby dwa wyłamując, a pannę wydał za drugiego koniarza, trzosikiem skromnym pretensje pana młodego uciszywszy, zaś Borka posłał w rekruty, razem z kilkoma innymi, których mu z dymów jego nakazał wybrać urząd pruski. Jakim cudem Borek uniknął służby żołnierskiej — tego nikt nie wiedział. Czas jakiś podobno plątał się w kreisgerichcie przy sprawach kryminalnych, zbierając wiadomości dla działu żydowskiego, który utworzono

po likwidacji sądów kahalnych. Wrócił tuż przed śmiercią matki i pisarzem został przez Rezlera mianowany, w miejsce Antoniego Cieleckiego, staruszka, który jeszcze Janka na rękach nosił. O wszystkich tych szczegółach szeptano po kątach, języki na Borku strzępiąc, jako że jednej chyba duszy przyjaznej nie miał, co mu zresztą nie przeszkadzało nosić głowę wysoko. Nawet dziewczyny dworskie, chociaż gładki był nad podziw, unikały go i rzadko która dała się namówić na wieczorne obmacywania w stodole, tak iż częściej musiał je niewolić. Jedynemu Hansowi schodził z drogi, ślepią odwracając.

Dominik o Borku, jak i o wszystkich innych tajemnicach dworu nasłuchiwał się od Grety, która gadała, kiedy tylko mogła, ni to do niego, ni do siebie. A i swoich obserwacji dorzucał z każdym dniem sporo.

Borek, obdarzony przez Rezlera zaufaniem szybciej niż się tego sam mógł spodziewać, źle pierwszy krok postawił. Ubierać się począł we fraki ponaszywane koronkami i wstęgami, w buty z klamrami, laskę z gałką błyszczącą nosił i kapelusz z szerokim rondem nasadzał na czubek głowy, a prawdę mówiąc na perukę z harcapem wstążkowym. Czeladzi, służbie dworskiej i oficjalistom oznajmił, że odnalazł stare papiery, w których jak byk stoi, że on, Borek, ze starej pruskiej rodziny, przez przypadek nieszczęsny jeno spolszczonej, rodzinę swoją wywodzi. Od dziś więc „von Borek” mają go zwać, jeśli kto nie chce ze dworu iść. Tego już było Rezlerowi za wiele. Wezwał Borka do siebie, skłął tak głośno, że na podwórzu było słyhać, po czym pisarz wyleciał siny z komnaty, bez peruki pudrowanej i już bez owego „von”, bo ani słowem nie wspomniął odtąd o swym prusactwie. Nie mniej od niego zaskoczyło to służbę i Dominika. Widzieli codziennie, jak Rezlera do prusactwa ciągnie, jak mu się kłania i podlizuje, gdy więc Borek mistrza chciał przeróść i przez niego samego został przywołany do porządku — nic już nie mogli pojąć.

Nic się jednak po tym nie zmieniło. Borek wobec ludzi dalej był twardy i bezwzględny, tylko przed Rezlerem płaszczył się bardziej niż dotychczas. Ten zaś, jakby nie pamiętał, co zaszło, Borkiem się wszędzie wyręczał i chwalił sługę często, że parobków i okoliczne chłopstwo trzyma krótko w garści. Gdy na skargę przychodzili, że pisarz dziewczyny gwałtem w zboże ciąga lub w stodołach dopada, krzywdę robiąc — Dominik sam widział jedną taką, pucaną dziewczkę z grubymi łydami, wychodzącą ze spichrza za krzywo uśmiechniętym Borkiem, zapłakaną i prostującą spódnice — wówczas Rezler pięścią przed nosami chłopkom wymachiwał, batami i rekrutami grożąc. Skargi ustały, ale też i częstotliwość Borkowych zabaw na sianie znacznie się zmniejszyła od pewnej nocy, gdy ktoś go z dziewczyny ściągnął, worek zgrzebny na głowę zarzuciwszy, i sprął niemiłosiernie. Odtąd Borek jeszcze bardziej nienawidził

chłopów i znęcał się nad nimi zaciekle, oni zaś wyśmiewając niefortunne ambicje pisarza, nadali mu przydomek „won, Burek!”

Dominikowi wydawało się, że zna Borka od dziecka i dopiero owej niedzieli po świętach, gdzie do dworu zawitało wesele, zrozumiał, że nie znał człowieka.

Od strony wsi zbliżała się wtedy rozwrzeszczana hurma, muzyką rozśpiewana, kolorowa, brzęcząca. Czerwień i czerń ludowego stroju tutejszej ziemi rozlewały się po gościńcu, czyniąc zeń migotliwe pole, nasyczone kwieciami chabrowym i makowym. Dwa wozy z młodymi, z gośćmi i z kapelą tak gęsto były zapchane, że skrawka deski nie było widać, a tylko koła toczące się z mozołem pod górę. Istne ptactwo kłębiące się na gałęzi, gdy o lizkę schwytaną bój toczy. „Przodki” z przyśpiewkami, „szocze” i „wiwaty” tańczone do rytmu muzyki, ruch czyniły wokół tych dwóch wież Babel, kurz wzniecały — bo już i ziemia zaczynała się dusić, porażona słońcem, co od tygodnia nie schodziło z nieba — i spowijały całą czeredę w szarobure obłoki. Skrzypce zawodziły rozkosznie, nietrzeźwą znać ręką prowadzone, do wtóru klarnetu lub na zmianę dud i basującej godnie maryny, którą wspomagał zastęp blaszanych krążków.

W bliskości dworu ciszej się w kupie uczyniło, aż zamilkło wszystko i tylko gwizd tartych osiek niemile wdzierał się w uszy.

Stanęli u bramy.

Cisza zaległa grobowa. Jedna struna nie drgnęła, żadna ręka ruszyć się nie śmiała. Kilku chłopów z wozu posiadało, inni siedzieli jeszcze, patrząc uważnie i wyczekując. Naprzeciw przypatrywała się dziwowisku gromadka czeladzi, gęby otworzywszy, nieco dalej, w połowie drogi od wjazdu do kolumn portyku, stała Greta z Anną, obok nich Dominik. Obie gromady czekały na Rezlera.

Wyszedł wreszcie, nie ubrany do końca, w rozpiętej koszuli i w kożuszkowej kamizelce naprędce zarzuconej, w towarzystwie Borka, który swoim zwyczajem dzierżył pod pachą w skórzanej teczce plik papierów. Rezler podszedł bliżej bramy, spokojny i chłodny, zaś Borek, który czujnie stapał obok, na próżno próbował przegonić z warg jadowity uśmiezek. Rezler przypatrywał się przez chwilę gromadzie, po czym skinął na pisarza. Ten postąpił krok do przodu i zapytał przymilnie:

— Z czymże to przychodzicie, dobrzy ludzie, pana swego w dzień niedzielny niepokojąc?

Na te słowa wystąpił z szeregu stary chłop, z twarzą przez wiatr i słońce zjedzoną, że jak zasuszona śliwka odcinała się od jasnych włosów, kapelusz zdjął, co i drudzy zaraz uczynili, i kłaniając się nisko rzekł:

— Łaski jaśnie wielmożnego dziedzica dopraszamy siej Łaski dla młodego, dla Kaspra. Żeni się, a w rekruty iść mu trzeba. Żonkę młodom ostawi...

— I co z tego?! — przerwał Borek, tracąc gwałtownie uśmiech. — Wola pana Rezlera!

— Drugi zań by się ofiarował, chtóry krom brata nic by nie ostawił.

Borek spojrział na Rezlera i widać z twarzy jego wyczytał, co chciał, bo się nagle napuszył jak indyk, krok jeszcze jeden postąpił ku przodowi i piersią chłopca dotykając, zawrzasnął:

— Cóżes, chamie, umyślił?! Wolę pana jak stare gacie odmieniać będziesz, wedle swej woli?! Niedoczekanie twoje! Diabelskie nasienie! Wywłoko! — przerwał, gdyż z grupy wolno wyszedł strojny młodzieniec, który trzymał w ręku jakiś papier. Podał ten dokument Borkowi.

— Cóż to?

— Dziada papiery. Stoi w nich, zem od żołnierki wolny!

— Skąd wiesz, co stoi, kiedy liter nie znasz?

— Książdz Zimorowicz przeczytał.

Rezler na dźwięk nazwiska księdza podszedł nagle i papier Borkowi z ręki wyjął, wzrokiem przelotnie obrzucił i na oczach wszystkich przedarł na krzyż, a strzępy rzucił na wiatr.

— Panie! — chłop do ręki mu przypadł, chcąc papier wyrwać, ale się spóźnił, a Rezler za kołnierz go ucapiwszy, twarz do swojej przysunął, w oczy popatrzył złowrogo i sycząc: „Precz!” miotnął w piach przy bramie.

Jęk głuchy wśród ludzi poszedł, podczas gdy Rezler, nie bacząc na nic, ku domowi już zmierzał.

To „precz” drugi raz z ust ojca usłyszane, tak się Dominikowi okrutnym, tak nielitościwym wydawało, że aż sam pojąć tego nie mógł.

Borek, rozkraczony, pod boki się wziął i używał do woli:

— Patrzaj, chamie! Papierem przez buntownika sylabizowanym się zastawiasz! Wesele sprawiłeś, by się od służby królewskiej migać?! Przed mundurem się wybranasz? Chytryś, glisto sparszywiała! Precz idź, bo ci bat takie weselisko na dupie zagra, że do śmierci popamiętasz! Ty gnoju zatracony, ty... — ciskał obelgami, zapieniony, upajający się swoją siłą, mściwy.

Dominik już chciał do dworu wracać, gdy zatrzymał go cichy głos dozorcej stadniny, który do jednego z czeladzi mówił:

— Prusactwo łeb na karku ma i wie, co czyni. Chytrze se to wykoncypowali. Nie oni, jeno dziedzic z ich rozkazu rekruta wybiera, gniew gminu na się ściągając, nie na urząd. A ten — głową wskazał klnącego i

wygrazającego ręką Borka — ten od Prusaka gorszy. Sam czort nie wpuści go do piekła, ze strachu!

— Tedy w czyścucu go dopadniem jeszcze i skórą złoim! — zaśmiał się parobek.

— Głupiś, krotochwile jeno we łbie...

Dominik ruszył w stronę sadu, zamyślony i smutny, ścigany szlochem panny młodej, który wiatr niósł z dołu wzgórza, od gościńca.

* * *

Święta wielkanocne, niewesołe i szare, a dla Dominika bolesne nieobecnością brata, minęły szybko. Po słońcu piekącym przyszły deszcze ulewne, wlewające nowe siły w wiosenną zieleń. Bociek pojawił się już na łące, stąpając wytwornie i żaby tropiąc.

Rezler wyjechał do Poznania i rządy dworskie zostawił na Borkowej głowie. Pisarz jednakże, miast władzy samodzielnej nadużywać zwyczajem swoim, przycichł, ludziom nie dokuczał, uśmiechał się tylko złośliwie a tajemniczo. Czuli wszyscy, że się coś znacznego święci i ta cisza przed burzą trwożyła bardziej ludzi, aniżeli dawniej pisarzowe fanaberie.

Ojciec wrócił w trzy powozy, z których się ludzi kilkunastu wysypało. Był wśród nich i człek w sutannie, który rozprawiał zażarcie z landratem Scholzem. Tegoż dnia wszyscy dworscy zarządcy, którzy jeszcze Karśnickiemu służyli, dostali wymówienie. Rezler, żalobę uznawszy za skończoną, zęby po swojemu pokazał.

Od śmierci Karśnickiej—Rezlerowej niej eden liczył się z wyrugowaniem, Rezler bowiem już uprzednio kilku zwolnił i nowych, w tym kilku Niemców, powsadzał na ich miejsce, ale że wszystkich starych stanowisk pozbawi, tego się nikt nie spodziewał. Ze wszystkich oficjalistów, rządców, komisarzy, dozorców majątności i aktuariuszów jeden tylko Borek nie utracił stołka. Greta za Marcinem pocziwym, który końmi pańskimi od lat powoził, prosiła uniżenie, ale mu Rezler nie zapomniał tego, że się wówczas pod kościołem, gdy ich szlachta turbowała, zapadł jak pod ziemię i serca swego zmiękczyć nie dał. Marcin tedy wziął w rękę kostur kozikiem rzeźbiony i zarzuciwszy na plecy torbę, w którą mu Greta ukradkiem nawtykała jadła, wymaszerował za bramę, przed siebie, bez nadziei żadnej, bo mu starość żebraczy już tylko chleb mogła ofiarować. Gdy mijał Dominika, spojrzął nań pustym wzrokiem i przeszedł nie zatrzymując się. Dominik chciał mu rzec jakieś słowo, pożegnanie, ale wydusić z siebie nic nie mógł, wstyd go palił i żal nieznany mroczył serce. Zawrócił więc w stronę dziedzińca, na którym już nowi

panowali wszechwładnie.

Obce twarze, ciekawość rozbudzająca, szybko uwagę chłopca w inną obróciły stronę. Najbardziej interesował go duchowny. Następca księdza Zimorowicza wywoływał dwojakie uczucie. Nie budził żywiołowej sympatii, nigdy się nie uśmiechał, a spojrzenie miał mądre, przesywające, gesty starannie wymierzone, powolne. Przy tym wszystkim nie był odpychający, wzbudzał szacunek swą wiedzą, a życzliwość kalectwem. Utykał na prawą nogę, co nie mogło dziwić, zważywszy, że jak sam powiadał, przez kilka lat w armii królewskiej służył jako kapelan i dopiero po bitwie pod Jemappes kontuzja poza nawias wojska go usunęła. Na bladej, zielonkawo-przeźroczystej twarzy, z której świecące oczy wrywały się jak biżuteria, rzadko pojawiał się grymas. Jedyne ruchliwą częścią ciała były palce, które nieustannie kręciły młynka lub splatały się w skomplikowane sieci, by za chwilę wybijać na ścianie takt marsza.

Ksiądz nazywał się Hondius. Już pierwszej nocy Dominikowi śniło się, że widzi go na ambonie. Wchodził po krętych schodkach na dno „łodzi apostoła”, otwierał Biblię, klęczał w pokorze, a potem nagle stawał i wyciągał dłoń w przestrzeń, krzycząc: „Wielka Polska! Ojczyzna!” Ale twarz miał już nie swoją, lecz księdza Zimorowicza. Hondius widać wiedział o tym, bo za włosy siwe chwycił, próbując zerwać z własnej twarz polskiego klechy, szarpał z całą mocą, rwał, drapał długimi, pielęgnowanymi paznokciami... bez skutku. Ksiądz Zimorowicz uśmiechał się pogodnie i nie zamierzał ustąpić... Dominik obudził się, ciężko dysząc.

Tego dnia pojechali wszyscy do kościoła, by wysłuchać pierwszego kazania księdza Hondiusa. Kościół był pełen, pełniejszy jeszcze niż w Wielką Sobotę, tak iż tłum wylewał się na dziedziniec. Miejsca dla Rezlera, Scholza i zarządców przygotowane zostały uprzednio na samym froncie, tuż pod amboną, nieco na prawo od krytego aksamitem podium, które dźwigało wielki, złoty fotel, flankowany przez dwa podobne, choć skromniejsze stolce. Zagrzmiały dzwonki i w otwartych drzwiach zakrystii ukazał się orszak — biskup w lśniących ornamentami i haftami kapie, podtrzymywany z obu stron przez dwóch kleryków, i podążająca z tyłu świta, pełna twarzy skupionych lub nadętych, ust poruszających się bezgłośnie, oczu znudzonych, tonsur i habitów.

Teraz dopiero Dominik przypomniał sobie, że Hondius kilkakrotnie wspominał o swoich prośbach w diecezji, by jego świątobliwość biskup poznański Ignacy hrabia Raczyński zechciał zaszczyścić jego nową parafię. Hondius, gdy rozprawiał o biskupie, nie miał dla niego słów uznania, czy raczej uwielbienia. Zdawało się, że nikogo w świecie tak nie kocha, jak Raczyńskiego, eks-jezuitę, znającego pono całą Europę, niezliczone języki,

sztuki i nauki, jak powiadał Hondius, wszystkie, nie wyłączając astronomii, którą studiował u sławnego Hella. Raczyński niedawno, bo w 1793 roku, po zgonie Okeckiego, mianowany został kanonikiem poznańskim, zgodnie z wolą najjaśniejszego pana, którego sercu miły był nad podziw. Biskup, odbywający właśnie objazd duszpasterski ziem diecezjalnych, w czym coraz częściej wyręczał schorzałego arcybiskupa gnieźnieńskiego Krasickiego, zgodził się chętnie wprowadzić Hondiusa na nową parafię, co ten poczytywał sobie za największą łaskę, lecz mimo błagań Rezlera nie przyjął zaproszenia do spożycia obiadu w ich domu, tłumacząc się pośpiechem i koniecznością objazdu kilku innych miejscowości. Powóz otrzymany w prezencie od króla, a tak wytworny i bogaty, że Dominik nigdy podobnego mu przepychem nie widział, czekał już na biskupa przed kościołem, by po mszy uwieźć go w świat. Raczyński zasiadł w fotelu i obrócił twarz ku ołtarzowi. Dominik czekał na inaugurację napięty, przypuszczając, że znowu coś ciekawego się wydarzy. Nic się jednak nie stało. Ksiądz Hondius w asyście ministrantów zaintonował mszę i w kościele zapanowała zwykła, męcząca Dominika nuda. Dopiero gdy Hondius zaczął czytać ewangelię, szmer lekki przetoczył się nad tłumem i głos jakiś syknął: „Diabeł ogonem mszę klepie!”, ale go inne głosy w mig uciszyły. Rezler uwagi na to nie zwrócił, Borek zaś, który jeszcze przed chwilą siedział obok niego, zniknął bez śladu. Dominik chcąc rozproszyć znużenie, począł go wzrokiem wypatrywać, lecz bezskutecznie. Po ewangelii wyszedł przed ołtarz Raczyński. Mówił krótko, przedstawił Hondiusa, wychwalając jego kapłańskie doświadczenie, po czym nagle filozofować zaczął na temat powinności, jakie wszyscy wobec ziemskiej władzy najjaśniejszego pana należycie wypełniać mają, o miłości głębokiej ku majestatowi królewskiemu, bez której to miłości i szacunku kłamcą się jest i bezbożnikiem, jako że wszelka władza ziemska od Boga jest dana — prawdy te proste i nieskomplikowane Dominik setki razy słyszał w domu, toteż nudził się coraz bardziej i tylko wykrobywanie paznokciem kruszącego się bez oporu tynku w spoinie filara dawało mu chwilową satysfakcję.

Wyrwał go z tej czynności podniesiony głos Hondiusa, który powtórnie wszedł na ambonę. Raptownie, nim głowę zdążył odwrócić, krzyk wstrząsnął ludźmi, tłum zafalował i szarpnął się do wyjścia. Nawet biskup poderwał się z fotela i chwila długa minąć musiała, nim pojał i opadł z wolna na siedzenie.

Z góry, od krzyżowego sklepienia, wielki, papierowy smok, klejony z kolorowych ścinków, spuszczał się po sznurze, falując skrzydłami.

— ...Oto szatan, co do buntu chłopów przeciw panom kieruje, oto symbol buntu przeciw władzy, którą Bóg w wybrane ręce kładzie, oto pycha buntownicza, niegodziwa a sprośna! — Hondius przemawiał głosem mocnym,

tak teraz inny, niepodobny do flegmatyka, natchniony, wieszczący.

Wtem zza filara wyskoczył rycerz w hełmie, z kitą długą na plecy spadającą i w pancerzu z łuski blaskomiotnej, włócznią się zamachnął i rozpruł gadowi brzuch, aż się trociny posypały na głowy nic nie rozumiejącego gminu, zaleknionego, trwającego w pokorze na kolanach.

— ...Tak jak święty Jerzy smoka pokonał, tak prawo nad królestwem ciemności zapanuje, porządek nad buntem, dobra wola nad złą, a ręka w zwierzchność godząca uschnie i odleci!

Dominik chociaż blisko stał i widział, że potwór nie jest żywy, lecz zmajstrowany wymyślnie, drżał cały i dziwił się, że ten i ów ze szlachty uśmiech pod wąsem kryje, a niektórzy w głos ryczą z wesołości, wzbudzając tym gniewne spojrzenia Rezlera. Ojciec jednak nie dojrzał tego, co Dominik spostrzegł w ułamku chwili: wyraz niesmaku w skrzywionych ustach biskupa. Raczyński nie czekając końca mszy wstał i skierował się ku zakrystii.

Wracali do domu bryką, którą po raz pierwszy powoził nie Marcin, lecz sprowadzony lokaj w liberii. Scholz z Rezlerem omawiali wyposażenie nowych kolonistów, zostawiając Dominika własnym, ciężkim myśлом. Gdy już byli niedaleko dworu, z tyłu rozległ się tętent konia, coraz bliższy i donośniejszy. Dominik wychylił się i ujrzał Borka, który galopował za nimi we fraku i z dziwnym przybraniem głowy.

Pisarz minął pojazd nie zatrzymując się, w przelocie tylko zerwał błyskotkę z głowy i kłaniając się nisko, zarechotał. Landrat i ojciec wtórowali mu pełną piersią, krztusząc się od śmiechu i dowcipkując. Nawet lokaj na koźle nie żałował gardła. W rękę Borka mieniła się błyszcząca krągłość — hełm świętego Jerzego, z kitą długą, podobną do końskiego ogona.

* * *

Następnego dnia ksiądz Lomazzo oznajmił, że wraca do Francji. Inne tam wiatry zawiąły, kościołowi bardziej przychylne, a i tęsknota za ojczyzną ziemią musiała swoje uczynić. Abbé spakował swój skromny kuferek i udał się do Rezlera po ostatnią zapłatę. Chłodno był żegnany, lecz brykę na drogę do Poznania wyprosił, skąd pocztą już na zachód zamierzał się udać.

Dominik, który nigdy sympatią szczególną nauczyciela nie darzył, poczuł teraz, że mu go będzie brakować. Nie tak mocno, jak Janka — lecz jednak. Lomazzo, milczek ludzi unikający, który jedynie w czasie lekcji z chłopcem rozgadywał się nieco, był jedną z tych nielicznych osób, do których Dominik czuł irracjonalne instynktowne raczej zaufanie. Stał długo na gościńcu i patrzył na oddalający się powóz, z którego ksiądz wychylił rękę, machając na

pożegnanie lub może błogosławiąc.

W kilka miesięcy później ojciec wezwał Dominika do siebie i oznajmił synowi, że posyła go do szkoły, do Rydzyny, gdzie będzie pobierał nauki w konwikcie pijarskim. Stary Rezler, w obawie przed protestem dziecięcym, płaczem może i prośbami, zaczął od razu uspakajać syna i opisywać mu konwikt dostatni, w którym zamieszka, a w którym przełożonym jest znany panu Bronikowskiemu eksmajor Deybel. Ten się Dominikiem zaopiekuje należycie.

Chłopak słuchał i nie mówił nic. Głos ojca dochodził doń jak przez mgłę, obcy i dziwnie daleki.

Dopiero na miejscu, w Rydzynie, gdy Rezler nie wysiadając z bryki syna w czoło cmoknął i przekazał w ręce uśmiechniętego osobnika o krostowatej twarzy, Dominik poczuł smutek jakiś, chciał do ojca przypaść i przytulić się, lecz ten już konie kazał podciąć i nie odwrócił głowy, gdy landara wymijała dominujący nad rynkiem pomnik Św. Trójcy. Mała dłoń skryła się w uścisku pięciu potężnych paluchów nieznanego i Dominik podreptał za swym opiekunem, ledwie nadążając za krokami tamtego i starając się, by go ciągnąć nie musiano jak prosiaka. Powoli przychodziło uspokojenie, a później ciekawość na wszystko nowe, co stało przed nim i pozwalało zapomnieć o reszcie.

Deybel umieścił Dominika w konwikcie wybudowanym blisko samej szkoły. Brudny, odrapany budynek zawierał trzy sąsiadujące ze sobą sale, pełne drewnianych, schludnie zaścielonych łóżek, flankowanych stoliczkami, z których każdy posiadał niewielką szufladę. Dominikowi przypadło łóżko w pobliżu pieca, którego żółte, rzeźbione kafle były jedyną ozdobą komnaty, nie licząc krucyfiksów zawieszonych nad drzwiami. Deybel nie omieszkał pochwalić się, iż miejsce to sam wybrał, by Dominikowi chłód nie dokuczał zimą, a następnie objaśnił chłopca, że „panowie kawalerowie” pobierają właśnie nauki i zjawią się wkrótce, pouczył o obowiązkach, wskazał szafkę na ubranie i przypominając, że Dominik do niego ze skargami i pytaniami ma się kierować, wyszedł.

Dominik, gdy już pozostał sam, usiadł na łóżku, głowę wsadził w dłonie i siedział nieruchomo, jak długo — sam nie wiedział, aż go krzyki dobiegające ze schodów wyrwały z zamyślenia. Do sali wpadła rozwrzeszczana banda, wymachująca kajetami, potracająca się, szarpiąca, szczebiotliwa. Na widok Dominika gromada w miejscu stanęła, ostatni tylko rozpedem jeszcze na pierwszych wpadali, aż wszystko się uspokoiło.

- Patrzcie, nowy! — krzyknął chudy wyrostek z imponującą czupryną.
- Nowy! Nowy! — ogłuszający wrzask wstrząsnął nobliwymi ścianami

komnaty.

Dominik nie podniósł się z łóżka, patrząc na nich tylko, bez jednego słowa. Chciał, by odeszli jak najprędzej i zostawili go samego.

— Ty! — chudy uderzył go w ramię. — Niemowa jesteś?

— Niemowa! Niemowa! Głupi niemowa! — wtórowali kompani tamtego.

— No, ty! Odezwij się!

— Odczep się!

— Coś powiedział?!

— Coś ty, głuchy?

Udała się ta odpowiedź Dominikowi, bo tamten spąsował, a śmiech, który się rozległ, choć cichszy nieco, nie przeciw Rezlerowi tym razem był skierowany.

— Co? Ja głuchy?

— A kto?

— No to... no to powtórz to! — chudzielec nastroszył się i przygarbił, zwijając palce w pięści.

— Odczep się, chcę być sam!

— Nie odczepię się!

— A jak ci powtórzę, żeś głuchy, to mi dasz spokój?

— Spróbuj tylko!

Dominik spróbował i w tej samej chwili oberwał pięścią w nos i zaraz drugim kułakiem w brzuch. Zgiął się raptownie z bólu, który mu przeszył żołądek, przez co trzecie uderzenie nie trafiło i pięść chudzielca z całym impetem przeleciała nad głową Dominika, by wyrznąć w kafel pieca. Ryk bólu z ust tamtego rozprostował Dominika. Nie umiał się bić, ale taka wściekłość go wzięła, że nagle z całą siłą wymierzył kopniaka w kostkę chudzielca, który stał obok i dmuchał na bezwładną dłoń, a potem skoczył na niego i zaczęli się turlać po podłodze, wśród okrzyków rozgorączkowanej zgrai: „Bij go, Dezydery!”, „Chłapowski górą! Hurrra!”, „Nowy, nie daj się!”, i innych podobnych.

Nie zauważyli, jak stanął nad nimi Deybel i chwyciwszy za kołnierze, podniósł z łatwością do góry jak dwa schwycone za uszy króliki. Oddychali ciężko. Dominikowi krew kapłała z nosa, chudy lizał stłuczoną rękę.

Czereda rozprysła się po kątach, lub zasiadła na swoich łózkach gapiąc się z okrutną ciekawością.

— Chłapowski! Znowu ty! Nauczka dla nowego, prawda? No odezwij się — Deybel był wyraźnie rozsierdzony i trzymając chudzielca za rękę trząsał nim jak liściem.

— Ja... ja... — tamten nie mógł wydobyć głosu z gardła.

— Obiecywałem ci: jeszcze raz i odsyłam cię do rodziców, nie będziesz nam konwiktu w karczmę zamieniał. Teraz był ten raz, pakuj manatki! Co ci on uczynił — wskazał na Dominika — że go napadłeś? Dość już...

— Ja... ja nie...

— Co nie?! Nie wyprzesz się chyba, nicponiu?! Przyłapanyś jest! Zaczepił cię i bić począł, prawda? — zwrócił się do Dominika.

Zrobiło się cicho. Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę. Dominik wytarł rękawem brodę, po której kapłała krew i podnosząc nos do góry, by zatamować upływ, wyseplenił:

— Właściwie to nie.

— Co nie? — Deybel z wrażenia puścił rękę Chłapowskiego.

— No... nie tego, nie zaczepił mnie.

— Nie powiesz chyba, żeś ty to zrobił, jeśli mnie za głupiego nie masz!

— Po prawdzie — Dominik siorbnał nosem — to ja!

— Łżesz, Rezler! Za kłamstwo kara cię nie minie! Dobrze pierwszy dzień w szkole zaczynasz. Pogłaskałby cię ojciec, gdyby to widział!

— Ale nie widzi.

Na te słowa śmiech wybuchnął ogromną falą z ust wszystkich, widać było, że sam Deybel z trudem go powstrzymuje. Brwi jeszcze raz zmarszczył, lecz już nie tak głęboko, i kierując się do drzwi krzyknął:

— By mi się to nie powtórzyło więcej, Rezler, bo pożałujesz! Nim ojcu odwiozę, skórę złoję, jak się patrzy! A ty, Chłapowski, zapisz sobie, że to już naprawdę ostatni, najświętszy parol honoru, ostatni raz darowane!

Zaklął jeszcze coś do siebie i zamknął drzwi. Zostali sami.

— Równy jest, obronił Dezyderka — wyszeptał z nabożnym podziwem jeden z chłopców. Inni przytaknęli mu i ruszyli w stronę Dominika z przyjaznymi twarzami, z rękami wyciągniętymi po przyjacielsku, lecz ten odwrócił się raptownie i warknął:

— Odczepcie się!

Tak to powiedział, że nie próbowali więcej. Otoczyli Chłapowskiego, który pięść jeszcze rozcierał i śmiał się przez łzy:

— Co tydzień mi mówi, że to ostatni raz. Co tydzień!

Dzień minął i Dominik dowiedział się od kolegi z sąsiedniej pryczy wszystkiego, co wiedzieć chciał o konwicie, o szkole, o ojcach pijarach, o panującej w przybytku surowości, w czym celował przede wszystkim zastępca rektora, profesor Gans. Z pijarskimi profesorami koty darł, a przez wychowanków był srogo znienawidzony za częste i okrutne bicie.

Dominik w domu rzadko był karcony różgą. Bał się bardziej ręki ojca,

która czasami zniecka uderzała w siedzenie. Zdziwił się więc i słuchał uważnie, nie bardzo wierząc w ową szkolną chłostę. Był przekonany, że Tancewicz, który mu to wszystko wykładał, chce go jedynie przestraszyć, że przesadza i plecie bajdy.

Równy z godziną ósmą, każdego wieczoru, świece nakazywano wygaszać, i brać szkolna zapadała w sen. Dominik długo nie potrafił zasnąć pierwszej nocy.

W trzy dni później młody Rezler rozpoczął naukę. Z racji wiadomości nabytych od księdza Lomazzo, z których musiał zdać egzamin przed komisją belfrów i ze względu na idący mu już czternasty rok, przydzielono go od razu do klasy drugiej.

Oznajmił o tym chłopcu ów zastępca rektora—pijara, profesor Gans, cynik i pijanica, którego jedynym marzeniem było trząść całym przybytkiem szkolnym. Był on w Rydzynie jednym z trzech, obok Deybla i Bawarczyka Mischkego, niemieckich nauczycieli świeckich. Osobliwe to było indywiduum. Ogromne, ponad miarę wypukłe wargi panowały nad szerokim nosem, zwieńczonym siną kurzajką. Włosy pudrowane gęsto, z przodu równo przystrzyżone, z tyłu i po bokach formowały się w olbrzymi warkocz i długie, fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy szpiczastym czole tworzyło obraz komiczny i wstrętny zarazem. Ci co utrzymują, że charakter duszy na obliczu ludzkim maluje się znakami, dowód by w nim mieli na potwierdzenie swojej teorii. Surdut z klapkami, kryjący długą wyszywaną kamizelkę, cały był ubielony na plecach od warkocza. Przestrzeń między podszewką a sukniem owego wdzianka wypełniał farsz niezwykły, składający się z kajetów uczniowskich, na których „jeometra”, bo tak go zwano, miał zwyczaj sypiać. W kieszeniach surduta, celowo przepastnych, mieściły się butelki węgrzyna, z których, gdy mu przyszła ochota, popijał w najmniej oczekiwanych momentach, na ulicy lub w szkole, udając, że zażywa lekarstwo na wątrobę. Mieszkał sam, w pokoju, w którym żadnego sprzętu nie było, jak twierdził syn stróża domu. Podłoga w jeden barłóg zamieniona — stanowił on łożo „jeometry” — usiana była rękopisami i kajetami uczniowskimi. W szkole szeptano, że Gans z tych ostatnich co wieczór formuje zgrabną poduszkę i na niej sypia. W kącie tej komnatki stał cebrzyk znany całej braci uczniowskiej, pełen różeg, które profesor odkładał na zimę jak chomik, by wychowankom maniery właściwe i mądrości do głowy, a raczej do tyłka wkładać. Ten właśnie cebrzyk zdumiał i przeraził Dominika, gdy podczas wędrówki przez miasto mijął dom „jeometry”. Belfer siedział na progu i z całą powagą przycinał stos brzezinowych gałązek, które następnie wkładał do sławnego naczynia, by namokły porządnie. Dominik wkrótce miał odczuć na własnej skórze działanie

brzezinowej pedagogiki profesora Gansa.

Pamiętał pierwsze spotkanie z salą, w której miał pobierać nauki, a która śmiało mogła pomieścić kilkadziesiąt osób. Po prawej stronie, pod oknami, pięć długich ławek uformowanych w szereg, jedna za drugą, sąsiadowało z analogiczną piątką po stronie przeciwnej. Oba szeregi przedzielał korytarz, którego jednym biegunem była wysoka katedra profesorska, drugim zaś stercząca pod ścianą, obok szafki i tablicy, jedenasta ławka, zwana „osłą”.

Droga do niej prowadziła przez upokarzające bicie. Przysięgł sobie, że nigdy, nigdy do tego nie dopuści, nawet gdyby miał uciec ze szkoły, lub... się zabić. Nie pozwoli się bić...

Wyklarowano mu szybko, że w zależności od wyników w nauce i od sprawowania najpilniejsi uczniowie zajmowali dwie pierwsze ławki, mniej pilni następne i tak aż do ostatniej, na której zawsze siedziało kilku klasowych pariasów, zahukanych częstym karceniem i zastraszonych szyderstwami nielitościwych kolegów. Uczniowie pierwszych trzech ławek byli wolni od kary cielesnej. W przypadku swawoli lub jawnej niepilności przenoszono ich do niższej ławki i dopiero tam, jeśli nie zdołali rychło odzyskać pilności, czekały ich niechybne baty.

Gdy patrzył na „osłów” czuł litość jak dla obitych psów, bo na takich też wyglądali. Bici nieustannie, bywało, że i po trzy razy dziennie, stawali się z wolna gnuśnymi i obojętnymi na karę, ciało ich tępiało i uodparniało się na ból, wreszcie ich zmysły i oni sami tępieli do reszty. Nie czyniąc żadnych postępów opuszczali szkołę po dwóch zaledwie lub najwyżej trzech latach nauki. Nie potrafił tego pojąć. Nie ich głupoty, bo tej wszędzie było dość, ale tego, że się bić pozwalają jak zwierzęta, lub jeszcze gorzej, albowiem nie stawiali żadnego oporu. Po kilku dniach system podziału klasowego przestał być dla Dominika tajemnicą. Brać uczniowska posiadała ścisłą hierarchię, wykoncypowaną na wzór urzędniczej. W każdej klasie znajdował się prezes, pisarz i tylu radców, ile ławek stało w danej sali. Do obowiązków „panów radców” należało codzienne sprawdzanie, przed ósmą rano i drugą po południu, czy ich podwładni nie pogubili książek, czy lekcje potrafią powtórzyć i czy zostały napisane zadane okupacje. Raport o niepilnych składali na karteczce prezesowi, ten zaś referował sprawę nauczycielowi. Całą tę czynność załatwiano w ciągu dziesięciu minut przed wejściem belfra do klasy. Zamiast więc wrzawy i swawoli przed rozpoczęciem lekcji tylko szmer pytań i odpowiedzi składał się na cichy brzęk tego ula. W owej chwili prezes zajmował tymczasowo krzesło profesora pilnując spokoju i nakazanego porządku. Do jego z kolei obowiązków należało przekonać się, czy radcy, wiceprezes i pisarz umieją lekcje i biada niesumiennym dygnitarzom, jeśli się

w naukach zaniedbali lub, co gorsza, uwiedzeni przez współtowarzyszy datkiem jakowymś, ciastkiem lub jabłkiem, nie zdali rzetelnego raportu. Wówczas kasowano ich natychmiast i na parę miesięcy osadzano w ostatniej lub przedostatniej ławce. Pisarz miał pod swoim zarządem klucz do szafki, w której znajdowały się: kreda, gąbka, cyrkiel i najważniejsza księga merytów i demerytów, czyli zalet i nagan, oznaczonych liczbami, według których wyznaczano miejsca, nagrody i promocje.

Zanim życie szkolne nabrało dla Dominika szarego rytmu codzienności, odbyła się lekcja, jego pierwsza w rydzyńskim przybytku, i tę właśnie zapamiętał najlepiej. Wykładać miał belfer świecki, metrem zwany, pan Mischke. Ale Mischke zachorował na żołądek i zastąpił go prorektor Gans. „Jeometra” wszedł do klasy z pękiem wiklin w rękę, a brać uczniowska poderwała się na baczność. Gans nic nie mówiąc machnął różgami kilka razy, słuchając, czy wydają należyty świst, po czym uniósł głowę w kierunku drewnianego krucyfiksusa i płynnym ruchem zatknął witki za nogi wiszącego Chrystusa. Teraz dopiero odwrócił się i spojrzał na klasę. Chwilą tak stał, by wreszcie zaintonować przepisową modlitwą, a następnie przyjął spokojnie raport i zaczął pytać. Pierwsi na zadaną lekcję odpowiadali radcy, potem dwóch innych uczniów, prezes i wreszcie siedzący w czwartej ławie Skulski, drobny piegowaty chłopczyzna, który chociaż starszy od Dominika, niższym był od niego o głowę. Skulski nie odpowiedział dobrze i Gans cichym głosem kazał mu wyjść na środek sali.

Prawie każdy nauczyciel w szkole posługiwał się różgą. Dominik później nieraz obserwował, jak księża pijarzy, gdy padało sakramentalne „nescio reverende pater” — nie umiem, książę profesorce — wzywali do klasy kalifaktora. Ów stróż szkolny, grubas zawsze usmolony i nieogolony, w krótkim opiętym kabacie, przynosił stołek i dyscyplinę. Winowajca sam musiał ułożyć się na stołku i po otrzymaniu pięciu dyscyplin — w rzadkich wypadkach ilość razy zwiększano — wracał na miejsce, trzymając się za siedzenie. „Osły” do karcenia przywykłe twierdziły, że piętnaście razy kalifaktora mniej boli niż pięć wymierzonych przez „jeometrę”. Gans, jako jedyny z profesorów, nie wyręczał się kalifaktorem i sam bił z upodobaniem.

Teraz, gdy Skulski trzęsąc się stanął przed nim, Gans wyjął pęk różeg z krucyfiksusa, przejechał nimi po lewej dłoni jak smyczkiem po czułym instrumencie i pokazał zęby w uśmiechu. Potem wszystko stało się tak szybko, że Dominik ledwo mógł dostrzec, uśmiech znikł z twarzy belfra w ułamku sekundy. Gans lewą dłonią poderwał Skulskiego, rzucił na krzesło i nie zważając na żałosne zawrodozenie i prośby o litość, zaczął siec z rozmachem. Dominika poderwało, pięści zwały się same, chciał krzyknąć coś, gdy już, na

szczęście dla niego, Tancewicz siedzący obok chwycił go za ramię i posadził na ławie, nim Gans mógł dostrzec cokolwiek. Świst różeg ustał raptownie, belfer otarł czoło, a Skulski posuwał się na miejsce w kucki, trąc tyłek i zawodząc: „O Jezuuu, o Jezuuuuniu!” Dominik nie wiedział jeszcze, że Skulski miał szczęście, otrzymując lanie jako pierwszy. „Jeometra” bowiem rozgrzewał się w miarę bicia i pod koniec lekcji ostatnim niepilnym przycinał już tak mocno, że ryczeli jak żywcem obdzierani ze skóry.

Znienawidził po owej lekcji szkołę z mocą, jakiej nigdy dotychczas nie potrafił wykrzesać. Nie zmieniło się to już do końca. Ale też dlatego uczył się zawzięcie, by chłosty uniknąć i czynił szybkie postępy, tak iż wkrótce otrzymał godność radcy, potem pisarza, a wreszcie nawet wiceprezesa klasy.

Dominik obok Tancewicza posiadał jeszcze kilku innych kolegów w rydzyńskiej szkole, lecz przyjaźni zbyt serdecznych z nikim nie zawierał, przez co współtowarzysze nazwali go „odludkiem” i do zabaw wspólnych nie ciągnęli natrętnie. Nie martwił się tym. Sam nie wiedział dlaczego, ale ich problemy były mu obce, jakieś niepoważne i... dziecinne. Często w pogodne popołudnia, po uzyskaniu zezwolenia od Deybla, wędrował do miasta, uwalniając umysł od balastu łaciny, retoryki, gramatyki, poetyki i wszystkich innych przedmiotów, w jakich pijarzy kształcili swych wychowanków. Chłonał żarliwie barokowe piękno rydzyńskich kamieniczek, przytulonych do siebie i kolorowych, podobnych do malowanki z bajki wyjętej, nad którymi górowała wieża ratuszowa, zwieńczona iglicą z kogutkiem. Godzinami przemierzał sieć parkowych alej, oplatających pałac książąt Sułkowskich. Budowlą wyznaczały cztery narożne wieże, a każda miała nasadzony hełm w kształcie spiczastej czapy. Włóczęga przez ogród opadający tarasowo od strony pałacu, poprzez klomby i fantazyjne „salony”, ścieżki flankowane pomnikami i mostki przerzucone nad „parterami wodnymi” poprzez cały ten gąszcz zielony, dawała chłopcu nie znane satysfakcje, kojące rozterki i przynoszące spokój. Tu nikt nikogo nie bił, nie krzyczał i nie znęcał się, nie zmuszał do wysiłku, pokory i kłamstwa, nie poniżał.

Wędrowkę swą kończył zwykle przed wejściem na rozległy cour d'honneur, ujęty w dwie ćwierćkoliste oficyny, które otwierały widok na wielką aleję prowadzącą do Leszna. Ten podwójny łuk zamykał stajnie i powozownie książęce, gdzie z ukrycia można było się napatrzeć do syta na cudowne rumaki, siodłane przez służbę i kłusujące w kierunku koszar korpusu kadetów księcia. Wejścia do pałacu, od strony frontu ozdobionego zawieszonym u szczytu herbem z mitrą książęcą i cyfrą Sułkowskich, strzegli dwaj gwardziści w perukach z harcapami, w kapeluszach stosownych, czerwonych rajtrokach i białych płudrach, wszystko na modłę saską, z bronią

nabita u nogi. Na widok tych dwóch cerberów myśl tajemna o wślizgnięciu się do środka umykała w popłochu.

Wolał te samotne wyprawy od gromadnych wycieczek po okolicy, które organizowali profesorowie w celach dydaktycznych. Nudził się wówczas i oczekiwał powrotu do konwiktów, nie dzielając ogólnej wesołości.

Tak minęło kilka miesięcy.

W ową sobotę pamiętną Dominik zbudził się wcześniej niż należało, umył, ubrał i zagłębił nos w kajecie, by kolan na rozkaz „jeometry” nie wycierać i różgi nie posmakować. Sobota była dniem najczarniejszym dla konwiktowej braci, dniem profesora Gansa, który kulawą polszczyzną geometrię wykładał. Trwoga wówczas i trudne do opisu przerażenie panowały na sali. Tej jednak soboty Gans, z klęczek po modlitwie wstając, wychylił solidny łyk „lekarstwa” i oznajmił, że lekcji zwyczajnej nie będzie i że pomaszerują na rynek, gdzie żołnierz–buntownik odbierze karę za dezercję.

Z Ganssem na czele, w równym szyku zaszli na plac, gdzie już i tłum spory począł się ustawiać, spychany na boki przez żołnierzy pruskich, odzianych w czerwone mundury. Ludzie szeptali, że jest to pułk pieszych grenadierów królewskich, maszerujących skądś tam, hen od Renu, gdzie straty znaczne poniósł, by w Prusiech zaodrzańskich rany lizać. Żołnierz ów, Polak jak mówiono, w czasie walki do legii polskiej generała Kniaziewiczza uciekł, ale podczas następnej potyczki w niewolę go wzięto i poznano. Bity był już pono dwa razy w czasie drogi, teraz trzeci tydzień, a więc i trzecia, ostatnia już w myśl regulaminu chłosta miała go dosięgnąć.

Na komendę podoficera czerwone mundury ustawiły się w dwa szeregi, oddalone od siebie na trzy kroki. Każdy z żołnierzy trzymał w ręku długi, ostro zakończony kij. Dominik nawet nie zauważył, skąd przywieziono skazańca, tak nagle pojawił się wózek z ofiarą. Młodziutki porucznik, z wąsem podobnym do kurczęcego puszkę, podszedł do starego, a może podstarzałego katorgą człowieka i uchwyciwszy dwoma rękami za kołnierz z tyłu zgrzebnej koszuli, gwałtownym szarpnięciem rozdarł ją na pół. Szmer przeleciał nad rynkiem i ludźmi szarpnął. Dominik stanął na palcach, by dojrzeć. Plecy nieszczęśnika były czarne jak jedna wielka pałuba. Podoficer skinął na dobosza, werbel zawarczał krótko do wtóru kilku słów wypowiedzianych ostro przez stojącego z boku sztaboficera i skazaniec, pchnięty między dwuszereg, począł iść. Na pierwszy świst kija, który wyrwał z piersi bitego głuchy jęk, Dominik skulił się, jakby to jego uderzono. Gdy oczy otworzył, świst zagłuszony wyciem nieludzkim nabierał już rytmu. Kije podnosiły się i spadały miarowo. Każdy żołnierz, jak lalka na sznurkach poruszana, zanim skazaniec doszedł doń, czynił krok w tył, odchyłał się, brał zamach i spuszczał pręt na kark

mijającego. Wzdłuż szeregu szedł ów młody porucznik o dziecinnej twarzy i co chwila podnosił głos, grożąc chłostą tym litościwym, którzy chcieliby zbyt lekko uderzyć. Nie żalowali więc, bili ile sił. Dominik, cały drżący, bo mu się nagle przypomniały słowa Hansa o bitym żołnierzu, spostrzegł, że na czarnym grzbiecie biedaka ukazują się czerwone strumyki, spływające wolno wzdłuż ciała jak krople wody w czasie deszczu, kiedy torują sobie drogą na szybie.

Każde uderzenie gięło idącego, jakby kije miały ciężar żelaznych drągów. Nim do połowy drogi doszedł, dwa razy klękał i dwa razy podniesiono go i pchnięto dalej. Wśród tłumu tu i ówdzie rozległ się szloch kobiety i milkł raptownie. Dominik, który stał obok Gansa, zauważył, że ten uśmiecha się z satysfakcją jawną, że oddycha dziwnie szybko, mrużąc oczy przed słońcem i oblizując spieczone wargi. Obok Gansa — Dominik wcześniej go nie widział — stał Deybel, wpatrzony w widowisko z jakąś chmurną uwagą. Wyglądało to, jakby studiował spokojnie mechanizm tego, co się dzieje, tym bardziej, że spluwał łuskami pestek, które gryzł na pozór beznamiętnie.

Lecz nagle Deybel nie wytrzymał, drgnął, jakby czując uderzenie kija na własnym karku. Chwilę się wahał, aż splunął gniewnie łupinami, cisnął o ziemię resztę pestek, odwrócił się do Gansa i wycedził z gniewem:

— To ohyda!

— Nie. To przykład i nauka! — „jeometra” uśmiechnął się, nie odwracając wzroku.

— Takimi obrazami chcesz pan edukować dzieci? Na katów? Po coś ich pan tu przyprowadził?

— Mówiłem już. Jest czas lekcji, czas nauki, Deybel — Gans nie tracił dobrotliwego wyrazu twarzy.

— Czy ksiądz Czekan o tym wie?

— Wystarczy, że ja o tym wiem. Jestem wicerektorem szkoły. Panu, Deybel, radzę o tym nie zapominać!

— Jesteś pan tylko zwykłą świnią, panie Gans — Deybel wymawiał te słowa powoli, jakby się bał, że nie zostanie dobrze zrozumiany — o tym nie trzeba nikomu przypominać. A mnie tylko wstyd, że obaj w żyłach nosimy germańską krew, bo pan jesteś zakałą, hańbiącą naród!

Gans zbladł, jak gdyby go w twarz uderzono, chciał coś powiedzieć, lecz zobaczył już tylko plecy Deybla, który przepychał się przez tłum. Większość uczniów nie zwróciła uwagi na zajście. Dominik, który stał obok i rozumiał niemiecki, pojął wszystko. Dostrzegł też, że nie on jeden — stojący nieco z tyłu Chłapowski, wpatrywał się teraz w Gansa identycznym wzrokiem. Po raz pierwszy Dominik poczuł, że łączy go z tym chłopakiem, którego od początku, od owej bójki nie lubił, jakaś wspólna nić.

Znowu odwrócił oczy ku kaźni, choć czuł wewnątrz mdlące obrzydzenie, i nie potrafił oderwać wzroku, tak jakby widok krwi miał nieznaną siłą przyciągania.

Krzyk dziki wydarł się nagle z piersi skazańca. Jedna trzecia szlaku pozostała mu do końca katorgi, gdy raptownie głową poderwał ku górze. Patrzył na rzeźbiony masyw grupy św. Trójcy, który mijał właśnie, usta otworzył i rękę wyciągnął, jakby o zmiłowanie prosił lub jakby szydził ze Stwórcy: takiś jest miłosierny? Trwał tak, a gdy pchnięto go, by dalej szedł, padł na twarz i już się nie podniósł. Słysząc tylko było, jak wiatr stuka w ścianę okiennicą oderwaną od haczyka. Żołnierz leżał, cały w posoce czerwonej, która w oczach chłopca zlewała się z kolorem mundurów. Dwuszeręg zamarł, nawet porucznik żółtodziób nie ruszał się z miejsca — chyba nie wiedział, co czynić.

Dominik nie potrafił znieść tego całunu żałobnej ciszy, tak jak nie mógł już dłużej obserwować ohydneho uśmiechu Gansa i wdychać słodkawego zapachu krwi. Odwrócił się na pięcie i roztrącając kolegów przeciskał się ku pierzei rynku, obojętny na fakt zrywania guzików i strzępienia surducika, najlepszego jaki posiadał.

— Rezler! Wróc! — zagrzmiało za nim.

Biegł przed siebie na oślep, jak wówczas przez sitowie, gdy zobaczył ojca z Anną.

— Rezler! — głos Gansa ginał w oddali.

Zdyszany słał się na nogach, ustał wreszcie, nieświadom dokąd dobiegł. Stał przed wysoką wieżą kościoła farnego. Nigdy tu jeszcze nie był. Pchnął drzwi, ciężkie, rzeźbione, potem nacisnął masywną klamkę i drugie drzwi ustąpiły. Zagłębił się w półmrok chłodny i orzeźwiający, który działał na rozdygotane ciało jak balsam ulotny, niematerialny. Nad nim rozpościerały się wielkie żagle sklepień nawy, spływające w barokowe sploty rzeźb wystroju, pomarszczone, najeżone setkami szczegółów, świecące. Lawina elips i kolumn miękczających załamania muru i flankujących ołtarze sprawiała wrażenie, że nie ma tu ani jednego kąta prostego. Cała ta sakralna „roślinność” tuliła Dominika do siebie, wsysała w kołyski swych wygięć i łuków, próbowała rozproszyć ciężar myśli zalewem ciekawostek i barw. Spod korony cierniowej po twarzy ukrzyżowanego Jezusa płynęła strużka krwi. Dominik wpatrzył się w nią i nagle zapłakał cicho i stał z opuszczonymi rękami. Wtem z ławki ukrytej we wnęce poderwała się postać niewielka, nie zauważona przez chłopca, podeszła doń i oparła dłonie na jego ramionach.

— Czemu płaczesz?

Dominik poznał, że stoi przed ojcem Czekanem, rektorem szkoły. Czekan

lekcji z nim jeszcze nie odprawiał, ale Dominik czasami widywał starca sunącego korytarzem szkolnym, z książką w ręku, i ustępował mu z drogi z nabożnym lękiem. Mądre oczy, patrzące ciepło spod siwych, krzaczastych brwi, mówiły mu teraz, że lękać się nie było potrzeby.

— Nie płacz. Jemu już nie pomożesz, chyba modlitwą, choć i ta mu pewnikiem niepotrzebna, bo za ten czyściec ziemski święty Piotr bramę niebieską bez pytania mu otworzy.

— Skąd pater wie, że... że oni... — ustające łzy łamały jeszcze głos dziecka i zlewały się z sapaniem księżowskiego nosa w kakofonię drażniącego chlipotu.

— Skąd wiem? Nieraz mękę człowieka oglądałem. Dzieje świata, dzieje to okrucieństwa i podłości, wybac mi, Panie, te słowa! Tegom widział, jak go na wózku wieźli. Śmierć już do niego wyciągała kikuty. I bez bicia dnia by nie przeżył. Prusak kiedy bije, do trumny człowieka posyła!

W Dominiku bunt jakiś zawrzał przeciwko temu mnichowi, tak łagodnie mówiącemu, jakieś szarpnięcie, sprzeciw.

— Przecież z wojska uciekł! Grzech to śmiertelny — wyjął to z ust kapitana Ertiego, wbrew samemu sobie, a przecież wymawiał. — Czemu to zrobił?!

Czemu?! Czemu?! Czuł, że chce zakrzyczeć prawdą, że co by pijar nie rzekł w tej chwili, słusznym będzie, bo za słowami jego jawić się będą plecy idącego przez różgi żołnierza i nie ustąpią, będą czerwieniły cały kościół, horyzont, wszechświat.

— Czemu? Nie pojmujesz jeszcze, że jako Polak do Polaków uciekł, do swoich? To jedno może pojmiesz, synu, że do takiego wojska uciekał, w którym żołnierza bić nie wolno, choćby nie wiem co uczynił!

Dominik patrzył szeroko rozwartymi oczami, długo zapewne, bo ksiądz, ręką mu skinąwszy, odwrócił się i chciał odejść. Chłopiec chwycił go kurczowo za rękaw habitu i nic nie mówiąc w miejscu trzymał, z głową opuszczoną do dołu, żałosny, z drgającymi ramionami. Czekan pogłaskał go po włosach, ramię delikatnie oswobodził i podreptał ku zakrystii.

Gdy Dominik wrócił do szkoły i otworzył drzwi do klasy, nie zdążył się już cofnąć. Gans wciągnął go błyskawicznie do środka, pchnął w przeciwległy kąt i uśmiechając się po swojemu sięgnął po różgi. Dominik ze wzrokiem wbitym w nauczyciela, z czołem, które zaczęły pokrywać kropelki potu, cofnął się za szereg ław, ręką opierając się o ścianę i poruszając trzęsącymi się ustami:

— Nie... nie... nie...

— Do mnie, Rezler! Estymy dla profesorów brak ci, tedy ci jej wpoić

niecو należy. Chodź tutaj, już!

A gdy Dominik dalej cofał się, aż się plecami oparł o kąt komnaty, Gans skoczył ku niemu z ręką rozcapierzoną, wyciągniętą przed siebie, do chwytu przygotowaną. W ostatniej chwili Dominik uskoczył i zaczął biec ku drzwiom, lecz Gans przesadziwszy rząd ławek, uprzedził go, zamknął swym cielskiem drogę i sieknął chłopca po zasłaniających twarz rękach. Pchnięty przez „jeometrę” przewrócił się na kolana i poczuł kilka palących jak ogień razów na grzbiecie, gdy wtem drzwi do sali otwały się i ktoś wrzasnął:

— Proszę go zostawić, panie profesorze!

Chłapowski stanął między nimi i osłonił Dominika. Gans na tak jawną zuchwałość ucznia, jakiej oczy jego nigdy nie oglądały, z wrażenia aż się cofnął o krok do tyłu i zamarł na sekundę.

— Ty... ty polskie ściervo, ja ci... z drogi!

Zamachnął się szeroko, ale nie uderzył. W tej samej bowiem chwili Chłapowski miękkim ruchem położył dłoń na olbrzymim, szpikulcem zakończonym cyrkle, który leżał na stole, ścisnął go w dłoni, aż się oba ramiona cyrkla zwały z trzaskiem i sprężony, pochylony do przodu czekał. Dominik leżąc, nie mógł widzieć oczu kolegi, ale musiało być w nich coś strasznego, gdyż Gans zamarł jak posąg, z ręką wzniesioną do ciosu. Stali tak obaj naprzeciw siebie, bez ruchu, gdy w otwartych drzwiach klasy zamajaczyła postać w habicie. Był to Czekan, który nie wchodząc do klasy zawołał:

— Panie Gans, proszę do mnie!

Gans, nie wypuszczając różeg z dłoni, odwrócił się na pięcie i pomaszerował zarektorem. Z korytarza słychać było jeszcze pytanie pijara:

— Jakim prawem poprowadził pan uczniów na kaźń nieludzką bez mojej wiedzy i zgody?

Nie słydzeli, co odpowiedział Gans, lecz gdy po kilku minutach „jeometra” opuścił pokój rektora, patrzył wokół ślepiami obitego psa.

Gdy wracali wolno do konwiku, Chłapowski wyciągnął rękę.

— Nie sroż się już i bądź mi druhem.

— Nie srożę, wdzięczny ci jestem, dzięki — i podał dłoń.

— Aleśmy jeszcze nie kwita, bom ja cię wtedy więcej razy prasnął, pamiętasz, przy piecu — zaperzył się Dezydery. — Tedy jeśli chcesz, walnij mnie teraz ze... no, ze dwa razy i tego... no, będziemy kwita.

Dominik roześmiał się i kiwnął głową, że się nie zgadza.

— To wiesz co? — Chłapowski wyraźnie był zadowolony, że się tak skończyła jego propozycja. — To spełnię jedno twoje życzenie, kiedy i co będziesz chciał. Dobrze? No zgódź się, dobrze?

— Dobrze! — Dominik objął go ramieniem i zagwizdał z uciechy.

Trzy lata rydzyńskiej szkoły uczyniły z Dominika małego mężczyznę. Latem, na Wielkanoc i na Boże Narodzenie ojciec brał go do domu i czułość mu okazywał większą niż wówczas, gdy dworu nie opuszczał, brał ze sobą na polowania i do konia przyuczał. Dominik otrzymał w podarku gwiazdkowym zgrabną strzelbę, lekką i daleko bijącą, a wkrótce i konia własnego. Klaczka to była, trzylatka, kara, z pęciami srebrzystymi i takimż nosem, łagodna i w cuglach chodząca bez oporu, dobra skoczka i biegunka. Teraz Dominik na łąkach i po gościńcach mógł używać, teraz dopiero zaczął tęsknić za domem. Gdyby jeszcze Janek był, gdyby tak po polach, po wsiach, galopem, razem... Dopytywał się też o brata nieustannie, ale ani Rezler, ani służba, nawet wszystko wiedząca Greta, pojęcia nie mieli, gdzie młody Karśnicki przepadł.

Ostatnia wiadomość pochodziła sprzed kilku miesięcy i wiązała się z wizytą tajemniczego gościa. Po wizycie tej ojciec musiał już coś wiedzieć, Dominik nie miał co do tego wątpliwości, ale wydobyć ze starego choć pół słowa o Janku było niemożliwością. Ojciec twierdził niezmiennie, że o niczym nie wie i wiedzieć nie chce. A zdarzyło się wszystko w czas Bożego Narodzenia roku 1799.

Dominik przybył wówczas do dworu po raz pierwszy nie przywieziony, lecz sam i zastał w domu obcego. Niewielki człeczyna w okularach przyjechał kilka godzin przed Dominikiem i czekał na ojca, który w towarzystwie Borka wybrał się do Poznania i miał wrócić dopiero pod wieczór.

Przybysz, który podawał się za kupca wiedeńskiego, siedział w salonie popijając likier — Anna usłużnie podsunęła butelkę — i ćmił małą, dwukrotnie załamaną fajeczkę. Na widok Dominika ożywił się, przedstawił, mamrocząc nijakie nazwisko i o szkołę zagadnął, na co chłopiec dał odpowiedź uprzejmą, lecz krótką, prawie wymijającą. Dopiero gdy nieznajomy o brata zapytał, Dominik rzucił się ku niemu pytając, czy jakowych wiadomości nie przywozi od Janka. Tamten jednak niewiele chciał mówić i pomimo gorących nalegań nic nie rzekł ponad to, że brat jest zdrow i że pewnie wróci do nich rychło, co zresztą od ojca zależeć będzie. Dominik nie pojmował, w jaki sposób powrót Janka mógłby zależeć od woli ojca, ale nieznajomy uśmiechał się tylko i pytania wszystkie zbywał umiejętnie.

Rezler wrócił późno.

Dominik uściskał ojca i zdziwił się, widząc go innym niż przed pół rokiem, starszym jakby, przygarbionym, bez dawnej energii sprężonej w oczach i gestach. Ojciec, o gościu usłyszawszy, pośpieszył do salonu i zamknął za sobą drzwi. Z komnaty tylko od czasu do czasu przebijały się głośniejsze wyrazy: Krakau... podejrzenie... spiskowiec. Spiskowiec! O Janku była to z pewnością mowa. Musiał się w niezgorszą wdać kabałę i teraz przyjaciela

wysłał z wiadomością. A dlaczego do ojca? Nieważne, jedno co jest istotne to to, że dał znak życia. Dominik pomyślał ciepłej o przybywszu. Wtem z salonu dobiegł ryk ojca:

— Dziesięć tysięcy? Oszalałeś, mój panie!

Padło jeszcze kilka słów, ciszej już wypowiedzianych i zatupotały kroki zdecydowane, zmierzające ku drzwiom. Dominik nie ruszał się z miejsca, w którym zostawił go ojciec po powitaniu. Drzwi rozwarły się i stanął w nich ów kupiec wiedeński. Wargi miał ściśnięte grymasem gniewu, kapelusz na głowę nasadził i nie zamykając za sobą drzwi ruszył do wyjścia. W przedsionku otarł się o wchodzącego Borka, który skłonił się nisko i podśpiewując wkroczył do salonu. A raczej wkroczyć zamierzał, bo nim drzwi zatrzasnął, Rezler wyszeptał z trudem, jakby czując w gardle silny ból:

— Zawróć... zawróć go!

— Kogo? Tego wywłokę z Galicji?

Borek nie rozumiał lub głupiego udawał, ale mu to na dobre nie wyszło. Rezler jak kot go dopadł i warknął do ucha:

— Szybciej! Kijów dawno nie wachałeś?!

Pisarz jak obłany ukropem skoczył w te pędy za kupcem. Przybysz niby to ociągał się, lecz w oczach radość mu błyszczała. Wiedział, że wygrał.

Drzwi zamknęły się znowu. Długo nic nie było słyhać, wreszcie głos ojca podniesiony:

— ...I rewers pan podpiszesz. To po pierwsze, a po drugie... — i znowu ciszej. Drzwi otwarły się raz jeszcze. Nieznajomy skłonił się, Rezler nie drgnął, lecz gdy już tamten w przedsionku zniknął, krzyknął raptownie:

— Herr Schroger!

Kupiec odwrócił się zdziwiony.

— Herr Schroger. Jeśli umowy nie dotrzymasz, przysięgam, że cię wydobędę spod ziemi i że cię wtedy cała policja cesarska nie obroni!

— To są słowa bez pokrycia, panie Rezler. Straszyć nie powinieneś, bo mścić się nie byłbyś w stanie. Kupiecka to umowa, nie wolna od hazardu. Ale się nie turbuj. Dotrzymam słowa!

I zniknął w mroku.

Rezler oparł się o ścianę, jakby go niemoc nagła schwyciła i zaczął się wlec do komnaty, krok za krokiem. Borek wyskoczył mu naprzeciw, piszcząc cienko:

— Jaśnie wielmożny... panie... toż... Jezuuuu! Dziesięć tysięcy talarów, za takiego... buntownik niecny... panie!

Szarpał Rezlera, nieprzytomny, zrozpaczony, żaloszny, jakby go niespodziewanie okradziono, skrzywdzono. Rezler głowę podniósł, popatrzył

w rozpalone Borkowe gały, chwycił go za kołnierz gardło ściskając, aż tamtemu oczy na wierzch wylazły i syknął:

— Milcz! Zapomniałeś, gadzie, kto cię pod kościołem przed Czamockiego szablą piersią własną zastawił? Ziemię byś jadł od lat! Moich spraw nie tykaj, bo ci gnaty połamię. Rachunek jemu spłaciłem — ledwie słyszalnie wymawiał wyrazy, szeptał — i... i jej też... A teraz precz!

Borek poleciał do tyłu, dusząc się i za gardło stłamszone chwytając. Dyszał chwilę, tchu złapać nie mogąc i wyczołgał się na zewnątrz.

Rezler długo jeszcze sterczał oparty o ścianę, nie dostrzegając syna i zanim do salonu postąpił, Dominik usłyszał szmer słów. Ojciec mówił z wysiłkiem ni to do siebie, ni do kogoś nieobecnego:

— Mario, widzisz... widzisz, Mario...

Zrozumiał, że ojciec mówi do matki i że przed chwilą, samego siebie łamiąc, uczynił coś dla Janka, po raz pierwszy i zapewne ostatni, lecz coś tak wielkiego, że teraz sam nie był w stanie tego pojąć.

Rankiem następnego dnia Dominik zobaczył, że głową ojca pokrywa srebrzysty biały nalot.

* * *

W ostatnim roku nauki Dominik większość czasu spędzał z Chłapowskim albo u księdza Czekana. Pijar ów był nauczycielem historii naturalnej i w gabinecie swoim posiadał bogaty, fascynujący chłopca zbiór fauny i flory. Roiło się tu od wypchanego ptactwa, przyszpilonych do tekturki owadów i płazów zastygłych w spirytusie. Woń z gabinetu, w którym ojciec Czekan preparował szkieleciki stworzeń, przeganiała wścibskich, tych, którym przychodziła chętka wdrzeć się do tego sanktuarium. Dominik z trudem przywykł do fetoru, ale przywykł i lubił zamykać się z księdzem sam na sam w owym pokoju, gdzie nawet druh serdeczny, Chłapowski, nie zaglądał.

W czasie ich wspólnych posiedzeń chłopak mało mówił — czasem spytał lub przytaknął, zaś pijar ust prawie nie zamykał, księgi bogato ilustrowane otwierał przed młodym Rezlerem, tłumaczył, perorował zaciekle, wyjaśniał lub klócił się zapalczywie, umysł wysilając, by argument znaleźć w materii, którą roztrząsali. A nie o owadach i nie o roślinach rozprawiali.

Innym był już człowiekiem Rezler, gdy Rydzyne opuszczał, coś wewnątrz niego przełamało się, jakieś szale zachybotwały się po raz ostatni i zatrzymały w bezruchu, w innym niż kiedyś położeniu. Ból, który każdy dzień życia przynosi, przestał być już bólem dzieciennym, a dojrzałym się stał, prawdy jedne umarły, nawożąc glebę, na której inne wyrosły...

Gdy Rydzybę żegnał, myślał już o Berlinie; ojciec posyłał go tam do sławnej Artillerieacademie, a Dominik namówił do tego samego Chłapowskiego i Tancewicza i teraz był rad, że się sam nie zostanie w nowym środowisku.

Zanim jednak pożegnali miasto, szkołę, konwikt i współtowarzyszy, dokonali gromadnie aktu zemsty na zniechęconym belfrze. Zemsta miała być równie wyrafinowana, co nowoczesna. W ostatniej klasie rydzyńskiej szkoły, w czasie gdy Dominik kończył nauki, wprowadzono zajęcia z fizyki i chemii. Nauczyciel z Berlina przybyły, Holender z pochodzenia, o nazwisku Purbus, prowadził wykłady oparte o teorię Lavoisiera, Fourcroya i innych, a także ćwiczenia z elektrycznością, czym rozpałał wyobraźnię wychowanków. Każdy z uczniów marzył o posiadaniu elektroforu lub nawet — o zgrozo! — „maszyny elektrycznej”, z którego to powodu najbardziej ucierpiały rydzyńskie koty. Purbus twierdził, iż kot zawiera w sobie płyn elektryczny, który łatwo można wydobyć, pocierając sierść zwierzęcia pod włos.

Wieczorami brać konwiktowa urządzała regularne polowania z nagonką na biedne stworzenia, które następnie, mimo rozpaczliwego oporu i wrzasku, tarło ile sił. Iskry sypały się w ciemności, a młodzi fizycy promienieli dumą, prezentując swe umiejętności kolegom z młodszych klas.

Później przyszła moda na chałupnicze elektrofony, majsterkowane z drewnianego talerza, wylanego lakiem zmieszonym z żywicą i z tej samej wielkości co talerz tekturowego koła, wytapetowanego srebrnym papierem i utrzymywanego na czterech jedwabnych sznurkach, związanych ze sobą. Lisim ogonem, a o te nie było trudno, uderzano w elektrofor, wzbudzając w nim prąd elektryczny, iskry chwymano na srebrzoną tekturę, a następnie magazynowano je w tak zwanej butelce lejdejskiej, którą każdy mógł sporządzić z łatwością, po czym uderzano nagromadzonym płynem jakiegoś profana. Ten zaś, wstrząśnięty ukłuciem, doznawał niespodziewanych i niezbyt miłych emocji. W ten właśnie sposób miano pokarać „jeometrę”. I w tym celu, własnym przemysłem i w wielkim trudzie, lecz z pomyślnym skutkiem zbudowano najprawdziwszą „maszynę elektryczną”.

Pierwszym krokiem przedsięwzięcia było zebranie skromnych zasobów finansowych, co pozwoliło uciulać kapitał wynoszący równo cztery talary. Oddali je w ręce Dominika, który, choć dawniej do przywództwa się nie rwał, teraz z całą energią kierował przedsięwzięciem, wspomagany przez Chłapowskiego, Tancewicza i kilku innych. Najpierw Skulski, który nie zapomniał batów otrzymywanych od Gansa, kupił taflę grubą po stłuczonym zwierciadle, kazał szklarzowi obciąć ją na okrągło i zrobić dziurę w środku dla obsadzenia walca, na którym miało obracać się koło. Chłopak od stolarza

zrobił drewniany postumencik i dwa słupki do obsadzenia korby i walca. Inny chłopak, mały Żydek od rękawicznika, zeszył dwie poduszeczki z irchy. Zostały one wysmarowane przez spiskowców amalgamą z cynku i merkuriusza. Cztery „butelki lejdejskie” dźwigały deseczkę, stanowiącą stół elektryczny, która mogła unieść ciężar stojącego na niej ucznia. Druty do przeprowadzenia prądu nic nie kosztowały, urwano je gdzieś od dzwonka w sieni. I tak powstała „maszyna elektryczna” za jedyne trzy uczniowskie talary. Trzeba było teraz tylko wypróbować jej działanie! Ba! Ale na kim? Chętnego śmiałka, który by się zgodził poddać próbie, nie było. Przez tydzień targowano się, losowano, namawiano, ośmielano... bez skutku. I wówczas Dominik wpadł na szatański pomysł.

— Chłapowski, kładź się na deskę! — rozkazał na kolejnym posiedzeniu konspiratorów.

— Ja? zwariowałeś? Dlaczego właśnie ja?

— Ktoś musi!

— No to sam się połóż! Patrzcie go, mądry się znalazł. Dlaczego właśnie ja, a nie ty?

— Bo ja ci nie obiecywałem, że spełnię twoje życzenie, jakie by ono nie było! Zapomniałeś?

Pozostali, wpatrzeni w nich, nie bardzo rozumieli, o co chodzi, ale na widok twarzy i milczenia Chłapowskiego pojęli już, że oto wreszcie jest delikwent na próbę. Dezydery stał chwilę oniemiały, po czym westchnął cicho, spuścił głowę i podszedł powoli do piekielnego mechanizmu. Zanim się położył, mruknął jeszcze w kierunku Dominika:

— Ale ty jesteś świnia, niech cię lichy!

Brać cała na te słowa kwiczeć zaczęła ze śmiechu, Dominik aż się za brzuch trzymał na widok zbolalej miny Dezyderka. Ten zaś w chwilę później napompowany płynem, leżąc na stoliku elektrycznym, za przyłożeniem ręki miotał iskrami lecącymi z nogi lub ucha, lub nawet nosem i ustami je wypluwał. Gdy do włosów dłoni zbliżano, jasna czupryna Chłapowskiego podrywała się na baczność, jak ze strachu. Sukces był całkowity. Gansowi można węgrzyn w butelce na płyn zamienić i w ten sposób sam się napompuje! Jedna tylko troska pozostała: jak ułożyć Gansa na stoliku? Myślano długo i mozolnie, za ostatni z czterech talarów nagrodę nawet wyznaczono dla tego, kto pomysł sposobny podda. Wszystko na próżno. Najbardziej wściekły był Chłapowski, że jego poświęcenie pójdzie na marne.

Dzień zakończenia roku zbliżał się nieubłaganie, a pomysłu wciąż brakowało. Rozpacz czarna ogarnęła spiskowców. Tylko Dominik nie tracił wigoru. Za owego talara kupił pieprzu i butelkę węgrzyna, którą opróżnił,

przelewając zawartość do innego naczynia.

W dniu uroczystym zegnał absolwentów ksiądz rektor Czekan, wicerektor profesor Gans i całe grono pedagogiczne, zasiadające za dębowym stołem o krzywych nogach. Gdy Czekan kończył uroczystą przemowę, Gans, w czeluść surduta odświętnego rękę zapuściwszy, „lekarstwo” wydobył i za fotel sąsiada lekkim, niby naturalnym przechyłem się kryjąc, łyk zdrowy pociągnął.

Później działy się rzeczy niesamowite, jakich rydzyński przybytek nie widział ani przedtem, ani potem. Gans bluznął na stół fontanną pieprzu pomieszanego z wodą, począł się krztusić i pluć naokoło, paskudząc profesorom odzież świąteczną. Ci rwetes podnieśli, od stołu się zerwali i wycierali, przy wtórze idącego od sali śmiechu. Uczniowie wyli z uciechy.

Dominik, rzecz dziwna, jedynym był chyba, który się nie śmiał. Czuł, że to ostatni sztubacki figiel, jaki splatał i że od dziś los jemu będzie płatał figle znacznie poważniejsze.

Długie chwile minęły, nim porządek jaki taki przywrócono na tyle, by — już w nieobecności „jeometry” — można było wręczać promocje i świadectwa. Dominik, jak i inni, swoje z rąk Czekana odebrał, spodziewając się zwykłej formuły gratulacyjnej. Ale stary pijar, rękę mu ściskając, szepnął jedynie:

— Wiesz teraz, co w życiu Polaka pocziwego najpierwsze?

— Wiem!

— Gdy brata spotkasz swego, powiedz mu... powiedz, że mu ciebie zwracam, od matki waszej! Żegnaj!

Dominik schylił się i jak było przepisem nakazane, przycisnął usta do dłoni starca.

Wspomnienie 2

Cienie wysp dalekich

— Bzdury, mój drogi Massèna! Godzina policyjna nie rozwiąże sprawy. Trzeba rozstrzelać kilku podżegaczy, a jeśli to nie wystarczy, to kilkudziesięciu lub nawet kilkuset! I nie trzeba tego stawiać na płaszczyźnie sumienia. To jest konieczność wynikająca z rozkazów Konsula. Mamy utrzymać to miasto i utrzymamy je, a środki, jakich użyjemy, zostaną uświęcone przez cel! Konsul musi mieć czas na sforsowanie Alp. Kiedy armia rezerwowa ruszy z Dijon...

— Właśnie, kiedy ruszy? Już maj... — Massèna przerwał Soultowi, który, jakby zmęczony zbyt długim wykładem, szeroką koronkową chustką z monogramem ocierał pot z czoła.

— A czym chcesz strzelać do tych obwieszonych złotem bękartów? Gaubert nie nastarcza z odlewaniem kul, brak ołowiu, brak wszystkiego, wszystkiego, Soult!

— Więc wycieczka!

— Wycieczka. Jeszcze jedna... może. Gdy się nie powiedzie, miasto przepadnie. Hazard.

— Karsnecky poprowadzi, zna ich pozycje i nowe ścieżki. Prawda, mon petit?

Nazwisko, przekręcone zabawnie przez Soulta, zabrzmiało donośnie, podrywając mnie na baczność.

— Avec joie, mon général! — wypaliłem bez namysłu.

— Et voilà! — Soult wskazał na mnie, jakby ta odpowiedź całkowicie rozwiązywała problem.

Massèna skinął, bym się zbliżył do mapy. Miasto, osadzone u stóp poprzecznej gałęzi Apeninów, w głębi zatoki, z siecią ulic i placów, z kościołami, blokami zabudowy, willami i pałacami, z meandrami fortyfikacji i fos, marszczyło się na okraszonej brązowymi zaciekami, podklejonej płótnem płachcie, zbyt barwne, niepodobne do okrutnej rzeczywistości, która czyhała na zewnątrz pałacu. Dwie gałęzie wzgórz wraz z wybrzeżem morza tworzyły trójkąt, w którego podstawie leżała twierdza. Jądem twierdzy było miasto, zbrojne nad wszelką miarę. Portu broniły dwie krzyżujące się tamy, lądu zaś górski trójkąt, o którym wspomniałem, najeżony szańcami i bateriami. Nad wierzchołkiem trójkąta panowały dwa spiętrzające się forty: Ostrogi i Diamentu. Patrząc od strony morza, tak jak była ustawiona mapa, miało się po

prawej stronie miasta, na wschodzie, zbiega Monte Ratti i rzekę Bisagno, spadającą z gór Monte Creto, a po lewej rzeką Polcevera, płynącą przez dolinę o tej samej nazwie. W lewym dolnym rogu mapy stwór olbrzymi, pokryty łuską, rogaty i dzierzący trójzab, ciągnął na rozdwojonym ogonie, po powierzchni kreskowanego morza, elipsą ze stylizowanym napisem: „Genova”.

— Któredy radzisz i kiedy? — te słowa do mnie były zwrócone. Na drugą część pytania odpowiedziałem z łatwością. W nocy, z soboty na niedzielę, było najdogodniej. Austriacy piją wówczas w swych okopach, w namiotach hulanki z dziewczkami urządzają, oficerów zaś trudno uświadczyc, ruszają do zamtuzów, które w Voltri urządzili. Ale któredy?

— Chyba tu — wskazałem niepewnie. — Monte Ratti!

— Zobaczmy — mruknął Massèna i mapę wygładził dłonią. — Zobaczmy! Byle księżyc pyska nie wychylił, bo go kartaczem poczęstuję!

Wybuchnęliśmy śmiechem. Soult nalał do kieliszków wina, młodego i kwaśnego — stare tylko chorym i rannym przysługiwało — i wzniósł toast. Pierwszy raz dostąpiłem zaszczytu przepijania z obydwoma generałami, dumny byłem jak paw. Gdyby Andrè to widział!

Chwila była, jedna z nielicznych, zupełnego spokoju. Anglicy po wczorajszej nauczce cofnęli swe okręty w głąb horyzontu, Austriak również milczkiem warował. Czasami tylko zabrzmiał strzał karabinowy — pewnikiem do ptaków strzelano, z nadzieją na pieczyście. I znowu słońce i chłodny powiew od morza dawały złudzenie spokoju. Wojna, obrona Genui, ofiary, wszystko to zdawało mi się odległe i nierealne. Massèna i Soult, pochyleni nad mapą, kreślili linie i punkty zamaszystymi ruchami ramion, ja cofnąłem się ku loggi i siedząc w trzciniowym fotelu zamknąłem oczy.

Czy się Genua obroni skutecznie? Gdy Mantua padła, Polaków—dezertersów Austriacy puścili przez kije. Prawda, że zwykłych jeno rekrutów, oficerów nie śmieli, alem i ja u nich jako rekrut w szeregu chodził. Dopiero Soult, gdym się ciemną nocą z okopu austriackiego wyrwał, wiadomości załodze przynosząc bezcenne, adiutantem mnie swoim uczynił, jako że szyki i szançe Otta — na mapę je naniósł zaraz — znałem i języki nie obce mi były, francuski i niemiecki. Może zaś chciał mieć Polaka za adiutanta, jak i Massèna.

Jako adiutant Souлта pełniłem funkcję łącznika sztabu z batalionem, który się składał z dezertersów austriackich, takich jak ja, jeno kmiotków, głównie z Galicji. Szef ich, Rossignol, rzekł mi później, że tej samej nocy co i ja prawie dwa tuziny Galicjan z szeregów Otta do twierdzy umknęło. Rwałem się, prawdę rzekłszy, do pułkownika Strzałkowskiego, który w Genui tysiącem

legionistów komenderował, atoli zaszczytnej propozycji Souлта odrzucić się nie godziło i nie dane mi było wykrwawiać się z Polakami. Wykrwawiać prawie, bo też posyłał ich Massèna w ogień największy, wiedząc, że podolają tam, gdzie i Belzebub ogon by podwinął.

Ileż dni i tygodni czekałem na tę noc wymarzoną. Razem trzy miesiące, a to jest czternaście tygodni, sto dni długich jak cały mój pobyt w lochu, a może i dłuższych jeszcze, bo w znienawidzonym moderunku, pod parszywą komendą w cesarskim szyku, przeciw swoim! Człowiek strzela, a Pan Bóg pono kule do celu nosi, a ja się na Pana Boga zdać nie mogłem. W linii stojąc, w niebo celowałem, tak by nikomu krzywdy nie uczynić. Ładunków napsułem co niemiara. Gdy w wąwozie Scoffera rozstrzeliwano francuskiego szpiega, stojąc pośród plutonu egzekucyjnego wypaliłem nieszczęśnikowi koło ucha. Nie ma obawy — nie chcąc nie mogłem trafić, jaskółki z nieba strącam z wolnej ręki. Biedakowi przywiązanemu do drzewa pomogło to jak umarłemu kadzidło, ale ja sumienia krwią swoich — bo za swojej sprawy orędownika szpiega owego uważałem — nie pokalałem.

Gdy mnie w Krakowie do kazermy prowadzili, w tłumie dostrzegłem Cyganek ową, co mi przez wieczność w kazamacie spędzoną z serca uciec nie potrafiła, znaki mi jakoweś dająca, których pojąć nie potrafiłem. Potem wędrowałem do Italii wraz z regimentem, z Węgier, przez Wiedeń, Tyrol, aż nad brzegi morza, pod Genuę. Ileż to razy szykowałem się do Dąbrowskiego uciec, mundur plugawy podeptać, pełną pierś oddechu zaczerpnąć i krzyknąć: „Witajcie, bracia!” Na próżno, żywo mi w pamięci stała niedola tych niezręcznych, których przychwycono. Lepiej już sobie w łeb wypalić.

Owej nocy deszcz lał taki rześisty, że na krok nie było widać, jak we mgle. Siedziałem skulony, kryjąc się jak i drudzy pod płaszczem, na którym ulewa melodią swoją wybijała. Wtedy decyzją podjąłem. Skok... nikt nie zauważył, jak zniknąłem w mroku. Przedzierałem się ku obleżonemu miastu. W obawie, by mnie Francuzi kulą nie poczęstowali, zrzuciłem z grzbietu wszystkie łachy i w kalesonach samych, jak turecki święty podążałem ku murom. Deszcz smagał gołe ciało, lecz ja ani zimna, ani wilgoci nie czułem, o jednym tylko myśląc i Boga suplikując, by mnie przy życiu zachował. Widać i ludzi Massèny deszcz odarł z czujności — cóż za okazja do udanego szturmu, myślałem wówczas — bo przeszedłem przez wszystkie posterunki na fortach ubezpieczających miasto bez zatrzymania i dotarłem do przedmieścia św. Pawła z Arena, gdzie w małym domku gospodarz w koc mnie owinął jak niemowlaka i Francuzów na życzenie moje sprowadził.

Tak oto w ostatnich dniach kwietnia 1800 roku znalazłem się w mieście Genua, bronionym przez generałów Massènę i Souлта. Pierwszy Konsul

Bonaparte, którego nie znając miłowałem na śmierć i życie, za legiony, które wolność miały ponieść do kraju, obiecywał Massènie, że naczelnemu Austriaków, Melasowi, spadnie na kark przez Alpy. Massèna czekał na ów cios, a wszystko, co mu czynić należało, to czekać właśnie; czekał jak na zbawienie, albowiem miasto obleżone przez 24 000 Austriaków Otta i blokowane przez flotę angielskiego admirała Keitha dusić się od wewnątrz zaczynało.

Już w połowie kwietnia, gdy Austriacy i Keith zamknęli pierścień obleżenia, Massèna rozpoczął skup żywności. Skutek był mierny. Wówczas Francuzi rozpoczęli rekwizycje. Skromne, ściśle wydzielane racje rozdawano żołnierzom i biedocie. Patrycjat i szlachta genueńska, która w złoto opływała, sami sobie niegorzej radzili. Gdyby chociaż obrony utrudniać nie chcieli. Zdrada im jednak z oczu wзираła tak jawna, że Massèna, choć dowodów na zmawianie się z wrogiem i podburzanie ludu nie posiadał, utworzył gwardię narodową z patriotów liguryjskich, z plebsu i z burżuazji niezamożnej. Gwardia owa, wymierzona przeciw kontrrewolucji, wspierana przez Francuzów, którzy obozowali na głównym placu miasta z lontami zapalonymi u dział, miała obowiązek gromadzić się na uderzenie w bębny, alarm oznajmujące. Hasło to było jednocześnie rozkazem dla reszty mieszkańców, by do domów swoich wracali. W zwyczajnym czasie, od godziny dziesiątej wieczorem obowiązywała godzina policyjna i zakaz wszelkich zgromadzeń.

Ksiądz Lomazzo wiele prawił o jakobinach, którzy krew niewinną rozlewali. Jeśli ci ludzie przed uciskiem i głodem broniący dzieci swych i kobiet tymi właśnie jakobinami być mieli, to daj ich Boże więcej. Bonaparte wolność i chleb ludziom tym przynosił! Marzyło mi się, że taką samą wolność poniesie i do nas, i przez cały świat. Murzyni, hen na Antylach, z których André przybył, wolności już kosztowali, zrzucali z rozkazu rewolucyjnej Francji kajdany i łańcuchy, którymi ich przez wieki całe obarczono, teraz zaś lud włoski w ciemnocie przez mnichów trzymany wolności pierwsze pędy wachał. Najpierw powiedziały nam to rozkazy dzienne Konsula i naszych generałów, potem już odezw i dekretów nie trzeba było, samiśmy to widzieli na oczy nasze. Wiem, nie wszystko podobać się światu mogło. I nie o stan mój szlachecki mi szło, przez rewolucję z mieszczanami i gminem na równi postawiony, bo mnie Gil z niejednego wyleczył zaćmienia, lecz o zbrodnię na królu popełnioną, o te tysiące ofiar Nieprzekupnego, gilotynom na żer wydanych i o zgnilizną Dyrektoriatu, który zamtuż śmierdzący z Francji uczynił. Chwała Pierwszemu Konsulowi. On pięścią stalową robactwo zdusił i Francją ku sławie wiekopomnej wiedzy, innym narodom wolność ofiarowując po drodze. Z Italii do Wielkopolski droga daleka, ale człek ten, tak hojny, że

innym bogactwo woli własnej ofiarowuje, wróg kajdanów największy, drogą tę odnajdzie. Już Moreau na północy Prusaków szarpie. Niech jeno Bonaparte z Melasem się rozprawi, razem z Moreau Ren przekroczą i ruszą szlakiem na wschód, z nim zaś razem legiony nasze. Takem miarkował.

Otwarłem oczy, na duchu podniesiony, i do Genui wróciłem myślami. Nie było czego zazdrościć Massènie. Gdy pierwsze zapasy strawione już zostały, a nie ustawały donosy o zbożu chowanym przez patrycjat, général-en-chef zarządził rewizje w pałacach. Żyta i owsa wory całe z piwnic wyciągano, lecz że gąb do karmienia było sporo, na piętnaście tylko dni starczyć to mogło. Korsarzy liturgijskich i korsykańskich sownie opłacono, by koraby kupieckie na Morzu Śródziemnym rekwirowali, lecz jedynie kilku śmiałkom udało się przerwać brytyjską blokadę. Głód w ślepia zaglądał, szczurów już nawet — bo o koniach dawno zapomniano — brakować zaczynało. W podwójnej linii wałów dwanaście z piętnastu tysięcy żołnierzy zdolnych było jeszcze do boju, brakowało amunicji, brakować poczęło nadziei.

Adiutant Massèny, Polak jako i ja, choć matkę miał Francuzkę i nad Sekwaną się urodził — Frączewski, wpływ przez morze blokadę przerwał koło Finale, w pobliżu Nicei. Czy się do Sucheta i dalej do Bonapartego przedarł? — któż mógł wiedzieć. Ruszył drugi wysłaniec, Lescuver, z ponagleniem do Konsula. Lecz Ott ani drgnął. Gdyby armia rezerwowa ruszyła z Dijon, Ott musiałby oblężenie zwinąć, by mu na kark nie wskoczyły oddziały nasze. Ale Ott trwał.

Z zamyślenia wyrwała mnie kanonada potężna, dochodząca gdzieś z daleka od Monte Creto. Massèna skoczył do okna i firankę szarpnięciem odsunął.

— Austriacy biją ze swych gniazd, ale przecież nie do nas, bo kule nie ptaki, tak daleko nie polecą!

Spojrzał na Souлта z radością. Obaj już się domyślili i ja też — ktoś musiał Otta ukłuć w plecy.

— Bonaparte idzie! — krzyknął Soult, gdy w tej samej chwili drzwi się rozwarły i stanął w nich oficer służbowy, anonsując parlamentariusza. Ten, nie czekając wezwania, do komnaty wstąpił, sprężył się przed Massèną, obcasami strzelił i papier jakowyś okazał, a oczy mu się śmiały, jakby wór złota znalazł.

Massèna bez pośpiechu rozwinął pergamin, czytał chwilę i śmiechem ryknął serdecznym, choć mnie się wydawało, że sztuczny był to śmiech. Pyszna scena, nie mojego pióra godna. Oficerek wyprężony jak trzcinka, z uśmiechem bezczelnym i generał w pysk mu się śmiejący, tak iż tamtemu tupet począł z gęby zjeżdżać, a zęby wyszczerzone kwasu dostały.

— Z dział bijecie, zwycięstwo nad Suchetem świętując. Grzeczny wasz

generał, że mi o tym tak rychło donosi. Ha, ha, ha... Powiedz pan, poruczniku, swemu dowódcy, by mi częściej liściki tak zabawne przysyłał, gdyż czasu ostatnio nie miałem, by komedie oglądać, a śmiechu się nigdy człowiek za dużo nie naje. Ha, ha, ha...

I my z Soultem zaczęliśmy się śmiać, ale nam do śmiechu nie było. Massèna przestał rechotać nagle, jak gdyby mu zatkano usta.

— To wszystko, poruczniku!

Trzask obcasów.

— Żegnam więc.

Z klapnięciem zamka u drzwi splótł się brzęk szklanek i drobiazgów leżących na stole. Myślałem, że sobie Massèna rękę roztlamsi, z taką mocą wyrznął pięścią o mapę.

— Dam ja ci święto! Soult, ludzi w pogotowie stawiaj, wieczorem ruszamy!

Ruszyliśmy, jak rzekł. Prowadziłem kolumnę Soulta, który otrzymał rozkaz, by obejść wzgórze Monte Ratti i od tyłu skoczyć. Druga kolumna, dowodzona przez Miollisa, miała się wdrzeć od frontu na strome zbocza, flankowane szanćami: Quezzi, Richelieu i św. Tekli. Rzekę Bisagno przekroczyliśmy właśnie, w miejscu gdzie znałem bród, gdy nagle huk donośny powietrzem wstrząsnął i nie ustawał już. Miollis widać wspinaczkę zaczął, a Anglicy, okręty swoje podprowadziwszy, bili całymi burtami w niego i w miasto. Krzyk z tyłu się rozległ:

— Generale!

Jeździec zdyszany dopadł czoła kolumny.

— Generale! W mieście bunt, tłumy na ulicach!

— Gdzie Massèna?

— Nie wiem, byłem przy...

— Karsnecky! Bierz drugi batalion i biegnij do miasta, nóg nie żałuj!

Nie żałowałem. Biegliśmy jak szaleńcy, płuca z piersi wypluwając. Tchu już brakło i nogi mdlały, gdy w bramę wpadliśmy. Za późno, Massèna już sytuacją opanował. Pod ścianami marmurowych pałaców ustawiono szeregi wichrzycieli i rozstrzeliwano bez litości. Ze zgrozą zauważyłem, że co drugi nosi moderunek gwardii narodowej. Pojąć tego nie mogłem. Kto ich podjudził, czemu przeciw nam, dobroczyńcom swoim, rękę podnieśli? Długo w noc biłem się z myślami, nie mogąc przepomnieć oczu młodego genuieńczyka, który osuwał się na ziemię wzdłuż ściany. Wczoraj jeszcze razem z żołnierzem francuskim dźwiżył w ryzach oligarchię własnego grodu, dzisiaj zaś występował w interesie tej oligarchii. A jeśli nie w jej, to w czyim? Na szczęście Soult i Miollis opanowali szaniec na Monte Ratti, Austriaków w

wąwozy spędzili i przywieźli 1500 jeńców. 1500 gęb do żywienia! Massèna nie zważając na to promieniał. Odznaczenia i awanse sypnęły się jak manna, a jeniec oficer poniósł list do Otta z wiadomością, że kanonada, którą Austriacy rankiem usłyszą, będzie odprawiona na cześć wczorajszego zwycięstwa. Godny Cezara respons.

Rozpalony sukcesem général-en-chef w dwa dni później zebrał sztab cały, by dowódców do nowego skoku przekonać. Przekonywać nie było trzeba. Zazdrośni o sukcesy, na osłabienie wojska nie bacząc, rwali się do akcji.

Wieczór był już późny, gdy nad mapą ślęczeli, analizując sytuację. Generałowie Soult, Amaud, Petitot, pułkownik Mouton i jeszcze kilkanaście głów młodych i starych, formowało wokół stołu wianuszek podobny do naszyjnika z zapięciem, które całość w kupie trzymało. Tym zapięciem był Massèna. Chudy i ciemnowłosy, o czarnych oczach i długim nosie, suchy, nierozmowny i zgorzkniały, ciągnął już za sobą welon legendy. Frączewski opowiadał, że nim Massèna stopień swój osiągnął i Korsakowa pod Zurichem rozbił, chłopcem okrętowym był i przemytnikiem. Choćby i diabłem był, cóż z tego. Miasta bronił jak lew, kaszając Otta z talentem niezrównanym, który podziw i uwielbienie wzbudzał. Generałowie jego o laurach jeno myśleli i rozkazy wiernie wypełniali, on zaś o tysiącach zdychających z głodu zapominać nie mógł. I dlatego teraz wskazywał na Porto Fino, sugerując kierunek uderzenia.

— ...A jeńcy gadają, że Ott prowadzi tamtędy transporty z żywnością. Przedrzemy się wzdłuż morza i przechwycimy konwój.

— Generale! — Soult nie potrafił powstrzymać się od podniesienia głosu — generale! Cóż nam da te kilka worków mąki? Gdyby tak uderzyć całą siłą na Monte Creto, można by było Otta z kopytami przegonić precz, złamać pierścień obleżenia... To jest szansa!

— To jest szaleństwo — mruknął Massèna.

— Bonapartego też szaleńcem zwano, gdy pod Lodi i pod Arcole stawał!

Massèna zbladł, jakby mu policzek wymierzono. Słowa tamtego... Rozejrzał się wokół, lecz oczy wszystkich mówiły mu, że zgadzają się z Soultem. Wahał się jeszcze. Soult dostrzegł to i w lot okazję chwycił:

— Głowę daję, że zwyciężymy!

— Dobrze, będzie jak chciałeś. Przegrasz... dasz głowę!

Ranek 13 maja. Już dobrą godzinę sunęliśmy wąwozami ku Austriakom, jak duchy rozplywające się w mżawce, która utrudniała widoczność. Wtem strzał pojedynczy echo poniósł po górach i żołnierz w pierwszym szeregu padł na kolana, a potem w mokrą od rosy wysoką trawą. Polak to był i po polsku zakrzyczał w śmierć zapadając. Strzałkowski ze swoimi wysforował się na

czoło, jak łeb taranu, ale i jak tarcza, która pierwsze pociski przyjmie na swój grzbiet.

Bez komendy szarpnęło ludzi do przodu. Rwali po zboczach jak górskie kozice i spychali Austriaków samym impetem uderzenia. Bagnety pracowały w trzewiach, szable cięły i kłuły, strzały na oślep przewiercały niebo i łupiny żołnierskich czaszek. Długo tak, za długo... Koło południa sięgnęliśmy górskiego siodła, mając już prawie na dłoni sukces obiecany przez Souлта. Kolumna Amauda dopadła baterii austriackiej, gdy naraz ranny kanonier lont w jeszcze wsadził... Słup ognia z ziemi wytrysnął, rozrzucając po skałach krwawe strzępy. Przycichło. Przerażeni ludzie kulili się, jakby prochowy wulkan jeszcze raził. Z prawej strony, od przełęczy, zamajaczyły dwie białe kolumny, pchające przed sobą oddziały Moutona. Souлт rozpaczliwym gestem pchnął do ataku rezerwy trzecią półbrygadę, ale tego dnia niebo i piekło zawarły pakt przeciw niemu, bo zerwała się burza potworna, zwyczajna o tej porze i zapał szeregów zgasł jak płomień zalany strumieniem wody. Broń i moderunek namokły w jednej chwili, a Austriacy z krytego szańca, niewidocznego pośród ulewy, wyrywali czerwone smugi w naszym szyku.

Szedłem tuż za generałem, czepiając się krzewów, które wyścielały zbocze, gdy nagle ból przeszył mi biodro, jak strumień wrzątku i o ziemię cisnął. Porwali mnie żołnierze i w dół nieśli. Z góry następowali Austriacy. Koniec! — pomyślałem — wszystko przepadło!

— Gdzie generał?

Żołnierz, ocierając twarz rękawem, pokazał do tyłu.

— Został tam.

— Dlaczego nie zabraliście go?

— A niechaj go francuskie ciarachy ciągną, my Polaków zabrali i to dość.

— Co z nim?!

— Trup pewnie. Kula, która waszmościa w bok kopnęła, jego na śmierć utłukła.

Baterie z wałów twierdzy osłoniły nas przed pościgiem. Ale w mieście nie lepiej się działo. Keith, korzystając z ulewy, zbliżył się do portu i bombardował go seriami salw, które wzniewały pożary i zabijały ludzi na ulicach. Tłumy oszalałych kobiet przebiegały aleje, krzycząc o chleb dla dzieci i dzwoniąc dzwonkami. Na Boga, czyż innej chwili wybrać nie mogły? Rozpraszano je i zbierały się znowu, niepomne na deszcz, podrywające mężczyzn, rozwścieczone, dzikie. Widok tego sabatu większy ból mi przynosił niżli rana, która powierzchowną się okazała.

Wieziono mnie na wózku do lazaretu. Mieścił się on w Palazzo

DoriaTursi, lecz by tam dotrzeć, trzeba było precyzyjnie się wśród kłębowiska głodowej rozpaczki. Chwyciłem za rękę dziewczynę przebiegającą mimo, ładną, ale o rysach wykrzywionych furją. Wrzasnąłem, przekrzykując tumult:

— Przeciw komu, przeciw komu, kogo przeklinacie?!

— Ciebie, Francuzie! I tę wojnę ohydną, którą przywlekliście!

— Wolność wam przynieśliśmy. Nie rozumiesz, głupia?!

— Bratu memu to powiedz, może zrozumie! Pięciu lat nie dożył, z głodu wczoraj skonał! Takeście go wolnością nakarmili! Dość tej wojaczki, chcemy żyć jak ludzie. Zabierzcie precz tę wojnę!

Przekłęci, byście zdechli wszyscy w męczarniach! — zakląła ohydnie, anim podejrzewał, że z takich ust takie się słowa posypać mogą i rozszlochała się w głos.

Żołnierz prowadzący wózek odsunął dziewczynę na bok i koła potoczyły się dalej. Patrzyłem w niebo, krople deszczu obmywały mi twarz i nie pojmowałem nic.

Lazaret był pełny. Leżeć z gnatem nie połamany, a tylko zdrowo draśnięty, wstyd mi było. Po kilku dniach zwlokłem się z pryczy, o laskę poprosiłem i wymaszerowałem w kierunku portu. Teraz dopiero, idąc przez ulice pełne śmieci i wszelakiej zgnilizny, przez nikogo nie sprzątniętej, widziałem, jakich spustoszeń dokonało oblężenie. Gruzy, połamane wózki, konduktki żałobne, ludzkie szkielety, ze skórą cieniutką i napiętą, jakby miała pęknąć, dzieci o oczach starców i te kobiety, sterczące pod ścianami i wyciągające ręce do takich samych cieni jak one, snujących się bezwiednie miękkim, więdącym krokiem gałązek, które upadną. Na bunt, nawet w oczach, nie mieli już siły.

Miasto oddychało snem głodu. Z ostatnich rezerw kakao pomieszanego z bobem, opiłkami drewnianymi, krochmalem, siemieniem lnianym i mąką z zielska zbieranego na cmentarzach, wypiekano 200_gramowe głodowe racje dla żołnierzy. Jeńcy i ludność nie dostawali już nic. Dziewczyna, dziecko prawie, do tamtej z tłumu podobna, wysunęła się bezszelestnie z arkadowego podcienia pałacu, który mijałem.

— Panie oficerze, panie oficerze...

Chwyciła mnie za rękaw i uśmiechnęła się sztucznie. Z uśmiechem tym kłóciły się przykryte cudownymi rzęsami oczy w zapadłych oczodołach, smutne, rozpaczliwe, na sekundę ożywione nadzieją...

— Panie oficerze!

— Czego chcesz?!

— Pójdziemy do mnie, panie oficerze, będę miła dla pana, pójdziemy...

Pociemniało mi pod czaszką. Saper bez ramienia, z sąsiedniej pryczy, gdy

w lazarecie leżałem, opowiadał ze szczegółami, jak sześciu im kobieta nieznana noc całą oddawała się wedle ich sprośnych życzeń za kubek owsianej mąki i garść cukru. Nim wyszli, zaczęła smażyć placki dla dwojga swych dzieci i za dużo usmażyła, bo jedno w ciągu nocy umarło i zimne je z kołyski wyjęła. Wtedy myślałem, że łże kanalia.

Dziewczyna nie ruszyła się, trzymała na twarzy uśmiech, kurczowo i boleśnie, prosząc mokrymi oczami, które mi psie oczy przypominały. Milczenie moje wzięła widać za wahanie, bo drżącymi palcami chwyciła rąbek niebieskiej sukni i uniosła, pokazując pól uda.

— Panie oficerze, chodźmy, nie będzie pan żałował, będę dobra...

— Przecież jestem ranny, nie widzisz? — chyba nie ja to mówiłem, a tylko słyszałem, tak głupie były te słowa i tak wstrętne. Widać rozum na dobre mi się pomieszał z rozpaczą, a może z głodu, bo i ja nie dojadłem, jeśli zaczynałem bredzić w sposób tak koszmarny.

— To nic, to nic, chodźmy, panie oficerze, proszę! — szeptała bezwiednie.

Wyrwałem z kieszeni sakiewkę i wysypałem na jej dłoń stos monet, w tym kilka złotych. Popatrzyła na mnie ze zdumieniem jak rozbudzona, podnosząc głowę wyszeptała:

— Przecież tego się nie je.

Z wąskiej, drobnej dłoni, ugiętej pod ciężarem metalu, zsypywały się monety i spadały powoli jedna za drugą, uderzając o stopy, kostki, zderzając się, dźwięcząc. Dziewczyna patrzyła pustym wzrokiem przez moje ciało, jakbym był powietrzem. Potem odwróciła się i zniknęła tam, skąd przyszła.

Stałem jeszcze czas jakiś, wspierając się na lasce i patrząc w oczy dziewczyny, która już dawno odeszła. To w nich była wojna, nie ta kłamana, teatralna, z komendami, bagnietami, z ogniem dział, z krwawymi strzępami mózgów i jelit, lecz jedyna, najokrutniejsza, prawdziwa, przeklęta wojna!

Byłem młody i nie przyszedł jeszcze czas, bym to na dobre pojął.

Dochodząc do nadbrzeża już z daleka spostrzegłem dwa wysokie maszty golety Torresa. André Torres, kupiec z Hawany przybył do Europy z tajną misją do Pierwszego Konsula i utknął w Genui, lecz o co tu szło, wyjawić nie chciał. Za to dużo prawił o Karaibach, o tamtejszym słońcu, przy którym nasze przypomina płomień świecy, o tamtejszych kobietach, gorących jak ich słońce, o jadowitych wężach, powstaniach niewolników, o tysiącach rzeczy barwnych, wykradających człowieka z koszmaru obłączonej Genui.

Z tej bezładnej gadaniny nie bardzo wynikało, że André para się tylko kupiectwem lub że w ogóle się nim para. Niejeden celnik musiał go znać i dobrze sobie zakonotować, a i siedem trzyfuntówek i dwa działa

dwunastofuntowe zamocowane na rufie mówiły swoje.

Andrè nie lubił pytań i sam rzadko je zadawał. Trzeba było czekać, aż się napije swojej dziwacznej wódki, której zapas ukrywał przed załogą w kajucie, a która gębę mu wykrzywiała, że aż zęby zgrzytały. Wtedy dostawał natchnienia i gadał tak długo, aż go sen zmorzył.

Poznaliśmy się na nadbrzeżu, w kilka dni po mojej rejteradzie od Austriaków. Spacerując wąskimi uliczkami zabrnąłem na tyły składów portowych, gdzie piętrzyły się sterty pustych beczek, zbutwiałe łodzie i budulec okrętowy. Tam mnie dopadli. Dwóch, w marynarskich kaftanach, z nożami ostrymi jak brzytwy. Wciśnięty między mur a piramidę skrzyń, poczułem chłód metalu pod brodą.

— I soldi! Subito!

Nawet nie zdążyłem się przestraszyć na dobre, gdy rozległ się świst, jakby bat ciał powietrze i przed nosem opryszka zadrgała rękojeść noża wbitego na palec w deskę.

Odskoczyli. Z pobliskiej bramy wyszedł mały grubas o jowialnej twarzy, ciemny, z kręconymi włosami i z zębami jak dwa sznury pereł. Zbliżał się z uśmiechem i patrząc na opryszków kiwał palcem, tak jak się grozi niesfornemu dziecku. W drugiej ręce trzymał maleńki, dwulufowy pistolet. Gdy doszedł, byłem już sam.

— Andrè — wyciągnął rękę.

— Jean — oddałem uścisk — merci camerade!

Schował pistolet do kieszeni białych, szerokich pantalonów, wyszarpnął z deski nóż i obejmując mnie ramieniem poprowadził do łodzi. Zanim wyszliśmy z uliczki, odwrócił się i pomachał komuś grubą, włochatą dłonią. Teraz dopiero spostrzegłem, że całej scenie przyglądała się z okna na piętrze urocza brunetka w koronkowym czepku. Ta nie miała wpadniętych oczu, jak ta moja, spotkana na ulicy.

Zawiózł mnie na swoją goletę „L’homme libre”, która przed Rewolucją nosiła nazwę „Conchita”. „Człowiek wolny” — tak bardzo przypadła mi ta nazwa do serca. Tak jak i Andrè, syn francuskiego plantatora i Hiszpanki, od dziecka chowany na morzu, kochający to morze zazdrośnie i gwałtownie. „Kobiet możesz kupić, ile dusza zapagnie, ocean jest jeden!” — powtarzał przy każdej okazji.

Zachodziłem do niego kilka razy, gdy Soult zwalniał mnie, mrużąc oko — „dziewczynki, Karsnecky, n’est ce pas?” — i słuchałem sag o Antylach tętniących rytmem Flamenco. Żywił mnie rybami i uczył. Ot, chociaż się nie napraszałem, nauczył mnie ciskać nożem tak, że wkrótce z piętnastu metrów przebijałem serce pikowego asa. Teraz zaś, gdy zwolniłem miejsce w lazarecie,

nie mając nikogo bliskiego, bo i z chłopakami Strzałkowskiego nie było czasu się zbratać, pomyślałem o André. Massèna nie potrzebował chromych adiutantów, zdrowych miał za dużo, a ja miarkowałem, że muszę jeszcze leżeć, czort wie jak długo.

Torres przyjął mnie serdecznie. Jęczał, łapał się za głowę, przeklinał Austriaków i przysięgał, że ich żywcem poobdziera ze skóry. A w oczach błyszczała mu radość, że mnie zatrzyma na dłużej i że zabawi się w niańkę. Leżałem w hamaku czując jak moje nadwątlone ciało buja w powietrzu, miękko, kojąco, a on biegał dookoła zmieniając opatrunki, karmiąc i pojąc winem. Nie przysiągłbym, że to nie dla tego wina i tych ryb przy wlokłem się tutaj do niego. Po chlebie z krochmalu i cuchnącej wodzie pachniały mi morskie stwory jak pokarm olimpijski.

André miał i swoje kłopoty. Kule Brytyjczyków regularnie szarpały olinowanie i reje, omijając na szczęście maszty i korpus golety. Załoga dzień po dniu naprawiała zniszczenia, lecz Torres drżał ze strachu, że któregoś dnia zabłąkany pocisk rozwali mu burtę. Nie było to wykluczone. W czasie pojedynków baterii nadbrzeżnych z działami Keitha kule wędrowały stadami nad szczytami masztów. Pewnego dnia André zapytał:

- Wierzysz w Boga?
- Ummm.
- A pacierze znasz?
- Znam.
- Pomódl się za statek.

W oczach miał coś tak tkliwego, rozbijającego, że niepodobna było odmówić. Nie wiem, czy ta modlitwa poskutkowała, czy było to szczęście Hawańczyka, które, jak powiadał, nie opuszczało go nigdy, dość że „L’homme libre” przetrwał cało oblężenie.

W pierwszych dniach czerwca czuło się już zbliżający koniec. Co jedli ludzie w mieście, lub raczej czego nie jedli, mogłem się tylko domyślać. Nad dachami unosił się zapach spalenizny i ohydny smród — dziecko głodu. Wiedziałem, że Massèna nie ma czym strzelać. Wiedzieli o tym również Ott i Keith. Zbliżał się kres udręki miasta, a André szykował goletę do drogi.

Frączewski, który dotarł jednak cało do naszych i odszukał Konsula w Avallon, powrócił, przynosząc wiadomości o ruchu armii rezerwowej przez wielką przełęcz św. Bernarda i o zwycięstwie wojsk północnych pod Biberach. Przywiózł jeszcze coś. Mały, zalakowany pakiecik, owinięty w nieprzemakalne płótno, o którym nie wiedział nawet général-en-chef. André schował paczuszkę w swojej kajucie i oznajmił, że rychło wyruszy „do domu”. Czekał na bezkسیężycową noc lub huragan.

Doczekał się 4 czerwca, w dniu, w którym Massèna podpisał kapitulację. Wiele lat później dowiedziałem się, że tego samego dnia Ott otrzymał od Melasa rozkaz zwinięcia oblężenia! Gdyby Massèna zdzierzył jeszcze tylko parę godzin...

* * *

Na morzu szalał sztorm, lecz goleta szła prosto w ciemność, z wygaszonymi światłami, ufna w szczęście Torresa, które gwarantowało, że nie wpakujemy się na brytyjski liniowiec. Keith pochował swoje fregaty w zatokach i morze było wolne.

I ja płynąłem z Torresem. Nie znając warunków kapitulacji armii liguryjskiej — a choćbym i znał, mogła ona zawierać punkty tajemne jak w Mantui — bałem się zostać w mieście. Prawda, Massèna nie Foissac, inne ma sumienie, lecz strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dopiero w Marsylii dowiedziałem się, że część legionistów Strzałkowskiego została przy opuszczaniu miasta zagarnięta przez Otta! Dowiedziałem się o tym od Francuza w knajpie portowej. Gdyby nie Andrè, zabiłbym chyba człowieka, tak byłem pewny, że kłamie. Wykuśtykałem na miasto przeklinając los i szukałem naszych. Pokazano mi drogę do zakładu legionowego przy rue Hoche, gdzie rezydowali pono generał Karwowski i szef batalionu Aksamitowski. Na schodach zderzyłem się z oficerem w mundurze kapitana.

— Prawda li to? — wychrypiałem mu w twarz. — Prawda?!

— Z drogi! — odburknął. — Zwady szukasz?!

— Człowieku! Prawda, pytam, że Strzałkowskiego ludzi Austriaci w Genui pobrali, że ich Massèna, jak podlec Foissac, Ottowi przy kapitulacji sprzedał?!

Widać rozpacz moja i jemu struny jakoweś ruszyła, bo mnie już nie beształ i cicho odrzekł:

— Czy Massèna ich sprzedał, nie wiemy. A że w dyby poszli, prawda. Szkoda braci. Ale może wyjdą. Konsul rozbił Austriaków pod Marengo i pakuje o pokój. Koniec wojny, wymiana jeńców, może...

Szał mi oczy przesłonił. Koniec wojny, pokój? Nie panowałem nad językiem.

— A co z legiami?! Jak długo francuscy generałowie będą nas sprzedawać jak bydło?! Pluję na taką służbę!

— Milcz waść, byś przed lufami nie stanął!

— To mnie rozstrzelaj, polskim ładunkiem... masz!

— Pijanyś chyba i dlatego od rzeczy prawisz. Ruszaj precz!

Zakołowało mnie po stopniach w dół. Dowlokłem się do knajpy, gdzie André czekał przy tym samym stoliku. Usiadłem półprzytomny. Pod kije poszli, jak w Mantui... Boże! Taka sromota! Bożeee! I Ty patrzysz na to? A cóż Konsul?! Gdy Foissac naszych oddawał, Bonapartego nie było, pod piramidami wojował, ale teraz jest! Kości chyba połamie bydlakowi! Massèna! Przeklęte ścierwo, któremu służyłem.

— Nalej!

Palcem pokazał mi pod nos. Szklanica pełna dawno już czekała, tylkom jej w szale nie dostrzegł. Podniosłem do ust. Tego dnia po raz pierwszy w życiu upiłem się do nieprzytomności.

Rano miast do Karwowskiego iść i zapisać się do legii, jak dawniej zamierowałem, powiedziałem Torresowi, że się zgadzam na to, o co od dawna suplikował. Nie posiadał się z radości.

W trzy dni później „L’homme libre” minął Chateau d’If i wyszedł na pełne morze.

Płynęliśmy ku Antylom.

* * *

André nie kłamał. Słońce zdawało się tu być kulą piekielną, wypalającą człowieka do wnętrza bebechów. Pókiś nie przywykł, póki skóra nie zbrązowiała do koloru jasnej czekolady, trzeba było chronić się nieustannie, chować jak nietoperz, szukać wody i męczyć się w pogoni za cieniem. Najpierw tygodnie czerwonej skóry, po których nastąpiły dni oparzelin, chłodzonych bezskutecznie, a raczej ze złym skutkiem morskimi kąpielami, i okres wrzodów, wytryskających spod skóry, jakby rył pod nią niewidoczny kret. I wreszcie doczekałem się brązu, trwałej opalenizny, wyświechtanej wiatrem, przynoszącej spokój i zadowolenie.

Dopiero gdy skóra okrzepla mi i dawała się dotykać, przyszło pożądanie, karmione widokiem nagich piersi. Murzynki, Mulatki, Karaibki, Metyski, wszystkie te kolorowe kobiety o nagich torsach drażniły moje powonienie, wciągały, przyzwyczajały do powszechnej nagości, oswajały ze sobą i niewoliły. Z początku kobiety nagie do pasa budziły we mnie sprzeciw. Potem budziły już tylko żądzę. Nie jak tam, w domu, co kilka wieczorów, od święta, gdy wymykałem się nocą na bezwstydną majówkę. Te kobiety umiały kochać tak, że nasze batalionowe gamratki mogłyby przy nich uchodzić za siostry miłosierdzia.

Dla Torresa Gwadelupa była bazą, z której ruszaliśmy na rajdy po całych

Antylach, od Zatoki Meksykańskiej do Wysp Bahama, a nawet do ujścia Amazonki. „L’homme libre” wymykał się fregatom brytyjskim i hiszpańskim, a później, gdy zaczepiliśmy kilku nowojorskich marszandów, także amerykańskim. Mając pełne ożaglowanie szkunera goleta w pełni zasługiwała na miano „jaskółki oceanu”, nadane jej przez armatorów z Tampico. Złupieni handlarze z Vera Cruz, z Jamajki, z Caracas i z Puerto Rico zaciskali pięści, miliony razy posyłając do piekła „krwawą murenę” — tak nazywali Torresa.

A ja? Chciałem wyzwalać Polskę i zostałem złodziejem, bo czymże innym jest rzezimieszek morski szumnie korsarzem zwany. Łupiłem, pełzałem po rejach, wyżywałem się w abordażach, traciłem pieniądze z czarnymi gamratkami, piłem w portowych spelunkach, ryzykowałem konanie na angielskich pontonach, stawałem się bydłem. Uciekłem z domu z miłości do ojczyzny, a za objęcia Murzynek sprzedałem tamtą miłość, ohydniałem we własnych oczach. I znowu topiłem się w rozkoszy morskiego pościgu i ucieczki, w odkrywaniu perłowych archipelagów. Czas płynął za szybko, bym mógł się wyrwać z tego szaleństwa.

Pomogła mi jedna, potem druga i trzecia krwawa rysa na gładkiej powierzchni tej bajki.

W drodze z Nowego Orleanu na Kubę zatrzymaliśmy mały bryg hiszpański, naładowany kawą. Przyciśnięta przez Torresa załoga wyznała, że wracają z Jeremie, dokąd zawieźli proch dla murzyńskiego powstania przeciw Francji. André nie namyślał się długo. Kapitana, bezrękiego łysielca, Hawańczyka jak i on, przywiązał do masztu i kazał wysmagać. Żonę nieszczęśnika, drobną, niemłodą już blondynkę, wywleczono spod pokładu i rzucono na zwoje lin i mokrego płótna żaglowego. Nim zdążyłem zeskoczyć, drugi już kładł się na nią. Ześlizgiwałem się z masztu „L’homme libre” szybciej niż kiedykolwiek przedtem, nie bacząc, że liny tną mi dłonie jak noże. Skoczyłem przez burtę Hiszpana, rwałem ku rechoczącej gromadzie, byłem tuż, gdy dłoń Torresa pchnęła mnie w bok.

— André!

— Nie twój zasrany interes!

— André!!!

Już nie słuchał, odwrócony tyłem, oparty o maszt, grodzący drogę. Zatkąłem uszy rękami, by nie słyszeć zawodzeń gwałconej, przerywanych co chwila głośniejszym jęknięciem, widać serce nie stwardniało mi do ostatka na krzywdę ludzką. Z rozdartych dłoni krew kapłała mi na barki i plamiła chustę owiniętą wokół karku. Moja pierwsza krew na Antylach.

Trzeba było tej kobiety, bym zobaczył Torresa. Inny był niż w Genui. Zawsze przyjacielski i ohotny do wspólnego picia, czuł do mnie słabość. Ale

też zawiódł się na mnie. I ja nie byłem taki, jakiego chciał widzieć w przyjacielu. W interesach był Torres jak Żyd. Łupu część oddawał mi, choć majtkiem nie byłem, a tylko... Właśnie, czym? Ni to zastępcą, ni pomagierem, trochę skrybą, który mu księgi prowadził, w oczach załogi faworytem, „amigo” zwanym: znaczy „przyjaciel”, przyjaciel kapitana, nietykalny na pokładzie i w kubryku, gdzie jak inni hamak dostałem. W portach dopiero zaczynała się moja rola, gdy przychodziło towar sprzedawać. Rozmowy z marszandami i właścicielami składów — to ja!

Owego dnia Torres zaciągnął mnie do swojej kajuty i spał. Nie oponowałem, nie robiłem mu wyrzutów, znałem Torresa. Tafia, którą polubiłem wreszcie, uspokajała najskuteczniej. Ale nawet pijany, nie pozbyłem się przekonania, że rozlewa ją nie ten Torres, którego kiedyś kochałem.

Wtedy był moment. Rzucić wszystko w diabły i próbować zabrać się z kimś do Europy. I zrobiłbym to, gdyby nie Flora.

To było w Pointe-à-Pitre. Poprzedni, wylany przez obecnego, komisarz Dyrektoriatu, Hugues, przemianował miasto na Port de la Liberté, ale nikt nie szanował nazwy urzędowej, wszyscy mówili: Pointe-à-Pitre.

Torres ochotnie cumował tu, a nie w Basse-Terre, które było stolicą wyspy, może dlatego, że tutejsze składy wokół bulwarów mieściły więcej towarów, a może dla dziewczyn, lepkich i chętnych do wszystkiego.

Kafehaus Morne-à-Cail. Siedzieliśmy razem z Torresem nad słodkim ciastem, cudownym po tygodniach solonej wołowiny i nad ponczem, a może rumem, nie pamiętam, który roznosiły kelnerki, piękne Mulatki o posągowych kształtach, starannie dobrane przez patrona. Z okien, a raczej przez pasmo szkła, z którego zbudowane były ściany budynku, rozpościerał się widok na nadbrzeżny plac Sartines, próg do portu. Daleko kłuły niebo maszty golety. Od strony górującego nad miastem masywu Morne du Gouvernement napływały zapachy, rozsiewane przez drzewa cytrynowe i muskatołowe, przez obrastające brzegi strumieni krzewy mangrosy, czuło się niesione podmuchem stężenie soku ściekającego po łuskach mango. Widok na wzgórza przesłaniały pnie palm i monstrialne kolumny serowców. Upał rozleniwiał, zwalniał ruchy, wyciskał pot.

Chciałem powiedzieć Torresowi, że odchodzę, wyklarować mu, że wszystko, co tu czynię, jest beznadziejnie głupie, bezsensowne, niepotrzebne. Sączyłem poncz i czekałem na chwilę, na przyptyw odwagi.

I wówczas ukazała się dziewczka. Była podobna do kelnerki, Mulatka, tylko trochę ciemniejsza. Gdyby nie długie, proste włosy, można by było wziąć ją za Murzynkę.

— Flora! Flora! Flora! — skandowało kawiarniane bractwo, złożone z

oficerów, żołnierzy, kupców, marynarzy, plantatorów, Metysów i czarnych eksniewolników, wyzwolonych przez Robespierre'a dekretem z 16 pluviôse roku II. Ci ostatni, pogardzani i potracani, ale przecież wolni i mający prawo rozpierać się po knajpach, jeśli tylko nie brakło im pieniędzy, ci przeważali. Porzucili swoich panów i ich plantacje i zachłystywali się podarkiem, który Rewolucja włożyła im do rąk, przepijali codzienny zarobek uzyskany w porcie, szczyrzyli białe zęby, pozbawieni kajdan, wolni do syta, do rozpusty i szaleństwa. Dziewczyna, stojąca na niewielkiej estradzie, podniosła w górę nagie ramiona, szarpnęła biodrami i wpadła w spazm przedziwnego tańca, którego muzyką był stukot twardych, czernionych obcasów, rytm uderzeń dłoni o dłonie i dźwięk nie znanego mi instrumentu strunowego miękki i ostry na przemian, śpiewny jak harfa.

„Hrajte meni!” — przez chwilą tak krótką, żem ledwie sobie uzmysłowić zdołał, przypomniały mi się tamte oczy i taniec zupełnie inny i zupełnie identyczny, ruch tamtego ciała, wir kolorowy, tłum wokół, wszystko inaczej i wszystko tak samo. Nie wiem, boskim czy diabelskim zrządzeniem nigdy mi ona z myśli nie uleciała, po nocach czasami nachodząc jak zjawą. Aleć to przecież już i lat tyle i mil tyle od krakowskiego rynku. Otrząsałem się.

Potem był pijany Metys sadzający ją przemocą na kolanach, moja pięść na twarzy mieszańca, Torres masakrujący drewnianym stołkiem wyciągające się łapy, tumult okrutny i nasz bieg ku plaży i plażą wzdłuż morza, dalej i dalej.

Stopy parzone ogniem piasku i obmywane przez łagodną falę odpływu, kaleczone ostrymi strzępami koralu i dywanem muszelek, bryzgi białej piany wyrzucane gwałtownie w górę, wodorosty owijające kostki naszych nóg i ciężkie oddechy, aż stanęliśmy w miejscu, bez tchu, bez sił. Osuwałem się, nie puszczając jej ręki, na kolana, powoli, sennie, w płycizną przychodzącej i odchodzącej fali, leżałem, czując jej ciało obok swego, głaskany oceanem, który przelewał się przez nas oboje słabnącymi uderzeniami.

Dwie kolejne wyprawy Torres odbył beze mnie. Zostałem w Pointe-à-Pitre, wśród białych domków, spośród których wystrzelała dzwonnica misyjnego kościoła, wśród różnojęzycznego tłumy, w mrowisku targowisk. Flora była jak dziecko, duże i piękne, nieśmiałe i swawolne zarazem, otaczające szyję ramionami i tulące się z bez troską małego zwierzątka. Nie potrafiłem nic uczynić, by była szczęśliwa. Odurzony klimatem wyspy, nie kochałem, pełen pożądania, nie umiałem oddać się bez reszty... Raz żywiej zabiło mi serce, raz jeden tylko, dawno, tak dawno, że już nie pamiętałem dobrze, jak się to stało i teraz nie potrafiłem go przymusić, by uczyniło to raz jeszcze.

Flora wyczuwała to i nierzadko, rozczesując rankiem włosy, naga, przed

wspaniałym lustrem, nadpalonym w czasie pożaru w domu jakiegoś plantatora, które za bezcen kupiłem jej na jarmarku, mówiła, przyglądając się memu odbiciu, z owym smutkiem, okraszonym uśmiechem pozornej bez troski:

— Polub mnie choć trochę, Juan!

I zaraz, nie czekając odpowiedzi, śmiała się głośno, za głośno.

W listopadzie 1802 roku Torres wrócił z Barbados, prowadząc dwa przyzy. Na jednym z nich znajdowała się trupa teatralna z Nowego Orleanu, co wzbudziło w grodzie szal radości. Chcąc nie chcąc komedianci zgodzili się zaprezentować swój kunszt przed szanowną publicznością z Pointe-à-Pitre. Ale Torres przywiózł coś jeszcze. W drodze natknął się na eskadrę transportową, płynącą pod banderą Francji. Wiązał z tym duże nadzieje, znać oczekiwał na sygnały z Paryża. W kilka dni później wszystko było jasne. W Basse-Terre wylądował generał Richepance i zaczynał brać w karby rozpuszczoną przez przekupnych gubernatorów kolonię. Najpierw położył ciężką rękę na korsarzach. Owszem, popierał rozwój floty korsarskiej, lecz postanowił narzucić jej swoją organizację i zmusić, by przynajmniej część łupów oddawała do kasy rządowej. Od tej chwili każdy, kto chciał grabić na Karaibach, musiał wykupić list kaperski, legalizujący łupiestwo i nadający mu pozory walki politycznej. Praktycznie te „Lettres de Marque” odbierały korsarzom niezależność i monopol na łupy.

Torres nie był zaskoczony wieścią. Pozostając w ścisłych kontaktach z korsarzami Francji, takimi jak Surcouf czy Dutertre, którzy operowali na Oceanie Indyjskim z bazy na Ile-de-France, liczył się z koniecznością wykupienia patentu. Szoku doznał dopiero wówczas, gdy dowiedział się, jaka jest wyznaczona przez Richepance’a cena. Nie pamiętam już, ale musiała to być suma niepoślednia, jeśli przeraziła nawet kąpiącego się w złocie Hawańczyka.

Torres nie stracił jednak nadziei. Mniemał, że tajemne konszachty, jakie miał niegdyś z Konsulem, dadzą mu prawo do znacznej ulgi. Nie chcąc opuszczać statku i pozostawiać łupów w rozjątronym mieście, gdzie w każdej chwili mogła wybuchnąć ruchawka, odnalazł mnie w mieszkaniu Flory i zaklinał, bym dotarł do Basse-Terre i wręczył generałowi pewne papiery, które miał ze sobą, zwinięte i wsadzone w krótki kawałek kija bambusowego.

Nie zdobyłem się na odmowę i wyruszyłem.

Generała nie zastałem, wyjechał ze stolicy. Czekałem więc, aż powróci, sześć dni, a potem jeszcze jeden — zanim mnie przyjął. Richepance zlustrował papiery i odrzekł, że ze sprawą „Lettres de Marque” mają niewiele wspólnego. Z przykrością musi odmówić panu Torresowi. Zrazu chłodny, potem, gdy usłyszał, że jestem Polakiem, rozpromienił się, prawie roztkliwił, częstował

burgundem i chablis, wspominając rozwlekłe, jak to w jednej z potyczek nad Renem, kiedy służył pod Moreau, pewien Polak z legii Kniaziewicza uratował mu życie, wynosząc rannego spod kopyt szarżującej kawalerii pruskiej. Przestałem się nudzić, gdy mi opowiedział, jak zakończyła się kampania roku 1800. Luneville! I znowu pustka dla legionów i obca służba miast powrotu do kraju. Gdy się tego dowiedziałem, dość miałem gadaniny, chciałem wyjść, gdy nagle zza okna dobiegł płacz straszliwy, przejmujący do szpiku.

Ulicą maszerował tłum czarnych, skłębiony, falujący, wyciągający do nieba skute ręce, smagany batami najemnej eskorty, wśród której dostrzegłem również... moderunki wojskowe! Chyba śnię!

— Generale, co to jest, pędzą tych ludzi jak bydło! Generale!

— Ciszej, chłopcze. Bandy wałkoni zaczną pracować. Pijaństwo i rozpusta, oto co im smakowało. I bunty! A plantacje podupadły, prawie wszystkie. Żadnych dochodów dla skarbu, nie ma upraw, groźba ruiny, sami korsarze nie wyżywią kolonii, przyjacielu.

— Generale, toż to ludzie wolni, nie można ich zmuszać!

— Mój panie, nie będziesz mnie pouczał! Wypełniam rozkazy i... czynią tylko to, co powinienem!

— To bezprawie!

— Śmiałyś, chłystku! — nie był już jowialny i ujmujący, a napastliwy, agresywny. — Bezprawie powiadasz? Czyżby? Czytaj to!

Podał mi starannie zadrukowaną ulotkę. Dekret. W rogu raziły oczy wielkie litery: 30 floreal an X, a więc 20 maja 1802 roku. Przeleciałem ją oczami, nie wierząc znakom czarnym jak kruki. Ta ustawa obalała poprzednią, tę z roku II, która przyniosła wolność kolorowym i zniosła niewolnictwo na Antylach. Język wyrafinowany i chytry, znać było rękę mistrza. Nie było tu mowy o przywracaniu niewolnictwa, co się właśnie stawało faktem, lecz o jego utrzymaniu zgodnie z prawem i przepisami sprzed roku 1789. Ci, którzy układali te sformułowania (traktowanie niewolników i ich import do kolonii będzie się opierał na normach sprzed roku 1789), plugawe jak pot męczzonego żrący żelazo kajdan, musieli nigdy nie zaznać smagnięcia przez mokrą koszulę na grzbiecie, ani też uderzenia sękatą pałką przez łeb.

— Kto to podpisał?!

— Nie wiesz, młodzieńcze, kto rządzi Francją? Zdumiewające! — śmiał mi się w nos.

Bonaparte? Nie może to być! Snadziej jego ministrowie, cała ta czereda dyrektoriackich adwokatów, która sposobem lisa przetrwała burzę 18 brumaire'a i teraz kupowana złotem plantatorów gwałci prawa.

Chciałem podrzeć ohydny świstek na strzępy, ale się na szczęście

opanował i powstrzymał.

Minął mi już czas szaleńczych uniesień, krzykliwych reakcji na krzywdę i niesprawiedliwość. Ostatni raz nie zapanowałem nad sobą, gdy ludzie Torresa walili się kolejno na Hiszpankę, żonę obitego marszanda. Antyle były niezrównanym belfrem. Nauczyły zimnej krwi, pozorów obojętności, hamowania pośpiesznych zapałów — uczyły życia. Nie kłaniając się opuściłem pałac gubernatorski.

Wracałem, pędząc konia ile sił. Nie miałem i nigdy nie miałem przeczuć, lecz gnałem, czując, że pośpiech jest konieczny, gdyż pośpiech panował wokół i wszystko zaczynało nabierać szaleńczego tempa. Mijałem patrolujące gromady białych jeźdźców, uzbrojonych po zęby i otoczonych sforami rozszalałych brytanów, które sprowadzono z Cayenne. Wyspę ogarnął szal nagonki na ludzi. Czasami drogę przebiegł spłoszony Negr, zagoniony, padający, z oczami na wierzchu, nie poddający się mimo braku szans. Wyspa była jak klatka, nie można było uciec.

Zanim dopadłem do wylotu pierwszych ulic Pointe-à-Pitre, już z daleka dostrzegłem, że i tam piekło nieludzkiego polowania sięga zenitu. Grupy czarnych, skute, brzęczące kajdanami i łańcuchami, posępne lub wyjące z rozpaczy, wyczekiwały swego losu przywiązane do pni serowców. Nie potrafiłem się już wzruszyć, serce stwardniało mi dostatecznie, oczy nakarmiłem zbyt dużą ilością tych samych okrutnych scen. Chciałem tylko zwalić się na łóżko Flory i spać, spać i nic nie widzieć.

Pchnąłem bambusowe drzwi. Nie było jej... Łóżko leżało przewrócone, tak jak wszystko, obok jej bielizna, poszarpana, w strzępach, jedna straszliwa płatanina. Rozbite lustro, drobiazgi, pantofelki z pomponami... Nie rozumiałem jeszcze, bo nie dopuściłem myśli kłębiącej się z tyłu czaszki. Cień mignął za firanką. Skoczyłem na werandę, w samą porę by uchwycić małego brzdąca, Mulata z sąsiedniego domu, trzęsącego się, z policzkami brudnymi od łez. Znałem szczeniaka, Flora nieraz kupowała mu łakocie, na co nie stać było matki, wdowy po rybaku, który utonął w sztormie.

— Pedro! Gdzie Flora?

— ...

— Gdzie Flora?! Czyś ogłuchł?! — Szarpnąłem drobnymi ramionkami jak przewracaną poduszką.

— Za... za... zabrali ją!

— Kto?! Kto tu był?!

— Pan Torres... i... ma... marynarze. Bili.

Szedłem ulicą spokojny jak nigdy. Miasto tętniło dziką radością, iluminowane, pijane, strzelające wiwaty. Nie przypuszczałem dotychczas, że

jest w nim aż tylu plantatorów, tylu kupców, marynarzy, podejrzanych spekulantów i pośredników — tylu białych. Z Café Morne-à-Cail dochodziły gardłowe okrzyki, wznoszono toasty, kapano się w błogim rewanzu na ekswyżwoleńcach.

Pierwszy zagadnięty marynarz wyjaśnił mi, że to „monsieur Torres”, który „swym piekielnym węchem pierwszy wyniuchał nowinę”, stawia tafię i poncz wszystkim spragnionym, albowiem wzbogacił się niezmiernie zagarniając największą partię „czarnuchów” na, o Boże! na „Człowieka wolnego” i sprzedając ją Holendrom.

Rozsunąłem sznury koralików u wejścia. Siedział tam gdzie zawsze, w kącie, otoczony pijaną zgrają, miły, kochany, serdeczny dla każdego. Gdy mnie zobaczył, coś mu błysnęło we wzroku, nie, nie strach i nie konfuzja, coś, czego nie potrafię określić, a co odgadnąłem natychmiast, czując, że i ja, i ktokolwiek inny na jego miejscu czułby to samo.

— Długo zabawiłeś. Cóż generał, ulgę dał?

— Nie, ale dał mi...

— Nie szkodzi. Mam już pieniądze na „list”, zrobiłem interes, o jakim nie śniłeś! Więc cóż ci dał Richepance?

Schyliłem się do jego ucha.

— Papiery. Cenniejsze pono od złota! I wieść pewną, lecz tu ci jej powtórzyć nie mogę.

— To wyjdźmy.

Pożegnał towarzyszy obiecując, że zaraz wróci i poklepywany przymilnie, rozpychając kompanów i dziewczyny, potoczył się do tylnego wyjścia, torując mi drogę. Na małym podwórku, na tyłach kuchni, panował już mrok, który spadł nagle, anim go zauważył.

— Gdzie te papiery?

— Tu.

Podąłem mu zwój, ten sam, który mi wręczył, tylko wyjęty z bambusa. Rozwinął. Ciemno było więc postąpił krok ku wiszącej nad drzwiami latami, uniósł dokument ku górze i wpatrywał się przez chwilę, po czym przyszła chyba ta sekunda, krótka jak mgnienie oka, gdy zmiarkował...

Mówiłem, że Antyle nauczyły mnie panować nad sobą. Ale nauczyły też okrucieństwa.

Ostrze noża zagłębiło się miękko, tnąc koszulę, skórę, potem trzewia, aż rękojeść napotkała na opór. Myślałem, że krzyknie. Nie krzyczał. Tylko wybałuszył oczy i próbował sięgnąć do kieszeni. Pchnąłem od dołu po raz drugi i trzeci, dziwnie łatwo, jak w oselkę masła. Nie próbował już wyciągnąć noża, złapał się za podbrzusze i starał utrzymać równowagę. Spomiedzy

palców sączyła mu się krew pomieszana z jakąś lepką białawą mazią.

— Juan! — z ust popłynęła mu druga strużka krwi.

Gdy wyszarpnąłem nóż po raz czwarty, padł ciężko na stertę pustych worków i znieruchomiał.

* * *

Niewielką balandrą przedostałem się na San Domingo. Byli już tam nasi. Jeszcze gdy byłem na pokładzie, dobiegło mnie niesione wiatrem „...będziem Polakami, dał nam przykład Bonaparte jak...”

Gdy szedłem do portu w Port–Au–Prince, skąd miał mnie zabrać do Europy szkuner „L’Argonuate”, potknąłem się o kamień i zakląłem po naszymu, soczyście. Skoczył do mnie kapral w wyszmelcowanym moderunku z karmazynowymi naszywkami:

— Polak jesteś, bracie?

Odwróciłem się i patrząc mu w oczy bluznąłem ohydny przekleństwem.

Dominik

Szabla i bat

Tego październikowego ranka było zadziwiająco ciepło jak na porę roku tak zazwyczaj chłodną. A może podniecające oczekiwanie chwili rozgrzewało Dominika, może tłum, który tłoczył się zwartym szeregiem, wywoływał niepoważną, rzecz prosta, chętkę, by zrzucić ciasno opięty surdut i szerzej zaczerpnąć oddechu. Trzy dni temu, gdy był tu z Chłapowskim, działo się podobnie. Wtedy również tłumy mieszkańców wyległy na ulice, przepychając się ku bramie zwanej Brandenburską lub Charlottenburską, jako że rozkraczyła swoje dwanaście kolumn na drodze z Poczdamu przez Charlottenburg.

Wówczas — 25 października 1806 roku — nastąpiło tylko preludium. Do miasta wjechał na czele swego korpusu marszałek Davout. To pierwszeństwo należało mu się, było nagrodą za zwycięstwo pod Auerstädt, o którym mówiono, wbrew oficjalnym zapewnieniom, iż miało o wiele większe znaczenie dla przebiegu kampanii niż Jena samego cesarza. Lecz Davout znał swoje miejsce. Gdy przedstawiciele rządu municypalnego, na czele którego uciekający Fryderyk Wilhelm postawił księcia Hatzfeld, wręczyli mu klucze do Berlina, on zwrócił je, oświadczając, że należą do kogoś większego. W mieście zostawił tylko jeden pułk piechoty, którego zadaniem było pełnić razem z mieszczanami funkcje policyjne, sam zaś stanął o milę za miastem, we Friedrichsfeld, między Sprewą a lasem.

Berlin, zdany na łaskę Francuzów i pełen obaw o swój los, los wziętej stolicy, mógł Bogu składać dzięki, że tym pierwszym ze zwycięzców, który pojawił się w jego murach, jest właśnie Davout. W całej Wielkiej Armii nie było korpusu bardziej karnego niż korpus Davouta. Porządek był tu prawem niepodważalnym, złamanie tego prawa równało się wyrokowi śmierci, stawało się samobójstwem wicherzyciela. Davout, surowy do przesady, fanatyk karności i wróg bezprawia, był zarazem czułym ojcem swoich ludzi. Zabezpieczając się przed zimnem wybudował dla wojska drewniane, kryte słomą baraki, zorganizował dostawy żywności i rozproszył niepokój berlińczyków, przez co sklepy, zamknięte w dniu jego wjazdu, już następnego dnia zostały otwarte. To zaś dawało oddziałom puszczanym z Friedrichsfeldu na zwiedzanie miasta możliwość dokonywania zakupów.

I teraz, gdy znowu nieprzebrane tłumy falowały po obu stronach szerokiej na kilkadziesiąt metrów alei, prowadzącej do zamku królewskiego, wszędzie

pełno było francuskiego munduru. Poza żołnierzami, którzy utrzymywali porządek, zwanymi „les gendarmes”, widziało się kity, hełmy i czapki Francuzów rozsiane jak kolorowe kwiaty w szarym mrowiu berlińczyków, wśród czepków kobiecych, kapeluszy, chust i koronek, pośród dzieci siedzących na ramionach rodziców, pod drzwiami i na balkonach domów.

Tym razem Dominik, nauczony lekcją przy wjeździe Davouta, kiedy przybył za późno i niewiele widział, przywędrował pod flankującą bramę galerii już o świcie. Pozycja była nad wyraz dogodna.

Co pewien czas jakiś przypadkowy okrzyk lub mimowolny ruch ręką żołnierza, który pilnował porządku i nie pozwalał rozlewać się ciżbie w kształt nieregularnej plamy oliwy, jakiś jeździec przelatujący galopem lub też zwyczajnie, samoistny, niczym nie wywołany prąd przenikający masę, odwracał wszystkie głowy w kierunku głębi widniejącej w prześwicie kolumn, wszystkie stopy unosiły się na palcach, głośny szmer jak powiew wichru przetaczał się nad aleją i cichł aż do następnego razu. Berlin wraz ze swymi kluczami czekał na Napoleona. Napoleon. W Artillerieacademie jeden był tylko człowiek, pośród wielu nauczycieli, oficerów-artyleryzystów i inżynierów, który wyrażał się o wielkim Korsykaninie bez nienawiści, z pewną dozą szacunku zmieszanego ze starannie skrywanym podziwem. Był nim kapitan Scharnhorst, ulubiony wykładowca Dominika, gorący pruski patriota, człek światły i prawy, w przeciwieństwie na przykład do takiego korepetytora, porucznika Perlitza, który przypominał chłopcu Borka. Pogląd Dominika na Bonapartego, wszystko co myślał o nim, co rozsądzał i oceniał, nasłuchując wieści o oszałamiających sukcesach kolosa, wszystko to streszczało się w jednym słowie: u w i e l b i e n i e. Podobnie było z Chłapowskim, serdecznym druhem z wojskowej szkoły i Tancewiczem, który jednak nie dożył obecnej chwili, rozerwany przez przypadkowo eksplodujący pocisk, na ćwiczeniach. Dominik w marzeniach szarżował z młodym Kellermanem pod Marengo, a z Rappem pod Austerlitz, generałował i marszałkował, zdobywając Legię i krzyczał: „Vive l’empereur!” Wszystko to w twardej ławce lub na placu ćwiczeń i koszarowym dziedzińcu. Czekał na cesarza, śnił o dalszym marszu na wschód, ku Poznaniowi, ku ojczyźnie.

Tłumem szarpnęło w przód. Ręce żołnierzy, tworzących żywy mur oporowy, rozcapierzyły się i skrzyżowały, tamując ruchliwy organizm masy ludzkiej. Dominik uniósł się na palcach. O trzydzieści kroków od niego przesuwały się konne i piesze szeregi cesarskich gladiatorów, dalej wyorderowana, wyszamerowana złotem elita i obok On, w szarym płaszczu, mały, niepozorny, największy.

Kilku zgiętych wpół dostojników miejskich wstrzymało swiętę. Zgarbiony

starzec wyciągnął do przodu ręce, na których leżała atlasowa poduszka ze złotymi frędzlami i pomponami u naroży, a na niej dwa mistrzowsko rzeźbione klucze, ułożone na krzyż. Gawiedź milczała jak zaklęta i o to milczenie uderzał pogłos idący spod butów maszerujących grenadierów gwardii.

* * *

Wybicki przysiadł na brzegu biurka i nie patrząc na trzymaną w ręku kartkę rozkazał:

— Pisz, waść, co następuje: „Jan Henryk Dąbrowski...”

— Przerwij! — Dąbrowski doskoczył do Dominika i położył rękę na papierze. — Inaczej zaczniesz, Wybicki pierwszy, on memoriał składał, jego to...

— Jego to memoriał i jego skład! Waszmość, panie jenerale, nie będziesz mi raz ułożonego konceptu wywracał. Nie salon tu i nie czas w drzwiach stać i pierwszeństwo sobie zwracać... Proszę tedy... nie przeszkadzać!

Wybicki prosząc, tak był stanowczym, że generał nie protestował już, uśmiechnął się i wyszedł rozmawiać z Berthierem i panem Miaskowskim, który już od godziny czekał nań niecierpliwie. Wybicki powtórzył:

— Pisz waść. „Jan Henryk Dąbrowski, generał dywizji, ozdobiony orderem Wielkiego...”

— Orderem przez duże O?

„...Orderem Wielkiego Orła Legii Honorowej i komandor Orderu Królewskiego Korony Żelaznej. Józef Wybicki, reprezentant miast na sejmie 1791 roku.

Polacy!

Napoleon Wielki, niezwyciężony, wchodzi w trzykroć sto tysięcy wojska do Polski. Nie zgłębiajmy tajemnic zamysłów, starajmy się być godnymi jego wspaniałości.

Obaczę, jeżeli Polacy...” — przerwij! Po „obaczę” zrób nawias! „Obaczę (powiedział nam), obaczę, jeżeli Polacy godni są być Narodem, idę do Poznania, tam się pierwsze moje zawiążą wyobrażenia o jego wartości...”

Do Poznania! Dominik słuchał tego śpiewu i w duszy mu grało, i w głowie, i trudno było pisać poprawnie, kiedy tyle cudów spadło naraz z nieba. „Jeżeli godni są być Narodem”. Godni! — krzyczało w Dominiku. Rację miał Wybicki, gdy cesarzowi na posłuchaniu zaręczył, że Polak krew swoją i majątek odda dla odzyskania niepodległości i ojczyzny. Lepiej niż dotychczas czuł to właśnie teraz, w obecności tych ludzi, nieprzytomnych, rozpalonych nadzieją, natchnionych jak święci, takich jak Wybicki i Dąbrowski, ten sam,

którego ojciec buntownikiem zwał i jak Falkowski adiutant, który chciał naraić Wybickiemu na sekretarza Chłapowskiego, gdy Wybicki zjawił się w Berlinie, wezwany przez Dąbrowskiego. Ale Chłapowski, który w czasie nauki w Artillerieacademie służył w regimentie pruskim Brüsewitza i na sześć tygodni w roku wychodził na manewry w pole, gdy regiment miał iść nad Ren został w stolicy, co mu wyprotegował u dowódcy stary Chłapowski i zaraz po wejściu do Berlina korpusu Davouta wyjechał do Poznania. Na stacji Falkowski zastał Dominika. Czasu ni wyboru nie było. Wybicki był w Berlinie już 2 listopada i nazajutrz stanął przed cesarzem, a Dominik znał język polski, niemiecki i francuski, ojczyznę kochał żarliwie, czegoż trzeba więcej. Wziął go Wybicki.

Dominik starał się, by Wybicki nie musiał żałować.

— Waść pisanie nie wstrzymuj, piszmy dalej!

Ocknął się.

— „Polacy! Od was więc zawisło istnąć i mieć ojczyznę: wasz zemściciel, wasz stwórca się zjawił.

Zabiegajmy mu drogę z stron wszystkich, tak jak osieroczone dzieci rzucają się na łono ojca. Przynoście mu wasze serca i odwagę wrodzoną Polakom. Powstańcie i przekonajcie go, iż gotowi jesteście i krew toczyć na odzyskanie ojczyzny. Wie, iż jesteście rozbrojeni. Broń i oręż z rąk jego otrzymacie...”

„Od was”, a więc i od niego. I on nie będzie żałował krwi. I Janek też, choć na razie przy gospodarce siedzi z ojcem i z tą nie znaną mu dziewczyną z Krakowa.

„A wy Polacy, przymuszeni przez waszych najeźdźców bić się za nich przeciwko własnej sprawie, stawajcie pod chorągwiami Ojczyzny swojej...”

Gdyby Janek to usłyszał, gdyby matka... Pióro skrzypiało coraz szybciej, aż go musiał Wybicki temperować i przymuszać do zwolnienia. Pisać było łatwo, bo Wybicki przed chwilą, zaraz po rozmowie z cesarzem, zredagował wszystko i teraz dyktował mocnym, dźwięcznym głosem.

„Wkrótce Kościuszko, wezwany przez niezwyciężonego Napoleona, przemówi do was z Jego woli. Na teraz macie od nas rękojmię Jego oświadczonej dla Narodu obrony.

Przypomnijcie sobie, iż proklamacja, która was do formowania legionów polskich we Włoszech wzywała, nie była ku waszej zdradzie użyta. Ci to są legioniści, którzy niezwyciężonego Napoleona pozyskawszy względy, dali mu pierwsze wyobrażenie o duchu i charakterze Polaków.

Dan w kwaterze głównej cesarskiej w Berlinie, dnia 3 listopada 1806 roku. Dąbrowski, Wybicki”.

— Pokaż! No, pięknie. Pisziesz jak skryba sądowy. Hauke teraz na francuski przetłumaczy i będzie można pokazać ją cesarzowi.

Drzwi się otwarły i Dąbrowski przecisnął swój brzuch, spięty w kurtkę munduru. Wybicki zwrócił się do niego:

— Patrz! Wykaligrafował jak franciszkanin — podał papier generałowi.
— Rezler się zwie, a pisze jak ksiądz Skarga.

— Karśnicki mam drugie, po matce!

Wybicki spoważniał i przesuwając papiery na biurku odezwał się:

— Ojciec... stąd pewnie?

— Wasza wielmożność chciał rzec: Prusak!

W głosie Dominika zagrała jakaś nutka zjadliwa, której sam nie rozumiał.

— Nie wielmożuj mi, bom nie hrabia. Jeślim głupstwo strześlił, wybac. Jeno że nie dość, jako to dzisiaj widać powszechnie, Polakiem się urodzić, by Polakiem być. Kto cię Polakiem uczynił? Matka?

— Długo by mówić. Księża dwaj, matka takż. I brat i Dezyderek Chłapowski, a życie samo najwięcej. Ojciec mój...

— Czeka! — przerwał Dąbrowski — brata masz? Karśnicki... Józek czy Janek, nie pomnę... Za Naczelnika ze mną i z Madalińskim pod Bydgoszcz chodził, wąsów jeszcze wtedy nie miał, dzieciak zupełny. Jeśliś ty ta sama krew, toś brylant czystej próby, dierz go, Wybicki!

Dominik mimo wszystko, mimo że Wybicki spodobał mu się od pierwszego spojrzenia, nie potrafił polubić Dąbrowskiego. Teraz jednak, gdy ten wspomniał o Janku jak o własnym synu, pomyślał o generale cieplej.

— Co z nim? — zagadnął Dąbrowski.

— Co z nim? Po świecie ganiał, po morzach nawet. Lat kilka nie było go w domu, a potem nagle wrócił, kilka dni zabawił i do Krakowa pomknął. Wrócił w trzy niedziele i dziewczyną przywiózł, Cyganką, pono piękną jak... jak...

— Do diabła z twoim jak, co dalej?!

— Nic dalej. Siedzi teraz w Buszewie, a co robi, nie wiem, bom nie był w domu dwa lata prawie. Ojciec mi o tym wszystkim kilka słów napisał, będzie już półtora miesiąca temu.

— Znaczy się, brat sieje i orze, a mieczyka przepomniał!

— Kto go wie? Jednego tylko nie pojmuje, jak się z ojcem zgadzają razem. To tak jakby psa i kota do jednej zamknął klatki. Zresztą nie wiem, toć już rok prawie razem żyją... Jeśli żyją, bo nie wiem nawet, czy się Janek znowu z ojcem nie pokąsał i w świat nie czmychnął. On...

— Gdzie to? — wskoczył w słowo Wybicki.

— Pod Szamotułami, Buszewo.

— To jedź tam. Trzy dni ci daję. Ja jutro do Poznania ruszam. Siódmego, najpóźniej ósmego zjawisz się w mieście, jeśli... jeśli cię złe nie

porwie. Ale się nie turbuj, złe złego nie porywa. Ha, ha, ha — roześmiał się szczerze, pierwszy raz tego dnia i zaraz znowu spoważniał. — Ludzi poderwiemy. Nim Napoleon przyjdzie, my już musimy zacząć działać i wszystko na nogach, na polskich nogach postawić! Pamiętają tam serca prawe generała jak z rozkazu Kościuszki wojował... Wielkopolska ogień ten roznieci tak, że się cała Polska zapali. Wielkopolska wicią będzie, naród podrywająca. Pojmujesz? Twoja ziemia, aniś się domyślał, co? — Wybicki promieniał, jakby stał na trybunie. — Ani żeś wiedział, ni marzył!

— Wiedziałem, dawno już wiedziałem. Wiedziałem, nim waść, panie Wybicki, wiedział!

Dąbrowski, który do wyjścia się zbierał, w drzwiach stanął i zawrócił raptownie. Wybicki stał wytracony z konceptu, osłupiały, z głosem się mocując.

— Ty? Wróżem chyba jesteś albo bajesz! Dzieciuchem byłeś przecie, teraz ledwie przeskoczyłeś dwudziestkę, a prawisz, żeś dawno wiedział!

— Wiedziałem! — odparł Dominik z mocą. — Brat mi to rzekł, kiedy w świat uchodził. Jemu zaś i drugim przepowiedział ksiądz.

Wybicki i generał spojrzeli po sobie, znak wzrokiem dając, że młodzikowi chyba rozum pomieszało.

— Cóż, cóż ci rzekł? — wyszeptał Wybicki.

— Że Wielkopolska ojczyzny kolebka... Że ona naród do boju podjudzi. Z niej się wolny byt narodzi. To mi rzekł!

Tamci dwaj nie wiedzieli, co mówić, milczeli, oszołomieni wyznaniem, którego za kłamstwo brać nie śmieli, bo je prawda rozpierała najświętsza, wyczuwalna... Nie mogli pojąć.

Dominik skłonił się i wybiegł konia siodłać. Wierzchowce — odkąd marszałek Berthier wciągnął Dąbrowskiego, Wybickiego i ich pomocników na listę kwaterunkową sztabu generalnego Wielkiej Armii — trzymali w stajni sztabowej, gdzie miały opiekę, o której można marzyć. Był już prawie gotów, kiedy z dołu, spod butów, usłyszał głucho, długo przeciągnięte wycie człowieka. Za chwilę powtórzyło się i zgasło. Uklęknął, rozgarnął słomę i przyłożył ucho do ceglanej posadzki. Przez jakiś czas nic nie było słychać, aż nagle rozległ się przytłumiony jęk i dochodzące jakby z bardzo daleka, rozpaczliwe „nieeeeeee!...”. Poderwał się na nogi i wyskoczył z przegrody swego konia. Pobiegł do krańca stajni, w stronę, z której zdawało mu się napływały owe krzyki. W samym kącie ujrzał żelazną, kłamrą drewnianej kłapy. Gdy przyłożył do niej ucho, słyszał już bardzo wyraźnie, co się dzieje w podstajennym lochu i w chwilą później uniósł kłapą...

Kosztowało go to kilka godzin opóźnienia w wyjeździe, lecz ta historia

należy do innego rozdziału i zostanie później opowiedziana.

Przez wspomniane opóźnienie wyjechał dopiero przed samym wieczorem. Dąbrowski, czekający na zatwierdzenie przez cesarza odezwy, którą Wybicki i Hauke już przetłumaczyli na francuski i Napoleonowi zanieśli, wstrzymywał Dominika prawiąc, że wariactwem jest ruszanie o zmroku, i namawiał do przespania się, a wyruszenia o świcie dnia następnego, lecz Rezlera ogarnęła gorączka i nawet stu Dąbrowskich nie mogłoby go powstrzymać inaczej jak rozkazem. Wszakże generał nie zakazał, tylko pokiwał głową, jakby chciał rzec: „Postrzelony dzieciaku!” Dominik pożegnał się drugi raz i w kilka minut później przekroczył roгатki Berlina.

Pędził całą noc, szczęśliwy, że wreszcie własny dom zobaczy. We Frankfurcie niewiele brakowało, by pozostał na długo lub nawet na zawsze. Wieczorem w bardzo porządnej gospodzie, nic nie mającej z karczmy pospolitej czy przydrożnego zajazdu, Dominik zamówił jedzenie i piwo, w którym się rozsmakował w Berlinie. Gdy jadł, para aktorów zaczęła ku uciechu gości odgrywać zabawne scenki rodzajowe i pantomimy na obłożonym dywanami podwyższeniu. Dominik nie zwracał szczególnej uwagi na spektakl, lecz w końcu podniósł głowę znad talerza, gdy usłyszał głośniejszy wybuch śmiechu.

Mniejszy z komediantów, w kapeluszu naciśniętym na czoło, które ozdabiał charakterystyczny kosmyk, w szarym płaszczu i z jedną dłonią wsadzoną w rozpięcie kamizelki, drugą zaś założoną na plecy, maszerował ucieszenie i pokracznie tam i z powrotem, kopany w tyłek przez drugiego kłowna, dzierżącego w ręku pruską chorągiewkę z czarnym orłem. Więc to tak?! Dominik rozejrzał się dookoła — gawiedź pokładała się ze śmiechu, kwiczała, tupała nogami i biła brawo przy każdym celniejszym kopniaku. W drzwiach stał fagas w liberii i wyglądał ostrożnie na zewnątrz. Pilnuje, czy Francuzów nie ma w pobliżu! Dominikiem zatrzęsło. Tak poniewierać cesarza! Wroga szanować należy, sam Scharnhorst tego uczył. Tak szanują!

Dominik sam nie wiedział, jak się to stało. Może przez częste bywanie w teatrach berlińskich, gdzie nauczył się żywo reagować. Wsadził nagle dwa palce w usta i świsnął tak silnie, że śmiech ucięło jak nożem. Wyższemu pajacowi noga zamarła w wyroku, mały, „Napoleon”, czekał z wypiętym zadem. Wszystkie twarze zwróciły się ku młodemu Rezlerowi. Nie rozumieli jeszcze, był w cywilnym ubraniu, swój.

Brodaty mężczyzna, który siedział przy sąsiednim stoliku, podniósł się wolno. Po ruchach widać było, że to wojskowy, jeden z tych, co zrzucili mundur, by ustrzec się przed niewolą. Brodacz chwycił w rękę ciężki kufel i stanął przed Dominikiem.

— Das Pfeifen gefällt mir nicht!* — zawarczał, opierając się łapami o blat stołu i przysuwając czerwony nochal do twarzy siedzącego.

Dominik odsunął się nieco i wycedził z flegmą, pokazując brodaczowi drzwi:

— Wenn es ihnen nicht gefällt, so gehen sie heraus!**

Sala czekała w napięciu. Pijak rozejrzał się niepewnie wokół, jakby szukając poparcia czy podniety, po czym uniósł kufel... i poleciał w tył, wraz ze stołem i całą zastawą, kopniętymi przez Dominika, który również padł, przewrócony siłą odbicia na wznak, razem z krzesłem. Zerwał się w mig i dostrzegając kątem oka, że już suną ku niemu z dwóch stron, zamarkował bieg do wyjścia, lecz miast w objęcia czyhającego tam fagasa, tuż przed nim skoczył w bok i osłaniając głowę rękami, całym ciałem uderzył w okno. Na szczęście nie kości, lecz drewniane ramiaki poszły w drzazgi, Dominik przekulał się przez grzbiet i zatrzymał na parkanie. Zerwał się natychmiast i podbiegł do konia, u którego cugli wisiał już ów kelner czy sługa w liberii. Pejczykiem przez pysk, raz i drugi i po zasłaniających gębę łapach, konia obcasami i galop przez most, dalej na wschód.

Wkrótce minął uśpiony Sulęcín, gdzie udało mu się zmienić konia, potem Międzyrzecz i poczuł bliskość rodzinnych stron. Drząc z zimna przyswajał sobie na nowo własne krajobrazy, budzące się do życia w świetle poranka, a przecież i tak martwe, posmutniałe jesienią. Dalekie połacie piachów, najeżone kolcami sosen, kępy jałowca, które kłaniały się nisko, jak gdyby witając lub dziwując się, mgła... Słabe słońce rozświetlało równinę, świecąc w oczy i przynosząc senność. Był zmęczony i obolały, ale już blisko domu. Niepokój... Co z ojcem? Pewnie go sąsiady z Francuzami wyżeną, a może nie, toć razem z Jankiem gospodarują, może da się wszystko uładzić. Nie było mu to obojętne.

Prędzej! Prędzej!

Zza mijanej ściany lasu wytrysnął widok pagórka i nagle korony drzew wokół dworu. Na krańcu wstęgi gościńca dostrzegł kilka punktów, bliżej dało się widzieć, że to konni i dwa wozy z ludźmi. Sam wkrótce dopadł dwóch szlachciców, którzy zmierzali kłusem pod górę. Do ojca jadą? Z czym? Niepokój ścisnął mu serce, zaciął konia. Gołe kikuty sadu śmigały wokół uszu, wpadł w bramę i oniemiał.

Całe podwórze zastawione było powozami, brykami, staroświeckimi landarami, a także i chłopskimi wozami z drabin. Ponad trzydzieści koni najróżniejszych maści wierciło się przed stajnią, na uwięzi. Parobcy znosili zwierzętom owies.

* — To gwizdanie mi się nie podoba!

** — Jeśli to gwizdanie się panu nie podoba, to wyjdź pan stąd!

Na pojazdach leżeli w słomie panowie szlachta i jakieś łyki przedziwne, wyglądające z miejska i trudne do określenia. Całe zgromadzenie, nie rozbudzone jeszcze i głośno chrapiące, tuliło się pod kożuchami i derkami. W kącie podwórza kilku grzało się przy małym ognisku.

Dominik nic nie pojmował. Szedł wśród tego koczowiska sam, bo mu konia bez słowa z ręki wyjęto i przywiązano u stajni, patrzył w obce twarze, spite, zmarznięte, zaspane i chrząkające. Wstąpił pod tympanonik portyku i w oczach zrobiło mu się ciemno, plamy jakieś migwały i atakowały zmysły. Z domu wychodził, przecierając oczy, człowiek, którego widział przed laty, jak rozszalały rzucał się na ojca wraz z Czarnockim i innymi, pod kościołem. Tamten nie mógł poznać trzynastoletniego brzdąca w dwudziestodwulatku pod wąsem. Minęli się. Dominik, pełen złych przeczuć, skoczył w kierunku korytarza zawałonego leżącymi pokotem ciałami. Tu wpadł niespodziewanie w objęcia Grety, która zaczęła go tulić ze szlochem, co przecucia jego uczyniło jeszcze czarniejszymi. Wyrwał się z jej ramion i kopnął z rozmachem drzwi, w miejsce, gdzie w dzieciństwie przykładał chciwie ucho.

— ...Tedy, mówię, hańba czekać! Tak i...

Kilkanaście głów siedzących przy jedzeniu szarpnęło się ku niemu, kilkunastu ludzi zerwało się, chwytając za szable, lufy spojrzały mu w twarz czarnymi oczodołami.

Jeden człowiek pozostawał w miejscu. Miał twarz młodą, lecz zmęczoną, ogorzałą, prawie brązowego koloru. Przedwczesna, nieznaczną jeszcze siwizną, przydawała patyny pełnym szlachetnego skupienia, mocno kreślonym rysom. Kanciaste brwi jak dachy kryły oczy i te oczy patrzyły w twarz Dominika uporczywie, z niedowierzaniem, wahaniem, z radością i bojaźnią... Dominik poczuł ból w gardle, ścisnęło mu krtań. Patrzył chciwie. Tamten powoli uniósł się, okrążył stół, zbliżał się i rósł, potężniał w oczach. Dominik bezwiednie szeptał raz za razem: „Janku... Janku...”

Karśnicki wyciągnął do brata drżące dłonie, ale zaraz cofnął się o krok, skurcz niemiły wykrzywił mu oblicze, spytał:

— Ktoś jest, ojca czy nasz, znaczy mój i matusi? W Berlinie cię twój stary hodował. Cóż wyhodował?

Dominik osłupiał, ale na krótko. Opadło w nim wszystko, strach i napięcie. Czuł się szczęśliwy tak bezgranicznie, że ani mógł to wyrazić. Podeszedł do kanapy, zrzucił na nią kożuszek, poprawił włosy, które spadały mu na czoło i stanął przy oknie, tyłem do zebranych. Cisza była, nikt nie usiadł, słyszeć się dało, jak Karśnicki palce zwierza, że aż strzelają wyginane kości. W tej przyczajonej gotowości, naciągniętej jak struna, która pęknie, zabrzmiały spokojne słowa, mówione dobitnie i głucho brzmiące, że wydawało

się jakby dochodziły zza szyby, gdzieś od drzew, od mgły...

— „Polacy! Napoleon Wielki, niezwyciężony, wchodzi w trzykroć sto tysięcy wojska do Polski. Nie zgłębiajmy tajemnic zamysłów, starajmy się być godnymi jego wspaniałości. Obaczę, jeżeli Polacy godni są być Narodem. Idę do Poznania...”

— Bracie!

— „Idę do Poznania, tam się pierwsze moje zawiązą wyobrażenia o jego wartości.

Polacy!...”

— Bracie!

— „...Od was więc zawisło istnąć i mieć ojczyznę...”

Karśnicki już szedł ku niemu.

— „...Przynoście mu wasze serca i odwagę wrodzoną Polakom. Powstańcie i przekonajcie go, iż gotowi jesteście i krew toczyć na odzyskanie ojczyzny. Wie...”

— Bracie kochany!

Mężczyźni patrzyli po sobie albo w ziemię, skrępowani widokiem tych dwóch, którzy tulili się do siebie jak para kochanków, całowali, patrzyli w oczy, śmiali bezgłośnie i znowu zwierali, jakby próbując siły swych ramion. Stali tak długo, aż się z głębi pokoju ozwał głos:

— Panie Karśnicki, na Boga, czas mija!

Karśnicki i Rezler oderwali się od siebie i podeszli do stołu.

— Waszmościowie, oto mój brat jedyny, Dominik... Z Berlina pewnie przybywa, tedy i wieści przynosi najnowsze. Cóżżeś to prawil tak pięknie a tak uczenie? Kto to napisał i gdzie owa księga?

Dominik począł ścisnąć wyciągające się dłonie, obchodził kolisko i tłumaczył, że przywozi proklamację Wybickiego i że jej autor wraz z generałem Dąbrowskim lada dzień stanie w Poznaniu, by naród z kolan podnieść, że tuż za nimi następuje Napoleon, by siłą swego oręża poprzeć Polaków, że...

— Wiwat! niech żyje Napoleon!

— Wiwat! Wiwat!

Okrzyki i nagła palba zbudziły tych z podwórza, zrywali się wszyscy, w najdalszych kątach, w strachu, że ich ktoś osaczył, a nowiną poznawszy, sami walili z pistoletów, ze skałków i kapiszonówek, z czego się dało.

— Wiwat!

Dominik docisnął się do brata.

— Co się tu dzieje?

— Nie pojmujesz? Francuzi tuż, tuż. Pod Poznań podchodzą. Wszędzie

szlachta i mieszczenie wieści nasłuchują, znaku im tylko trzeba. Ot i znak przywozisz. Niech jeno Wybicki i Dąbrowski deklarację ogłoszą... O chłopów tylko chodzi...

— O chłopów?

— Właśnie, czy się ruszą. Zanim cesarz przywędruje, sami kraj oczyścimy, by móc głowę wysoko dźżyć, a nie między nogami! W Szamotułach landrata już nie ma, choć Francuzi poszli bokiem, ale Borek, pardon, Herr von Boritz, już od kilku miesięcy tam siedzi i landraturą zarządza. Kupę widzisz od wczoraj tajemnie zbieram. Szlachty i mieszczan sporo przybyło. Zamiarujemy prusactwo zdusić, nim samo tył da, a też i o Czarnockiego chodzi, bo go tam w piwnicy trzymają już prawie dziesięć lat. Ojcu twemu to zawdzięcza... Nie, nie tylko za to pod kościołem, ale potem uciekać chciał i żołnierza utłukł.

Ojcu? Dominik przypomniał sobie.

— Gdzie ojciec?

— Jak to gdzie?

— No gdzie, przecież po polsku gadam!

— Nic nie wiesz?

— Nic? Znaczy co?!

— Ojciec twój... nie żyje.

— Umarł trzy tygodnie temu. Serce, kiedy wieści o Jenie przyszły... Pochowaliśmy go, ja i Greta... Dominiku! Dominiku!

Dominik nie słuchał. Podszedł do kanapy, która już opustoszała, bo się wszyscy obejmowali i zwałił się z jękiem, kryjąc twarz w poduszkę. Brat dotknął go łagodnie.

— Odczep się!

Krzyki na zewnątrz i wewnątrz dworu nie ustępowały.

— Wiwat, niech żyje! Wiwat cesarz!!

— Wiwat Wybicki i Dąbrowski — ryknął Karśnicki, oderwany od znieruchomiłego brata i podrażniony.

— Co za Wybicki! Jakobin, gilotyny przywiezie! — ryczał już któryś. — Nie trza nam. Napoleon idzie, słyszeliście panowie, a tu pan Karśnicki chłopskie powstania będzie czynił, Wybickiego na sztandar pchając!

— Racja! — poparł go głos drugi. — Od rana nic nie uradziliśmy! Czasu szkoda, w pole trzeba, sami radę damy!

— W pole, w pole!

Zabrzęczały szable wyrywane z pochew.

Karśnicki długo wrzawę uciszał, aż wreszcie, przekrzykując nieustępliwych, rzekł:

— Panowie bracia! Cóż sami zwojujemy? Grupki małe wybijem, ot wszystko. Prusak, choć się cofa, silny jeszcze. Siłą wspólną ugryźć go trzeba, wtedy padnie na giczoły i dopieroż przez kark mu się przejedziemy! Czyście tylko wy narodem? Jakież naród wyzwalać chcecie, swój tylko? A jaki swój, stan szlachecki jeno? Kto nie szlachcic, ten nie Polak? Kto tak mówi, klnę się, Stworzycielowi bluźni! Panowie bracia, toż...

— Dość już słuchaliśmy tych bajań, od rana...

— Veto!

— My i ich wyzwolimy spod Prusaka! Nasza rzecz szable, a ich motyka... Niech w chałupach siedzą, bo jak nie!...

— Chłopski filozof!

— Rację ma, dajcie mu gadać!

Wrzawa straszliwa wyrwała Dominika z odrętwienia. Część drobna szlachty i mieszczenie za Karśnickim stali, reszta gromadziła się na ganku pomstując, waląc szablami o kolumny i belkowanie, tupiąc, do koni się rwąc.

— Nie będziesz chamów buntował, Karśnicki!

— Nie na to na wodza cię braliśmy! Wojaczkę znasz, to i dobrze, ale chłopów naszych zostaw, swoich bierz, jeśli łaska!

— Jakobin!

— Zaremba na czoło!

— Nie, Biernacki, Biernacki...

— Rydygier!

Kłócili się zawzięcie o przywództwo, szarpiąc, popychając.

Karśnicki spojrzał pogardliwie, splunął i pokazując ich swoim zadrwił:

— Patrzcie, czego im trzeba! Sejmikują, elekcje robią... patrioci!

Chciał iść ku nim, gdy wtem człek na koniu wpadł w podwórze, doskoczył do Karśnickiego i wyrzucił z siebie:

— Panie, ludzie las rąbią!

— Jacy ludzie?! Zwariowałaś? Gdzie?

— Za jeziorem... nasi... chłopi. Tną, ażę głos po puszczy leci.

Wszyscy usłyszeli. Dominik zobaczył, jak brat gwałtownie pobladł i zawahał się przez chwilę.

— Konie! Ruszamy!

Rzucono się ku stajni. Nim Karśnicki zeskokczył z ganku, w drzwiach ukazała się czarnowłosa kobieta niezwyklej urody, strojna w kolorowe łaszki jak jarmarczna tancerka i brzęcząca owiniętym wokół szyi łańcuszkiem z rzeźbionych miedziaków.

— Jedziesz, znowu?

— Muszę.

— A ja sama znowu. Jedziesz i wracasz, czyniąc tyle rzeczy obcych, komu potrzebnych? A mnie smutno samej, bez tańca, bez muzyki, bez ciebie...

— Nie czas teraz, u licha! Puść!

— Nie czas? Kiedy ty masz dla mnie czas? Nocką tylko? — mówiła śpiewnie, cicho, patrząc gdzieś w przestrzeń nad ich głowami, jakby śledziła lot ptaka.

— Hamuj się, Kami... Brat mój oto przybył, przywitaj go.

— Brat? — uśmiechnęła się smutno, lecz nie ruszyła z miejsca. — Ładny twój brat, aleś ty ładniejszy. I on mi kruszynę twego serca zabierze.

Popatrzyła na Dominika bez ciekawości, bez sympatii, spod przymkniętych powiek.

— Daj spokój, na Boga! Nie czas, wróćę rychło!

Szarpnął brata ku podwórzu, gdzie już stały gotowe rumaki.

Pędzili kupą, gnając konie i prześcigając się wzajemnie. Dominik, który na początku zgubił wierzchowca w splątanej masie zwierząt, teraz biegł za pierwszymi, wśród których widać było futrzaną czapkę brata, ukazującą się nad czuprynymi tamtych i zapadającą, na kształt głowy tonącego, kiedy pojawia się na powierzchni wzburzonego jeziora. Przegonił kilku mniej sprawnych jeźdźców, głównie ci z miasta zostawali w tyle, ale doścignąć Janka było nie sposób.

Od północy, od szarych pagórków, dał silny wiatr, spychając jeźdźców na pobocze i przynosząc pierwsze, drobne płatki śniegu. Rwali tak parę minut, choć Dominikowi zdawało się, że to sekundy mijają, przebiegli przez pustą wieś i skrótem po łąkach, obok jeziora, znowu na gościniec, przez rów i wąską ścieżką wśród lasu. Tu już nie można było kupą, kłusowali gęsiego, bacząc, by sprężynujące gałęzie nie kaleczyły twarzy, lecz choć tempo jazdy spadło, Dominik, przedzielony wąską kolumną jeźdźców, bardziej jeszcze oderwał się od brata i zupełnie stracił go z oczu. Jedną ręką trzymał cugle, drugą, zgiętą w łokciu, wyciągnął do przodu chroniąc twarz. Gdy wyskoczył z gęstwiny w szeroką przestrzeń zielonobiałego salonu, cisza tam jeszcze panowała, czekano na resztę. Jeźdźcy, którzy wylewali się ze ścieżek, zapełniali brzeg polany. Z drugiej strony wysypywali się chłopci, stawiali przy wozach obarczonych sosnowymi pniami, milczeli, stawiając siekiery obuchami na łapciach. Dominik spostrzegł, że po jego prawej ręce las rzednie, daje szerokie prześwity, wśród których tańczą białe ptaki zacierające widok gościńca. Niepotrzebnie przedzierali się przez bór, koło robiąc, gdyż polana sąsiadowała z traktem, który wił się kapryśnie w nierównym terenie.

Chłopci widać wszyscy już wybiegli z lasu. Sporo ich było, wieś cała albo i dwie, w tym kobiety, które zbiły się w gromadkę za plecami mężów. Konni

jeszcze pojedynczo dobiegali na miejsce, lecz coraz rzadziej. Po lesie leciało hukanie tych, którzy pobłądzili, i gasło w oddali.

Dwie gromady stały twarzą w twarz. Dominikowi przypomniał się ów dzień, gdy wesele przyjechało do dworu i gdy stali naprzeciw siebie chłopci i czeladź, i gdy ojciec... Ojciec! Dominik przemógł się i spojrzał ku przodowi. Janek — dziwnie było myśleć „Janek” o tym potężnym mężczyźnie, z twarzą nieco dziką i ponurą — zeskoczył właśnie z konia i postąpił ku chłopom. Zatrzymał się na środku polany i był teraz jak aktor grecki, sam jeden w amfiteatrze napiętych, złych twarzy, wpatrzonych weń i oczekujących pierwszego gestu i pierwszego słowa.

Karśnicki stał tak przez chwilę, ruszył się, wolno, ociężale i zatrzymał przy wozie załadowanym po brzegi. Dłonią począł przesuwac po powierzchni kory, jakby głaskał, jakby pieścił trupy zwałonych sosen. Gdy uniósł głowę, oparł wzrok na sędziwym chłopie, który sterczał na czele gromady jak wódz na czele armii. On jeden nie trzymał żadnego żelaza, ręce miał opuszczone, zdawało się martwe, z jednej tylko zwisał kostur sękaty. Dominik rozpoznał w nim tego, który w ów weselny poranek prosił o łaskę dla młodego oblubieńca. Brodą miał teraz dłuższą jeszcze i bardziej białą, paluchy sękate jak trzymany kij, a w oczach swoją chłopską zaciętość. Spokojny był i czekał.

Karśnicki zbliżył się do niego i chociaż nie mówił głośno, głos zamknięty ścianą lasu rozchodził się donośnie na wietrze.

— Dlaczego drzewo bijecie?

Chłop przestąpił na drugą nogę, oparł się na kiju i odpowiedział.

— Zima... zima idzie, panie... Ulituj się nad nami, panie. Chałupy trza popodbijać, zgniłki wyrzucić i nowe krokwie dać. Stare się rozpadają. Tyle lat my się nie budowali, dzieciakom w mrozy ognia nie palili. Ulituj się, panie...

— Mów: jaśnie wielmożny panie, chacie przeklęty! Zapomniałeś bata? — jeden ze szlachty wyrwał się z koniem ku mówiącemu.

— Litości mu się zachciewa, za złodziejstwo łapy rznąć! — wtórował inny.

Karśnicki wstrzymał ich wyciągniętą ręką i głosu nie podnosząc, jakby nic się nie stało, pytał dalej:

— Dawniej nie biliście, czemu teraz to czynicie?

— Drzewiej ojciec jaśnie wielmożnego pana, a potem ojciec jaśnie wielmożnego panicza — wskazał na Dominika — zasiekłby na śmierć, a teraz, panie...

— Teraz żeście odważni, bo on już nie żyje, chciałeś rzec!

— Bo Napoleon idzie i bić nie da! — wyrwał się głos jakiś z chłopskiego tłumu.

— Kto wam to rzekł?

— Kacper, jaśnie wielmożny panie — odparł stary — w rekruty go jaśnie wielmożny pan Rezler dał. Po bitwie wielkiej od Prusaków uciekł i do dom powrócił. Cuda prawił, ano że cysorz Prusaków goni.

Karśnicki rozejrzał się wokół.

— Gdzież on Kacper?

— ...

— Gdzie, pytam!?

— W kamerze, do lochu wsadzon. Borkowi ludzie wywlekli go z chałupy, do studni przywiązali i bili, aże mdał, tedy wodą go lali, aż się małżonka Kacpra u nóg Borka uwiesiła, kolana całowała... o łaskę żebrząc — głos starca drżał i wykruszał się.

— Co dalej? — Karśnicki nie tracił spokoju, jakby przesłuchiwał, choć już się zaczynało wrzenie pomiędzy szlachtą.

— Dalej... dalej Borek nas zwołał i prawił, że jak kto mundur królewski praska, winien jest utraty gardła, a Maryśka Kacprowa u nóg mu leżała, rycząc. Łaski... dostąpiła. Przerwał Borek bicie. Maryską do chałupy zawlókł... długo siedział. Kiedy wyłożył, wzięli Kacpra, na wóz cisnęli, boć kulasami ruchać nie zdołał i powieźli.

— Prusackie ścierwo! Naszych chłopów sieką! Na pohybel! — ryknęła konna gromada.

Karśnicki odwrócił się gwałtownie, a twarz mu gniewem pałała, ale starzec, nad podziw żywy, uprzedził go i przed pyskami końskimi stanął pierwszy. Inny teraz był, oczy mu błyszczały, zęby wyszczerzył, jakby gryźć chciał. Już nie wielmożniepaniący.

— Prusacy... biją. Panowie nie gorzej biją i... krzywdę czynią. Ot, pan Korwid, połowa dziecisków w Stasiakach jego jest... wszystkie dziewczki do dworu ciągał, wola czy nie wola. Bata nie żałował, takóž pan — głos starca chrypieć zaczął. — Pan... wszyscyście! Wszyscyście! — wzniosł do góry zaciśnięty kułak, gdy już go dwaj młodzi rwali za ramiona do tyłu:

— Cichaj, ojciec, co godosz... jaśnie wielmożny panie, zmiłuj się, on stary i bez rozumu plecie, jaśnie...

Nim jeszcze do starego dopadli, wyprzedził ich ryk szlachty:

— Milcz, chamie! — kilka identycznych okrzyków złało się w jeden i uderzyło gromem, ale nie chłopą, który w tył siłą szarpany pięści jeszcze nie opuszczał, ale w Karśnickiego. Ten, jak smagnięty, skulił się przed tym słowem, a nim rezon odzyskał, szlachta już szable z pochew rwała. Chłopi zwarli się ciaśniej, kosy i widły błysnęły nad głowami.

— Staaać! — Karśnicki ręce rozłożył. — Dość zwady! Nie po to tu

przybyliśmy!

— A po co?! — drwił stary szlachciura, Biernacki, który innych już koło siebie gromadził.

— Pójdą chłopci z nami na Prusaków, czy nie...

— Jeśli pójdą, to z tobą może, panie Karśnicki, ale nie z nami! Popatrz na nich! Drzewo ci rąbią bez zezwolenia i to czym! ha, ha, ha... popatrz! Pomylili się znać biedaki, bo kosy i widły z domu pobrali. Ot, buntownicy!

Nim Janek odrzekł, z gromady wychylił się młody chłop z kosą osadzoną na sztorc.

— Kosy ku obronie dierzym! A za wami pójść nam nie trza. Sami się z Prusakiem wadźcie! Wyście bili i on bił, tedy teraz wzajem się bijcie, bitego nie ciągnąc! Napolion przyjdzie czy nie, jedna niedola. Woli i on nam nie da.

— Jeśli nie da, to ja dam! Jam tu dziedzic, po ojcu i ojczymie. I brat mój! — Karśnicki wskoczył na wóz i przekrzykiwał wycie wiatru. — Ziemię dam i na pańszczyznę ciągnąć nie będę. Za robotę zapłacę, drzewo też dam, jeno nie to zdrowe, co ze złości tniecie, a uschłe, do ścinania zdatne! Słyszycie! Cesarz wam taką wolę daruje, że się udławicie, nie jego to moc... choćby i chciał, panowie bracia murem przeciw staną takim, że i on łeb rozbije, choć mocz, a ja... ja... — zeskoczył z pni i ku starej chłopce się rzucił, krzyżyk drewniany z piersi jej zerwał, do góry wyciągnął: — Na rany Boga Wszechmogącego przysięgam, doli waszej ulżę!

Mróz przeszedł obie gromady, ciszę zasiał, oczy wybałuszył i chłopom, i szlachcie. Zamarli bez ruchu, konie nawet zastygły, a Karśnicki stał pośród gminu, z ręką i z krzyżem w górę uniesionymi, jak prorok... Czapkę o ziemię cisnął, włosy mu wiatr rozwiewał, twarz paliła się ogniem niezwyčajnym. Chłopi pojąć nie potrafili i stali zgaszeni, osłupiali, zniewoleni wybuchem.

Biernacki oprzytomniał pierwszy.

— Więc to taak! Jakobin! Rozum postradał! Z torbami pójdziesz Karśnicki! Bracia! Nic tu po nas, precz uchodźmy!

Niektórzy konie zaczęli zawracać, tumult się uczynił, wrzaski, przepychanie. Znowu zgody nie było. Targowali się, przekrzykiwali, tłumaczyli wymachując rękami. Chłopi trwali bez ruchu.

Dominik miał już dość. Janek i o nim wspomniał, lecz jego dziedzictwo nad chłopstwem było mu obojętne, nie zamierzał tu rządzić i osiadać. Wolni czy niewolni, niech się brat martwi, jeśli mu to w smak. Pognał konia ku gościńcowi, sam chciał być, ojciec mu jeszcze raz przed oczami stanął...

Pędził traktem przed siebie, zostawiając wrzawę za plecami. Obce mu to było, wpadł w ów dziki wir zbyt nagle, zakręciło nim, zakołysało, nie wszystko rozumiał, choć wszystko to na pozór było proste... I ojciec! Był i nie ma

człowieka!

Wpłynął w szum lasu i w śnieg, który rozpadał się na dobre. Docierał już do zakrętu, gdy zza drzew doleciał go gwar daleki, tłumiony wichurą. Wstrzymał konia. Nasłuchiwał długą chwilę. Mógł wreszcie rozróżnić słowa wojskowej komendy, znanej pruskiej komendy. Zawrócił.

Gdy dopadł polany, zastał porządek. Biernacki swoich skupił, reszta — niewielka grupa szlachty i mieszczenie — uradzali wokół Karśnickiego. Wieśniacy milcząc poganiali konie i zabierali się do odjazdu. Krzyk: „Prusacy!” poderwał wszystkich.

— Gdzie?! Gdzie?!

Wskazał ręką i Biernacki na czele swoich poszedł w las, ku gościńcowi. Próżno Janek krzyczał za nimi, że nie można od czoła, że zasadzić się trzeba. Nie słuchali... Cóż było robić? Karśnicki swoich bokiem poprowadził, tak szybko jak tylko było można, ale nim do zakrętu dotarli, tam już wrzała bitwa.

Spory oddziałek pruski, z jednym działkiem, stał w zwartym szeregu i pluł ogniem przeciw atakującym chaotycznie jeźdźcom. Dominik, który otrzymał od brata szablę, wyjrzał zza drzewa i włos mu się zjeżył. Między żołnierzami a konnymi, którzy odparci ciskali się na obie strony gościńca jak pijani, paląc z pistoletów i dwururek, bez żadnej myśli i porządku, leżało kilka ciał. Postrzelone konie unosiły ciężko łby, nie mogąc powstać i kwiczały przeraźliwie. Krew topiła biały śnieg i rozlewała się brudną czerwienią. Wśród trupów leżał Biernacki, przywalony wierzchowcem, z rozrzuconymi rękami i skrwawioną głową.

Nowa salwa pierwszego szeregu zwała dwóch ze szlachty, choć ci już dość daleko tańczyli na podenerwowanych rumakach.

Dominik znał tę tajemnicę, wyniósł ją z ćwiczeń berlińskiej szkoły. Pierwszy szereg, dwudziestu fizylierów, to specjalnie szkoleni strzelcy wyborowi, otrzymujący na każde wprawianie się po sześćdziesiąt ostrych ładunków, podczas gdy reszta kompanii wprawiała się ślepakami dla „oswojenia z hukiem”. Ci drudzy w boju nie trafiliby byka z odległości dwudziestu metrów. Rachunek tej głupoty płacono pod Jeną i Auerstädt. Trzeba wyeliminować tych pierwszych!

Lufy oparte na gałęziach, pistolety w wyciągniętych rękach, staranne mierzenie. Karśnicki miał wypalić pierwszy, za nim inni i skok z szablami, w dół, na flankę Prusaków. Dominik dotknął ramienia brata i szepnął kilka słów. Tamten zmienił rozkaz i lufy przesunęły się w jeden cel, za nimi oczy, linie strzału wyrównano, uspokojono... Karśnicki strzelił i zaraz grzmotnął huk z myśliwskiej broni.

Starzy myśliwi, bijący jelenia w biegu na sto metrów z podrzutu, nie

chybili. Gorzej z miastowymi, ale i tak pierwszy szereg pruski zmiotło w nicość. Kilka ciał rzucało się jeszcze w konwulsjach, ktoś wył zakrywając oczy przestrelone kaczym śrutem, a oni już spadali po stoku w dół, ku drodze. Wyhamowało ich przed rowem, Prusacy plunęli ogniem, ktoś runął z jękiem w tył, konie wspięły się i trzy kroki na rozpęd... W nich!

Ludzie Biemackiego, widząc pomoc, już szarżowali z takim impetem, że gdy wpadli na skołunionych, zmieszanych, kłębiących się Prusaków, w mig rozjechali kilkunastu, sięgając środka, gdzie Karśnicki ze swoimi ciał ostrzami po łbach, po karabinach, po zamkach, po palcach na kolbie.

Dominik pierwszy raz bił się naprawdę. Więc to takie jest, takie proste. Dziwnie łatwo szło rąbanie tych przerażonych chłopaków znad Łaby i z Pomorza, nie broniących się już, a padających na kolana, zasłaniających się w śmiertelnym strachu, uciekających w las, doganianych na stromiznie i sieczonych przez kark.

— Matko najświęciet... —wydarło się z ust żołnierza ciętego na odlew przez szyję. Krew bluznęła tak wysoko, że koń tego, który cios śmiertelny zadał, oślepl od ciepłej strugi i stanął dęba.

— Kto Polak, praśnij broń! —ryknął Karśnicki.

Młody chłopak cisnął karabin do rowu i ku wołającemu ruszył, gdy mu towarzysz bagnet w plecy wraził. Jęk okropny, ciało wygięte brzuchem do przodu, ręce w tył sięgające. Nim zabójca, pruski sierżant, bagnet wyszarpnąć zdołał, dopadł go Karśnicki, pistolet drugi, nie strzelany jeszcze, do ucha przystawił i wypalił. Dominik głowę odwrócił, tak straszny był to widok. Dwa ciała leżały na ziemi sprzężone pępowiną lufy i bagnetu, jedno bez głowy prawie, drugie wygięte jak naszpilona gąsienica, w skurczu przedśmiernej męki.

— Polacy! Zdawaj się!

Karabiny poleciały na ziemię.

Nie tylko Polacy rzucali, strach rozprzegł szeregi, rzeź była tuż tuż, szczyrzyła zęby, strzał Janka złamał ostatnich.

Dominik chciał krzyknąć z radości, tak by las poniósł głos po lesie, lecz głowę mając odwróconą w kierunku, skąd nadszedł oddział pruski, zobaczył pierwszy i krzyk zamarł mu na wardze.

Od zakrętu szedł ławą konny taran, błyszczący dziesiątkami wyciągniętych szabel i pałaszy, rozpędzający się, nabierający impetu do wtóru trąbki i pruskich komend prowadzącego oficera. Za późno było, by móc uszykować obronę, jeszcze kilkadziesiąt kroków i zmiotą wszystko, co stoi na drodze, razem z nim, z bratem, z nimi wszystkimi... Bez krzyku szli, jak zjawy, pełnym galopem, usłyszeć nikt nie zdążył. Karśnicki skoczył do przodu, jakby

chcąc swoich zastawić. Kilku Prusaków z tyłu podniosło ciśniętą broń, a tamci konie rozpuścili, zdawało się, że brzuchami po ziemi idą, już zaraz, śmierć to chyba. Dominik szarpnął cugle...

Wtedy nastąpił cud — inaczej Dominik nie umiałby nazwać tego, co się zdarzyło. Z góry, od lasu, zsuwały się po zboczu na zadach i grzbietach jakieś oblepione śniegiem białe widma, wzniecając tumany puchu i ryjąc ciemne bruzdy w iskrzącej się pierzynie.

Kilka zaledwie kroków w galopie miał złocony oficer na pięknym siwku, by się z Karśnickim zderzyć, gdy szarpiący nerwy niesamowity świst kosa przeciął ciszę, ostrze zamigotało śnieżnym odbiciem i koń, nie tracąc rozpędu, przebiegł mimo niosąc jeźdźca bez głowy, z tułowiem, który — przez chwilę wydawało się, że kieruje cugłami — opadł powoli do tyłu, aż spadł i ciągnięty za zaczepioną w strzemieniu ostrogę, złobił w rowie czerwoną rysę.

Widły i kosa wżarły się w brzuchy koni i kwik poniosło nad wierzchołkami drzew. Karśnicki, a za nim inni, podskoczyli i rąbali na oślep, zadając śmierć i kalecząc. Kilku ze szlachty w mgnieniu oka wysiekło bezbronnych piechurów, nie bacząc kto Polak a kto nie, bo ich już nikt pilnować nie mógł, a oni mogliby zadać cios w plecy. I ci bezlitośni, kiedy ostatni proszący o łaskę krwią się zalał, skoczyli na pruską konnicę. Dominik, któremu ręka mdlała i który tylko pomocy ciężkiego cepu w rękę wieśniaka zawdzięczał, że go nie położył huzar wąsaty, spostrzegł, iż Prusaków mało jest i że jedynie, gdy szli ławą po gościńcu, wydawało się, że to wielka siła. Nim się obejrzał, już zaczął się nieprzyjaciel rozpraszać, małymi grupkami i pojedynczo. Śmiertelny kołowrót wytracał tempo.

Jeszcze tu i tam szczykały zderzające się ostrza, jeszcze koncypowano cięcia i zasłony, lecz wszystko nabierało rytmu zwyczajnego życia, nie było już rozmazaną plamą, ruchliwą i wirującą, pełną oczu przekrwionych, zębów zgrzytających, zaciśniętych kułaków, ostrzy, kolorów, nie rzucało człowiekiem jak kukłę przywiązaną do konia, zwalniało, nabierało rysów i kształtów, stawało się realistycznym obrazem wojennej rzeczywistości, a raczej jej specyficznego, pobitewnego gatunku.

Dominik wycierał czoło z potu, przesuwał mokre, zlepione kosmyki włosów, które spadały mu na oczy. Potem zauważył, że koniec jego karabeli jest czerwony, otarł ją o śnieżny nawis na gałęzi i począł szukać wzrokiem brata.

Karśnicki stał nad rowem i czekał na schodzącego z góry starca, widniejącego na tle czarnego rowu, który wyźlobili chłopci idąc w sukurs szlacheckiej gromadzie. Gdy stary był blisko, Janek powiedział coś, czego Dominik z tej odległości nie mógł usłyszeć, ale domyślał się, że brat dziękuje,

bo śmiał się i wskazywał chłopów stojących na boku. Dominik podszedł bliżej, ale już nie Janek, lecz ów stary wieśniak przemawiał.

— ...Wracamy do dom. Nie nam się bić za panów. Ten oto krzyżyk, na który się kłąłeś, weź, jaśnie wielmożny panie, ze sobą, byś nie przepomniał. I my wiary dochowamy. Bez twojej woli nikt już drzewa nie tknie, a i to, co wzięliśmy, do dworu powieziemy...

— Nie trzeba, wasze ono, darowałem! Krzyż wezmę, choć i bez niego bym pamiętał. A że...

— Panie Karśnicki!

Dwaj młodzi Szamotulanie biegli ku niemu, ciągnąc spory wózek, podobny do jaszczaka artyleryjskiego, obity żelazem i na kłódkę zamknięty.

— Znaleźliśmy za zakrętem. Widać do walki się sposobiać ostawili, by potem zabrać.

— Cóż to jest?

— Zamknięte. Ale złoto pewnie!

Wyraz „złoto” zelektryzował wszystkich. Nawet poharatani, zamiast dalej rany przewiązywać, podsunęli się ku zdobyczy.

— Rozbić!

— Siekiery dawać!

— Gdzie chłopcy, u nich siekiery!

Karśnicki nie wezwał wieśniaków, którzy sposobili się do odejścia.

— Nie trza siekiery. Kułą bym zamek przetrącił. A i tego nie trza! Gdzie on?!

Wskazano mu Prusaka, oficera, siedzącego ponuro na siodle zdjętym z grzbietu ubitego wierzchowca. Ręce miał w tył wykręcone i związane.

Szlachcic blisko stojący, chcąc się widać wykazać gorliwością, pierwszy złapał jeńca za kołnierz i dusząc krzyczał:

— Gadaj! Gadaj psie, co wiesz!

Prusak nabrał oddechu i z rozmachem plunął mu w twarz, aż się ślina rozpląsnęła na gębie.

— Tyyyy!!! — szlachcic wyszarpnął szablę i ciąć chciał, gdy mu ręka ciężka spadła na ramię. Karśnicki lekko go pchnął, ale zapalenie, czy to się potknął, czy też z innego może powodu, w tył parę metrów poleciał.

Prusak oczy podniósł. Olbrzym, który życie mu uratował, stał przed nim i patrzył tak, że jeniec hardy przecież na wszelki rozum, wstał nagle, jakby go siła nieznana z siodła podniosła.

Karśnicki, który dotąd głośno się odzywał, częstokroć krzykiem, teraz spytał szeptem wyciskanym przez zęby:

— Będiesz mówił?

Prusak, choć go oczy Polaka strachem przewiercały, głową dał znać, że nie. Karśnicki nic już nie rzekł, tylko sięgnął za cholewę i Dominik zdumiał się, widząc nóż dziwnej konstrukcji i rzeźby, szeroki lecz wydłużony jak maleńki mieczyk. Prusak nie czekał, może nawet nie widział noża, bo tylko w oczy Karśnickiego patrzył i musiał w nich zobaczyć coś takiego, że mu głowa zaczęła drżeć, cofnął się o krok, przewrócił o siodło i leżąc w śniegu wyrzucał z siebie potoki słów takie, aż mu Karśnicki przerwał i kazał wolniej mówić.

Prusacy uciekali z Szamotuł. W wózku były papiery, do wieczora siedziba landrata miała opustoszeć. Von Boritz jeszcze w niej został i on miał wywieźć resztę dokumentów i pieniędzy.

Na pytanie, co z tymi, którzy w lochach gniją, Prusak przysięgał, że nic nie wie, że go tu niedawno przerzucono ze Szczecina, że...

Karśnicki nie słuchał dalej. Szóstce rannych i chłopom kazał zabrać zabitych i jeńca, a sam na konia skoczył i popędził, nie oglądając się, czy ktoś za nim podąża.

W godzinę dopadli Szamotuł.

Pruski mur budynku landrata, z krzyżakami i białym tynkiem wypełnienia, widoczny był jak na dłoni. Zsiedli z kulbak i podchodzili pieszo, kryjąc się w cieniu domów. Wartownik w drzwiach, dzielony kolbą, padł jak snopek. Kilku żołnierzy i urzędników rozproszyło się po pokojach. Szlachta, krwi syta, choć goniła zajadle, brała już tylko w niewolę. Karśnicki, mając brata za plecami, rwał ku kancelarii. Drzwi kopnięciem otworzył i uskoczył na bok. Szarpnął za sobą Dominika, który nie był na tyle ostrożny, a raczej doświadczony, by samemu usunąć się na czas ze światła ościeży. Życie mu zawdzięczam! — pomyślał Dominik w tym samym momencie, gdy dwie kule wystrzelone z komnaty jęknęły mu koło ucha.

Borek sięgał już po trzeci pistolet. Nóż przez Karśnickiego miotnięty zawarczał w powietrzu i wbił się w nadgarstek wyciągniętej ręki. Jeden ryk bólu i zaraz drugi, gdy Janek nóż odbierał. Dominik patrzył na gadzinę jak mała, ślina się, płakała i skamlała na kolanach.

— Gdzie Czamocki?!

Wyciągnęli ich z lochów. Czamocki i paru innych sami stąpali, oczy zamykając, bo się im słońce wydawało świecą wrażoną do oka. Chłopa nieszczonego, Kacpra, prowadzono pod ramiona, by nie upadł.

Borka przywiązano do drążka, przy którym sam karał swoich winowajców. Czarnocki przestał ścisnąć rękę Jankowi i Dominik ze zgrozą spostrzegł, jak próbuje bicza z długim końcem, jak podchodzi ku wijącemu się Borkowi.

— Zostaaaaw!!! — zajęczało gdzieś z boku. Kacper, chłop-rekrut,

pozbył się swoich opiekunów i kuśtykał ku Czarnockiemu.

— Mój on! Mój! Ja go... oprawie! Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Śmiał się jak nieprzytomny i wywracał białkami. Czarnocki wahał się jeszcze, ale już ktoś chłopu drugi bat w rękę wcisnął, radząc:

— Na zmianę go, suczysyna, tańczyć uczcie!

Świst bata z lewej i zaraz z prawej i potem już tylko z lewej, bo Czarnocki, nie chcąc widać razem z chłopem zemsty wywierać, z rozmachem prasnął bat o ziemię i ustąpił na bok.

Dominik może by i wytrzymał, gdyby nie wycie Borka, tak żałosne, tak przejmujące, że rozdzierało serce. Gdy jeszcze przypomniały mu się czerwone plecy żołnierza na rydzyńskim rynku, nie zdzierzył. Dopadł do bijącego i pchnął go obiema rękami. Chłop padł w piasek, twarzą do przodu i już się nie podnosił, a tylko odczołgał na bok, głowę osłaniając.

Karśnicki brata w górę podniósł jak słomkę, jak gdyby chciał nim o ziemię rzucić.

— Takiś? Rezler ci przecie! Widziałeś jak Borek chłopów bił?

Dominik się nie przeląkł.

— Widziałem takie bicie, o jakim ani ty, ani Borek pojęcia nie macie i mieć nie będziecie. Bić przy mnie nie zezwolę, chyba że i mnie przywiążesz — wskazał na drążek. — Chcesz, to go obwieś albo swym nożem zarezaj, widać lubisz krajać! Ale nie bij! Nie kaci wolność ojczyźnie przywróca, lecz żołnierze. Inaczej nauki twoje pojmowałem.

Oderwał ręce brata, rozepchnął tłum i ruszył do konia. Karśnicki oczy wbił w ziemię i długo nie podnosił, by kompani nie ujrzeli zarumienionych policzków.

* * *

— Prędko przyjedziesz? Czekać będę!

— Przyjadę. Czeladzi tylko trochę dla majątku dobiore i sprawy uładzę. Francuzom do Poznania żywności trzeba będzie dowieźć. Wozy zbiorę, załaduję i z nimi pojadę.

Cyganka plasnęła w ręce z uciechy.

— Do miasta pojedziesz? Weź mnie ze sobą! Tak dawno nie widziałam miasta. Weźmiesz mnie, prawda?

— Wezmę, wezmą, jeno mi dziwno, żeś tak miasta głodna. Przedtem mówiłaś...

— Muzyki posłuchać, potańczyć, ach! Ludzi się naoglądać, świata...

— Ludzi? Muzykę, kiedy chcesz, i tu sprowadzić mogę. Kapelą całą

wystawią, rzeknij jeno.

— To nie to, nie to samo. Weź mnie ze sobą!

— Rzekłem już, pojedziemy razem. Dla ciebie...

Dominik podniósł się od stołu, przy którym śniadał wraz z bratem i jego niewiastą. Nie lubił jej, może za to, że i ona spoglądała na niego złym okiem. Prawda, że piękna diablina. Janek stawał się przy niej jak dziecko powolne skinieniu. Dziwne to, przecież do ołtarza jej nie poprowadzi, choć kto go wie, nie do takich szaleństw jest zdolny. Do łóżka dobrze sobie wybrał, tylko że dom Greta dalej prowadzi, bo tej dzień cały nie ma, przy gościńcu w dal się wpatruje, albo też tańczy na łące jak obłąkana, a na widok dworu dąsa się i smutnieje. Tedy po co przylazła, porywał ją kto, gwałtem ciągał, do ciężkiej cholery! Z Janka pół tylko w domu było do rozmowy, do wszystkiego, bo drugie pół myślą przy niej stało... Ale i to prawda, że i jej ostało się pół jeno, to dlatego tak mnie nienawidzi.

— No, czas na mnie. Wybicki się pewnikiem niecierpliwi, myślę, że razem z Dąbrowskim siedzą w Poznaniu już od wczoraj.

— Skrybą ostać chcesz?

— Do czasu. A co, może nie zdatnym do szabli?

— Zdatnyś, zdatnyś... i jak jeszcze. — Karśnicki chyba za gorąco go zapewniał i za jawnie się uśmiechał, bo Dominik dostrzegł przesadę i obaj się roześmieli.

— Czas do Wybickiego. Bądźcie zdrowi. Janku, nie gniewaj się. Okrucieństwa nie znoszę, ale przecież nikogo już nie mam prócz ciebie.

— Nie mazgaj się! Życia nie znasz, świata mało ugryzłeś. Dobrze, zem tamtej nocy o tobie nie zapomniał. Pamiętasz com prawił?

— Pamiętam, że Wielkopolska ojczyzny kolebka. Tobie zaś ksiądz ów to przepowiedział, jakże mu było?

— Zimorowicz. Prawda, prawda... — Karśnicki coś sobie przypomniał. — Na cmentarzu byłeś?

— Byłem. Pojąć tylko nie mogę, czemu pochowaliście ojca w ogródku „klechy”. On tego Zimorowicza nie cierpiał, nie jest że to wbrew jego woli?

Karśnicki podniósł się z fotela, sekretarzyk otworzył i podał Dominikowi małą, gęsto zapisaną notatkę. Czarno na białym nakreślone tam było, ręką ojca niewątpliwie, że on, Franciszek Rezler, nigdzie indziej jak tylko przy boku ślubnej swej małżonki chce spocząć po śmierci. Kto by wolę jego złamał... etc, etc.

Dominik zamyślił się głęboko. Taki był ten ojciec. Zły i dobry. Może i nieszczęśliwy, któż zgadnie?

* * *

Wjeżdżając w ulicę Wilhelmowską, zwaną aleją Wiliam, aleją, gdyż na środku zdobił ją potrójny szereg drzew, a mieszkańcy Poznania najchętniej wychodzili tu na spacer, Dominik minął kilku francuskich oficerów żywo dyskutujących, a zaraz potem grupę jeźdźców, również we francuskich mundurach. Jechali stępą, gwarzyli wesoło, swobodni, rozluźnieni. Francuzi w Poznaniu! — dobra nasza. Dominik przyśpieszył bieg konia.

Wstrzymała go biała płachta opinająca pień dębu, wokół której zebrał się spory tłumek. „Polacy!...”, toż to odezwa Wybickiego, pięknie drukowana czarnymi literami, wieszczyła, radowała, wywoływała okrzyki radości lub niedobre spojrzenia.

Jadąc dalej zobaczył jeszcze kilka odbitek rozlepionych na murach, bądź przyszpilonych do drzew. Znak nieomylny, że Wybicki jest już w Poznaniu i działa energicznie.

Przy narożniku pałacu Działyńskich, gdy wjechał z Franciszkańskiej w stary Rynek, ujrzał prześmieszny widok. Młoda dama, ubrana wykwintnie choć nieco dziwacznie, jak mu się wydawało, w czarny, aksamitny spencer na białej falbaniastej spódnicy z muślinu, w futerko rude i w czarny, otwarty kapelusz z piórami, stała bezradnie na środku placu, podczas gdy uzbrojony w szpadę młodzian rozpędzał gromadkę uliczników wrzeszczących bez opamiętania: „Komediantka! Komediantka!” Dominik omal nie spadł z siodła, taki go schwycił śmiech. Pierwszy raz się tak śmiał od dłuższego już czasu, ale nie śmiać się nie było można.

Koniem najeżdżając rozproszył wesołą hałastę, zsiadł, ukłonił się z galanterią, gdy go Dezydery, czerwony jak rak, przedstawiał pannie Jaraczewskiej.

— Widzisz, jak warto się ubierać w Poznaniu wedle ostatniej mody paryskiej! — sapnął rozeźlony Chłapowski, nie bardzo wiedząc od czego zacząć.

Ale już go Dominik zarzucił lawiną pytań, co, gdzie, kiedy, jak, zaczął więc odpowiadać, werwa mu powróciła, prawie zapomniał o pannie stojącej na boku.

— Wystaw sobie, że gdym ja do Poznania wpadł i ludziom prawilem jako Francuzi w Berlinie siedzą, w czoło mi pukali. Nie wierzył nikt! Platzmajor wezwał mnie do siebie i dalej gębę drzeć, że ludzi fałszywymi wieściami mamie. Na to ja, że prawdziwie żołnierzy Davouta na własne oczy w Berlinie oglądałem, a on: „Was? Wirkliche Französen?!”^{*} i trząść się zaczął,

* — Co? Prawdziwych Francuzów?!

jakby mu śmierć przed ślepią wylazła. Na drugi dzień jednego Prusaka w mundurze w mieście byś nie znalazł.

— A kamera, rejencja, urzędnicy?

— Siedzą. Wybicki, który od wczoraj w mieście rezyduje, poszanowanie im nakazał. Pruskich obywatelów, Niemców wszelakich i innowierców szarpać nie można. Ba! Urzędy nawet swoje trzymają, tyle że nie prezydentowi kamery, a Wybickiemu i Dąbrowskiemu sprawozdania czynią. Popatrz tylko. Więcej niż pół miasta z radości beczy, ludzie z okolicy zjeżdżają, szlachty spod Łęczycy, Sieradza, Kościana, z całej Wielkopolski i z każdą godziną coraz więcej. Bóg wie, gdzie się pomieszczą. Ale popatrz też na Prusactwo! Ślepiami po ziemi wodzą, a pod nosem po diablemu mamrotają. Francuzów, gdyby mogli, podusiliby!

— Widziałeś, jak do miasta dotarli?

— Kto? Wybicki z generałem? Dominiku! Nocą się chcieli myknąć, ale obywatele, jakim cudem się dowiedzieli, nie pojmuje, przed miasto z pochodniami wystąpili, konie im wyprzęgli i powóz do Poznania wciągnęli wśród wiwatów, Magistrat przymuszono, by gród iluminował. Zapal taki, że...

— Nie o Wybickiego pytam! Czyś widział Francuzów, jak wjeżdżali?

— Jeszcze by nie! Ja miałbym nie widzieć?! Regiment strzelców konnych pułkownika Exelmansa wpadł do miasta trzy dni temu, o szóstej wieczornej godzinie. Ludzie na ulicach takie wiwaty podnieśli, że się serce radowało. Pierwszy szwadron kłusem przebiegł, z dobytymi pałaszami i za Wartą na gościńcach toruńskim i warszawskim rozstawił placówki. Reszta stanęła na rynku i prosto z koni wpadła w objęcia mieszczan, Polaków rzecz oczywista, bo Niemiec na boku się trzymał. Dalejże całować szaserów, ścisnąć, do domów ciągnąć. Żałuj, żeś nie widział!

— U nas mieszka szef trzeciego szwadronu, pan Foulanger, grzeczny bardzo kawaler — wtrąciła nieśmiało towarzyszka Chłapowskiego. Ten widać niezbyt był uradowany godną pochwałą gościnnością Jaraczewskich, bo burknął pod nosem:

— Grzeczny, grzeczny... nie wątpię!

Dominik nie czekał dłużej. Pannie, która mu się spodobała niezmiernie, aż się głupio poczuł, gdy raz przyłapała jego wzrok, obcasami strzelił, podziękował przyjacielowi i dosiadł konia.

— Wybicki gdzie?

— Mieszka u Mielżyńskich, blisko, przy...

— A gdzie urzęduje?! Przecież o to pytam!

— W ratuszu.

— Przyjdź wieczorem, pogadamy! — i konia spiał.

Wybickiego nie było. Biegał po mieście, załatwiał druk odezw, odwiedzał obywateli, wyszukując zdolnych do rządzenia. Był za to Dąbrowski i na widok Dominika rozłożył ręce.

— Nareszcie! Witaj, skrybo, na czas przybywasz. Zmęczonyś pewnie. Siadaj, co tam w domu?

— W domu brat. Ukłony śle.

— Ukłony?! Dam ja mu ukłony! Popamięta! Niech mi się nie kłania, ale niech mundur nakłada. Takich jak on złotem bym płacił! Słać po niego!

— Nie trzeba, sam przybędzie, z zapasami.

— To i dobrze. Ludzie są i więcej będzie, a do gęby nie ma co im włożyć. Wszystkiego brak, furazów, mąk, kasz, nawet chleba. Komisję wojewódzką dzisiaj ustanowiliśmy, ona o żywność i o rekruta zadba, rajców ziemskich na miejsce landratów ustanowi, od amtmanów i starostów podatek odbierze, pocztę uorganizuje... jednym słowem co się tylko da. Sam z Wybickim nie podołam. Dla mnie insurekcja rzecz pierwsza. Nowe tu legie powstaną, ludzi się umunduruje i Wielkopolska buchnie płomieniem. Kolebka twoja... takeś mówił i dobrze...

Gwałtowne pukanie do drzwi.

— Wejść.

Jakiś cywil przyskoczył do generała.

— Wiadomość poufna.

— Możesz mówić, on nasz!

— Pan Miaskowski prosi, by przekazać waszej ekscelencji, że Skórzewski i Lipski na Kalisz idą. Teraz już tam pewnie gorąco!

— Co jeszcze?

— Szlachta do Poznania ciągnie. Nie wszystka, prawdę rzekłszy, bo się niektórzy trwożą...

— Czym?!

— Chłopy lasy rąbią, a młodzież i mieszczaństwo oficjalistów pruskich turbuje. Boją się domostwa ostawić i pomsty, gdyby... gdyby Prusak wrócił. I lasu bronią. Chłop zhardział, odkąd Napoleona czuje...

— Dosyć! Filozofowanie sobie ostaw. Wolnyś!

Dąbrowski zmarszczył czoło i wskazał Dominikowi biurko.

— Siadaj i pisz! „Obywatele... obywatele poznańscy! Miło mi jest doświadczać, że tchniecie duchem prawdziwych Polaków, wnoszę z tego jak najlepsze skutki dla naszej Ojczyzny. Wzywam was więc, żebyście się w jak najlepszej zachowali spokojności, żeby z was każdy pełnił obowiązki stanu swojego, rzemieślnicy niech pilnują swoich warsztatów, kupcy sklepów, niech się nikt nie waży prześladować w jakikolwiek sposób osób dawnego rządu,

niech każdy posłusznym będzie komisji wojewódzkiej, która się ustanowiła. Zareczam wam, że przez ten duch pokoju, połączony z gorliwością obywatelską, zasłużymy na najwyższe względy Najjaśniejszego cesarza Francuzów. Dan...”, podpisz nazwisk... albo nie, daj!

Dąbrowski nakreślił zamasyście swoje nazwisko. W tejże chwili do pokoju wskoczył Wybicki. Ręce mu się trzęsły, twarz sina, głos ledwie słyszalny, z taką trudnością go dobywał.

— Tak to jest! Do wiwatów pierwsi. „Niech żyje Napoleon!”, „Wiwat Dąbrowski!”, „Wiwat Wybicki!”, winkiem zapić, pohukać, ale do służby obywatelskiej spróbuj zapędzić. Ten „niezdatny jest”, powiada, tamten „niedoświadczony”, skromnisie psiakrew! A ilu „chorych” się porobiło! Ledwie Krzyżanowskiego kasztelana na prezesa trybunału zdołał uprosić, Breza jeszcze, Działyński... Jest paru, co ohotnie stają... Witaj! — Dominika uściskał. — U was już i krew się połała. Cóż tam?

— Brat Prusaków w lesie dopadł i poprzetrącał!

— Ha, ha! Wiadomo, Karśnicki! — generał cieszył się jawnie, ale go Wybicki z miejsca zmitygował.

— Brat? Dobry brat! Lata całe ani słyhu, a jak trzeba, to pod ręką siedzi! Tylko po co — głos Wybickiego spowaźniał — po co urzędy po miastach rozbija?! Karać za to będziemy!

— Za to, że ludzi z ciemnicy wyjął, co w niej po kilka lat gnili, bici jak zwierzęta?! Za to też?! — spytał Dominik podniesionym głosem.

Wybicki zamilkł i papiery na biurku przerzucił. Widząc, że Dominik czeka na rozkazy z piórem w ręku, sam też usiadł i bawić się począł nożykiem do przecinania listów.

— Napoleon wkrótce do miasta przybędzie. Trza zlecenie wypisać dla Kołaczkowskiego, Zaremby i Gliszczyńskiego, by się powitaniem zajęli, by apartamenta wyszukali i uorganizowali iluminacje, bal etc. Karety, dywany, meble... niech szukają! Pisz, acan!

Dominik pochylił się nad papierem.

Wieczorem odwiedził go Chłapowski u Mielżyńskich, gdzie młody Rezler stacjonował wraz z Wybickim. Długo w noc opowiadał Dominik o walce, o Borku, o Pruskim jeńcu i o chłopach. Nawet o Cygance nie zapomniał. Dezydery bez przerwy wypytywał o Janka, chciał znać każdy szczegół, kolor oczu, a jak chodzi, jak skacze na konia, jak strzela, jak niezrównanie ciska nożem. Dominik nie pojmował, czemu Chłapowski czulej niż o swojej pannie o Janku prawi, choć go nigdy nie widział na oczy.

Przyjaciół wychodząc dłonie mu ścisnął i szepnął:

— Szczęśliwyś! Za twojego brata, uuuh!... pół życia bym ci dał i jeszcze

byłoby mało! W czepku się rodziłeś!

Wspomnienie 3

Konie rozpędzają się w słońce

Doczekała się Polska jednak wolności z ręki Napoleona, w co ja już nie wierzyłem. Czułem się teraz oszukany przez swoje zwątpienia.

Po wydostaniu się z niewoli amerykańskiej, w którą wpadł „L'Argonaute”, dwa lata prawie w Anglii przesiedziałem, dręczony własnym nieudacznictwem, poniewierką i tęsknotą, wspomnieniami o sprzedawanych Negrach i żalem. Za czym?

Czas, znachor wszechmocny, rany te leczył, a wieści fanfarami brzmiące krew burzyły. Nawet kanałem przedzielony czułem, jak moc cesarza Europę przewraca, nowe niesie, pcha go dalej i dalej.

Polska teraz stanęła przed nim otworem — czyż Polak może inszego coś jak wdzięczność gorącą czuć dla tego, który Rosjan pod Austerlitz, a Prusaków pod Jeną jak pluskwy marne rozdeptał? Wracać do kraju, wracać! I to, wbrew pozorom, łatwo mi nie przyszło. Tyle w człowieku walki, tyle burzy zmysły mącącej, tyle tego wszystkiego siedzi i do nikogo łba przytulić, żadnej matki, pomocy znikąd. Obcy się czułem i niepotrzebny, choć mnie serce wołało. Nie takim samym już moje serce było, umarło, zdrętwiało, nie śpiewało tych samych co dawniej melodii... Ciąć na prawo i na lewo, pięścią rozbijać węzły, co się nawarstwiają — ot polityka, ot sposób życia. To jeszcze potrafiłem. Gęba prawie bez uśmiechu, precz z czułością, serce za żołądkiem ukryte — tego mnie życie przeklęte nauczyło, takim być musiałem albo we świecie tym przepaść, gdzie wszyscy jednacy. Bodaj dzieckiem być, o nic głowy nie łamać, zreć i hasać po łąkach zielonych, w skórę od ojca brać. Minęło, nie wróci.

Przemogłem się. Do domu wróciłem, choć wiedziałem, że tam Rezler siedzi. Ciągnęło mnie, nie w mojej mocy było oprzeć się tęsknocie. Gdym na ganku stanął, myślałem, że mnie przekleństwem powita. Ale on, jakbym przed godziną z dworu na polowanie wyjechał, spytał tylko:

— Zmęczonyś? Greta ci łóżko przygotowuje, komnata twoja wolna jest jako wprzód. Za godziną obiad będzie, zdążysz się ochędożyć i wypocząć.

Przez sekundę wydawało mi się, że chce mnie powitać, bo ręce wyciągnął, lecz zaraz odwrócił się i poczłapał do salonu. Ruszał się wolno i oddychał ciężko — nie ten sam człowiek, siwy jak gołąb, skurczony, zmały i zdawałoby się chory. Jasnym było, że cierpi na chorobę jakowąś, w jego wieku zwyczajną.

Przy obiedzie ja zacząłem rozmowę. Dowiedziałem się, że Dominik w Berlinie nauki pobiera, a Borek pnie się w górę jak zmija, w pruskich urzędach szukając fortuny i nawet pana swego byłego nie szczczędząc zarządzeniami. Pieniądze chciałem ojczymowi zwrócić. W funtach i napoleonach złotych, z Torresowych wypraw, więcej tego było niż dziesięć tysięcy talarów, ale krew ceny nie ma, i procenty, procenty... Ot i do czego doszedłem. I takich kalkulacji nauczyła mać tułaczka. Ale gdym o tym wspomniał, przerwał ruchem ręki i wyszeptał z wysiłkiem:

— Nie trzeba! Mnie one już niepotrzebne. Ostaniesz tu, to zobaczysz, że ziemia daje, ale też bierze i bierze. I one mogą ci nie wystarczyć. Tylko... tylko Dominika nie ukrzywdź!

Inny był, jak prawy ojciec. Prawdą rzekłszy, nie wiedziałem, co powiedzieć. Wdzięczny mu byłem, że mnie z lochu wykupił, ale i pamięci nie postradałem z kretesem. Patrząc jednak na niego pojąłem już, że serce wygra tę walkę z rozumem i ze złymi wspominkami. Nie zdążyło. W niecałe trzy miesiące stary umarł. Przewrócił się na podwórku chwytając za serce. Przyniosłem go na rękach na łożo. Lekki był jak dziecko, jak suchy wiórek z lasu. Prosił, by mu przynieść konterfekt matki. Wpatrywał się weń długo, a potem przymknął oczy, nie wypuszczając obrazka z ręki. Myślałem, że śpi, lecz gdy Greta zaczęła szlochać żałośnie, zrozumiałem, że już się nie obudzi.

Wówczas w jednej sekundzie pojąłem — tu ostanę i tu zdechnę. Będzie wojna o kraj, to ruszę w pole, ale ziemi tej na rozpuszczenie nie dam, moja ona po ojcu i po matce. U Angielczyków na takie gospodarowanie się napatrzyłem, że u nas za cud by uchodziło. Niełatwo być dziedzicem, nie papierowym, jeno ojcem ziemi swojej i ludzi. Z pomocą Bożą, myślałem, podołam.

Z ludzi, których widziałem wyjeżdżając, nie było ani jednego. Nawet stangreta Marcina ojczym przegonił i Niemca posadził na koźle. Nie po chrześcijańsku uczyniłem, alem drugiego dnia rano przegnał wszystkich, prócz jednego, na supliki ni tłumaczenia nie zważając. Tym jednym był komisarz ojczyma, stary Weinhold. On mi tylko nie gardłował nic, nie ciskał się, jemu pistoletu do łba przystawiać nie musiałem i grozić, a gdy jeszcze czeladź przyszła prosić za nim, zatrzymałem pocziwca. Zresztą ktoś u licha musiał mnie wprowadzić w rozliczenia i gospodarką majątku. Anna na dobre się po śmierci Rezlera rozhulała. Gdy na trzeci dzień, z objazdu majątku wracając, prosto z drogi wszedłem do salonu, twarz krygowała i miny stroiła przed lustrem, w robie długiej, haftowanej i w czepcu staromodnym ze szpilami. W chwili pierwszej ryknąć chciałem: „Matuś”, bo tyłem siedziała i... i spostrzegłem, poznałem, że to matki suknia jeno, którą od święta nosiła. Dawno w złość nie wpadłem, ale mi teraz szłał nogi poplątał, choć na gębie

poznać tego nie dałem. Skoczyłem do konia po nahaj, znać przez okno zobaczyła, bo zaczęła uciekać z krzykiem, suknię z siebie zdzierając, tak że gdy schroniła się za Gretą, półnaga była. Miała co chować, bestia, oj miała! Ramiona toczono, które mnie gorącym oblały, a może i Greta, sina już i roztyła, jakaś poważna — wstrzymało mnie. Nahaj cisnąłem i trzy dni czasu dałem na wyprowadzkę. W kilka dni wyjechała, nie udało się pocziwej Grecie zmiękczyć mi serca prośbami. Prawdę rzekłszy, to... Po prostu dziewczki mi było trzeba. Po nocach się skręcałem okrutnie, aż mi w lędźwiach bulgotało, nie podobna było zdzierzyć. Jeszcze gdy ojczym żył, tydzień po przyjeździe, z czeladzi jedną w stodole przycisnąłem. Dała się całować, ale z oczu strach taki wzywał, takie pańskie wymuszenie, że mnie cholera cisnęła. Zostawiłem głupią i więcej nie próbowałem. A potem... potem sam nie wiem już, co się stało. Gdym usłyszał, że ojczym partią koni do Radomia ekspediuje, ofiarowałem się pojechać. Sprzedałem bydła i stąd już nie tak daleko było do Krakowa. Tym razem legalnie wiozłem paszporty, nie było hazardu.

Czemu człowiek takie szaleństwa czyni i czemu jakichś oczu przepomnieć nie potrafi nigdy, Bóg to chyba wie, a pewnikiem łacniej diabeł. Nie marzyłem nawet, że japo latach odnajdę, ale rynek raz jeszcze ujrzeć chciałem... sam nie wiem dlaczego, aleć ciągnęło mnie tak, że nie moja moc była się oprzeć.

Nie tańczyła już na rynku. Rychło jednak wskazano mi, gdzie tabor cygański koczuje, blisko Pieskowej Skały. Tam już tylko wypalone ogniska zastałem. Chłopi mi rzekli, że ku Lublinowi ruszyli Cyganie. Dzień i noc pędząc dopadłem ich, na łąkach, koło leśniczówki Groble zwanej, bo w bliskości wsi o tej samej nazwie siedziała.

Ranek wstawał mglisty, wozy ich jak martwe pod dębami na granicy lasu sterczały, malców kilku konie zapędzało do wody, pohukując i gwizdząc. Gdy kobiety, ledwie rozbudzone, po wodę do rzeczki cieniuchnej udawać się poczęły, oczy wypatrywałem skryły w gęstwinie. Sam byłem, parobków jeszcze w Radomiu odesłałem do dom, a teraz śmiałości mi brakowało, by się zbliżyć, bo też czort wiedzieć mógł, jak by mnie w tym światku obcym powitano, chlebem czy nożem. Wszystkie jednako ubrane, czarne, rozpoznać nie potrafiłem. Skąd zresztą mogłem wiedzieć, czy jest tu, czyjej gdzieś w świat nie poniosło, czy to jej tabor rodzinny.

I wtedy piosenka nad trawami przemknęła, tęskna i słodka zarazem, wiatrem daleko niesiona:

*Hej myłaju Karabaju, chdież ja tebe pochowaju,
Maty, moja maty!
Pochowaju na mohyli, szto b pa tobi wołki wyli,*

Maty, moja matyyyy!

Poznałem od razu. Gdy wyrwałem konia z krzewów, odwróciła głowę i stanęła jak wryta. Dłonią przysłoniła oczy, bo od strony słońca zajeżdżałem, i sercem chyba prędzej niż pamięcią poznała, bo nagle skoczyła ku mnie i nim z konia zeskoczyłem, zarzuciła mi na szyję ramiona, jakbyśmy spędzili razem dzień poprzedni i przedwczorajszy i cały tydzień i rok, życie całe, na chwilę się nie rozstając. I mnie się zdawało, żeśmy sobie nie obcy, tedy całowałem tak samo gorąco.

Na trzeci dzień uciekła ze mną z taboru. Ojciec i rodzina nie pozwalali jej odejść, może dlatego, że pieniądze na jarmarkach zarabiała większe aniżeli z kradzieży kur i koni wycisnąć mogli. Tedy od szlachetki z Grobel, dzierżawiącego ziemię Tarnowskich hrabiów, odkupiłem konia, zdrowo za pośpiech przepłacając i w noc księżycową ruszyliśmy na zachód.

Ojczym znowu nie okazał zdziwienia, słowa nie rzekł, do stołu wspólnego dopuścił. Tylko gdy spojrział na nią, uśmiechnął się pobłaźliwie i mądrze, uśmiechem, w którym znajomość życia wielka się czai i lata nabywanej o nim wiedzy. Co oznaczał ten uśmiech, zrozumiałem już po śmierci starego, gdy spostrzegłem, że się Kami w dzień czuje jak ptak zamknięty w komorze, że jej czegoś brak, że za czymś tęskni, że coś ją dusi i smutkiem twarz przyobleka. Z dnia na dzień coraz mniej wesoła była i rozśpiewana, włóczyła się z kąta w kąt i po polach, markotna i osowiała, a i w nocy nie była już ta sama. Gdym pytał, co się stało, nic nie mówiła i dopiero przy Dominiku dowiedziałem się, czego jej brak, chociaż i wtedy nie pojąłem jeszcze wszystkiego tego, co ojczym przed śmiercią od jednego rzutu oka wyczuł i przepowiedział. Tak więc z ludzi ojczyma tylko Greta przez wszystkich kochana i Weinhold został. Weinhold — niemłody, zawsze w brudnym szlafroku i z kluczem u kordonkowego pasa, czort wie, do czego był ten klucz. On też w królestwo moje zaczął mnie wprowadzać. Krótko mówił, a już poznałem, że królują na hipotece obciążonej okrutnie i na długach, że dochody śmieszne są w porównaniu z tym, czego się spodziewałem. Cały majątek, obejmujący trzy wsie, przynosił brutto: ze zboża 83 tysiące złotych, z gorzelnii 10 tysięcy, z owczarni 20 tysięcy, z obór i trzód 11 tysięcy, z propinacji 5 tysięcy oraz 2 700 złotych z sadów, młynów i lasu, co razem dawało 131 700 złotych. Wydatki zaś gospodarskie, pensje oficjalistów i czeladzi kosztowały 58 500 złotych plus 70 tysięcy bieżących spłat hipotecznych, podatkowych, długów i temu podobnych. Razem — 128 500 złotych. Nadwyżka, i to pozorna, bo zawsze się rozpływała nie wiadomo gdzie, wynosiła 3 200 złotych, co uznałem za draństwo krzyczące o pomstę do nieba. Miał Rezler ciężką pięść, jeno nie tu gdzie trzeba spadała.

Same darowizny, wciskane Scholzowi do kieszeni, ile wynosiły?

Zacząłem od tego, co mnie we wrotniach raziło. Kazałem zerwać znak herbowy Rezlera, który nad wjazdem wisiał. Na jego miejsce parobek wstawił wielki, zepsuty zegar, znaleziony na strychu.

Zegar czekał cierpliwie na reperacją i niezmiennie pokazywał południe, co nikomu nie wadziło. Przepych nuworysza, jakim Rezler się otaczał, a który — przyznać muszę — po ojcu moim zastał i jeszcze powiększył, chcąc zaćmić poprzednika, nie był mi potrzebny. Przyjęć dla sąsiadów ni dla zwierzchności urzędniczej nie zamierowałem wyprawiać, wszystko, co mi było potrzebnym, to dwie dobre szkapy pod wierzch. Kamerdynerów, kredensiarzy, laufrów — całą tę hołotę w liberii, której się namnożyło podczas mojej niebytności w domu — wylałem razem z niemieckimi oficjalistami. Bryki wykwinne i cugi powozowe od razu przeznaczyłem na sprzedaż. I tak ze wszystkim, co obce i niepotrzebne.

Czasu było niewiele, Francuzi stali u progu. Sąsiad Dukwicz, który znał mnie dobrze i o wyprawie mojej za insurekcji słyszał, ludzi ku mnie gromadzić począł. Anim się obejrzał, jak się zwała z Szamotuł hurma miejskich łyków, a potem panowie bracia z okolicy. I jakby hasło jaskółką po niebie poleciało — Dominik w domu stanął. Ledwie go poznałem. Wzrostu słusznego, wąs pod nosem, trochę tylko po ojcu na gębie wyblakły, ale panny przed nim umykać nie będą. I tak jak go kiedyś zakląłem, polskim, dobrym słowem przemówił — matki krew nieodrodna. Nie śniłem, że z niego taki swojak wyrośnie. Ale wyrósł, znać, Bóg nie inaczej chciał.

Dla nich wszystkich szabelka świszcząca ważna była. Ba! I miłość ojczyzny przecież, ale pańska jeno, szlachecka, batami od chłopskiej odgradzona. Dla Dominika przygoda, Wybicki, Napoleon... batem nie bić! Ot sprawa! Mnie zaś chłop krzyż w rękę wsadził i pamiętać kazał.

Pamiętałem. Nie będę się spieszył, nie od razu. Poczekam, co Napoleon ustanowi, jeśli — co daj Panie Boże — jeśli zwycięży, ale że cudów nie ustanowi, że mu chłopom kaszy mannej z nieba sypać nie pozwolą, łatwo było wydumać. Kto by mu wtedy z panów herbowych w szeregu stanął? Ano, zobaczymy. A gdy przyjdzie pora klątwy dotrzymać i wypełnić, com przysięgał, przecież ziemi całej nie dam, nie uwłaszczę, bo się będę bał, że mi tę ziemię zmarnują, jak te okupniki-olędry pruskie, których nawet Rezler nie znosił i których przymuszony osadzał. Pouciekali już, kilka tylko rodzin zostało, a i tych trzeba będzie pewnie wykurzyć. Tedy co? Wolę dać — łatwo się to mówi. Pańszczyznę zniosę, czynsz i najem za zapłatę wprowadzę. Może gdyby nie Gil i nie Torres, sam bym w dyby kładł i niewolników z nich czynił, ale mi to teraz było wstrętne, czego panowie bracia pojąć nie potrafili i za

półgłówka mnie mieli. Może i prawda, że niedobrze mam w głowie, za jedno mi!

Jak ma ta wolność wyglądać, na krzyż chłopski zaprzysiężona? Wolę dać, znaczy hazard zacząć, rozpręgnać się czy też nie? Wolnymi trudniej rządzić, choć prawdą jest to, że nie w tym największa niedola jako Polacy do posłuszeństwa nie nawykli, ale to, że mało wśród nich takich, co by rozkazywać i komenderować umieli. Kiedy Francuz powie służącemu krótko, co najwyżej: „Fermes la porte, s’il vous plait”, u nas się mówi: „Zamknij drzwi, bo wieje”, motywując rozkaz i zostawiając podwładnemu pole do samowolności. Służący odpowiada, że nie wieje, zaczyna się dyskurs i polecenie nie zostaje wykonane. Tedy jak z tą wolą? Jak pańszczyznę znieść? Całą albo też część, na czynsz wjechać, pozwolić z ziemi uchodzić? A jeżeli czynszu płacić nie będą? Jezu, ileż to pytań i żadnej odpowiedzi. Ale co rzekłem, uczynię, doli ich ulżę. A na razie czas mam. Do Poznania mi trza, jak obiecałem.

Wiozłem spyżę, część powozów do sprzedaży i raty z intrat, które do skarbu wpłacić chciałem. I Kami.

Poznań, którego tak dawno nie widziałem, obce mi okazał oblicze. Nigdy tu nie było tyle gwaru, tyle ruchu i szczęku wojskowego, co teraz. Bramy w murze otaczającym gród, ponure zawsze, wydawały mi się dziwnie wesołe i umajone, choć przecież zima sroga następowała. Dawniej latem tu bywałem. Stanowiące większość, małe, jedno- i dwupiętrowe domki, kryte gontem, spowijały wówczas tumany kurzu bijące spod kół i kopyt. Smutne kościoły i ponure place, na których obluz wart czyniono, ludzie insi... Teraz zaś, choć miasto przybrało jawnie wojenną fizjognomię i taplało się w późnojesiennym błocku, rozpierało je od środka życie kolorowe i krwiste. Tłumy szlachty i chłopstwa na rynkach i na placu Sapiehy, kościoły, farny i Bernardynów, pełne, mury oblepione proklamacjami, grupy młodzieży z bronią, wozy z sianem i ze słomą pod ratuszem, wszędzie magazyny, mieszczki spacerujące z Francuzami, bieranina, gęstwa, jesienno-zimowa wiosna wewnątrz kwitającego grodu. On był teraz wolnej, odradzającej się Polski stolicą.

Żywność, zdobyczne działo i jeńca-oficera odstawiłem komisarzowi komisji wojewódzkiej, do której ze znanych mi ze słyszenia należeli: Jaraczewski, Sczaniecki, Kołaczkowski, Kwilecki, hrabia Szołdrski, ziemianin bogaty nad podziw, i paru innych. Znałem tylko prezesa owej komisji, Józefa Jaraczewskiego, starościca sołeckiego. Znałem go z roku 1794, kiedy stawał w powstaniu wielkopolskim. On to wskazał mi adres Dominika, a kiedy już Żydowi powozy odsprzedam i wynajęłam pokój na ulicy Klasztornej, która z Wodnej do klasztoru oo. Jezuitów prowadzi, spotkał się ze mną raz jeszcze i

poinformował nieco, bom mało co w sytuacji się orientował.

A było o czym słuchać.

Wybicki z Dąbrowskim i ich komisja twardą już łapą rządu sprawowali. Proklamacje, odezwy, manifesty wszelkie sypały się jak z rękawa. Wybicki zajął się administracją cywilną, a sprawy wojskowe zostawił Dąbrowskiemu. Od razu było widać, że nie idzie tej dwójce łatwo, szczególnie Wybickiemu. Głową trykał, bez skutku, by najposażniejszych ze szlachty, całe to ziemiaństwo w złoto opływające, magnatów wpływowych i arystokrację starą, w poczynania swoje włączyć. Takich jak ja, drobnych szaraków, starych towarzyszy z insurekcji, mieszczan także, tych pełno było. Zjeżdżały szlachciury do Poznania, wiwatując i w szabelki waląc, ale do rządów wyszukać głowy mocarne trudno było Wybickiemu. Z konieczności też pruskie kamery i rejencje zachował, wciskając do nich Polaków. Dla pozorów jeno zwano je po polsku komisjami lub izbami.

Czemuż to wielkie pany odgrodziły się od Wybickiego chłodną i wyczekującą rezerwą? Któż ich, kalkulatorów chytrych, pojmie? Może przez jego właśnie osobę? Toż Biernacki jakobinem go zwał, a może przez pobór, który jak za Prusaka ręce od pola i od roboty we dworze odrywał. Niepomni byli, że wojsko krajowi potrzebne nie tylko pańskie.

Brać miano systemem kantonowym po jednym rekrucie z dziesięciu dymów, z czego zebraloby się ładne parę tysięcy. Z tych Dąbrowski mógłby stawiać nowe legie. Ot, wojsko chłopskie. Bali się go panowie bracia, bo już chłopcy po całym departamencie szaleli, lasy rąbali, odmawiali pańszczyzny, czynili ruchawkę. Tedy się magnat ni szlachcic najbogatszy nie ruszał, za tyłek własny dzierząc.

Ale synowie jego do Poznania czmychali, szkapy ze stajni ojcom porywając! Także drobniejsza szlachta, której w kraju najwięcej, tedy do tłuczenia wroga rąk nie brakło. W samym grodzie entuzjazm panował taki, że się zdawało, iż to cała Polska umyśliła czynić konfederację w Poznaniu. Z całej Wielkopolski napływały dary i pieniądze, kobiety oddawały kosztowności... nieprawdopodobne! To się widzieć dało, ale żeby nie Jaraczewski, nie wszystko bym spostrzegł jak należy — wiele on mi rzeczy poufnych do ucha włożył. Choćby o tym, że Wybicki z musu urzędników pruskich na posadzie ostawia, bo Polaków zdolnych niewielu skaptował, i że Dąbrowski karami srogimi chłopom zagrozić musiał za lasów bezprawne trzebieenie. To, że się obaj oni szarpia, nadskakują gdzie trzeba i gdzie trzeba grożą, gną kark lub podnoszą na przemian, że głaskają, nęcą, kupują, to się i z obwieszczeń wyczytać dało, jeśli kto czytać, jak potrzeba, umiał, a nie tylko litery przerzucał.

Sama odezwa berlińska, rzekomo w imieniu Napoleona pisana, wyglądała jakby ją składał żak z akademii, o gorącej głowie, a nie mąż dojrzały i dyplomata, za jakiego pewnikiem miał się Wybicki. Lecz kto na to wtedy patrzył? Po latach dopiero, gdy ulotkę ze szpargałów Dominika wyciągnąłem i przyjrzałem się jej dokładnie, a do tego znając już historii bieg, pojąłem, że chociaż patriotyzmu w niej było co niemiara, ale konkretnej obietnicy żadnej. Podniet mnóstwo i żadnych zapewnień. Machiavel lepiej by nie ułożył. Wtedy jednak dałem się porwać fali, która już całą Wielkopolskę obejmowała. Dziś, gdy w czarny czas piszę te słowa, nie żałuję, bo tamte lata jedynym słońcem w naszym życiu były, drugiego nie wiem, czy Bóg doczekać pozwoli. Rozpędzaliśmy się na rumakach w to słońce, a z nami cały naród, szczęśliwi jak nigdy...

Duma mnie rozparła, gdy przysły wieści dokładne z Kalisza, bo i ja przecież, choć na mniejszą skalą, Prusaków poturbowałem, aż o tym głośno było wszędy. Tam w Kaliszu dzierzawca pobliskiego Opatówka, kapitan artylerii Miaskowski, przywiózł do miasta odezwę berlińską i sprawił, że dwaj dawni generałowie Kościuszki, Skórzewski i Lipski, weszli do Kalisza zbrojnie i na czele szlachty i mieszczan rozbroili pruski garnizon. Niedołężnych i inwalidów puścili wolno, urzędy zajęli, magazyny opieczętowali, jako i ja w Szamotułach uczyniłem, i korpusik zgrabny utworzyli, który dalej poznańską insurekcję rozpowszechniał.

Cały kraj Przemysławów powstawał, bujała się kolebka owa, którą Zimorowicz zapowiedział! Kamery znoszono, pludrów po lasach i po drogach bito, jako i ja uczyniłem. Ale mnie za to nagrody wielkie nie spotkały.

Przyzwał mnie do siebie Dąbrowski, podziękował i namawiać począł, bym do jednego z miast garnizonowych ruszył — a za takie miał Rogoźno, Gniezno, Leszno i Kościan — i bym tam gromadził nowobrańców, odziewał, musztrował, bym koszary szykował, dezerterów pruskich ściągał, jednym słowem, bym z pomocą starych wiarusów wojsko polskie czynił. Kiedyś ręce bym mu całował. A teraz... czemu odmówiłem, narażając się na gniew, bo spojrzął na mnie tak jakoś i pożegnał się chłodno. Czemu? Przecież nie dlatego, że obok Wybicki stał, ledwie mnie dostrzegając, za — Jaraczewski mi to potem wyklarował — za „masakrę”, którą urządziłem w landraturze szamotulskiej, przez co miasto czas jakiś musiało się obywać bez urzędu. Sam nie wiem. Ale prawdy najbliższe to było, żem się bał przemienić w koszarowego urzędasę, chłopów poganiać, kroku uczyć, psia mać! Nie dla mnie to, nie dam się z konia zsadzić! Nie w piechocie, w czworoboku stać, lecz czworoboki szarżować i rozbijać, pęd czuć, wiatru świstanie koło uszu. Nasłuchałem się cudów o Muracie, królu kawalerzystów cesarza, o jego prawej

ręce Lasalle'u, z nimi bym szedł na czele naszych konnych.

Drugi raz sam do Dąbrowskiego poszedłem. Przyjął mnie i choć spodziewałem się słów gniewnych, do serca przytulił. Odważny w czułości, kiedy Wybickiego nie ma, pomyślałem z drwiną i miłością takąż.

— I cóż, szalawilo? Facecje pewnie czynisz, winko pijesz, Cyganicę swoją macasz, a ojczyzna bagnatów potrzebuje!

— A szabel nie potrzebuje?

— Aaaaa! Tu cię boli, smarku! Konia wenerujesz... Ano, ano, tedy konnych zbierać będziesz, jeno poczekaj, bo z tym trudniej niż z rekrutami do infanterii. Wolontery są, aż nadto, ale stajnie, mundury, regulaminy! Z konnicą zawsze trudniej! Na nominację czekaj.

* * *

Czekałem więc. Dominik poznał mnie ze swoim przyjacielem Chłapowskim, na życzenie tamtego, jak mówił. Przypadł mi do gustu ten postrzeleniec, może dlatego, że mnie z lat moich szczenięcych przypominał. Godzinami potrafił przy winie ze mną siedzieć i słuchać o Genui, o Antylach, o bitwach i abordażach, męczył setkami pytań, ale tak patrzył łapczywie i prosząco zarazem, że odmówić nie mogłem, nieraz do późnej nocy bajdurzyłem ku rozeźleniu Kami.

Dominik był inny, wyrozumowany, chłodniejszy. Do koni Chłapowski był pierwszy, bo u Brüsewitza w dragonach w czas szkoły się przyuczał. Wrychło też zajęcie znalazł.

Dąbrowski na przyjęcie cesarza uformował z konnej młodzieży szlacheckiej, która do miasta gromadnie przybywała, często bez wiedzy i pozwolenia ojców, stuosobową gwardią honorową i oddał ją pod komendą Umińskiemu. Chłapowski pełnił tu funkcję adiutanta szwadronu, w którym ja byłem instruktorem, chwilowo zresztą, do czasu obiecanej nominacji na formowanie konnych legii. Dzień w dzień na polu od strony Buku, za wiatrakami, egzercyrowałem ich w obrotach plutonowych i szwadronowych. Niełatwo szło. Konie młodzików przywleczone ze wsi i z dworu, nawykłe do łąki i lasu, za żywe były do szeregu i równania psuły. Ale zapał ich właścicieli w dwójnasób wady te wyrównywał. Serce mi żywiej biło na widok tej wielkopolskiej młodzi rwącej się do walki.

Kami zaś, korzystając z mojej nieobecności i mego przyzwolenia, co dzień wybiegała w miasto kipiące życiem kolorowym i wracała rozpromieniona, brzęcząca, pełna dawnego wigoru, który powracał do niej, czyniąc, iż piękniała z dniem każdym bardziej. Zazdrość mnie piekła, gdy widziałem jak oczy

mężczyzn wszystkich ku sobie przyciąga, lecz cóż zrobić mogłem? Ani ślubną była, ani ja na męża pod kluczem niewiastą trzymającego nie nadawałem się. Bolało mnie tylko, że chociaż nocą kochała teraz gorzej niż wprzódy, coraz to bardziej obca zdawała się być, daleka i nieobecna. Nie umiałem temu zaradzić.

W dniu, gdy nie miał nic do roboty i gdy Kami nie było w domu, włóczyłem się po grodzie. Czasami zachodziłem też do kościoła farnego, o dwa kroki od domu go mając. Zmęczony wściekłą gonitwą, tu odnajdywałem spokój. Siadałem w ławie transeptu, modliłem się krótko, potem zamykałem oczy i odpoczywałem. Nigdy bym nie przypuszczał, że zamykanie się w tej klatce pełnej ciszy i pachnącego kadzidłem chłodu, przynieść może takie ukojenie, dawne wspomnienia z młodości, życie krótkie a jakież długie, twarz Torresa, oczy dziewczyny z genueńskiej ulicy, Kami z krakowskiego rynku, inną niż ta, którą teraz miałem. Cóż, wreszcie... wreszcie wszystko mi inaczej wychodziło w życiu, niż marzyłem i chciałem. Nigdzie już odpoczynku znaleźć nie potrafiłem, ni w mieście, ni w domu, ni w dzień, ni w nocy... życie mi się zbyt ciężkie wydawało. Tylko gdy w siodle siedziałem, tylko wtedy... Gdy zsiadałem, stary się czułem. Wcześniej! W nawie fary umiałem jeszcze odpocząć... Ale i stąd przepłoszyły mnie wkrótce przygotowania, jakie czyniła służba kościelna na przywitanie cesarza. Myto pawimenty, szorowano kolumny, odnawiano złocenia, sztukowano ubytki drewna i kamienia, naściągano robotników i drabin, stojaków pełno z wapnem, skrzyń z piaskiem, narzędzi. Już i całe miasto szykowało się do przyjęcia cesarza, a tłok był nieludzki i gmatwanina. Dzień w dzień wchodziły w mury nowe kolumny Davouta, a później i innych marszałków. Trzeba ich było widzieć przed miastem jeszcze! Gościńcami nie szli, bo te zamieniły się w rzeki błotniste i jak okiem sięgnąć pola po obu stronach drogi pokryte były pojedynczymi tyralierami w uniformach najróżniejszych; nieśli broń kolbami do góry i szukali suchych przepraw, stawiając nogi ostrożnie jak żurawie. Dopiero koło wiatraków, na głos bębnow, kupili się na powrót, tworzyli szeregi i kolumny, zwijali płaszcze, poprawiali rogate kapelusze i z muzyką na czele, krokiem podwójnym, wkraczali do miasta. Zazwyczaj najpierw stawiali w rynku, broń stawiali w kozły, dobywali szczoteczek i chędożyli trzewiki z błota. Potem dopiero, jeśli innego rozkazu nie było, w kości poczynali zagrywać. Trudno było uwierzyć, że te chudziny pruskich grenadierów gnały jak przepiórki.

Wybicki dobrze wiedział, że Napoleon żadnej improwizacji nie znosi. Toteż fetę powitania wykoncypował na długo przed spodziewaną chwilą i to w najdrobniejszych szczegółach. Po wsiach grupy gminu, kobiet i dzieci zawczasu przygotowano, by okrzyki wznosili, kiedy przejeżdżał będzie. Proboszczom nakazano występować naprzeciw cesarza z kadzidłem i wodą

święconą, w strojach kościelnych odświętnych, a gdyby do świątyni jakiej chciał wejść, pod baldachimem od drzwi do ołtarza prowadzić.

Jaraczewski dał mi przeczytać odpis programu wjazdu, opracowany własnoręcznie przez Wybickiego. Istny regulamin wojskowy:

„Od strony tej, jak się spodziewamy jego przybycia, są cztery bramy tryumfalne, przez które będzie przejeżdżał.

§ 1. Od pierwszego zacząwszy arku już nieprzerwanym pasmem stać będą gminy różnego wieku i płci aż do miasta wołając: „Niech żyje Napoleon!” Nb. ten § aby był skuteczniejszy, przedsięwzmq się środki takie, aby każda wieś poblizsza, każde przedmieście wiedziało, przy którym arku ma stanąć.

§ 2. Na amfiteatrach z obydwu stron nikt się mieścić nie będzie bez biletu mu danego od osoby na to przeznaczonej! Szczególniej jednak w pierwszej ławie znajdować się będą młode panny, w biel ubrane, rzucając kwiaty na powóz Napoleona, wyśpiewując ku jego pochwale pieśń.

Uprasza się tutejsze damy, aby się zatrudniły wyborem panien szlachtetnych. Co się tyczy miejskich, już się ich kilkadziesiąt ku temu końcowi oświadczyło, których regestr jest w ręku naszym.

§ 3. Pod ostatnim arkiem Dąbrowski prezentować będzie osoby Najjaśniejszemu Napoleonowi tym porządkiem:

- 1. Senat, J. W. wojewoda gnieźnieński będzie miał mowę.*
- 2. Stan rycerski, J. W. Sokolnicki będzie miał mowę.*
- 3. Stan duchowny, który dopiero w kościele będzie miał mowę.*
- 4. Stan miejski, Jmpan Kotecki mowę mieć będzie.*

Nb. Mowy w powszechności krótkie, najwięcej na minut sześć.

§ 4. Od tego arku poprowadzi się Cesarz prosto ku teatrowi, stamtąd lewą rękę. Od Wilhelmowskiej ulicy pojedzie Najjaśniejszy Napoleon prosto ku Bramie Wronieckiej, na której cyfra jego na wierzchu, na spodzie napis złotemi literami: „Siluit terra in conspectu eius”.

§ 5. Od tej bramy ulicą Wroniecką po prawej stronie Ratusza, koło Odwachu aż do ulicy Jezuickiej i tą przed kościół św. Stanisława Najjaśniejszy Cesarz poprowadzony będzie.

Nb. Poczyńić potrzeba jak najskuteczniejsze dyspozycje, aby, ile być może, drogi były uregulowane, mostki na rynsztokach dane, ulice i rynek wychędożony.

§ 6. Przed kościołem pojezuickim stać będzie duchowieństwo podług danego mu przepisu dla przyjęcia Wielkiego Napoleona i poprowadzi go pod baldachimem do wielkiego ołtarza.

§ 7. Do kościoła nikt nie będzie puszczony bez biletu, a bilet nikomu nie

będzie dany z pospólstwa... ponieważ... tam...”

Oczom własnym nie wierzyłem. Ale potem śmiać mi się zachciało. Pomyśleć, że cała ta banda wygolonych łbów nazywa Wybickiego, jakobinem. Ha, ha, ha, ha!!! Iście mi jakobin, jakich mało. Dalej czytałem.

„...ponieważ tam wszystkie damy, na czele których marszałkowa jw. Gurowska, porządkiem, jaki między sobą ułożą, znajdować się będą. Nb. Bilety te wydawane będą przez osobę do tego wyznaczoną i aprobowaną przez komendanta placu.

§ 8. Z kościoła prosto do swych pokoi Najjaśniejszy Pan wprowadzony zostanie.

§ 9. A że nie wiadomo jest, czyli w nocy Najjaśniejszy Pan przyjedzie, bramy tryumfalne przeto na wszelki przypadek muszą być lampami ozdobione. Od arku zaś do arku powkopują się słupy, na których kagańce i duże słoje nalane łojem etc. stać będą, aby w porządku mogły być zapalone. Również i teatr iluminowany będzie.

§ 10. Przy arkach postawią się strażę dzienne i nocne z obywateli poznańskich. Nb. Rząd miejski wyda do tego stosowne rozrządzenie.

§ 11. Na znak dany zbliżenia się do miasta Najjaśniejszego Napoleona we wszystkie po kościołach dzwony, aż dopóki do kościoła nie wnijdzie, dzwonić się będzie.

§ 12. Za przybyciem Najj. Pana do Poznania ciągle przez trzy wieczory iluminacje dawane będą na znak powszechnej radości. Domy Najjaśniejszego Pana, tudzież kościoły i wielkie gmachy miasta będą zewnątrz iluminowane.

§ 13. Co się tyczy wygod i wspaniałości w pokojach i u stołu Najj. Cesarza, wybrani są do tego WW. Zaremba i Kołaczkowski.

§ 14. Zresztą oczekiwać się będą rozkazy od dworu Najjaśniejszego Pana, co by wypadało uczynić na jego przyjęcie. Co wszystko komunikować się ma JW. pułkownikowi Aksamitowskiemu, komendantowi miasta Poznania”.

Spojrzałem na datę tego dokumentu, który ludziom prostym zabraniał wstępu do kościoła, by się damy poznańskie nie przeraziły widokiem nędzy. 10 listopada.

* * *

Dzień przyszedł i był to już 27 dzień listopada, kończący trzeci tydzień rządów junty (Torres by tak nazwał), którą Wybicki z jenerałem stanowili.

O piątej rano otwarło się niebo i strumienie wody lunęły na powitanie cesarza. Nie przestało padać aż do samego wieczora. Zdumiewał mnie widok, jaki rozpościerał się już o pół mili od miasta i na wszystkich ulicach, którymi miał przejeżdżać Napoleon. Dygnitarze dawni i obecni, stan wojenny, magistratury cywilne, wszelka płeć i wiek, tłumy nieprzebrane, nie baczące na ulewę, stały cierpliwie od świtu wypatrując Jego. Sto razy więcej ich przyszło, niż chciał Wybicki, i nie dlatego, że chciał, ale porywem serca... Nigdy przedtem ni potem nie widziałem innego człeka, którego by ludzie tak powszechnie miłowali, nim go jeszcze ktokolwiek z nich widział. Dziw! Milczeli i kulili się z zimna, bo wiatr niezgorzej zacinał, ale to milczenie i zaciekłość w staniu, w wodzie bezlitosnej, większe jeszcze wrażenie czyniła, aniżeli by mogły wywołać śpiewy i krzyki najgłośniejsze. Cztery wielkie napisy: „Zwycięzcy Marengo”, „Zwycięzcy Austerlitz”, „Zwycięzcy Jeny” i „Zbawcy Polski” wędły od wody na czterech arkach, ale i one pewnie nie traciły nadziei, że je cesarz zobaczy i oceni. U ostatniej bramy miał witać monarchę wojewoda Lubicz Radziwiński, najstarszy, jak mówiono, z polskich senatorów, a w kościele farnym wyczekiwał ksiądz arcybiskup gnieźnieński Raczyński, z całym duchowieństwem i przepychem kościelnym, w asystencji tych wszystkich szczęśliwców, którym posiadanie bezcennego biletu umożliwiło na jeden dzień rozkosz niekalania świątłych ocząt widokiem pospólstwa.

Wybicki swoje miał kombinacje. Poderwał nas na konie i w towarzystwie Dąbrowskiego poprowadził na zachód. Na czele całej setki pędził Umiński, za nim delegacja dostojników w powozach. W drodze dowiedziałem się, że Wybicki chce czekać na cesarza w Międzyrzeczu, by mu tam właśnie wskazać pradawną granicę Polski. I Wybicki pierwszy tego dnia zasmakował goryczy rozczarowania. Pan Bóg widać również czytał ów program, który na powitanie ułożył imć pan Wybicki, i pewnikiem nie inaczej niż ja ocenił jego zalety, ze słowami Pisma Świętego nie bardzo idące w parze.

Chmury się chyba obrywały i bardziej płynąc niż galopując, pod wieczór dopiero stanęliśmy w Bytyniu. Tam nas karetą cesarza zaskoczyła. Mowy nie było, by Działyński mógł wygłosić orację ułożoną na powitanie. Niewiele postrzegalem w mroku. Napoleon nie wysiadając z powozu, słów kilka rzucił do Dąbrowskiego, potem do Wybickiego, przez chwilą przemawiał i popędziliśmy ku Poznaniowi.

Radować się należało zaufaniem okazanym, gdyż na rozkaz Napoleona jego eskorta, złożona z 25 szaserów gwardii i oficera, usunęła się, robiąc miejsce dla nas. Ale jakoś nikt się nie cieszył, a każdy od siekających kropel się osłaniał i klął zły los. Rozdzieliliśmy się na dwie grupy, jedna przed, a

druga za karetą, i mozolnie oraliśmy błoto i ciemności czesane grzebieniami deszczu. Widziałem biały turban mameluka rezydującego na koźle karety i to, że Dąbrowski przy drzwiczkach jedzie, konwersując z cesarzem.

Głowę wtuliłem w kołnierz munduru i na konia się zdałem, gdy czyjaś ręka szarpnęła mnie mocno. Dąbrowski kłusował obok.

— Do grodu pędź! Niech się ludzie i biskup spać kładą! Nie będzie fety!

Psiakrew, ot misja! Bryzgi brudne spod kopyt na twarz mi leciały, wiatr w miejscu osadzał, a noc czarna spadła na ziemię jak kaptur. Gnałem niby pomylenieć i na takiego pewnie wyglądałem, gdy już dotarłem do murów. Ludzi niewielu stało, ale przecież stali i mokli, ile godzin tak?

Do fary przez Jezuicką przeleciałem i skoczyłem do wnętrza, które przynajmniej suche było i jarzyło się jak w biały dzień. Nie wpuściliście ludu, tedy Pan niebieski nie wpuści tu radości, próżno staliście dzień cały — pomyślałem jadowicie i zaraz wstyd mi się zrobiło tej myśli.

Biskup Raczyński drzemał chyba, z głową opuszczoną na piersi, ale gdy usłyszał kroki moje, od obcasów twardo bijących o posadzkę, oczy podniósł.

— Wasza wielebność... wasza wielebność zechce wybaczyć, ale Najjaśniejszy Pan nie będzie...

— Cóż ja... komu mam wybaczać? Jemu?

— Wasza wielebność...

Milczenie mi nakazał, wyciągając upierścienioną rękę. Wstał i ku fioletowej czeredzie się odwrócił, gestem gasząc pomruki gniewne.

— Dzieci moje... czas na spoczynek. Cesarz jegomość też pewnie zmęczony.

Odwrócił się i podreptał w głąb kościoła. Gdym ku wyjściu zmierzał ucapił mnie za rękaw kleryk młody i syknął:

— W południe miał być! Tyle luda dzień cały czekało jak psy jakie! Eminencja obiadu do ust nie brał! Nie po cesarsku to... taki zawód!

Nic nie odrzekłem i podążyłem ku domowi. Małoś cesarzy widział, mój ty rekrucie niebieski, jeśli takie sądy wydajesz. Po cesarsku to, i jeszcze jak!

* * *

Cesarz siedział, wszyscy inni stali. Po wczorajszym deszczu słońce świeciło pięknie, salę wielką rozjaśniając i ciepłem tuląc teraz, gdy już i tak pod dachem byli — jak na uragowisko. Pierwszy szedł senat, a więc kasztelanowie: nakielski — Zakrzewski, międzyrzecki — Krzyżanowski i sierpski — Mlecki, z Radziwińskim na czele. Po nich arcybiskup we francuskim języku przemawiał krótko i prezydent Breza, też po francusku, w

imieniu Izby Administracyjnej — ten się rozgadał nad miarę. Nic to było, wszystkim jeno po głowie chodziła mowa wojewody Radziwińskiego. Po łacinie prawił, jak mędrzec starożytny, głosem natchnionym, jak gdyby czytał Ewangelię. Oczy mu pały blaskiem wielkim, ręce unosił jak do błogosławieństwa. Akcentem zakończył mimowolnie straszny, który słuchaczy lękiem przejął.

— ...Zachód widział pojawienie się Twego geniuszu, Południe stało się zapłata za trudy, Wschód jest dla Ciebie przedmiotem admiracji... — jeszcze słów kilka łacińskich i koniec.

Cisza miast aplauzu panowała i dopiero wejście duchowieństwa przywróciło ożywienie. Chłapowski, który łaciny nie rozumiał, pochylił się ku mnie:

— Cóż rzekł, że wszystkim gęby pobielały jak ze strachu?

— „Północ kresem twych tryumfów się stanie!”. Dobrze chciał rzec, jeno tak wyszło dziwacznie. Los! Od wczoraj nam facecje wyprawia.

Cesarz wreszcie z fotela powstał, blady i zmęczony, inny niż sobie w myślach kreśliłem i odpowiedź dać raczył.

— „Bądźcie godnymi ojców waszych, którzy rozkazywali dworowi brandenburskiemu, nadawali carów Moskwie, oswobodzili Wiedeń i uwolnili całe chrześcijaństwo od tureckiego jarzma. Bądźcie podobni waszym pradziadom, o których bohaterstwie tyle świadectw dają dzieje świata. Niech najwięksi magnaci, cały stan rycerski i obywatele miast łączą się ku powszechnej obronie. Opatrzność ten cud dla was sprawia, iż tak szybko udało mi się pokonać orężem moim całą pruską potęgę. Ścigając nieprzyjaciela, znalazłem się pośród was i chcę ogłosić w Warszawie niepodległość waszą. Chcę waszemu narodowi przywrócić istnienie polityczne, ale korzystając z danej wam sposobności okażcie się godnymi moich zamysłów. Jeżeli w żyłach waszych płynie jeszcze krew dawnych, mężnych Polaków, wszyscy chwycicie za broń. Niechaj hasłem waszym będzie: Wolność lub Śmierć! Dzisiaj los wasz w waszym jest ręku, ja czekam, byście mnie przekonali o odwadze waszej. Muszę ujrzeć skutki waszego zapału, nie w słowach i nie w oświadczeniach zawarte — niech ujrzę hufce waszych wojsk, godne walczenia przy boku mojego żołnierza. Dotąd kontent jestem z tego, co widzę, z tego, co mi generałowie moi donoszą o waszym narodzie. Patrzeć będę na wasze rycerskie czyny!”

Wiwaty huknęły pod sklepienie. Jaraczewski, Chłapowski i inni także płakali rzewnymi łzami. I mnie rozpierała radość, alem ją wcisnął do wewnątrz tułowia. Los pokaże, co będzie — myślałem — słowa nic nie stanowią. Ale nadzieję miałem wielką jak inni.

Dzień, który teraz opowiem, dniem spotkań nazwać by należało. Ludzie radują się ze spotkań z tymi, których dawno nie oglądali, wyczekują tych chwil, marzą o nich, lub się ich boją i unikają. Na mnie spadły owe twarze, od lat nie widziane i zapomniane na poły, nagle i bez ostrzeżenia, a kiedy spadać zaczęły, już się to kolisko piekielne nie zamknęło, pojawiały się wciąż nowe, jakby los chciał mi galerię bliskich postaci w jednym momencie przed oczy stawić.

Rankiem tego dnia przybyła do miasta i stawiała się przed oblicze cesarza deputacja z Galicji — szlachta, mieszczaństwo i dwóch z gminu. Przewodził im obywatel Piotr Strzyżewski i taką mowę miał do wskrzesiciela ojczyzny, tak gorąco i zamaszyście prosił o pozwolenie uczynienia insurekcji w Galicji, że po raz pierwszy ujrzałem w oczach Napoleona zawadiackie ogniki, jakby mu Strzyżewski młodość, Lodi i Abukir, przypomniał. W grupie tłoczącej się pokornie za Strzyżewskim stał człek, chędogo choć skromnie przyodziany, ni to chłop, ni mieszczanin ubogi, w butach wojskowych i w kapocie z szerokim kołnierzem. Może bym go i nie dostrzegł, ale miast na cesarza, na mnie uporczywie ślepił, że musiałem zauważyć.

Nie znałem go i przysięgłbym, że nigdy nie oglądałem, gdyby nie oczy, wielkie, roześmiane... Skąd je zapamiętałem? Grzebałem w pamięci z całą mocą, ale jak ręka w rzece, pod korzeniem, bezskutecznie raka wymacać próbuje, tak i ja teraz nic nie potrafiłem wyłowić z zamierzchłej przestrzeni. Gdy wychodzili człek ów obejrzał się i uśmiechnął. Zdawało mi się, że do mnie, ale pewności nie miałem.

Wybicki na miejsce fety wspaniałej wybrał teatr miejski. Dla tych, którzy lubili tańczyć, nie był to wybór najlepszy —miejsca na tańce znalazło się tu niewiele. Tłum gęsty wypełnił salę aż po galerię, że jak ul brzęczący dudniła, ruszała się, wirowała kolorem i muzyką.

My, zwyczajem codziennym, pełniliśmy straż przy cesarzu, a że nikt nie wiedział, kiedy mu przyjdzie ochota salę opuścić, tedy koni masztalerzom nie oddawaliśmy, a zawsze kilku, na zmianę, pilnowało ich przed teatrem.

Kami po raz pierwszy w świat ten wielki wprowadzić mi przyszło. Ubrana po pańsku, w szmatki, które dzień wcześniej w najlepszym poznańskim magazynie nabyłem, nie przynosiła mi wstydu. Sam osłupiałem, gdy się w nie po raz pierwszy przebrała i teraz też oczu od niej oderwać nie mogłem. Nie ja jeden. Służbą pełniąc, rzadko z nią tylko zatańczyć mogłem, tedy wirowała w innych szamerowanych złotem ramionach i patrzyła roześmianym wzrokiem w oczy ogłupiałych jej gładkością oficerów. Zdawało mi się, że w oczy jednego z pułkowników Davouta zbyt śmieje patrzy, alem sobie tłumaczył, że mi się przewiduje z zazdrości.

Chłapowski, pupil szczęśliwy Bonapartego, który się z nim codziennie na wycieczki za miasto wybierał, do Swarzędza lubo też do Konarzewa i Winiar, i którego cesarz nazywał pieszczotliwie: „Un Polonais qui passe partout”^{*}, bo Dezydery przeskoczył rów błotnisty na łące, czego francuscy oficerowie nie zdołali, blisko się majestatu trzymał. Mnie za sobą ciągał, rozkochany w swym bohaterze. Napoleon spacerował po galerii i parterze, z każdym kilka łaskawych słów zamienił, niejednego za ucho pociągnął — nie tańczył. Nam zaś, na służbie będącym, danserować nie zezwolono, atoli co młodszy, Tomicki, Suchorzewski, Morawski czy Ziemecki, na zakaz nie zważali i do panien biegli na wypródki. Ja także zakaz łamałem, gdy przybiegała Kami ciągnąc do tańca.

Francuzi — ci mieli u płci nadobnej największe powodzenie, lecz jak na złość nic z mazura i poloneza pojąć nie mogli, nasze zaś damy nie nawykłe były do kontredansa. Uczono się tedy nawzajem, potykano w fałszywych pas i śmiano do rozpuku z tej uciechy. Przeleciało mi przez głowę, że za sam ten śmiech najszczerzy, jakim się Polak nie śmiał od lat, powinienem czuć wdzięczność do Napoleona.

Już koło dziesiątej wieczorem wszedł na salę szef sztabu Wielkiej Armii Berthier, w towarzystwie grupy wyższych oficerów. Wmaszerowali prosto z drogi, widać było kurz na zszarzałych mundurach. Napoleon zbiegł po kobiercu kryjącym marmurowe schody i przywitał słusznego wzrostu mężczyznę, wystrojonego w szamerowany bogato mundur — ten zdążył się przebrać — i w czerwoną wstęgę z orderem, która przecinała pierś.

— Cóż, marszałku, komunikacja z Neyem przywrócona? Ludzie Schulmeistra donoszą, że cztery korpusy rosyjskie posuwają się...

Nie słyszałem więcej, bo głos rozplynał się w gwarze. Nie interesowało mnie zresztą, co mówi cesarz, interesowała mnie twarz jego rozmówcy, druga już dzisiaj, która przybiegła z przeszłości. Inna nieco, wydostojniała, ale przecież ta sama, znana mi i bliska. Solut! Że nie zginął wówczas na Monte Creto, wiedziałem. Któż mógł nie słyszeć o bohaterze spod Austerlitz, który tam centrum dowodził. W całej Europie powtarzano, że gdy go Napoleon na chwilę przed rozstrzygnięciem zapytał, ile czasu mu potrzeba na złamanie środkowego ugrupowania przeciwnika i zdobycie jego pozycji głównej, Soult odparł spokojnie: „Dwadzieścia minut, sire!”. — „W porządku, damy im jeszcze kwadrans” — rzekł na to cesarz, a gdy kwadrans minął, Soult poderwał swoich ludzi i dotrzymał słowa, przetrącając w dwadzieścia minut kręgosłup wojsk austriackorosyjskich. Stał teraz o parę kroków, ten sam, który kiedyś zagadywał do mnie „mon petit”, na szczęście wtedy, w 1800-ym, odniósł ranę

* — Polak, który przejdzie wszędzie.

i przy kapitulacji Genui nie przyłożył ręki do hańby oddania Austriakom ludzi Strzałkowskiego. A może na nieszczęście ta jego nieobecność wyszła, bo przecież, jeśliby w mieście ostał, nie zezwoliłby krzywdy okrutnej legiom uczynić... Zoczył mnie nagle.

— C'est vous?!... Kasen... Kas... alors mon petit, j'avais oublié votre nom...*

— Karśnicki, mon general... oh! pardon... — zaskoczony, rzuciłem marszałkowi generałem i zaraz przeprosiłem, gdy on już pełną gębą śmiał się, zwracając tym powszechną uwagę. Wszyscy patrzyli ku nam, aż mi się gorąco zrobiło. Cesarz, któremu mnie Soult zaprezentował, myślał chwilę i przypomniał sobie, że Klaposky już mu o Kasnyki mówił. Chwalił za dzielność, ciepło spojrział i zagarnięty przez Wybickiego ustąpił na bok.

Soult wziął mnie pod ramię, poprowadził do głębokiej niszy, w której tysiące świeateł bladło, i tam opowiadał, jak go Austriacy nieprzytomnego z pola zdjęli i jak leżąc w szpitalu w Aleksandrii słyszał działa bijące pod Marengo. Gadał i gadał, wspominając przewagi swoje, a gdy błoto nasze i jesień przeklinać zaczął, przypomniał sobie, że stoję obok i zaproponował służbę w swoim sztabie, adiutanturę, jak w Genui. Odmówiłem. Alem sobie w czas przypomniał, że Dominik do służby się rwie, mając dość pisaniny. Wstawiłem się za nim, przedstawiając że niegłupi, języków trochę ugryzł, że dzielny, że...

— Dość, mon petit! Karsnecky zwie się przecież, to mi wystarczy! Soit!**

— Kiedy Rezler mu.

— Comment?***

— Po ojczyźnie moim. Ale po matce naszej Karśnicki, moja krew.

— Wiec go biore, kiedy twoja krew! Jej mi obok brakowało przez te kilka lat. Gdzie jest?

— Nie wiem... — wybąkałem zaskoczony głupiego z siebie czyniąc — u Wybickiego pracował, ale teraz...

— To się dowiedz i dawaj go do mnie. Im prędzej, tym lepiej, bo wkrótce ku Wiśle pociągnę. Mój szef sztabu wypisze mu przydział i załatwi, co trzeba, z Berthierem. Może się zgłosić kiedy tylko będzie chciał. Powiedz mu, że czekam.

Wtopił się w wyfraczony tłum, szemrzący gładkimi słowy, kłaniający się i pachnący pomadą.

* — Czy to ty?... Kasen... Kasin... cóż, mój mały, zapomniałem twego nazwiska...

** — Niech będzie!

*** — Jak?

A ja wstałem z kanapki i na piętro postąpiłem, by znaleźć kątek cichszy i chwilę odpocząć. Idąc korytarzem mijalem zasłoniętą łożę, gdy zatrzymały mnie w miejscu głosy nerwowe, dochodzące zza kotary. Wybicki to był i... nasłuchiwałem czas jakiś... i cesarz! Napoleon krzyczał, Wybicki odpowiadał, słodko i zdyszanie na przemian, kotara głużyła sens słów. Drzwi rozwarły się z trzaskiem, biała rękawiczka uchyliła zasłonę i Napoleon, odwracając głowę, krzyknął do tyłu:

— Nie chcę, żeby tylko tłuszcz waszego chłopstwa należała, trzeba, żeby cały naród, wasi magnaci wzięli się do oręża! *Comprenez-vous* Wybiki? *Je veux votre* pospolité!*

Drzwi zamknął, jakby chciał zamknąć usta tamtemu i wpadł na mnie, bo jakby skamieniały stałem.

— *Et voilà!* *Ami du* Kłaposky! *Brave gens!***

Szarpnął mi ucho i ruszył ku schodom. Potoczyłem się w przeciwnym kierunku bezwiednie, ogłuszony i wstrząśnięty. „*Je veux votre* pospolité!”, tak powiedział. Pospolite ruszenie chce zwołać, staropolskim, świętym obyczajem. Nie na darmo o pradziadach naszych wspominał, co wiciami rozpalali kraj. Jeno czy prawda to?

Prawda to była żywa jak krew i ciało. Drugiego grudnia, z bezpośredniego rozkazu Dąbrowskiego, wojewoda Radziwiński wydał ukaz do rycerstwa wielkopolskiego następujący:

„W dniach chlubnych Narodu naszego, kiedy szabla polska roznosiła postrach i popłoch u nieprzyjaciół kraju, kiedy ostrzem żelźca pokonywały się dumne i zawistne sąsiady; wojewodowie wtenczas przez rozesłane wici wzywali na popisy i wiedli na bój waleczne rycerstwo. Ustały z czasem te waleczne Naddziadów ustawy. Zniewieściaty Polak czekał niewoli więzów w domu, ani chciał słuchać głosu jęczącej ojczyzny, co go ku swojej wzywała obronie. Nie chciał się ważyć dla ocalenia niepodległości swojej; okryty przeto został najprzód hańbą, wkrótce potem więzami niewoli, aż też i w rządzie narodów istnąć przestał, aż też na koniec z samowładności swojej w służebniczą przeszedł kolej... Bracia! Już nie byliśmy Polakami, już tego imienia używać było zbrodnią. Kara śmierci, utrata majątku, cecha złoçynstwa czekała tego, co chciał ojczyzny swej bronić... Zjawił się bohater... Polacy! Na taki odgłos twórczy, któż jest z Was, co by w sobie odwagi człowieka wolnego nie czuł?”

I był to przecież prawdziwy, najświętszy uniwersał o pospolitym ruszeniu. Wzywał wojewoda gnieźnieński Józef Lubicz Radziwiński pod Łowicz,

* — Zrozumiałeś, Wybicki? Chcę waszego pospolitego ruszenia!

** — No proszę! Kolesz Chłapowskiego! Dzielne chłopaki!

„wszystkich obywatelów województw wielkopolskich, jako jeden pozostały wojewoda, do pospolitej obrony!”

Doczekałem siej Nie było już żadnego zwątpienia, tylko owa pewność podniecająca jak najpiękniejsza i najochotniejsza z dziewczek — że się na naszych wierzchowcach nie tylko ku wolności i ku odrodzeniu Polski wielkiej, a wspaniałej niczym za dawnych królów rozpędzimy, ale że i dojedziemy. Rozpierało mnie szczęście, którego nie zaznałem od tak dawna, a zamaćcane jeno niepokojem o Dominika.

Zniknął mi na pewien czas z oczu i zrazu myślałem, że to o niewiastę chodzi. Widziałem jak na przyjęciu u Działyńskich, przed wjazdem cesarza do Poznania jeszcze, uporczywie jednej się panny trzymał, a i ona w oczy mu zuchwale ślepiła. Zauważyłem też, że tak jak mnie zalotne spojrzenia Kami, oficerkom francuskim posyłane, tak te milczące rozmowy owej panny z Dominikiem Chłapowskiego wielce drażniły, ale ten, do wyboru mając pannę i gotowanie wojska do przyjazdu Bonapartego, na dziewczynę ręką machnął. Gdym się zapytał, rzekł mi z przekazem, że mu Dominik podchody czyni, a panna z Jaraczewskich jest. Anim wtedy pomyślał, że ta dzierlatka żoną Dominika w przyszłości ostanie.

Potem turbowałem się jego nieobecnością, co się przedłużała. Aż razu jednego zoczyłem go w rynku i machnąwszy doń, ruszyłem w jego stronę. Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, na pięcie się zakreślił i w boczną uliczkę nurknął, że nie sposób było dogonić. Uciekł! Przede mną! Niczego nie pojmowałem, tylko mróz strachu serce mi ścisnął. Pobieglem do Wybickiego, alem go nie zastał. Za to generał był. Wyłożyłem mu cały frasunek jak ojcu. Dąbrowski dłoń mi na ramieniu położył i rzekł głosem, który równie trwożył jak i to, co się w słowach zawierało:

— Brat twój misję specjalną odprawuje. Wyższa to sprawa, ponad nami. Kiedy go raz jeszcze napotkasz, nie podchodź i poznać nie daj, że się znacie. Póki on sam nie podejdzie do ciebie, a nie podejdzie nim misji nie wypełni. Nie próbuj zrozumieć, nie pora... Cóż więcej mogę ci rzec, sam wiem mało. Hazardowna to gra, ale w Bogu nadzieja, że się powiedzie.

— Jeśli tak niebezpieczna, to czy nie mógłbym bratu pomóc, wasza miłość?

— Mógłbyś.

— Uczynię wszystko! Co mam zrobić?

— Módl się za niego. Oto co możesz dlań zrobić.

— Nic więcej?!

— Nic. Rzekłem ci, to sprawa od nas wyższa, ja tu ingerować nie mogę.

— Na miłość boską, o co tu chodzi, generale!?! — krzyknąłem, trzęsąc się

z nerwów.

— O życie cesarza, chłopcze.

Wyszedłem odeń na gnących się nogach, a koszulę taką miałem moką, że ją wycisnąć można by było. Później dopiero dowiedziałem się od Dominika, że kiedy cesarz w Poznaniu siedział, dwa nań przysposobiono zamachy: jeden Anglicy, co go porwać chcieli, drugi zaś Prusacy, którzy pragnęli zabić, i brat mój przeciw temu drugiemu raptowi walczył.

Dominik

Operacja „Czarny Orzeł”

Cała ta sprawa zaczęła się dla Dominika owego popołudnia, gdy miał wyjechać z Berlina i kiedy w stajni sztabu generalnego przyłożył ucho do drewnianej klapy w ceglany pawimencie. Słyszał wyraźnie dobiegające z lochu trzy głosy: płaczliwy głos męczzonego człowieka, który wył, rzeził, jęczał i błagał o litość, ryk oprawcy posługującego się brutalnym językiem rozeźlonego prostaka, wreszcie najgorzej słyszalny, bo cichy, prawie szeptany, zdawałoby się spokojny głos jakiegoś mężczyzny, który najwyraźniej rządził tą katuszą. Dominik od razu zorientował się, iż torturowanego przypalają, gdyż oprawca krzyczał:

— Gadaj, zdrajco, albo osmałę cię całego! Bebechy wyplujesz, a zaśpiewasz! Jeszcze nie było takiego, który by mi nie zaśpiewał! No!!...

Po chwili ciszy klapa zadrżała od strasznego wycia:

— Aaaaaaa!... Aaaaa!... Jezuuuuu!

Dominik zacisnął pięści i już chciał chwycić za żelazną klamrę, gdy znowu dobiegł go głos oprawcy i powstrzymał.

— Mówisz, czy nie, kanalio?!

Odpowiedzią były przeciągły jęk i cisza. Oprawca zwrócił się do kogoś trzeciego:

— Szefie... nie wiem... ale jeszcze trochę i chłopyś nam wykorkuje... Zatwardzialec, psia mać! Cały bok ma spalony, a nie śpiewa!... Zróbmy może przerwę, a potem znowu go podsmażymy. Tak lepiej, bo teraz już otepiał z bólu...

Rezler usłyszał stuk obcasów o kamienie; mężczyzna, do którego zwracał się oprawca, musiał zrobić kilka kroków w stronę torturowanego, bo zaraz dał się słyszeć wolny, nieafektowany, z pozoru niedbały półszept o tembrze wywołującym gęsią skórę:

— Synu... słyszysz mnie?... Posłuchaj. Nie ma ludzi odpornych na tortury, są tylko mniej i bardziej wytrzymali. To znaczy krócej i dłużej. Ci, którzy dłużej znoszą ból, gorzej na tym wychodzą, bo w życiu ma się tylko jedno ciało i nie można go nareperować tak jak zegarka czy butów. Twój upór nie ma sensu. Przysięgam, że będę cię męczył tak długo, aż powiesz wszystko. Choćbyś już nie miał rąk i nóg, zostaną ci jeszcze usta i z nich wydrę te nazwiska. Więc lepiej powiedz je od razu i nie przedłużaj tych katuszy... Co ty

na to?

Męczony wycharczał, przerywając co słowo, jakby się dławił własną krwią:

— Ja... ja naprawdę... nie wiem... nie wiem nic... o żadnym... spisku... ..ja...

— To już słyszałem, mój chłopcze. Ty tylko niosłeś ich meldunek, który przechwyciliśmy. Jeśli nawet to, co mówiłeś, jest prawdą, jeśli rzeczywiście nie znasz nazwisk spiskowców, to przynajmniej musisz wiedzieć dla kogo był ten meldunek. Przecież miałeś go doręczyć komuś...

— Tak... taaaaak... ale... ja... nie znam... tego... człowieka... To miał... być... oficer... miał czekać... na ten list... przy moście...

— Oficer? Z jakiego korpusu?

— Z korpusu... marszałka... Davouta...

— No widzisz. Już coś sobie przypomniałeś. Przypomnij sobie więcej. Jego nazwisko?

— Nie znam... nie znam go...

— I tego, który ci dał ten list, też nie znasz?

— Nie, panie... Nieee... nie znam go... podszedł... do mnie... dał mi... cztery talary... powiedział...

— Co powiedział? Nie przerywaj!

— Boli, panie...

— Będzie mniej bolało, jeśli wyznasz wszystko. Więc co ci powiedział ten człowiek?

— Żeby... się spieszyć...

— Synku, tutaj każde kłamstwo strasznie boli! Wiesz...

— Przysięgam panu... ja... ja naprawdę...

— Nie mogę ci uwierzyć... Nawet jeśli nie kłamiesz, nie mogę przestać. Bo tylko Bóg wie na razie, czy mówisz prawdę, a ja nie mam innego tropu do niej, tylko ciebie... Mario, wylej na niego kubel wody i bierz się do roboty!

— Nnieee!... nieeeee... panie, błagam... nieee... nieeeeeeeeeee!... Aaaaaaa!... Matko mojaaa!...

Ostatnie dwa słowa torturowany wyrzeźbił po polsku i to zadecydowało. Dominik poderwał klapą oburącz, zobaczył pod sobą drabiną i począł schodzić. Zatrzymał się w połowie. W bladym świetle olejnych kaganków ujrzał półnagiego człowieka z rękami i nogami rozkrzyżowanymi i przykutymi żelazem do ściany. Obok stali tamci dwaj, zaskoczeni widokiem niespodziewanego gościa. Jeden z nich, oprawca, odziany był w skórzany kabat bez rękawów. W muskularnej, gęsto owłosionej łapie, trzymał palące się łuczywo. Drugi ubrany był w prosty surdut czarnej barwy. Miał lekko nalaną

tłuszczem twarz, w której świeciły się mądre, przenikliwe oczy.

Dominik znajdował się zbyt wysoko, w strefie mroku, dlatego mężczyzna w surducie przez moment zawahał się, nie mogąc dostrzec, kto stoi na drabinie. Spytał: „Kto to?!” i dopiero sięgnął za pazuchę, zbyt późno, Rezler bowiem pierwszy wyszarpnął swój pistolet i powstrzymał ruch tamtego samym szczękiem odciąganego kurka.

Dłoń mężczyzny powoli cofnęła się i opadła. Dominik zszedł jeszcze o dwa szczeble niżej.

— Co tu się dzieje, na Boga?!... Co wy robicie z tym człowiekiem?

— Próbujemy wymusić na nim zeznanie — odparł mężczyzna w czerni.

— Ale z jakiej racji w taki potworny sposób?

— A z jakiej racji jestem pytany? I przez kogo?

— Przez Polaka, takiego samego jak ten nieszczęśnik!

— A więc przez zdrajcę — zauważył beznamiętnie mężczyzna o marmurowej twarzy — bo to jest zdrajca i spiskowiec.

— To się jeszcze okaże! Kim pan jesteś, panie kacie?

— Jestem Karol Schulmeister, panie zbójcu.

Usłyszawszy to nazwisko Dominik omal nie spadł z drabiny. Po raz pierwszy zobaczył tego człowieka, którego widziało tak niewielu ludzi i który był żywym mitem, najbardziej demonicznym ze wszystkich mitów cesarstwa.

Karol Schulmeister, rudowłosy Alzaczek, najpierw przemytnik, potem szpieg, wreszcie francuski „cesarz szpiegów”, jak go określił sam Napoleon, był wówczas zastępcą dowódcy francuskiego kontrwywiadu wojskowego, generała Savary, i naczelnikiem osobistej ochrony Bonapartego. Stał w cieniu, z natury rzeczy nie mogąc pchać się na pierwszy plan, ale tylko ministrowie i marszałkowie stali wyżej od niego. Sławą przyniosło mu zdobycie twierdzy Ulm, w której zamknął się ze swą armią austriacki feldmarszałek Mack, nie wiedząc, że jego szef wywiadu armii to przebrany Schulmeister. Mówiono, że jest to człowiek o stu wcieleniach i stu twarzach, potrafiący wśliznąć się wszędzie i odegrać w sposób genialny każdą rolę. Wywiady i kontrwywiady Anglii, Rosji, Austrii i Prus, raz po raz kompromitowane przezeń z dziecinną łatwością, zapłaciłyby każdą cenę za jego głowę, bo dopóki ta głowa siedziała mocno na karku Schulmeistera, dotrzeć ze skrytobójczym zamiarem do Napoleona było trudniej niż przejść bezpiecznie przez klatkę z tygrysem. Mimo to wciąż próbowano, a on zaciekle niszczył każdą konspirację i topił we krwi każdy zbrodniczy spisek.

Ośłupienie Dominika przerwała rozpaczliwa, polskim językiem wykrzyczana prośba więźnia:

— Bracie, pomóż mi! Jestem... jestem niewinny!... Oni mnie zabiją!

— Czy ten człowiek... czy ten człowiek musi tak cierpieć? — spytał skonfundowany Rezler.

Schulmeister, widząc, że intruz na drabinie stracił tupet, warknął bezceremonialnie:

— Gównu cię to obchodzi! Zapłacisz za wtykanie nosa w nie swoje sprawy!

— Obchodzi mnie to, bo to mój rodak! — odszczeknął się Dominik — a jeszcze bardziej obejdzie generała Dąbrowskiego, przy którym służę, i marszałka Berthiera, w którego sztabie znajduje się generał! Jeśli nawet ten człowiek jest winny, to i tak nie można go przesłuchiwać takimi metodami!

— Od metod tutaj jestem ja! — Schulmeister podniósł głos do najwyższego tonu, chcąc zaalarmować tym swoich ludzi. — I proszę mnie nie straszyć żadnymi marszałkami, Polakami czy kim tam jeszcze, bo mnie to tyle porusza, co... za wymierzenie broni we mnie płaci się gardłem, masz już ten wyrok gotowy, znajdę cię. A teraz precz!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do lochu i stanął w nich oficer żandarmerii, za którego plecami widniały sylwetki żołnierzy.

— Brać go! — krzyknął Schulmeister, wskazując drabinę.

Dominik począł wspinać się do góry tak szybko, jak tylko potrafił. Dwie kule wystrzelone jedna za drugą otarły się o drabinę, którą — gdy już wydzwignął się na posadzkę stajni — obalił kopniakiem i zaraz zatrzasnął kłapę. Wybiegłszy ze stajni pognął co tchu w płucach do Dąbrowskiego.

* * *

Stanąwszy w progu gabinetu szefa sztabu generalnego Wielkiej Armii, marszałka Berthiera, Schulmeister zamarł na chwilę, rzucając krótkie spojrzenie na Dominika, który przeżył się pod ścianą w postawie na baczność. Dąbrowski zostawił go tu jako świadka.

Drzwi za Schulmeisterem przymknęły się bezszelestnie. Zrobił kilka kroków do przodu i znalazł się przed biurkiem, za którym rozpierał się w fotelu Berthier. Brzydka twarz marszałka była dodatkowo oszpecona grymasem gniewu.

— Witam! Proszę siadać!

Schulmeister przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Zawezwiałem pana, panie Schulmeister, na skutek skargi generała Dombrowsky. Zechce się pan wytłumaczyć z pańskiego postępowania!

Odpowiedziała mu cisza. Schulmeister czyścił sobie paznokcie lewej dłoni maleńkim nożykiem, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w jego prawej ręce, i

choć mogło się wydawać, że myśli nad odpowiedzią, w rzeczy samej interesował go wyłącznie zabieg higieniczny ubliżający randze człowieka, który się do niego zwrócił. Twarz marszałka poczęła sinieć. Zaciśnął pięści na poręczach fotela i wrzasnął:

— Czy pan ogłuchł?!

Schulmeister oderwał wzrok od swych palców i podniósł głowę.

— Jeszcze nie, ale jeśli nie przestanie pan krzyczeć na mnie, panie marszałku, to zapewne ogłuchnę przed opuszczeniem tej komnaty.

— Jeśli w sposób logiczny nie usprawiedliwi pan swego postępowania, to może ją pan opuścić w kajdanach!

— Możliwe, że ktoś z niej wyjdzie w żelazach, ale zapewniam pana, panie Berthier, że to nie będę ja.

— A kto? Może ja?!

— Tego nie powiedziałem — Schulmeister odwrócił twarz w stronę Rezlera — lecz dla tego szczeniaka, który złożył na mnie donos, miałbym obrączki jak ulał i to na długo.

— Pan zapomina, gdzie się pan znajduje, Schulmeister! — warknął Berthier. — W tym gabinecie ja wydaję rozkazy, a dotyczą one wszystkich służb armijnych i tylko ja mogę decydować kto będzie w tej sprawie ukarany. Jeśli potwierdzi się, że ten podoficer powiedział prawdę, ukarany będzie pan!

Dominik zadrżał, Alzatczyk zaś uśmiechnął się drwiąco.

— Tak?... A to ciekawe. Zawsze mi się wydawało, że jako główny strażnik cesarza pierwszy dowiaduję się o wszystkim, co dotyczy jego cesarskiej mości. Tymczasem pan, panie marszałku, przejął uprawnienia naszego władcy, może nawet zajął jego miejsce na tronie, a ja nic o tym nie wiedziałem...

— Pan sobie pozwala kpić?! To bezczelność, której nie będę tolerował! — krzyknął ponownie marszałek.

Tym razem Schulmeister się zdenerwował. Udawanie niefrasobliwości, która tak dziwiła Dominika, znudziło mu się widać lub stało zbyt męczące, bo uśmiezek zniknął mu z oblicza, a ton stał się twardy i zdecydowany:

— Czy wezwał mnie pan tylko po to, by mi powiedzieć, że jestem źle wychowany i nastraszyć kajdankami? Jeśli tak, to lepiej sobie pójdę, bo pierwsze mnie nie wzrusza, a drugie jest blefem, gdyż tylko cesarz i generał Savary mogą mnie kazać aresztować. W sumie bezproduktywnie tracę czas na obserwowanie, jak pan uzurpuje sobie nie swoje prawa, panie Berthier!

Marszałek gwałtownie poderwał się z fotela, odrzucając mebel w tył, aż pod ścianę.

— Tego doprawdy za wiele! Jako szef sztabu generalnego...

— Jako szef sztabu generalnego nie ma pan prawa wtrącać się do pracy cesarskiej ochrony. Pańską działką jest przygotowywanie operacji wojennych i nadzorowanie ich wykonania, zresztą tylko teoretycznie. Z praktycznego punktu widzenia jest pan figurą zbędną, ponieważ cesarz sam układa i rozstrzyga bitwy sto razy lepiej niż mogłyby to zrobić wszystkie sztaby świata. W przeciwieństwie do pana ja gram rolę niezbędną, moim bowiem ogródkiem jest strzeżenie jego cesarskiej mości przed zamachowcami, a jak panu dobrze wiadomo, od dawna już pół świata próbuje przenieść „boga wojny” do krainy bogów. Ja temu zapobiegam, przez co pośrednio chronię i pańską posadę, ekscelencjo. Oto różnica między nami. A poza tym, jak rzekłem, nie ma pan formalnego prawa stawiania mnie do kąta...

— Pan również nie ma prawa, Schulmeister, posługiwać się metodami hańbiącymi armią! A armia to mój ogródek! Jakim prawem męczy pan żołnierzy i grozi podoficerom, którzy próbują się temu barbarzyństwu przeciwstawić?!

— Prawem człowieka, którego obowiązkiem jest chronić cesarza za wszelką cenę i który nie lubi, kiedy mu się przeszkadza w tej robocie.

— Nazywa pan to robotą? Można i tak. Czy to właśnie to, że jest pan oprawcą lubującym się w okrucieństwie, skłania pana do wynoszenia swej roli nad rolę żołnierza? Osobliwy punkt widzenia, mój panie! Brzydzą się taką robotą!

— A ja gwizdę na pańskie zdanie w tej kwestii, panie marszałku. Czy to wszystko, co chciał mi pan powiedzieć?

Berthier przysunął sobie fotel z powrotem do biurka, opadł na siedzenie i otarł pot z czoła batystową chustką.

— Nie, nie wszystko. Chciałem pana spytać, czy jest panu wiadomo, że swego czasu nasz monarcha kategorycznie zakazał stosowania tortur w śledztwie?

— Owszem.

— Wobec tego świadomie złamał pan dwie rzeczy: prawo, które obowiązuje w cesarstwie i wolę władcy, który brzydzi się przemocą wobec przesłuchiowanych! Czy pańskim zdaniem cesarz również zagwizdę, gdy mu o tym doniosę?

Znowu zapanowało milczenie. Nagle wstał Schulmeister i pochylił się nad biurkiem, opierając dłonie na rzeźbionej krawędzi.

— Panie Berthier — powiedział chrapliwie, tym rodzajem szeptu, który brzmi równie donośnie jak krzyk — teraz ja zadam panu kilka pytań. Czy wiadomo panu, że bez przerwy ktoś konspiruje przeciw cesarzowi i próbuje go zamordować? Machiny piekielne, granaty, sztylety, trucizna, wiatróvky

strzelców wyborowych...

— Tak, ale...

— Ale dzięki Schulmeistrowi cesarz wciąż żyje i dlatego pan może być przy jego boku najślawniejszym szefem sztabu na kuli ziemskiej! Czy wiadomo panu, że tylko w tym roku udaremniłem dwa zamachy i zlikwidowałem trzy spiski?

— Tak, ale...

— Ale to byli Anglicy, Neapolitańczycy, Hiszpanie, Austriacy i inna skrytobójcza cudzoziemska podłota. Chcą go zamordować ci źli cudzoziemcy, którzy nienawidzą Francji i nie mogą ścierpieć jej rosnącej potęgi, a czasami posługują się złymi Francuzami, którzy zdradzili swój naród i są godni pogardy oraz noża gilotyny, natomiast armia, w której zajmuje pan tak eksponowane stanowisko, jest wierna i niepokalana, i do ostatniego żołnierza oddałaby życie za jego cesarską mość, prawda?

— To oczywiste!

— Otóż nie. Od pewnego czasu to już wcale nie jest oczywiste, mój panie. Gra, do której usiłuję się właśnie wdrzeć, jest o stokroć poważniejsza niż wszystkie poprzednie, jest śmiertelnie poważna, bo stwierdziłem, że istnieje skrytobójczy, wymierzony w cesarza spisek wewnątrz Wielkiej Armii!

Jakaś potężna siła uniosła Berthiera z siedzenia i wybałuszyła mu oczy.

— Co?!... Czy pan oszalał?!

— Nigdy nie byłem bardziej przy zdrowych zmysłach. Ale jak tak dalej pójdzie, to je postradam! Jeśli to pana interesuje, panie marszałku, istnieją nawet dwa spiski armijne. Z tym że jeden, spisek łotrów, którzy nazywają się filadelfami i którzy we współpracy z agentami Londynu chcą porwać cesarza, jest przeze mnie kontrolowany i nie boję się jego następstw. Za to ten drugi, o którym prawie nic nie wiem, spędza mi sen z oczu! Choruję na bezradność, bijąc łbem w mur tej tajemnicy i to może mnie rzeczywiście doprowadzić do obłądu. Dowiedziałem się o tej konspiracji przed miesiącem, a do dzisiaj nie natrafiłem na żaden ślad, który pozwoliłby mi zlikwidować ten przekłety spisek! Złapałem tylko tego żołnierza–posłańca, który został użyty przez nich jako tępe narzędzie. Narzędzia nie znają sekretów swych właścicieli.

— Naprawdę nic pan nie wie?... — wykrztusił Berthier.

— Wiem tylko, że znajdują się wśród nich wysocy oficerowie francuscy...

— To niemożliwe!

— ...zapewne współpracujący z Prusakami sympatycy Burbonów. Stają wprost na głowie, by dopaść przynajmniej jednego z nich, jak na razie bez żadnego skutku... Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co to znaczy? W każdej

chwili cesarz może być trupem, a pan mi przeszkadza tymi idiotyzmami o wstępie do okrucieństwa! Co pan woli: żebym założył białe rękawiczki, czy żebym uratował życie monarchy, tylko proszą mi nie mówić, że jedno i drugie, bo obie te rzeczy wzajemnie się wykluczają!

Berthier stał, drżąc tak samo jak Dominik, o którym obaj zupełnie zapomnieli. Przez zbielejące z przerażenia wargi wycisnął się marszałkowi poszarpany, pełen trwogi szept:

— Chryste!... To... to niemożliwe. Zdrada w naszej armii?... To niemożliwe, to... to jest...

— Gadaniem, że to niemożliwe, nie uchroni pan cesarza przed ciosem... To już wszystko, co chciałem panu wyjaśnić, panie marszałku. Nie muszę chyba podkreślać, że każde słowo, które tu powiedziałem o obu spiskach, nie może wyjść z tego gabinetu, nie wolno o tym powiedzieć nawet kochance! Teraz może pan iść do cesarza na skargę, ja zaś pójdę do swojej roboty, która tak pana brzydzi. Żegnam!

Wstał i skierował się do drzwi. W połowie drogi dogoniły go ciche słowa marszałka:

— Proszę mi wybaczyć, panie Schulmeister... Niech Bóg panu pomaga.

Alzacyjny zatrzymał się, ale nie spojrzał na Berthiera, tylko na zmartwiałego Dominika, zawahał się i raptownie, jakby podjąwszy decyzję, podszedł do niego.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Dominik Rezler, proszą pana.

— Gdzie cię znajdują?

— Teraz... teraz jadę do domu, za Odrę, ale za kilka dni będę w Poznaniu, przy generale Dąbrowskim i panu Wybickim.

— Mówisz doskonale po francusku.

— Jeszcze lepiej znam niemiecki, proszę pana, mój ojciec był Prusakiem.

— Ach tak... — Schulmeister momentalnie przeszedł na niemiecki. — To bardzo interesujące, bardzo... Podobasz mi się, chłopcze, zapamiętam cię. Kochasz cesarza?

— Kocham go, proszę pana! — odparł Dominik po niemiecku.

— To dobrze. Zapamiętam cię na pewno.

Odwrócił się bez pożegnania i wyszedł, czując na plecach wzrok Rezlera, zupełnie inny niż pół godziny temu.

* * *

Tego dnia w Poznaniu Dominik siedział u generała i pisał, co mu

rozsierdzony Dąbrowski dyktuje:

„16 listopada 1806. Na wypadek, który mi prześwietna kamera donosi względem napadów gwałtownych na bory przez chłopów, mam honor odpisać, żeby wydała poznańska kamera proklamację w powszechności przeciw takim gwałtownościom, za które, kto ich się dopuścić odważy, militarnie sądzony i rozstrzelany będzie. Spodziewam się, że ta proklamacja wstrzyma występki. Wypada tylko, aby kamera proklamację taką do podpisu mi przysłała. Wyrażam prawdziwy szacunek...”

— Daj, podpiszę.

W trakcie dyktowania wszedł Wybicki z plikiem papierów pod pachą. Usłyszawszy, co generał do pisania sylabizuje, mruknął:

— Psiakrew, do tego doszło, że musimy chłopą karaniem nastraszać! Jakże go potem w szeregi nasze zwoływać?

— A co mam czynić — odparł Dąbrowski — anarchię zezwolić? Tym nieskorzej byłoby wojsko kaptować. Cholera, ręce opadają! Czemu się to dzieje, dziwuję się i pojąć nie mogę.

— Korzysta kmięć z zawieruchy, przyjacielu. Co się tu dziwować, latami uciemieżon, teraz...

Przerwało mu stukanie do drzwi.

— Kto?! — poderwał się Dąbrowski. — Nie przeszkadzać, do pioruna!

W otwarte drzwi wsunął się przestraszony łeb ordynansa.

— Jaśnie wielmożny panie generale, kapitan Du Sapey z Berlina...

— Proś natychmiast! Do komnaty wkroczył sprężyście, wojskowym krokiem, cywil w wieku około trzydziestu pięciu lat, ubrany w piękne futro i lisią czapę, którą trzymał w żylastej, przemarzniętej dłoni. Rozpiął zapinki futra i uśmiechając się rzekł:

— Witam waszmościów.

Zaskoczony Dąbrowski nawet nie odwzajemnił powitania.

— To pan, kapitanie... po polsku mówisz?

— Od urodzenia — wyjaśnił przybysz, wieszając futro na gwoździu i chuchając w dłonie. — Diabli wzięli, zgubiłem rękawice, niech to!

— Przecież to książe Sapieha — poznał go nagle Wybicki. — Witaj nam, mości książe!

Był to w istocie ów zadziwiający człowiek z wielkiego polskiego rodu, Aleksander Sapieha, pisarz, uczony i podróżnik–awanturnik, tajemniczy szambelan Cesarstwa, stały bywalec Tuileries, Malmaison i SaintCloud, osobiście zaprzyjaźniony z Napoleonem od czasów Konsulatu, a zwłaszcza od chwili, gdy „odstąpił” Bonapartemu — jak szeptano — swą kochanką, przepiękną aktorką, Mlle George. Był on jedynym, nie licząc mniej znaczącego

generała Sokolnickiego, wysoko postawionym polskim współpracownikiem Cabinet Secret. O tym podwładnym Savary'ego i koledze Schulmeistra wiedziano bardzo niewiele, ale w zupełności wystarczyło, że wiedziano, iż posiada kolosalne wpływy i że dla Napoleona dałby się porąbać na kawałki.

Dąbrowski, usłyszawszy z ust Wybickiego nazwisko przybysza, skłonił się tak nisko, jak jeszcze Dominik u generała nie widział.

— Wielki to dla nas zaszczyt gościć tak bliskiego przyjaciela cesarza, ale czemu to incognito?

— Sytuacja zmusza — odparł Sapięha, siadając na krześle, które mu Rezler ustąpił. — Przybywam z rozkazu generała Savary i pozwolicie, panowie, że od razu do rzeczy przystąpię, bo czas goni. Cesarz przybędzie do Poznania w dziesięć dni, najpóźniej za dwa tygodnie...

— Z niecierpliwością na to czekamy! — odezwał się Wybicki lub Dąbrowski, Dominik nawet nie zauważył, który z nich, tak był zapatrzony w twarz księcia.

— ...jutro zaś przybędzie jego szef ochrony, Schulmeister, ażeby osobiście bezpieczeństwo monarchy w tym grodzie zapewnić. Mam polecenie wziąć od panów plany budynku, który na apartamenta cesarskie przeznaczycie, a także ustalić z panami trasę, którą jego cesarska mość w Poznaniu do owego gmachu przebędzie.

— Wasza książęca mość, trasę tę już ustaliliśmy — rzekł Dąbrowski. — Więcej, opublikowana została jako „Program wjazdu Napoleona Wielkiego do Poznania”.

— Sacrebleu! Duża nieostrożność, panowie!

— Dlaczego?

— O tym potem. Proszę mi zreferować tę trasę.

— Cesarz od strony traktu międzyrzeckiego wjedzie — zaczął lekko speszony Wybicki — potem koło teatru i w lewo. Od Wilhelmowskiej ulicy następnie ku bramie Wronieckiej podąży, zaczem dalej ulicą Wroniecką, po prawej ratusza stronie, aż do Jezuickiej, tą zaś pod kościół świętego Stanisława, gdzie go duchowieństwo witać będzie. Zamieszka w pojezuickim gmachu starym.

Sapięha zastanowił się.

— Dobrze — powiedział — w chwili ostatniej, na jedną przed przyjazdem noc, trasę ową zmienimy.

— Nie może to być, mości książę!

— Dlaczegoż?

— Bo arki tryumfalne budujemy na oznaczonej trasie, nowych zaś w jedną godziną nie postawimy. Miasto chce wybawcą swojego godnie przyjąć,

tedy...

— W porządku, niech tak zostanie, lubo kłopot będzie większy.

— Książę, powiedz nam wreszcie, co się stało! — uniósł się Wybicki — nerwów naszych na zbyt długą próbę nie wystawiaj, bośmy zatrwożeni w zupełności samym tonem twoim.

— Stało się to, że cesarzowi od niejakiego czasu niebezpieczeństwo na każdym kroku zagraża i to niebezpieczeństwo podwójne.

— Ale nie w Poznaniu! — zaperzył się Dąbrowski. — Nie w Poznaniu, gdzie wszyscy wielbią wskrzesiciela swojego, gdzie do niego tęsknią jako do...

— Proszę mnie nie rozśmieszać, panie generale! Pan jest zaślepiony blaskiem odradzającej się ojczyzny i do tego nie dysponuje pan własnym wywiadem.

— Wystarczy, że dysponuję oczami i uszami. Spójrzysz książę, co się dookoła wyprawia. Któż śmiałby się takiemu entuzjazmowi przeciwstawić.

Sapieha potarł czoło ze złością, że musi w sprawie dla siebie oczywistej dyskursa zaciekle toczyć.

— Jako Polak uczucia Wielkopolan rozumiem i raduję się z nimi, ale jako pracownik francuskiego kontrwywiadu wiem swoje. Dwa aż zamachy na cesarza się szykują, Angielczyków, co go porwać chcą, i Prusaków, którym mord we łbie siedzi. Ci drudzy zwłaszcza ręce zacierają, znając już dokładnie trasę przejazdu Napoleona ulicami grodu.

— Boże mój! — westchnął przekonany wreszcie Dąbrowski. — Cóż więc nam czynić wypada, mości książę?

— Dajcie mi plan dokładny tych ulic. Obstawić musimy wszystkie bramy, strychy, dachy, lukarny, wykusze i okna, z których wystrzał morderczy paść mógłby. Co trzy kroki, na każdej pierzei, w każdej uliczce, nasz człowiek stanie. Nasi strzelcy wyborowi w polu obstrzału każdy cal owej trasy mieć będą. Ja i pan Schulmeister głowami naszymi za życie cesarza odpowiadamy!

— Dobrze, mości książę, tylko że...

— Tylko co?!

— ...agentów tylu cień na uroczystość rzuci...

— Lepiej by tak było, moi panowie, niżli by żałoba paść miała na całe cesarstwo. To sprawa jedna. Mam i drugą. Pan Schulmeister niejakiego Rezlera odszukać mi zlecił, który pono u waszmościów służy.

— Oto i on! — wskazał Dominika Wybicki.

— Wybornie. Panie Rezler, od tej chwili z rozkazu generała Savary jest pan odkomenderowany do mojej i pana Schulmeistra dyspozycji.

— Na jak długo? — zapytał Dąbrowski.

— Do odwołania. Jeśli misji specjalnej nie dostanie, w kilka dni do was

powróci. Proszą to traktować jako wyreklamowanie spod wszelkiej służby innej, na mocy prawa wojennego, nie podlegające żadnej dyskusji, a obłożone ścisłą tajemnicą, do zachowania której panów zobowiązują. Więcej mówić o tym nie mogę.

Wstał i zbliżył się do okna. Chwilę spoglądał na plac pełen rozradowanego tłumu.

— Panowie widzicie wokół entuzjazm nadzwyczajny, co i ja widzę, ale nie czujecie tych prądów, które pod ziemią pełzają, nie widzicie pruskich dywersantów ni szpiegów dookoła... Panie Wybicki, zechcesz acan kwaterę dla pana Schulmeistra wyrzyczyć na jutro, a także kwatery dla jego ludzi. Oto wykaz liczbowy. Ja u rodziny swej stanę, u której...

Drzwi otwały się z trzaskiem i do pokoju wbiegł ordynans Dąbrowskiego.

— Co za piekielny dzień! — burknął na jego widok generał. — Co znowu?

— Pono chłopcy, gróźb nie pomne, znowu lasy rąbią, a panowie boją się domostwa ostawiać, bo ktoś wieści rozpuścił, że Prusak lada dzień nazad powróci i z tymi, co do wojska polskiego uszli, surowo rozprawiać się będzie!

— Stara śpiewka, szlag by ją!... — zaklął Dąbrowski.

— Mądra śpiewka — rzekł Sapieha. — Dobrze wam rzekłem, Prusak nie odpoczywa, ryje pod wami ile sił. Nie przypadek to, kiedy się to wciąż powtarza, jeno dywersja jawna, zamieszki mająca wzniesić, anarchię i rozprzężenie! Ktoś grunt pod zamach szykuje, na mój nos organizacja sprawna a zdecydowana. Ale i my nie śpimy, znajdziemy ich i zagramy im lepszą melodię. Proszę ze mną, panie Rezler!

* * *

Nocą z 7 na 8 grudnia przed drzwiami chałupy leżącej na skraju jednego z przedmieść Poznania wysiadł z sań człowiek okutany w kożuch imponujących rozmiarów, z kołnierzem podniesionym tak wysoko, że futro zasłaniało czubek głowy. Ruchem ręki kazał woźnicy zjechać za chałupą, na stronę osłoniętą przed zadymką, którą miotał wyjący wicher, po czym zabębnił pięścią w deski kryjące okno, musiał powtórzyć to kilka razy nim zaskrzypiały drzwi, ukazując twarz kobiety w grubej wełnianej chuście.

— Czego?! — spytała kobieta złym głosem.

— Handluję tabaką i czekoladą, może potrzebujecie? — odpowiedział pytaniem nieznajomy.

Jakaś męska ręka odsunęła kobietę i w szerzej rozwartych drzwiach ukazał się młodzieniec o nieufnym spojrzeniu, trzymający drugą rękę za pazuchą

kubraka.

— Wejdźcie — rzekł tonem nawykłym do wydawania rozkazów — nie sposób rozmawiać w tym piekle, podusimy się śniegiem.

Przyjezdny otrzepał się w sieni z białego puchu, opuścił futrzany kołnierz i powtórzył swoją propozycję. Mężczyzna, który go wpuścił, pokiwał przecząco głową.

— Potrzebuję zboża, a nie tabaki.

— Zboże rośnie tylko na południu. Mam wszakże niewielki zapas.

— Ile?

— Cztery korce. Płatne złotem.

— Kiedy dostawa?

— Najpóźniej za tydzień.

— Kto to przywiezie?

— Człowiek z czarnym orłem w sercu... W porządku, jestem pułkownik Steinhaus z sekcji dywersyjnej wywiadu. Czy pan jest...

— Tak, jestem Rotzberg, czekałem na pana.

— Jest pan bardzo młody, kapitanie, wyobrażałem sobie...

— Wyobrażał pan sobie starca w binoklach, prawda?

— Nie, ale kiedy zaczęły do nas napływać meldunki o tym, jak wybornie spisuje się siatka, którą pan utworzył w Wielkopolsce, pomyślałem...

— ...że muszą to być stare wygi, rozumiem. Stare wygi, panie pułkowniku, dały się haniebnie pobić Korsykaninowi. W nowych Prusach, które odbudujemy po przegnaniu Francuzów, niektórzy z tych d o ś w i a d c z o n y c h będą musieli pożegnać się ze stanowiskami i ustąpić ludziom, którzy dadzą większą gwarancję nie powtórzenia się takiej katastrofy.

— Nie czas mówić o tym, kapitanie, są pilniejsze sprawy. Zajmijcie się moim woźnicą i koniem, a ja najpierw chętnie napiłbym się czegoś gorącego, bo przemarzłem na kość.

Po gorącej przekąsce pułkownik Steinhaus zaczął od pytania:

— Czy te ściany nie mają uszu?

— Nie mają, nie jestem nowicjuszem — odparł Rotzberg i zaraz sam spytał: — Gdzie król i królowa, co z naszą armią, nie mamy tu bieżących wiadomości.

— Armii już nie ma, są szczątki w sile słabego korpusu, którym dowodzi generał Kalkreuth. Cofamy się w kierunku Rosjan, a właściwie...

— A właściwie uciekamy, nie bójmy się prawdy, panie pułkowniku. Wszystko to już wiem od mojego kuriera, którego wysłałem do króla i który zapowiedział pańskie przybycie. Interesuje mnie, gdzie teraz jest jego królewska mość.

— Nie wiem. Pożegnałem króla, królową i generała Kalkreutha, od którego dostałem pełnomocnictwa, w Ostródzie. Teraz zapewne są już gdzieś dalej, bo Francuzi wciąż prą naprzód.

— A Bonaparte jest już w Poznaniu. Miał fatalny przyjazd. Chciano go witać festynem, postawiono bramy tryumfalne, ale kiedy wjeżdżał nastąpiło oberwanie chmury i wszystko utonęło w deszczu. Nikt nie mógłby dokonać zamachu w takich warunkach, zresztą nie można by było tego zrobić nawet gdyby panowała idealna pogoda. Zgodnie z moimi przypuszczeniami Francuzi obstawili całą trasę przejazdu tak, że mysz nie zdołałaby się zacząć... Zamieszkał w domu pojezuickim, ale dostęp w pobliże jest wykluczony.

— Wiem, sam jestem w Poznaniu od kilku dni.

— I każe pan tyle czasu czekać na siebie!

— Badałem teren i nawiązywałem odpowiednie kontakty, bez których nasza rozmowa nie miałaby sensu.

— Gdzie się pan zatrzymał, pułkowniku?

— To nie pańska rzecz. Przejdźmy do sprawy. Polecono mi wyrazić panu oficjalne podziękowanie dworu za pańską dotychczasową działalność, chociaż wyniki nie są w zupełności takie, jakich się spodziewano.

— Co?! A jakich się spodziewano, na Boga! Moi ludzie skrepowali prawie całą Wielkopolskę! Wznieciliśmy cichą propagandę zastraszeniową, puszczając wieści, że Francuzi lada moment się cofną, a my wrócimy i wówczas każdy Polak, który teraz obejmie oficjalny urząd, zostanie ukarany i utraci cały majątek. Wybycky dostał szału próbując skaptować swych rodaków na miejsce naszych urzędników, których zamierzał usunąć. Zgłosiło się bardzo niewielu obywateli i w rezultacie rad nie rad musiał pozostawić na stanowiskach naszych burmistrzów, prezesów kamer i masę niższych biuralistów. Kazał tylko odebrać od nich przysięgę na wierność wobec administracji polskiej. Nakłoniliśmy wszystkich, by złożyli tę przysięgę nawet pięciokrotnie, jeśli będzie trzeba, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Czy to jest mało?!

— To jest tylko jedna, godna pochwały, strona medalu, kapitanie Rotzberg. Druga to fakt, że do Dombrowsky'ego garną się hurmem żołnierze i jego wojsko z dnia na dzień rośnie w siłę!

— Ach!... Głównie młodzicy i stare hałaburdy, pijana hołota! Tych nie udało się powstrzymać, ale to nic. Zabraknie Bonapartego, rozcmychną się jak spłoszone ptaki.

— Właśnie o to ostatnie chodzi, przejdźmy do sedna. Podobno ma pan, kapitanie, rewelacyjny plan sprzątnięcia Korsykanina?

Rotzberg wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie wiem, czy jest on rewelacyjny, panie pułkowniku, jest bardzo prosty. Przede wszystkim mam wybornego strzelca, nazywa się Klaus Melke. Polował z ojcem od dziecka, strzela fenomenalnie, jakby się urodził z karabinem. Mam również wiedeński sztucer, dzieło samego Schneidera, cudowną strzelbę, do której on się przyzwyczaja od kilku tygodni. I wreszcie mam trzecią rzecz — miejsce, gdzie można to zrobić. Jest to stary opuszczony klasztor. Brak mi tylko jednego — możliwości zwabienia Napoleona do tego klasztoru. I w tym oczekuję pomocy od pana, pułkowniku.

— Po to przyjechałem, by panu pomóc, byśmy razem zrealizowali operację, której generał Kalkreuth nadał kryptonim „Czarny Orzeł”. O co chodzi?

— O to, że Bonaparte niemal codziennie wyjeżdża z Poznania w teren i najprawdopodobniej są to wycieczki przynajmniej częściowo improwizowane. Ktoś, kto jest blisko Korsykanina, powinien go namówić na ów klasztor, rozumie pan... A pan ma podobno kontakty z antybonapartystami, którzy są w bliskim otoczeniu cesarza Francuzów...

— Mam, konkretnie z oficerem, który towarzyszy Bonapartemu w tych jego przedpołudniowych eskapadach po okolicach Poznania. Porozumiem się z nim i poproszę, by spróbował. Ludzie stojący u boku Korsykanina mają rzeczywiście wpływ na trasę tych rajdów...

— Może nie powinienem o to pytać, panie pułkowniku, ale interesuje mnie dlaczego ci konspiratorzy, jeśli mają swoją wtyczkę u boku samego Napoleona i jeśli tak bardzo zależy im na śmierci tyrana — dlaczego sami do tej pory nie dokonali zamachu? Przecież wystarczyłoby, aby ów oficer przystawił mu lufę pistoletu do łba i nacisnął spust!

Steinhaus wzruszył ramionami.

— Może brak mu powołania do męczeństwa?... Po czymś takim Savary, Schulmeister czy Davout obdarliby go żywcem ze skóry. A na poważnie, chodzi zapewne o to, że ujęty zamachowiec na torturach wyśpiewałby nazwiska swych towarzyszy i całą konspiracją diabli by wzięli. Są ostrożni.

— Tak też myślałem, chociaż nigdy nie będę wiedział, panie pułkowniku, czy ci, którzy wyciągają kasztany z ognia cudzymi rękami, są po prostu o s t r o ż n i, czy to zwykli tchórze. Nie ma to zresztą znaczenia, ważniejsze jest co innego: czy śmierć Korsykanina rzeczywiście nam pomoże?

— Co pan ma na myśli?

— To, że po jego śmierci zastąpi go na tronie któryś z braci, a jego marszałkowie dalej będą odnosić zwycięstwa, więc jaką mamy gwarancję, że udany zamach pozwoli nam od razu uratować Prusy?

— Gwarancji nie mamy, ale jest pewne, że wśród francuskich ministrów

i dostojników dworu niewielu jest zwolenników odbudowy wolnej Polski. To on sam prze do tego. A wolna Polska oznacza koniec naszej potęgi. Jeśli go usuniemy, sytuacja się zmieni. Poza tym armia rosyjska jeszcze nie jest rozbita, a rosyjscy generałowie będą stawać na placu boju pewniej mając świadomość, że on już nie dowodzi... Ale to jest polityka, zostawmy ją tym, którzy decydują, naszym zadaniem jest wykonać rozkaz. Gdzie się znajduje ten klasztor?

— W Owińskach, kilkanaście kilometrów na północ od Poznania. Jedzie się przez Winiary i Radojewo, potem trzeba promem przebyć Wartę i zaraz na drugim brzegu jest klasztor.

— Dlaczego to jest według pana takie dobre miejsce do zamachu?

— Gdyż są to rozległe ruiny. Z zakamarków krużganka można z łatwością zastrzelić każdego, kto się pojawi na dziedzińcu i zniknąć bez śladu. Jest tam podziemne przejście prowadzące z klasztoru pod pobliskim pagórkem do lasu, w którym będą czekały konie. Ten loch to pełna gwarancja bezpieczeństwa, nikt z nas nie zostanie schwytany.

— Tak, to brzmi zachęcająco... Kiedy mógłbym obejrzeć ten klasztor?

— Choćby jutro, panie pułkowniku. Wybierzemy się tam razem.

— Doskonale. Jeśli podzielę pański zachwyt nad tymi ruinami, to bezzwłocznie skontaktuję się z tym oficerem—antybonapartystą i omówię z nim sprawę. A jeśli uda się namówić Bonapartego na tę wycieczkę, powiadomię pana na dwadzieścia cztery godziny wcześniej, najpóźniej wieczorem w dniu poprzedzającym uderzenie. Aha, i niech pan jutro weźmie ze sobą tego geniusza celności, chcę zobaczyć jak strzela. W ogóle musimy się spieszyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ Bonaparte może lada dzień wyjechać z Poznania do Warszawy. Zależy to od tego, kiedy Francuzi odbudują spalony przez nas most na Wiśle. Pracują nad tym dzień i noc. Kiedy tylko skończą, on natychmiast pogna na wschód.

— Panie pułkowniku — odparł Rotzberg, cedząc wyrazy — jeśli pan i ten oficer zrobicie co do was należy, to ja sprawię, że Bonaparte nigdy nie zobaczy Wisły!

— Do jutra, kapitanie.

— Do jutra.

* * *

Wieczorem 11 grudnia 1806 roku pułkownik Steinhaus poinformował Rotzberga, że od następnego ranka można się spodziewać wizyty Napoleona w

Owińskach. Pojechali tam o bladym, zamglonym świecie, przeklinając pogodę, gdyż mgła uniemożliwiała dobrą widoczność i Melke musiałby strzelać nieomal na oślep: środek dziedzińca był spowity w białym mleku. Jednakże Bonaparte nie przyjechał tego dnia.

Nazajutrz ponownie zjawili się na miejscu. Dla bezpieczeństwa kazali przewoźnikowi wysadzić się na brzegu daleko od klasztoru, po czym zrobili duży łuk, wchodząc w ruiny od tyłu, by na śnieżnej pierzynie nie zostały żadne ślady. Poranek był tak łagodny, że cały wczorajszy dzień wydawał się złym snem, który już się rozproszył w przejrzystym niebie. Narastający nocą śnieg dawał błękitny blask, a do nozdrzy wdzierało się mroźne powietrze, które podniecało jak wino. Promienie słońca kładły się na kolumnach krużganka, malując je w dziwne pasy i arabeski, a potem wzmogły swój wysiłek i świeży śnieg począł topnieć, brudnieć i mieszać się z błotem. Był 13 grudnia 1806 roku.

O tym dniu tak wspominał w swoich memuarach („Szlakiem Legionów”) towarzyszący Napoleonowi Dezydery Chłapowski: *„13 grudnia cesarz kazał jechać w przeciwną stronę. Najprzód około Winiar, tam stawał kilka razy i okolicę przepatrywał, potem polami i przez błoto, w którym ledwie że z koniem nie uwiązł, a eskorta za nim przejechać już nie mogła, bo nasze konie, koń cesarza i kilku jenerałów, którzy przejechać nie mogli, rozrobiły błoto do nieprzebycia. Tak z nami i z dwoma szaserami francuskimi zajechał do Radojewa, przewiózł się na promie do Owińsk i tam klasztor próżny oglądał...”*

Czekali bardzo długo. Mieli dość czasu, by wybrać dla Klausego najlepsze — biorąc pod uwagę położenie słońca i konieczność ukrycia snajpera — miejsce, z którego mógł strzelać. I jeszcze czas na to, by omówić rzeczy, które do tej pory nie zostały omówione. Steinhaus wysunął problem przewoźnika.

— Nie zdradzi — odparł Rotzberg — dostał tyle złota, ile nie zarobi do końca życia i wie, co mu grozi, gdyby wypaplał o nas.

Pułkownika, rozdrażnionego przedłużającym się oczekiwaniem, odpowiedź ta doprowadziła do pasji.

— Niech pan nie będzie durniem, Rotzberg! Po śmierci Bonapartego Francuzi oczywiście pogłupieją, zawiozą ciało do Poznania, nastąpi rozgardiasz, ale tylko chwilowy. Szybko oprzytomnieją i wówczas Schulmeister, który jest w Poznaniu, przyjedzie tu ze swoimi ludźmi na śledztwo. Wezmą przewoźnika w obroty, a on z miejsca poda nasze rysopisy, nie będą mu nawet musieli łamać palców! Dlatego trzeba będzie tu wrócić po ich odjeździe i zabić przewoźnika. Oddeleguje pan do tego jednego ze swoich ludzi. Najlepiej zasztyletować i wrzucić ciało do rzeki.

Rotzberg — jakby czekał na te słowa — zauważył spokojnie:

— Ma pan rację, panie pułkowniku. Tylko że kontrwywiad francuski nie będzie musiał brać na spytki przewoźnika, by dowiedzieć się o panu i poznać pański rysopis.

— Co?!... Co takiego? Czy pan oszalał, kapitanie?!

— Nie, staram się tylko myśleć logicznie. Jak panu wiadomo Schulmeister jest w takim myśleniu geniuszem, to piekielnie szczywany diabeł. W pierwszej chwili po otrzymaniu wiadomości o śmierci swego cesarza spyta, kto namówił Bonapartego na przejażdżkę do Owińsk. Wówczas pokażą mu tego oficera, z którym pan się kontaktował. Tak więc najpierw wezmą w obroty owego spiskowca i on wyśpiewa wszystko, co wie o panu, pułkowniku. A Schulmeister jest mściwy, dosięga swoich wrogów nawet wówczas, gdy uciekną do Azji...

Steinhaus pobladł. Widać było, że wkłada duży wysiłek w opanowanie się.

— Do licha — wymamrotał — to, co pan mówi, brzmi prawdopodobnie... Tak, to rozsądne... nie pomyślałem o tym. Co pan proponuje, Rotzberg?

— Oficera trzeba zabić. W konspiracji, o której pan wspomniał, jest on z pewnością jednym z wielu, jego zgon w niczym jej nie zaszkodzi, a pomoże i im, i nam, bo zamknie jedyne usta, z których Schulmeister czy Savary mogliby wydrzeć sekrety organizacji i pański rysopis. Trzeba to będzie zrobić tutaj, od razu. Klaus może strzelić dwukrotnie w ciągu czterech sekund, ta broń ładuje się podwójnie. Wystarczy więc, panie pułkowniku, że pan wskaże Klausowi tego oficera, gdy wejdą na dziedziniec, a wówczas za pomocą dwóch strzałów pozbedziemy się Bonapartego i spiskowca.

— Tak... to chyba dobry pomysł...

— Nie sądzę, byśmy mieli inne wyjście, pułkowniku, i do tego...

— Cisza!... Wydawało mi się, że słyszałem jakiś krzyk.

Steinhaus podszedł do parapetu i przyłożył do oka połową lunetę.

— Płyną promem! — obwieścił po chwili.

— Widzi pan Bonapartego? — spytał Rotzberg.

— Tak... jest! Razem z nim kilkunastu ludzi. Będą tu za kwadrans.

Rotzberg odwrócił się do snajpera.

— Jesteś gotowy, Klaus?

— Od dawna, panie kapitanie.

— Uważaj. Kiedy wejdą na dziedziniec, nie strzelaj dopóki pan pułkownik nie wskaże ci tego oficera. Pamiętaj! Potem będziesz musiał w ciągu kilku sekund położyć trupem obu i uciekamy do lochu. Dasz radę?

— Dlaczego miałbym nie dać, to nic trudnego, panie kapitanie.

— Teraz cisza, ani słowa!... Niech pan się cofnie, panie pułkowniku, w tę wnękę, obok Klausa.

Ciszę przerwało parskanie koni, głośne rozmowy, stukot wojskowych obcasów po posadzkach parteru, wreszcie głos cesarza dobiegający z dziedzińca:

— ...rodzajem niepotrzebnej klatki, która wszakże może odpowiadać psychice niektórych ludzi. Nie cierpię klasztorów jako instytucji, ale ich architektura zawsze mnie urzeka.

— To stary klasztor pocysterski, najjaśniejszy panie. Wybudowano go w stylu romańskim, w XIII wieku, dla panien cysterek, ale kilkadziesiąt lat temu część murów spłonęła, zakonnice wyprowadziły się i teraz całość podupada. Kościół j est j eszcze czynny od czasu do czasu, ale i on chyli się ku ruinie. Z każdą jesienią i zimą zostaje coraz mniej, śnieg i deszcz robią swoje.

— Obiecuję ci, Klaposky, że kiedy odzyskacie niepodległość, będziecie mogli spokojnie odbudować swoje stare budowle.

Steinhaus pochylił się do ucha Melkego i szepnął:

— Melke, patrz! To ten drugi z prawej!

— Który, panie pułkowniku?... Ten w żółtych rękawiczkach, który teraz poprawia klamrę u pasa od szabli?

— Tak, to ten. Strzelaj!

Znowu dobiegł ich głos Napoleona:

— Ruiny romańskie są jednak mniej piękne od gotyckich. Gotycki łuk, zwłaszcza w ruinie, wypatroszony, mający w tle błękit nieba, odzyskuje całą pełnię swego geniuszu, jak boska wycinanka. Dużo jest u was architektury gotyckiej, Klaposky?

— Sporo, sire. Sporo też w ruinie, głównie po najeździe szwedzkim, kiedy nasza ziemia paliła się od granicy do granicy.

— Strzelaj! — syknął

Steinhaus, szarpiąc Melkego za cienki półkożuszek. — Dlaczego nie strzelasz, bydlaku?! Strzelaj, już!

W tej samej chwili zza pleców dobiegł go zimny głos Rotzberga:

— Spokojnie, Herr Steinhaus. Odwróć się do ściany i rączki do tyłu, bo wsadzę ci ten nóż pod żebro! Julianie, odłóż strzelbę i zwiąż mu łapy. Potem przeszukaj, za pazuchą ma pistolet.

Odczekawszy, aż Bonaparte ze świtą opuszczą klasztor, Rotzberg rzekł krótko:

— Idziemy!

Steinhaus dopiero teraz wydobył głos ze ściśniętego gardła:

— Co to znaczy?!... Kim jesteście?!

— Masz prawo wiedzieć, przedstawimy się. To Julian Bogusz, a nie żaden Klaus Melke. Polak, tak jak i ja. Dokładniej mówiąc jestem półkrwi Prusakiem, ale moje serce jest całe polskie. Porucznik Rezler, czasowo odkomenderowany do Cabinet Secret. Teraz już wiesz, Prusaku. Idziemy.

Ruszyli. Steinhaus przytomniał z wolna. Zapytał:

— Po co wam była potrzebna cała ta maskarada z organizacją i zamachem? Po to tylko, żeby mnie aresztować? Mogliście przecież zrobić to już w Poznaniu.

— Nie mogliśmy. Pruska organizacja dywersyjna rzeczywiście powstała w Wielkopolsce po wycofaniu się waszej armii, a raczej jej niedobitków — wyjaśnił mu Dominik — ale szybko została unieszkodliwiona przez Savary'ego i Schulmeistra. Kapitan Rotzberg i jego kumple zostali rozstrzelani. Na miejsce Rotzberga przyszedłem ja... A maskarada z zamachem była konieczna, absolutnie niezbędna, Herr Steinhaus. Bo ty, wbrew temu, co sobie wyobrażałeś, byłeś w tej grze tylko pionkiem, potrzebnym nam bardzo, to prawda, lecz w istocie wartym tyle, ile wart jest ołów konieczny do rozstrzelania cię. Chodziło nam o tę konspirację wewnątrz Wielkiej Armii... Cabinet Secret wiedział, że jest taki spisek, ale nie mógł dopaść ani jednego jej członka. Potrzebowaliśmy tylko jednego, który mógłby wyśpiewać wszystko. I ty nam go pokazałeś przed chwilą! Jeszcze dzisiaj zostanie wypowiedany i to będzie koniec owego spisku.

— Gdybyście mnie aresztowali w Poznaniu, też bym wam pokazał tego człowieka, za cenę mojego życia, czyż to nie oczywiste?

— Nie. Kto mógłby nam zagwarantować, że w chwili aresztowania nie połkniesz trucizny? Mogłeś ją mieć w ustach. Teraz, nawet jeśli ją masz, to połkaj sobie... Myślałeś, głupcze, że zabijecie cesarza i że Polska się nie odrodzi. Niedoczekanie! Cesarz będzie żył i Polska też! Popatrz, Warszawa już wolna, Gdańsk będzie wolny lada chwila. Czarny orzeł miał pognać białego, a teraz biały siedzi na nim jak jastrząb na głupiej kurze i bije, bije aż pióra lecą!

Steinhaus, kroczący ze spuszczoną głową, już nie blady, lecz siny z wściekłości i niemocy, podniósł naraz głowę i rzekł miękko:

— Panie... panie poruczniku...

— Czego?

— Pan i ja... pracowaliśmy w ten sam sposób, w służbie wywiadowczej, wypełnialiśmy rozkazy przełożonych... Jesteśmy kolegami, a to, co chcieliście, osiągnęliście już... więc może...

Dominik roześmiał się na cały głos, dając w ten sposób upust nerwom, które męczyły go przez wiele godzin, i wlewając do żył strumień wielkiej ulgi.

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha! Słyszałeś, Julianie?... Nie rozśmieszaj mnie, łotrze! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha! Słyszałeś go, Julianie?

— Słyszałem, panie poruczniku. Walnąć w czapę!

— Nie, nie trzeba. Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Steinhaus, niedostatecznie widać zrażony, podjął jeszcze jedną próbę:

— Panie poruczniku... dam okup za siebie. Olbrzymią sumę, stos złota, będzie pan bogaty.

Rezler, usłyszawszy to, przestał się śmiać. Stanął na rozkraczonych nogach i przybliżył swą twarz do twarzy Prusaka. Każde słowo, które mówił, dzielił na sylaby, wyciskając je przez zęby w taki sposób, że Steinhaus przeszedł śmiertelny dreszcz.

— Jeśli jeszcze raz mnie obrazisz, kanalio, każę rozwiązać ci ręce i zanim cię dostarczę do Poznania, sam tak cię obiję, że pożałujesz! Gdybym wziął te pieniądze i puścił cię, plunąłbym na matkę!... Tak, na matkę. Słaby macie wywiad, jeśli nie dowiedzieliście się jeszcze, że w Polsce na ojczyznę mówi się: matka. Milcz od tej chwili. Maszeruj!

Wspomnienie 4

Za plecami cesarza

W świecie cesarza jechałem z Poznania ku Warszawie, przez Kutno, Łowicz i Błonie. Wiatr dokuczliwy nas smagał, lecz zima ciągle w rejteradzie była, a drogi utopione w błocie, o którym Francuzi złośliwie prawili, że to polski piąty żywioł. On to właśnie sprawił, że w Łowiczu cesarz, zniecierpliwiony wolnym posuwaniem się, na konika się przesiadł i dalej w siodle ku stolicy podązał. Tabory cesarskie ugrzęzły gdzieś za nami na drodze, co mnie trapiło, bo w jednym z powozów jechała Kami pod opieką Gila.

O tymże samym Gilu mowa, co niegdyś w lochu ojcem mi był i niańką. Nie poznałem go w czas audiencji, kiedy ze Strzyżewskim do Poznania przybył jako przedstawiciel gminu galicyjskiego. Następnego dnia po owym posłuchaniu, wieczorem, przyglądał mi się człek pewien na ulicy Gołębiej i za chwilę zagadał do mnie. Gil! Stwór włochaty, do zwierza podobny, teraz przystrzyżony był i ochędożony, jakże miałem go poznać? Opowiadał, jak go żona odumarła, jak dziatki u siostry bezdzietnej ostawił, jak z lochu wylazł i w rekruty poszedł, i błagał, bym go do służby przyjął. Strzyżewskiemu Napoleon nic obiecać nie mógł, bo z Austrią zatargów o Galicję nie chciał, kiedy nie opodal Rosjanie stali nad Wisłą. Deputacja wróciła z niczym. Gil został, nie miał po co wracać.

— Jaśnie panie, ordynansować będę, służył będę wiernie, konie czyścił...

Inny był niż wtedy, już nie chłop–mędek, już nie chłop–jakobin i filozof, a wieśniak uległy, proszący. Nie wiem czemu, ale gdy „jaśnie panie” mówił, nie przerywałem i nie zabroniłem. Ordynans potrzebny mi był, bo Dąbrowski nominację wreszcie wypisał i konnych pospolitaków pod Łęczycę prowadzić miałem, a tym bardziej później, gdy się za sprawą ślepej fortuny wszystko odmieniło. Znaczy, kiedy mnie jak grom z nieba jasnego awans na cesarskiego adiutanta dosięgnął.

Wyjechaliśmy z Poznania zaraz potem jak przybył do grodu kurier od marszałka Murata z ważnymi wieściami z Warszawy. Cesarz nie chciał więcej czekać. Trzy mile za miastem zatrzymał się i wyszedł z powozu pożegnać nas. Oznaczało to rozwiązanie jego wielkopolskiej gwardii honorowej. Podziękował nam krótko a serdecznie, potem zaś Berthierowi coś szepnął i ten oznajmił, że wszyscy z nas awanse dostają, jeden nadto z cesarzem ostanie się jako adiutant najjaśniejszego pana. Chłapowski wyrwał się wprzód z oczami

błyszczącymi niczym po mocnej okowicie, ale marszałek osadził go prawiąc, iż po sprawiedliwości wybór dokonany będzie, zrządzeniem losu czyli loteryją. Nazwiska nasze, na karteluszkach wykaligrafowane (widać z zamysłem wcześniejszym, bo gotowe były), w czako ułańskie ciśnięto i sam Napoleon jedną wybrać raczył. Moje nosiła imię.

Dezydery o mało trupem nie padł z żalu, mnie zaś wielka radość nie ogarnęła, bom o pospolitakach marzył i zdało mi się, że mi to marzenie przepada. Gdyby mi kto wtedy do myśli zajrzał, zdziwiłby się wielce, boć przecież przy cesarzu być splendor ogromny. Berthier tymczasem uśmiechnął się i teraz on coś cesarzowi w ucho szeptem włożył. Bonaparte spojrzął na mnie, aż mi ciarki lodowate po krzyżu smyrgnęły, i rzekł:

— Pamiętam, Kasnyki, ami du Klaposky!

Berthier coś dalej prawił, a cesarz postąpił ku mnie.

— A więc jesteś bratem tego nieposłusznika, co Schulmeistrowi umknął?

— Tak jest, sire! — odpowiedziałem.

— Czy cała rodzina tak niesubordynacji podatna? To nic, lubię nieposłusznym, byle w dobrej sprawie. Ale bacz, byś więcej nad jeden raz nieposłusznym się nie okazał. Tylko raz wybaczę. Jedziemy, panowie!

I ani patrząc na mnie więcej, do powozu wrócił.

To, co o Dominiku rzekł, prawdą było. Brat mój wybornie misję swą odprawił. Przypadkiem dziwnym jednego dnia szef ochrony cesarza, monsieur Schulmeister, dwa zlikwidował spiski, filadelfów, co monarchą przy pomocy Angielczyków porwać chcieli, i drugi, pruski, a przy tym drugim Dominik odznaczył się nad podziw. Chciał go Schulmeister na stałe w służbie swojej zatrzymać, ale mu braciszek figla spletał co się zowie. Cesarzowi przedstawiony, podziękowań wysłuchał, a na koniec rzekł mu Napoleon, iż o co tylko chce, w nagrodę prosić może. Dominik tedy wypalił, że prosi, by go do marszałka Soulta oddano, gdzie ja mu już miejsce w sztabie wysuplikowałem. Schulmeister protestować począł i nalegać, księżę Sapieha także, niczego wszakże nie wskórali. Cesarzowi nijak było obietnicę cofać i acz niechętnie, zgodę bratu dał. Nim go uwolnił, zapytać raczył o powody i w response usłyszał:

— Najjaśniejszy panie, chcę służyć w polu, z szablą w dłoni. Zakładanie wnyków na szpiegów i zdrajców nie moim jest powołaniem, inni do tego zdatniejsi będą.

Ciepło go nie pożegnano, ale swoje obronił, harda dusza!

Do Łowicza 18 grudnia o wpół do czwartej po południu przybyliśmy. Cesarz pożyczyl tam mały polski kocz, który lepiej od ciężkich wozów błoto pokonywał, a stanawszy w domu przy rynku u niejakiego Kosierkiewicza,

zjadł obiad, po czym przywołał gospodarza i zadawał mu pytania względem ceny w tym mieście rozmaitych towarów. Dom Kosierkiewicza na sztab się chwilowy zamienił, pełen oficerów sztabowych i ordynansów. Do siódmej godziny Napoleon rozkazy pisał i depesze mu czytano. Ni razu nie zareagował na okrzyki ludności plac zalegającej, ani do okna nie podszedł, by podziękować za wiwaty, które na cześć jego wznoszono.

Wieczorem konia od jednego ze strzelców zabrał i gromkim aplauzem żegnany ku stolicy ruszył. O dwudziestej drugiej sięgnęliśmy Błonia. Przed pocztą cesarz z siodła zeskoczył, napił się wina z wodą pomieszanego i przepytawszy tamtejszego komendanta, w pół godziny, konia zmieniając, dalej pognął. Pędził tak, wierzchowca siekąc, że tylko ja i jeden z wachmistrzów kroku zdołaliśmy mu dotrzymać — marszałek Berthier i reszta świty, z eskortą razem, daleko zostali.

Powtórzyła się historia z Poznania. W Warszawie też ogromne uczyniono na powitanie króla królów preparacje, marząc o wielkich fetach i zabawach. Arków tryumfalnych nastawiano co niemiara, iluminacje gotowe były, napisy rymowane zawieszono, wieńce uplecione czekały. Nie doczekali się — podobnie jak w Poznaniu nic nie wyszło z uroczystości. Tym razem nie za przyczyną pogody, tylko pośpiechu monarchy, który sobie z pompy wrzaskliwej mało co robił.

Noc była jeszcze, a ku rankowi się zbierało, kiedy we trzech stanęliśmy u wrót zamkowego placu. Na zamku wszystko leżało pogrążone w głębokim śnie. Cesarz przy mojej pomocy własnoręcznie wartę na odwachu zbudził, ta dała znak umówiony i otwarto podwoje. Jakież rwetes się uczynił, wszyscy potracili głowy, chaos i zamieszanie buchnęły takie, aż mi się wstyd zrobiło, że się cesarz polskiego bałaganu napatrzy.

Wnętrza zamkowe spoczywały w nieładzie, napraw bowiem sposobnych pokończyć nie zdążyli. Deski, wapno, cegły i zwoje płócien walały się wszędzie. Szczęściem gabinet króla Stanisława w jakim takim stanie się ostał i tam Bonaparte założył sobie pomieszkane.

Rano tłumy nieprzebrane zamek obiegly, wrzeszcząc na cześć zwycięzcy tak, że się ogłuchnąć mogło. Cesarz we wściekłym był humorze. Z panem Wybickim i z Poniatowskim księciem, na czele wojsk naszych wbrew nadziejom Dąbrowskiego przez gubernatora Warszawy, marszałka Murata, postawionym, rozmowy zaraz odbył, ale się jeszcze bardziej zgniewał, gdyż księżę gwarancji odeń zażądał na odbudowanie wielkiej Polski, jakby mu ustne przyrzeczenie monarchy nie starczało.

Słyszałem każde słowo, bom tego dnia, jako adiutant ordynansowy, pełnił służbę obok, pokoik mając przy gabinecie cesarza, za przepierzeniem z dykty

jeno. Trwogą mnie największą napełnił dyskurs Napoleona z księciem Talleyrandem, ministrem francuskich interesów zagranicznych. Pierwszy raz ujrzałem naonczas obmierzłą grę wielkiej polityki; rzygać mi się chciało, kiedym słuchał kulawego biesa, co cesarzowi racje swoje narzucać się ośmielał.

— Nie obchodzą mnie twoje zastrzeżenia, Talleyrand! — mówił cesarz głosem podniesionym, krzycząc prawie. — Stara, burbońska Francja, ta, która ciebie ukształtowała, zhańbiła się, przypatrując się z podłą bezczynnością zagładzie takiego królestwa jak Polska! Polacy byli zawsze przyjaciółmi Francji i ja wziąłem na siebie obowiązek ich pomszczenia... Przed laty obiecałem Sulkosky'emu, że odbudują jego ojczyznę i teraz dotrzymam słowa, bo Korsykanie mają to do siebie, że szanują swoje słowo. Polska musi się odrodzić!

Kiedym usłyszał ministra, jakby zmija przemówiła, chłodnym i śliskim sykiem:

— Jestem identycznego zdania, sire. Wymaga tego, poza obowiązkiem dotrzymywania słowa, który jest przywilejem wszelkich szlachetnych natur, także francuska racja stanu. Potrzebujemy silnej tarczy na wschodzie, a Polska sprzymierzona z nami nadaje się do tego wyśmienicie. To oczywiste, że dopóki nie zostanie odbudowana, nie będzie trwałego pokoju w Europie. Moje zastrzeżenia nie tyczą się więc niewątpliwej konieczności upieczenia ciasta, sire, lecz piekarzy, których do tej roboty wybrałeś, najjaśniejszy panie.

— Co masz przeciw Wybikiemu i Dombrosky. emu?

— To jakobini, sire, marzy im się republika, zwłaszcza Wybycky'emu. Dombrosky to kondotier, który ma niewiele polskiej krwi w żyłach, najwięcej zaś saskiej, pójdzie więc na każdą służbę wzorem kondotiera, a Wybycky ma coś z tych ekstremistów roku 93, którzy obalili monarchię.

— To uczciwy patriota i szlachetny człowiek, oddany Polsce sercem i duszą! Kiedy go przyjąłem w Berlinie, chcąc go skaptować, zacząłem od tego, by mi podał wartość swego majątku, który mu zajęli Prusacy, a ja mu zwrócę tę sumę. Wiesz jak zareagował? Odparł mi gniewnie, że nie przybył po to, by mówić o odzyskaniu swojej własności, lecz o odzyskaniu przez Polskę samostanowienia i tylko to go interesuje! Gdyby wszyscy moi ministrowie, marszałkowie i generałowie w równej jak on proporcji dbali o interesy własne i o interesy Francji, byłbym najszcześniejszym z monarchów... Co zaś do Dombrosky.ego, to jest to doświadczony żołnierz. Obaj cieszą się zaufaniem Polaków. Ich jakobinizm jest marzycielski, a może być pomocny, bo zjedna nam takich samych marzycieli, których w Polsce nie brakuje.

— Ośmielam się nie zgodzić kategorycznie z waszą cesarską mością.

Według moich informacji Wybycky jest w poważaniu tylko u wąskiej grupy pogrobowców dawnego żywiołu republikańskiego w Polsce, a Dombrosky nawet jako wódz Legionów miał wielu wrogów wśród Polaków. Postawić ich na czele to ryzyko wzniesienia swarów wewnątrznarodowych i anarchii, którą Polska żyje od wieków i przez którą utraciła niepodległość. Obaj, najjaśniejszy panie, pamiętamy tytuł dzieła Rulhière'a, z którego czerpaliśmy pierwsze wiadomości o tym kraju: „Historia anarchii w Polsce i rozbiórów tego państwa”. Dlatego...

— Już zdecydowałem! Wybiki będzie szefem polskiej administracji cywilnej, a Dombrosky szefem polskiej armii. Murat samowolnie postawił Poniatosky'ego nad Dombroskym i zostanie za to ukarany! Rządzić będą ci dwaj, tak jak już zaczęli w Poznaniu, a zaczęli doskonale.

— Nie przeczę, sire, ale tamte nominacje uważałem za doraźne. Wielkopolska to tylko kawałek Polski...

— Najważniejszy, tam wykuli sobie prawo do niezawisłości.

— Nie o tym myślę, lecz o tym, że ktoś, kto dobrze włada departamentem, wcale nie musi być dobrym zarządcą całego państwa.

— To się okaże. Jeśli model poznański nie sprawdzi się w skali państwowej, to go zmienimy, chwilowo wszakże nie ma podstaw do...

— Są, najjaśniejszy panie, są! Państwo to nie tylko granice, lecz i ludzie, którzy na owej ziemi coś znaczą. Jakobinów polskich już mamy, a musimy mieć cały naród, jeśli nie stanie przy nas polska magnateria, całe dzieło rozleci się jak źle utoczony garnek. Osobnicy pokroju Wybycky'ego nie skaptują dla nas polskiej arystokracji, która ma silne powiązania z naszymi wrogami, Tzartoryscy z Petersburgiem, a Ratzywillowie z Berlinem!

— Niech sobie flirtują z Petersburgiem, Berlinem, Wiedniem i z samym diabłem, obejdą się bez Ratzywillów i Tzartoryskich!

— Toteż ja nie o nich myślę, sire.

— Wiem! Wiem o kim myślisz, wiem, że to ty, intrygą, za moimi plecami, wpłynąłeś na Murata, by poniżył Dombrosky'ego, dając szefostwo wojsk polskich Poniatosky'emu, z którego siostrą już przed laty zawiązałeś w Paryżu nader intymną znajomość! Wiem nawet i to, że nakłoniliście Murata do owej bezprawnej decyzji, błyskając mu przed oczami nadzieją korony polskiej. Jak widzisz, wiem bardzo dużo...

— Nigdy nie wątpiłem, sire, w talenty pana Schulmeistra i jego agentów. Jest to właściwy człowiek na właściwym miejscu, bo cóż byśmy poczęli, najjaśniejszy panie, bez dobrego wywiadu... Całe rządzenie sprowadza się w końcu do obsadzania stanowisk właściwymi ludźmi, dlatego...

— Najlepszym władcom zdarza się popełniać błędy w tej materii, mój

drogi Talleyrand. Exemplum ja sam, czyż nie uczyniłem cię ministrem? Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

— Z pewnością jestem sługą wielce niegodnym — odrzekł z niezamąconym spokojem ten lis — ale to nie tragedia, bo jestem cały czas przy tobie, najjaśniejszy panie, i to ty decydujesz. Gorzej będzie, jeśli tu, z dala od ciebie, zostaną przy władzy ludzie niewłaściwi. Nic nie poczniesz w Polsce tak jakbyś chciał, sire, bez ludzi wzoru Poniatosky'ego, którego marszałek Murat promował na odpowiednie, moim zdaniem, stanowisko. Poniatosky to człowiek cieszący się nie kwestionowanym autorytetem tak w narodzie, jak i wśród najwyższych kręgów arystokracji. Wyizolowana grupa jakobinów pójdzie za każdym, nie ma bowiem nic do stracenia, w przeciwieństwie do magnaterii, która, jeśli zwiąże się z nami, to na stałe. Gwarancją będą nam wielkie dobra ziemskie, które ci ludzie posiadają, a które, po związaniu się z nami, utraciliby w przypadku powrotu Prusaków. Nasz Poniatosky przekona do nas polskich magnatów, czego nigdy nie zdoła uczynić nasz Wybycky. Przeciwnie, Wybycky by ich odstraszył, a Dombrosky...

— Dosyć! — zakrzyknął cesarz. — Nie chcę już słyszeć o Poniatoskym! Nie proteguj mi tego bawidamka, tracisz czas! Znam dobrze Poniatosky'ego, interesuję się sprawami polskimi od dziesięciu lat. To człowiek lekkomyślny i niekonsekwentny, chłystek! Un freliquet!... W 94, kiedy Polacy bronili Warszawy, zawałił swój odcinek obrony, bo się spił do choroby z dziwkami, i tylko wspaniała postawa Dombrosky'ego uratowała sytuację. Teraz, ledwo się dogadał z Muratem, który tak samo tylko babską dupę ma w głowie, już żąda ode mnie gwarancji! G w a r a n c j i! To tak jak ty byś stawiał warunki Panu Bogu, na których łaskawie zechcesz z nim współpracować jako biskup!

Z trudem się od głośnego śmiechu powstrzymałem, ręką gębę zatykając. Dobrze mu cesarz łatę przypiął, boć przecież Talleyrand w młodości był biskupem Autun i za rewolucji dopiero, ekskomunikowany, suknią duchowną rzucił, ale go i tak czasem „chytrym klechą” zwano. Nie miałem wszakże czasu radować się prawością cesarza, bom raptem głos jego posłyszał donośny.

— Kasnyki!

Poprawiłem guzik u munduru i zameldowałem się w ułamku chwili.

— Biegnij po Murata! — nakazał mi. — Ma się stawić w dwa kwadrans!

Stawił się. Cesarz bez powitania wszedł nań z góry:

— Bawisz się w Warszawie, stroisz, umizgasz, hołdy przyjmujesz niczym udzielny władca, zapomniawszy, że armia w polu głoduje i że twoim obowiązkiem było zorganizować zaopatrzenie frontu!

— Sire, ja... ja starałem się... — wybąkał marszałek.

— Doniesiono mi! Staraleś się wziąć do łóżka wszystkie kurwy, które ci ściągnięto i teraz musisz się leczyć ze szpetnej choroby! Na prawdziwe rządy zabrakło ci energii! Nie ścierpię, by moi przedstawiciele zachowywali się jak rozpasani gówniarze, kompromitując mnie!

— Sire, przecież...

— Milcz, póki nie pozwolą ci mówić, hultaju! Odkąd zostałeś moim szwagrem, zbeczelniałeś do niemożliwości, ale przebrała się miarka. Jakim prawem wyniosłeś to książątko nad generała Dombrosky'ego?! Ja Dombrosky'ego mianowałem wodzem polskiej armii, a ty, tak po prostu, jak gdybym ja nie istniał, oddajesz to stanowisko innemu, żeby nasi wrogowie mogli gadać o swarach między nami! Chociaż nie... oni wiedzą, że o takich swarach mowy być nie może, bo między nami jest relacja dupy i kija, a kij się z dupą nie liczy. Więc będę mówić o prowokacjach, o dywersji, wiesz co to znaczy?! Za mniejsze rzeczy Aleksander Wielki rozdzierał swoich namiestników końmi!... Głupcze, powiedzieli ci, że dzięki Poniatosky'emu możesz zostać królem Polski. Słyszałem o tych przyjęciach, podczas których pozowałeś na Sobesky'ego, a oni ci kadzili, że tak samo jak tamten byłbyś królem na koniu. Tylko dlatego, że dowodzisz konnicą Wielkiej Armii! Paradne! Brałeś to na serio, błażnie, tak jakby ktoś poza mną mógł decydować o tronach! Niedoczekanie! Wybij to sobie ze łba, kto inny będzie królował w tym kraju, ktoś poważniejszy od ciebie!

Nie dosłyszałem do końca, bo mnie wywołał sekretarz cesarski, każąc skontrolować, czy nazwiska pisane poprawnie na liście dostojników polskich, których na wieczorną audiencją zawezwano. Wszystkie prawie koszmarnie przekreconymi były. Musiałem też pokazać mu, jak się je wymawia, ale niewiele z tego wyszło, Francuzi bowiem prędzej żywą żabę przełkną niżli nasze imię wysylabizują poprawnie.

Męczyło mnie to wszystko, prawdę rzekłszy, na froncie bym wolał brykać, miast za psa gabinetowego służyć. Chwała przybocznego w służbie cesarza nie do pogardzenia była, ale jakoś mi to nie smakowało serdecznie. Pierwszy raz przyłapałem się na tym, że Dominikowi zazdroszczę.

O trzeciej po południu cesarz, w szary, skromny szynel odziany, wyruszył w miasto na pięknym siwku. Tłumy pod zamkiem warujące oszalały: jeden wielki grzmot uniósł się nad dachami i gdyby nie potrójny kordon żandarmów, zmiażdżono by tego, na którego cześć wiwatowano. Wśród towarzyszących cesarzowi nie zabrakło Murata i Poniatowskiego, ale on rzadko się odzywał do nich i niejednego z gapiów musiały dziwić wielce ich posępne oblicza.

Pojechaliśmy w pierw na Stary Rynek, gdzie cesarz z konia zsiadł i kazał się najkrótszą drogą ku Wiśle prowadzić. Wiedziono go w dół Kamiennymi

Schodkami. Na Brzozowej ulicy stopy nieczystości smród okropny czyniły, o czym się Napoleon wyraził dosadnie, co ojców miasta zawstydziło. Po obejrzeniu mostu, który Murat pobudował na miejsce spalonego przez Prusaków, wróciliśmy do Rynku i dalej konno tą samą drogą. Mnóstwo napisów zdobiło mury kamienic, jeden bardziej od drugiego bałwochwalczy, jako ten, co go ku przykładowi podaję:

*„Wznosić upadłe państwa, wracać im imiona,
Dziełem jest tylko Boga lub Napoleona!”*

Rzeźnik jeden w oknie malowidło wystawił, na którym on sam wielkiemu wołu łeb obcina, a pod strugami kapiącej krwi jaśniał dwuwiersz:

*„Kto nie będzie wiemy Polsce i Napoleonowi,
To mu łeb utnę jak temu wołowi!”*

Sama radość z oczu i ust każdego wycierała, wszyscy szczęśliwi, jakby to było jedyne święto ich życia. Nie myśleli o kłopotach, które sprawił kwaterunek wojenny i rekwizycje, zapomnieli wcześniejszych utyskiwań i skarg, bo i te się już trafiały, głównie za sprawą Francuzów zaczepiających kobiety po ulicach, tak że władze policyjne nakazały w końcu, by niewiasty przyzwoite wychodząc z domu zasłonę jakąś miały na włosach, zaś „kobiety dobrej woli mają nosić żółte wstążki”. Dzwony kościelne, trąby, bębny i piszczałki, śpiewy i pohukiwania jak po udanym polowaniu kakofonię czyniły, której drugiej nie pamiętano chyba od powrotu króla Jana spod Wiednia. Choć może i po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja entuzjazm równy się wyraził, ale mnie przy tym nie było.

Zegar na kominku w gabinecie cesarza siódmą wybił, gdy Talleyrand przybiegł oznajmiając, że przedstawiciele wyższych stanów polskich i urzędów na uroczystą audiencję w sali przygotowanej już zgromadzeni. Napoleon słowem nie odrzekł, w lustro się wpatrując — pokojowiec Constant włosy mu poprawiał, wilgotne jeszcze po umyciu. Minister powtórzył:

— Najjaśniejszy panie, czekają już pół godziny!

— Nic im się nie stanie... Wystarczy, Constant... Tak, może być...

Kasnyki!

Stanąłem we drzwiach.

— Tak jest, sire?

— Idziemy.

— Tak jest, sire.

Talleyrand spojrział na mnie ze złością, jakbym mu przeszkadzał, a możliwe i to, że cesarz kazał mi za sobą iść, żeby się od natręctwa Talleyranda uwolnić. Ale jeśli tak myślał, to się zawiódł. Minister zdeterminowany był okrutnie i znowu swoje zaczął:

— Najjaśniejszy panie, są tam Dombrosky i Poniatosky...

— Wiem.

— ...Obaj mają nadzieję, że publicznie dzisiaj rozstrzygniesz sprawę naczelnego dowództwa, sire.

— Wiem.

— Należałoby to zrobić, czas najwyższy, w armii polskiej nie wiedzą już, kogo się słuchać...

— Wiem!

— Mam nadzieję, sire, iż wiesz również, że należałoby zostawić dowództwo w ręku Poniatosky'ego.

— Czyją to matką, jak powiadają, jest nadzieja? — spytał cesarz szyderczo i śmiechem się zaniósł, z gabinetu wychodząc.

Przez sąsiedni pokój weszliśmy w korytarz prowadzący do sali, gdzie się audiencja odprawować miała. Talleyrand nie ustępował:

— Najjaśniejszy panie, to już nie pora na żarty, dziś się waży los Polski, a dokładniej los naszej racji stanu w tym kraju.

— Naprawdę?

Cesarz stapał ostrym krokiem przy ścianie z oknami, które na dziedziniec zamkowy wychodziły, mijając kolejne apartamenta, a minister kuśtykał za nim, jakby gonił uciekającego, i sapiąc z wysiłku wyrzucał z siebie gorączkowe słowa. Ja szedłem trzy kroki z tyłu, w plecy cesarza wpatrzony.

— Sire!

— Talleyrand, czyż nie rozstrzygnęliśmy już tej kwestii? Dlaczego mnie męczysz?

— Dla tych samych powodów, o których już mówiłem, sire. Nie są one błahe. Dombrosky mało w Polsce znaczy, kogóż on reprezentuje? Po powrocie do kraju znalazł niewielu swych podkomendnych z Legionów...

— To już rzeczywiście mówiłeś. Powtarzasz się, co zazwyczaj jest oznaką starości...

— Kpij ze mnie, sire, ale nie z francuskiej racji stanu! Jeśli nawet obiecałeś Dombrosky'emu, a o ile wiem nie zrobiłeś tego bezpośrednio, to przecież wobec kondotiera żadne dalekosiężne obietnice nie mają znaczenia. W Polsce doskonale wiedzą, że możesz tego Sasa odwołać w każdej chwili, przerzucić na inny front europejski, a nawet zwolnić z wojska jak zwykłego najemnika. Sire, przecież on, zanim wstąpił do armii polskiej, przez

dwadzieścia lat służył w saskiej...

— Czytałeś Rulhière'a i nic nie wiesz o Sasach na polskim tronie? Masz doprawdy zadziwiające luki w wykształceniu, Talleyrand. Przez tych dwóch monarchów Saksonia i Polska są ze sobą związane bardzo mocnymi więzami historycznymi, dlatego Polacy bardzo chętnie służyli w armii saskiej. Możesz natomiast nie wiedzieć, że Dombrosky jest tylko półkrwi Sasem, po matce. Zresztą ojczyzny się wybiera, podobno jest ona tam, gdzie się chce umrzeć. Czy powiesz mi, że ja nie jestem Francuzem, bo jestem Korsykaninem?... Winienesz też wiedzieć, że Polacy w swej ukochanej konstytucji majowej postanowili, iż następcą króla Stanisława, jeśli ten zemrze bezpotomnie, będzie przedstawiciel królewskiej rodziny saskiej. Nikt ich do tego nie zmuszał.

— To w żadnym stopniu nie zmienia postaci rzeczy, sire! To już nie jest ta sama Europa, okoliczności i warunki się zmieniły, nasi jakobini zdejmując głowę królowi przewrócili świat do góry nogami...

— A czyż ty nie maczałeś w tym palców? Przypomnij mi łaskawie, jeśli się mylę...

— Sire, teraz ważne jest tylko to, że pomylisz się ogromnie nie słuchając mojej rady!

Miałem ochotę kopnąć go w tyłek. Dwa szybsze kroki do przodu i szpicem buta! Cesarz już nie odpowiadał, szedł milcząc, z zaciśniętymi ustami, coraz szybciej, a Talleyrand z coraz większym wysiłkiem powłóczył za nim kulasem, równał się z nim i zostawał, chrząkał mu do ucha, zdało się chce ucałować za ramię, zatrzymać i przekonać.

— ...wyniesienie Poniatosky'ego umocni wiarę Polaków w nasze intencje i wzmocni entuzjazm, a to da nam wielu rekrutów. W tym klimacie nasz zmarznięty żołnierz potrzebuje wsparcia wojsk polskich, bardziej zahartowanych do zimy. Sire, jesteś największym z wodzów, rozumiesz to lepiej ode mnie, więc czemu...

Przeszliśmy ponad pół drogi, drzwi do sali były coraz bliżej. W ciszy korytarza dudniły równo wojskowe obcasy Napoleona, a rytm ich uderzeń zakłócała dreptanina trzewików ministra. Prawy z nich był wysoki, lekarski, na kulawą nogę i klaskał o tafle pawimentu niczym kijanka w ręku kobiety bijąca wodę, lewy ciągnął się za nim, skrzypiąc dokuczliwie. Ja starałem się iść na palcach.

— Sire, na miłość boską, Francji nie stać na utratę takiego sojusznika jak Polska! Poniatosky ma kolosalne wpływy i pójdzie za nim cała arystokracja, a za nią cały naród, jeśli zaś postawimy na jakobinów, możnowładztwo może ulec podszeptom Petersburga, Wiednia i Berlina! Tzartorysky, przyjaciel cara, robi wszystko, by magnaci polscy nie wiązali się z nami, obiecują im złote

góry, Polskę prawie od morza do morza...

Drzwi tuż tuż. Cesarz wyprostowany niczym posąg i jak posąg niemy, a może i na słowa ministra głuchy, bo żadnym gestem nie dający odzewu, idący miarowo jak na paradzie, i ten kulas goniący za nim i błagający rozpaczliwie. Boże, raz w życiu coś takiego widziałem, kiedy ważyły się sprawy większe niż potyczka i nawet bitwa duża, i nic uczynić nie mogłem, choć mi w piersi wyło, bom już Dąbrowskiego polubił!... Nie zdąży, zaraz cesarz na salę wejdzie i skończy się ta straszliwa heca. Trzy zaledwie kroki.

— Sire! — krzyknął Talleyrand i głos jego echem puszczyka poniosło w czeluść korytarza za nami.

Cesarz zatrzymał się, odwrócił na pięcie i stanął milczącą twarzą do ministra tak, że ten omal nie wpadł na Bonapartego. Ale usta mu się nie zawarły.

— Najjaśniejszy panie, powtarzam, a więcej razy powtórzyć nie zdążę: Dombrosy, Wybyccy, Kollontaie i wszelacy jakobini i tak pójdą z nami, bo nie mają innego wyjścia. Po co kupować swoją własność? Dałeś im, najjaśniejszy panie, zbyt dużo władzy. Pobawili się, ale teraz dość. Jest ostatni moment, by zmienić układ i ustanowić potężną bazę naszych wpływów w tym kraju. Błagam cię, sire, zademonstruj publicznie swoje poparcie dla księcia Poniatosky'ego. Nie!... Nie błagam, lecz żądam tego od ciebie, bo tego właśnie wymaga teraz francuska racja stanu!

Przez oblicze Napoleona przeleciał dziwny uśmiech. Powiedział cicho, zdało się sam do siebie:

— Czasami zastanawiam się, Talleyrand, czy francuskiej racji stanu nie zrobiłaby dobrze kuracja polegająca na skróceniu cię o głowę.

Po czym drzwi rozwarł i wszedł na salę rycerską, malunkami Bacciarellego głośną.

Oni stali w szeregu, śmietanka dygnitarzy polskich, cywilnych i wojskowych. Członkowie Sejmu Konstytucyjnego z sędziwym marszałkiem Małachowskim na czele, członkowie Izby Najwyższej Wojenno-Administracyjnej oraz Izby Sprawiedliwości, duchowieństwo, generalicja, deputacje miast i inni. Skłonili się bez komendy, jakby dłoń jedna pochyliła im głowy. Cesarz wsadził dłoń w rozpięcie kamizelki, drugą zwyczajnym swym ruchem założył na plecy, i począł iść wzdłuż muru wyprężonych piersi, raz po razie którego o co pytając. Talleyrand za nim kuśtykał, niczym pobielone płótno blady, zmęczony walką w korytarzu i swojego niepewny. Ja obowiązkiem moim drzwi zamknąłem i przy nich zostałem.

W połowie szeregu Napoleon wstrzymał się, ku środkowi sali o krok cofnął i we wszystkie naraz twarze spoglądając wyrzekł tonem nagany:

— Balujecie, rozpijacie francuski garnizon w Warszawie, przyzwyczajacie do zbytków, a na linii bojowej żołnierze mrą z głodu, w magazynach pustki!

Wystąpił na to z szeregu członek deputacji, Michał Kochanowski, mówiąc:

— Najjaśniejszy panie, wszystko, czego do tej pory żądano, dostarczyliśmy.

Cesarz podniósł nań swój zagniewany wzrok i zawarczał:

— To jest nieprawda! Żołnierz francuski nauczył się w waszym kraju dwóch zaledwie słów: kleba i ne ma! Kleba ne ma! Skąd się to wzięło?!

— Nie wiem, sire, wiem natomiast, że dostawy regularnie idą. Zapewniam też waszą cesarską mość, że wszystko, co względem aprowizacji żądanym będzie, również zostanie dostarczone.

— Tak?...

Napoleon sięgnął po złożony papier i Kochanowskiemu podając, rzekł:

— Oto wykaz potrzeb, mój panie. Jeśli wszystkie te rzeczy nie zostaną dostarczone na wskazane miejsca w ciągu dwudziestu czterech godzin, waszmość zostaniesz rozstrzelany!

Kochanowski papier wziął, rozwinął i okiem nań rzucił. W tejże chwili cesarz, twarz Kochanowskiego lustrując, tabakierki dobył i zażył niuch głęboki, Kochanowski zaś od razu do tejże sięgnął. Kichali razem, a Napoleon śmiechem się zaniósł.

— Diabeł nie człowiek! Ja mu oświadczam, że każę go rozstrzelać w dwadzieścia cztery godziny, a on mi nie prosząc bierze niuch tabaki i to bez podziękowania!

Tymczasem Kochanowski spokojnie lekturę ukończył i pokręcił głową.

— W dwadzieścia cztery godziny nie da rady, ale w trzy dni wszystko będzie dostawione.

— Na pewno? — spytał cesarz.

Wybicki wtedy, obok Kochanowskiego stojący, wtrącił się:

— Jeśli pan Kochanowski tak twierdzi, to rzecz jest pewna, najjaśniejszy panie.

Napoleon zwrócił się ku niemu:

— Wybiki, dla potwierdzenia tego, coś rzekł, ty sam zajmiesz się dostarczeniem pierwszych siedmiuset cetnarów mąki dla armii w ciągu dwudziestu czterech godzin. Reszta za trzy dni!

Znowu ruszył wzdłuż szeregu. Kiedy doszedł do końca, wygłosił kolejną mowę:

— Pobitem jednych waszych zaborców, pobiję i drugich. Ale nie może

być tak, aby za waszą wolność bili się tylko cudzoziemcy. Im szybciej wystawicie własną silną armią, tym szybciej zasłużycie na niezawisłość. Wzmóście wysiłki, nie ma dla was ważniejszej sprawy. Wojna jeszcze nie skończona. W przyszłorocznej kampanii chcę widzieć polskiego żołnierza w wielkiej liczbie na placu boju. Jest to nieodzowny warunek wskrzeszenia Polski. Naród, który nie potrafi przelewać krwi dla swego honoru, nie jest godzien samodzielnej państwowości. Dobre wojsko, oto czego wam potrzeba!

Postąpił kroków kilka i nagle przed Poniatowskim się zatrzymał.

— Czyż nie mam racji, książę?

— Najjaśniejszy panie — odrzekł książę Józef — naszemu narodowi potrzeba wielu rzeczy, których od dawna byliśmy pozbawieni i do których tęsknimy, jak choćby sejmu i naszej Konstytucji 3 Maja.

Z oczu cesarza wystrzeliły pioruny.

— Czy na to też mam ci dać pisemną gwarancję, i to przed ostatecznym zwycięstwem nad wrogiem, mój panie?!

Straszna zapadła cisza. Na twarzy Talleyranda ujrzałem chmurę, usta zacisnął, jakby chciał wargi przygryźć. Poniatowski stężał i nic nie odrzekł. Najbliżej mnie stojący deputat ku sąsiadowi w biskupiej sukni się nachylił i wyszeptał:

— Zdaje się, że nasz książę będzie mógł jeszcze dzisiaj wynieść się na długi odpoczynek do Jabłonny i zająć z braku czegoś lepszego pisaniem memuarów.

Cesarz przerwał milczenie, nie spuszczał oka z twarzy księcia.

— Panie Poniatosky, dam ci jedną radę i gwarantuję tylko to, że jest to najlepsza rada do jakiej możesz się zastosować! Otóż radzę ci, byś jako naczelny wódz wojsk polskich sprzymierzonych z armią francuską mniej myślał o strzelaniu do mnie żądaniami pisemnych gwarancji, a więcej o strzelaniu do nieprzyjaciela prochem i kulami. Macie moje cesarskie słowo, na którym stanie wasza niepodległość, ale bronić jej będziecie musieli sami i ty tego dopilnujesz, książę!

Oparłem się o framugę, bom myślał, że na pawiment upadnę. Chmura z Talleyrandowej gęby ku twarzy Dąbrowskiego przefrunęła, minister uśmiechnął się tryumfująco, a Murat wtórował mu pod nosem. Nie pamiętam nawet jak się audiencja skończyła. Dość naprawdę tego wszystkiego miałem, więc kiedy tylko usłyszałem, że Dąbrowski na przysięgę pospolitego ruszenia do Łowicza jedzie, wyprosiłem u cesarza przepustkę i jako delegat kwatery głównej do generała dołączyłem. Uściskał mnie niczym marnotrawnego syna, smutek wciąż mając w oczach ten sam, co na sali. Tak mu za lata ponieważ, którą dla Polski przechodził, podziękowano.

W Łowiczu stanęliśmy w dzień Nowego Roku. To, co się na polach podłowickich działo, wyobrażenie przechodzi. Tłumy wyszły na spotkanie wielkiego wojownika, wiwatując jakby to sam cesarz nadjechał. Rozwinął się wielobarwny zbrojny polonez „la pospolité”, ze sztandarami i werblów warczeniem podniosłym. W gwarze bajecznej manifestacji szablę Sobieskiego niesiono przywiezioną z Italii, a także buławę Stefana Czarnieckiego, którą na ten dzień Wincenty Krasiński ofiarował.

Słozы w oczach miał Dąbrowski, a kiedy przemówił, ja własnym nie zawierzałem uszom. Przez cesarza pokrzywdzon (choć na korzyść innego dobrego żołnierza, ale przecież), słaWił Napoleona z zapałem takim, że gdyby potem prywatę mu ktoś zarzucił, trza byłoby kalumniarza do wariatów zamknąć. Nad własny się podniósł ból serca, bo mu sprawa narodowa ważniejszą od osobistych była korzyści, i tak prawił:

— *„Rycerze! Za najszcześniejszy dzień życia mego poczytują ten, który po dwudziestoletnim rozstaniu połączył mnie z wami rodacy, który mi daje oglądać słodkie owoce prac moich, podjętych za granicą dla utrzymania męznego ducha w Polakach. Jestem sownie od niebios nagrodzony, kiedym was w istocie przekonał, że nie płonnemi ziomekóW moich karmił nadziejami. Ten rok 1807 jest pierwszy, w którym każdy z was życie swoje poczyna, bo kto ojczyzny swej nie miał, tego można w liczbę umarłych policzyć. Ta ziemia, po której dziś wolni chodzicie, dopiero od tego momentu poznała prawdziwe swe dzieci, kiedy was widzi zebranych na ochronę swoją. Już widać w oczach waszych odżywczy ogień świętego zapału, który przypominając dzieła przodków daje wam razem uczuć, co to jest odzyskać utraconą ojczyznę. Lecz komuż winniście swoje odrodzenie, jeżeli nie wielkiemu Napoleonowi, którego opatrność wskazała, aby opuszczone sieroty do własnej doprowadził matki. Szanujmy tę rękę, która nam jednym dla dźwignienia się podaje te same rycerskie narzędzia, jakie wydarła największym mocarstwom za to, że nie umiały godnie ich używać. Na uczczenie więc tego wielkiego bohatera zgromadzeni tutaj rycerze pod przewodnictwem moim nieście modły do Boga o ciągłą pomyślność dni jego i z głębi serca waszego wynurzcie tę godną wdzięczności przysięgę, która nas z ust kapłana czeka”.*

I do przysięgi przystąpiono... Niejednom widział i przeżył. Ale kiedy sześć tysięcy szlachty na błoniu zebranej w chorągwiach poszczególnych ziem, na których czele rotmistrze pospolitego ruszenia stali, przysięgało Polsce na buławę Czarnieckiego i na ten pałasz Jana III przywieziony spod Loreto, nie zdzierżyłem i ryknąłem serdecznie. Głos po polach niosło:

„Ja, tu przytomny, przed obliczem Boga Zastępów, przed bóstwem powstającej ojczyzny mojej, przysięgam na tę buławę, którą niegdyś

bohaterska dłoń Czarnieckiego dźwigała; na ten miecz walecznego Sobieskiego, pod którym padał Polski nieprzyjaciel, iż posłuszny do zgonu rozkazom Wielkiego Napoleona, o swobodą i całość Ojczyzny aż do przelania ostatniej kropli krwi mojej walczyć będę!”

„*O swobodą i całość Ojczyzny!*”. Nie ja jeden płakałem. Ryk był powszechny, łzy się nam lały po licach i nikt się ich nie wstydził. Pamiętam, jak ktoś pierwszy krzyknął: „Niech żyje cesarz!” i ja wraz z innymi w strzemionach się uniosłem, wrzeszcząc: „Niech żyje cesarz!!!”, aż echo szło po równinie. Przybiegły mi na pamięć słowa księdza Zimorowicza: „*Powstanie Polska... oto wam zapowiedziałem!*”. Mogłem li nie wierzyć teraz, że powstanie?

Na koniec szablę i buławę Dąbrowskiemu wręczono, a mowę przy tym do generała, w imieniu wojewódzkich dowódców, rotmistrz inowrocławski, imię Sokołowski, wygłosił:

— „*W tobie, jaśnie wielmożny jenerale, naczelniku nasz, znajduję jednego ze sławniej szych naszych wodzów. Piastując buławę Czarnieckiego i oręż Sobieskiego, tobie szczególnie należące, bo w ich ślady wstąpiłeś godnie, kieruj sercami współbraci, gotowymi iść wszędzie na twoje wezwanie. Bądź tłumaczem Polaków przed najjaśniejszym cesarzem Francuzów, królem włoskim, wielkim Napoleonem, że historia nie poda innego przykładu, jak tylko iż Polak najwierniejszym jest zawsze dla swych monarchów. Z tego względu ośmiel się prosić: niechaj nas swym potężnym wspierając ramieniem udzieli szczęścia oglądać na tronie jednego z najjaśniejszej krwi jego, przy takich sprawach, które by dały sposobność przekonywać, że Polak ma sobie za chlubny zaszczyt być wiernym i posłusznym Monarsze, Ojczyźnie i Prawu”*.

Marzyło się wszystkim króla mieć z cesarskiej rodziny, a nikt wiedzieć wtedy nie mógł, że Napoleon inaczej postanowi i Sasa nam na królowanie wybierze, tak jak Konstytucja Trzeciomajowa przewidywała, którą uszanował.

Przepustkę miałem na dni czternaście, a w tym czasie służbę ordynansową przy cesarzu Falkowski odprawował. Znowu ćwiczeniem pospolitaków się zająłem i to mi radość dawało, jakiej na pokojach cesarskich zaznać nie mogłem.

Kiedym wrócił do stolicy i do domu się udał na Starym Mieście, gdzie mieszkanie dla Kami i Gila wynająłem — jej już nie było. Gil przerażony rzekł mi, jako od dwóch dni już zniknęła. Szukać zacząłem po mieście, aż mi jeden z oficerów naszych doniósł, że ją z Francuzem wyższej rangi widziano.

Nigdy przedtem ani potem nie biłem głową o ścianę, czaszkę pragnąc roztrzaskać na wióry. Oprzytomniałem na podłodze i znowu dostałem szau. Słono musiałem płacić gospodarzowi za sprzęty porozbijane. Jeszcze w kilka

dni później Gil, tak jak kiedyś w krakowskim lochu, zmieniał mi opatrunki.

Poniatowski na mój widok, gdym się w sztabie pojawił, aresztować mnie chciał, bo mu się widziało, że burdy i pojedynki po nocach czynię, ledwom go udobruchał. Tak płaciłem rachunek mej miłości i głupoty zarazem. Gdybym Kami wtedy dopadł, ubiłbym na miejscu.

Poniatowski człowiekiem okazał się serdecznym i uczucia moje, wrogię ku niemu zrazu za sprawą krzywdy Dąbrowskiego, tajać poczęły. Dowiedział się widać w czym rzecz, bo mnie zawezwał i rzekł, jako przed cesarzem mnie usprawiedliwi, żem się z przepustki do służby ponownie nie zameldował. Na to mu odpowiedziałem, że ja już na cesarskiego adiutanta nie pójdę, a jeżeli dezercją mi zarzucą i kulę w łeb zechcą dać — wola boska. Pokiwał głową niby ojciec nad niesfornym dzieciuchem.

— A nie myślisz — spytał — że honor każe, byś sam to cesarzowi rzekł, nie zaś jako szczur umykał?

— Wasza książęca wysokość ma rację. Pójdę do cesarza i powiem mu.

— I co dalej?

— Pospolitaków chciałbym w bój prowadzić.

— Dostaniesz nominację...

— Już miałem, przed adiutanturą, od generała Dąbrowskiego.

— Tedy z dobrej ręki miałeś, znamienity to wojownik. Ale tamta już nieważna, drugą ci wypiszą z przydziałem. Chcesz do legii poznańskiej Dąbrowskiego?

— Wszystko mi jedno, byle w pole iść. Gdzie goręcej.

— Dobrze, pójdziesz gdzie najgoręcej, może od tego się utemperujesz. Papier u Fiszera odbierzesz jutro.

— Wasza książęca wysokość...

— Co jeszcze?

— O jeden tydzień zwolnienia upraszam.

— Boże mój — westchnął, patrząc w okno zamyślonym wzrokiem — co one z nas robią! Słabeuszy... Wierzysz, że ją odszukasz i że do ciebie wróci? Nie łudź się. Ale to twój frasunek, ja ci w tym pomóc nie mogę. Tyle tylko, że ten tydzień ci dam. Wolnyś.

Pętałem się po mieście jak zaczadzony, każdej kobiecie zaglądałem w twarz, za niektórymi powozami goniłem, cud prawdziwy, że mnie z ulicy nie zabrano do Bonifratrów, gdzie chorych na umyśle przetrzymywano. Nareszcie dowiedziałem się, że 17 stycznia bal wielki u Talleyranda odbywać się będzie. Tam być mogła z oficerkiem swoim, bo wszystkie znaczące figury zaproszono. Gil mundur mi ochędożył, a ja od rana zaprzestałem picia gorzałki i kiedy zmierzch nadszedł, trzeźwy byłem jak od kilku dni nie bywało. Kiedym się do

pałacu Tepperów na Miodowej zbliżył, krok przybrałem sprężysty i fagasowi stojącemu w drzwiach rzuciłem:

— Cesarski kurier z depeszą od marszałka Ney!

Puścił mnie bez słowa.

Bal trwał już, tańczono zawzięcie, toasty podnoszono i zaśmiewano się. Cesarz z Anastazową Walewską kontredansa tańczył mało zgrabnie. Przebiegłem sale, bacząc pilnie, alem jej nigdzie nie dostrzegł. Przepychając się w tłumie, naraz na grupę przy Napoleonie stojącą wpadłem.

— Wiesz pani — mówił cesarz do Walewskiej, zarumienionej pod ostrzałem wszystkich oczu — czemu w tańcu stawiam zazwyczaj obok siebie Berthiera? Przez kokieteryę, gdyż on tańczy jak niedźwiedź, przez co ja prezentują się nieco lepiej. Myślę, żeście się wszyscy z mego tańca naśmiewali.

— Najjaśniejszy panie — rzekła mu na to dowcipnie pani Aleksandrowa Potocka, bo panią Walewską zamurowało — jak na wielkiego człowieka tańczysz doskonale.

— Ba, udaję tańczenie, a już waszych tańców ni w ząb nie potrafię, choć podobają mi się. Taki mazur! Ma w sobie coś rycerskiego, tchnie zwycięstwem, musiał powstać po zawojowaniu sąsiedniego państwa.

— Najjaśniejszy panie, w naszych dziejach nie czyniliśmy zaborów. Polak nie podbijał, bronił się tylko, a odpierając nieprzyjaciół... czasami rozszerzał swe granice. Jeśli więc mazur bierze początek na polu sławy, musiał być stworzony po odparciu najeźdźcy i oswobodzeniu ojczyzny...

— Jeśli tak — przerwał jej cesarz — nie należało go tańczyć po utracie waszego kraju.

Potocka i tym razem zachowała się rezolutnie.

— Za to teraz możemy go tańczyć, mając wśród nas wskrzesiciela.

— Powiedzcie mi też, skąd się bierze wasz polonez?

Na to pytanie odpowiedział pan Stanisław Potocki, gdy się już wydawało, że nikt responsu nie zna.

— Kiedy Henryk Walezy wracając z Polski do Francji zatrzymał się w Wenecji, wymyślono dlań taniec polonezem nazwany, by całe idące parami towarzystwo mógł poznać. Taniec ten przeniesiono wkrótce do naszego kraju, sire.

— Taniec włoski sprowadzony do Polski przez francuskiego króla winien do Francji powrócić — zdecydował na to cesarz i poszukał wzrokiem marszałka dworu. — Duroc! Odtąd w Paryżu wszystkie bale polonezem zaczynać się będą!

Zauważył mnie, bo za marszałkiem stałem. Uśmiech mu z twarzy szczył i

w kilka chwil później Falkowski zaprosił mnie do tronu, który dla Napoleona pod ścianą ustawiono. Gdym się zbliżył, cesarz odstawił kielich z chłodnikiem na tacę, którą sam gospodarz, ksiązę minister trzymał, a do mnie odezwał się gniewnie:

— Czemuś na służbę nie wrócił?! Dezercja w każdej armii głowę kosztuje!

Nic nie odrzekłem.

— Gadaj! — ponaglił mnie — bo od razu pod sąd pójdziesz!

— Nie pójdę, sire! — odszczeknąłem się hardo.

Falkowski mało nie zemdłał z wrażenia, a Talleyrand byłby tacę na dywan upuścił, gdyby mu jej lokaj obok sterczący nie przytrzymał.

— Coś rzekł?!

— Że wasza cesarska mość zezwoliła mi raz być nieposłusznym bez kary. Oto byłem.

Zdawało mi się, że się uśmiechnął, ale jeno oczami, bo twarz nieporuszona została.

— Więcej nie będziesz, zwalniam cię ze służby przy mnie, kiedy ci tak ona nie smakuje! Zejdź mi z oczu!

Lepiej się stało, niżlim chciałem, bo nie musiałem sam o uwolnienie prosić i tłumaczyć dlaczego. W trzy dni potem, kiedy Francuzi ruszyli na Lidzbark, pchając przed sobą cofającą się armię Bennigseny, byłem już w szeregach. Pięciuset konnych pospolitaków, którymi komenderowałem, przyłączono do brygady Lasalle'a. Teraz miałem już naprawdę to, o czym marzyłem.

Karol Lasalle, cudowne dziecko francuskiej konnicy, przyjaciel Murata, a zarazem konkurent tegoż do sławy najwspanialszego kawalerzysty. Gdy w kilkuset huzarów bez dział i piechoty, zdobył — rzecz niebywała — olbrzymią i świetnie zaopatrzoną twierdzę Szczecin, osłupiał sam cesarz, który już niejednym cud wojenny oglądał i sam sprawił. Wielka Armia, przejęta podziwem na wieść o tak nieprawdopodobnym wyczynie, nazwała jego brygadą „piekielną”. I oto ja, Jan Karśnicki, miałem honor służyć w tej „brigade infemale”. Włączono nas do niej, by zapchać ubytki spod Gołymina. Tam, w ogniu Rosjan, piekielna brygada, po raz pierwszy i ostatni w swojej karierze, zawahała się na moment. Ta krótka chwila wystarczyła, by Rosjanie rozbili brygadą Marulaza. Lasalle wściekł się. Bez słowa, z zimną krwią, poprowadził brygadę w krzyżowy ogień dział nieprzyjaciela, kazał stanąć w miejscu, jak na paradzie i trzymał ich tak przez kilka kwadransów. W ten sposób, z premedytacją, zdziesiątkował swoich ludzi, siebie też nie oszczędzając, bo stał na czele i kilka koni pod nim ubito. Ta kara straszliwa w jego zawstydzonej brygadzie i w całej Wielkiej Armii zyskała mu uznanie i szacunek. Piekielna

brygada nie miała prawa do chwil słabości.

Czułem, że odżywam, że rodzę się na nowo pod skrzydłem Lasalle'a. A że jeszcze polubił mnie i do namiotu często zapraszał na kości i karty winem podlewane — Bóg mi niebo do nóg chylił i nawet Kami rzadziej się jawiła po nocach. Biliśmy Rosjan i piliśmy, zgrywaliśmy się z żołdu i ćwiczili na pałasze. On mi rękę układał do kilku wybornych cięć z siodła, ja zaś nożem uczyłem go miotać, odkąd on i jego oficerkowie zobaczyli, jak to czynię, i powariowali z zachwytu.

Nocą, gdy się upił, o dziewczkach lubił gadać, a ja udawałem, że słucham, choć mi się zęby zwierzały jak żelazo, na myśl o Cygance zdrajczynie. Przechwalał się jak każdy, ale też przyznawał szczerze, z nutką żalu, że gdzie mu tam do Murata. Ten pono nawet w pole woził nałożnice swoje, poprzebierane za kadetów — bez tego wojaczka mu nie szła i wigoru brakowało. Śmiałem się z tego. Gdybym to wiedział wtedy, że z siebie samego dworuję, w łeb bym sobie chyba wypalił.

Bałem się okrutnie o Dominika, który z Soultem szedł. Nieopierzony szczeniak, łatwo mu się co złego przytrafić może.

Ostatnim raz widział brata na tydzień przed zdobyciem Olsztyna, jeszcze w styczniu. Było to w owym przeklętym dniu na biwaku, niecałe pół miesiąca przed rozstrzygającą bitwą z Rosjanami. Mróz tęgi trzymał nas w kleszczach, wiatr odmrażał uszy, oddech parą się kłębił. Brrr! Rosyjskim zwyczajem tłukliśmy ramionami o plecy, wędrując w pobliżu namiotów i ognisk. Nagle ktoś krzyknął:

— Patrzcie! Dzierlatka do Murata jedzie!

— Oficerek z niej, że palce lizać. Chciałbym być tym krawcem, co ów mundurek na nią kroił!

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha...!

Ledwie słyszałem, kołnierz futrzany na uszy postawiłem, nogami przytupywałem o lód, brrr!

— Patrz Jean! — Lasalle wyjął spomiędzy zębów wielką porcelanową fajkę, nabijaną cennymi kamieniami. — Patrz! Dziewka Murata do namiotu Joachima na noc podąży. Kupił ją pono od pułkownika Jomarda, a ja myślę, że raczej odziedzyczył, bo Jomard na krach się przez Wisłę przeprawiając utonął, biedaczysko. Z Vorstadt jedzie, pewnikiem na pożegnanie, bo jej już dalej Joachim ciągać nie będzie mógł. Za gorąco się robi i bitwa ani chybi lada dzień, tedy ją pewnie ku Warszawie odeśle... Hmm! Chciałbym to ja żegnać ją tej nocy! Piękna, że ciary po krzyżu wędrują. Ten ma szczęście! Gębusia bielsza od śniegu. Joachim mówi, że co rano okłada ją szmatką, w jakiejś miksturze cygańskiej czy diabelskiej maczaną. No, patrz, do diabła!

Szarpnął moje ramię. Ruszyłem się z niechęcią, bo mnie odwracał w stronę kurzawy śnieżnej i patrzyłem, jak mi kazał.

Nie wiem, jakim wzrokiem patrzyłem, ale to wiem, że gdy Lasalle w gębę mi spojrział, fajka mu z zębów wypadła, a wąsy, które zazdrość innych wzbudzały, zdusiły uśmiech.

Mądry był Lasalle. Stał tak chwilę i widać coś takiego w twarzy mojej ujrzał, że się do tyłu cofnął, jakby się uderzenia spodziewał, pięść do góry podniósł i tym jednym gestem nakazał milczenie roześmianym sztabowcom, a gdy to ujrzeli, skulili się, jakby śmierć przed nimi stanęła. On sam cofał się tyłem, krok po kroku, aż znikł mi z oczu.

Powóz, z którego wysiadała, musiał długo już stać przed naszym namiotem. Patrzyłem jak nieprzytomny, ogniki dalekie biwaków zlały się w jedno z płatkami śniegu i zaczęły biec ku mnie, wzrok mi mącąc. Gdy stanęła obok, nie widziałem już nic, tylko parę jej czarnych oczu w moje oczy patrzących i policzki dwa blade, po których krople łez ciekły i zamarzały srebrzyście.

* * *

Gdy kurier od Lasalle'a przywiózł wiadomość, że Murat i Soult zdobyli Olsztyn, przytomniałem już z wolna. Wkrótce potem Murat i korpus, w którym adiutantował Dominik, wdarli się do Pruskiej Hławy i w ciężkiej walce wyparli z miasta Rosjan. Murat, Murat, Murat! Wszędzie on, na ustach wszystkich, na czele awangardy, podziwiany i kochany przez całą armię. Nienawidzony przeze mnie. Nie myślałem przedtem, że nienawidzić można silniej niż miłować.

Gdy minęła ta przekłeta noc i spadł na białą ziemię ranek, jej już nie było. Przyszła i znowu zniknęła jak zjawa. Jeden Bóg wie, jak wówczas cierpiałem. Chciałem biec koniem do korpusu Murata, wyzwąć cesarskiego szwagra na ubitą ziemię i utłuc jak gada! Z trudem utrzymałem to szaleństwo w klatce mózgu i nie zrobiłem głupstwa. Śnieg, zimny i kojący, uspokajał. Poczekam, choćby nie wiem jak długo...

Minął tydzień i jeszcze dni kilka.

Tymczasem nadciągnęły do Hławy korpusy Augereau i Davouta, wreszcie sam cesarz. Bennigsen krok tylko wstecz uczynił i w zapadającym zmierzchu widać było, jak Rosjanie zapalają ogniska biwakowe, pozornie dalekie, ledwie dostrzegalne w zadymce śnieżnej.

Nasza brygada, powiększona do siły dywizji, ubezpieczała lewe skrzydło Wielkiej Armii. Mróz był wielki, konie pod derkami drżały z zimna, my zaś

staliśmy przed namiotami, wpatrując się w ogniki rosyjskie i marząc, że Bennigsen już się więcej nie będzie wymykał jak upiór i że bitwę przyjmie.

Dominik

Krew na śniegu

— Où se trouve Jean Karśnicki? C'est mon frère.*

Huzar klęczał i dokładał drew do wątego ogniska. Powoli, niedbale podniósł rękę, owiniętą szczelnie i grubo szmatami, i wskazał mu największy namiot.

— Là! Dans le pavillon, avec Lasalle!**

Koń Dominika dalej brnął w śniegu. Nareszcie tej nocy zobaczy Janka. Soult zwolnił go do czwartej nad ranem. „Uściskaj brata” — powiedział. Oj! Uściska, uściska i to jak mocno. Chociaż tak naprawdę na to „mocno” był jeszcze trochę za słaby. Drogi w ciągłych zawiejach i w zamarzającym błocie, potyczki i pościgi, widok skrwawionych trupów dezerterskich, których Bennigsen setkami przepuszczał przez kije i wreszcie przeziębienie, które dopadło go pod Sochocinem — wszystko to wyczerpało jego młode siły.

Minął stary młyn, a zaraz potem jego minęła grupa oficerów, klnących i oglądających się za siebie złymi oczami. Mówili o jakiejś dziewczynie. Dziesięć kroków przed namiotem zsiadł z konia i wpadł po kolana w miękką zaspę. Wokół nikogo, jak gdyby śnieg wymiótł ludzi i wyciszył wszelkie odgłosy życia. Czyż Janek śpi? Ale przecież nie w namiocie dowódcy brygady! Gdy miał dwa kroki do wejścia, zobaczył po drugiej stronie namiotu karete pokrytą białym puchem, przy niej zdrewniałe konie, a wszystko to jakby zapomniane, jakby z bajki gwiazdkowej lub ze snu, zagubione w nocy i w księżycowej bieli, nierzeczywiste. Powóz z gwiazdnej przestrzeni i rumaki-dziwaki, stare klechdy, stare gadki matczyne...

Stanął, okiem w wąskiej szparze tnącej na pół zasłony wejścia i błyskającej od wewnątrz bladą smużką świecy, która rozpraszała mrok namiotu. Wyciągnięta ręka zamarła i Dominik powoli cofnął ją.

Brat stał bokiem do patrzącego, a naprzeciw kobieta, ubrana w mundur szasera i tak piękna, że Dominikowi zwidziało się przez chwilę, iż to jest właśnie królowna śniegu, która hen, z Wielkiej Niedźwiedzicy, sfrunęła swoim powozem na ziemię i teraz chce zabrać Janka do siebie. Jej drapieżny profil, orli nos i bladość lica mokrego i błyszczącego, czarne włosy, wysypane falą spod kołpaka leżącego u nóg i drzenie czerwonych warg, i głowa ku Jankowi

* — Gdzie jest Jan Karśnicki? To mój brat.

** — Tam! W namiocie, z Lasallem.

wyciągnięta, oczy w oczy wbite — wszystko to wydawało mu się znajomym. Poznał nagle. Kami! Kochanka brata. Skąd się tu wzięła, na Boga!

Milczeli oboje. Ona ręce, które zrazu bezwładnie leżały na biodrach, uniosła miękko ku górze, splotła jak do modlitwy, a potem rozchylając koniuszki palców, przykryła Jankowe policzki, oczu nie odwracając, patrząc... A zaraz palce owe bieluchne zsuwać się po twarzy zaczęły, potem po mundurze i niżej, cała ona osuwała się, aż na kolana padła i usta do dłoni brata chciała przyssać. I wtedy brat ożył, ku górze ją poderwał, postawił, rękę uniósł, dłoń rozwarł, palce jak szpony skrzywiły się... uderzy! — pomyślał Dominik. Kobieta nie ruszyła się, nie uchyliła, nie zamknęła oczu i ręka zniewolona tą uległością nie opadła, w górze zawisła, a potem osunęła się bezwładnie. Ale tylko na ułamki sekund. Dominik ujrzał, jak obie dłonie brata spadają nagle na futrzane zapięcie wojskowego kożuszka i rozwierają go ze straszliwą mocą na boki, rwąc mundur i koszulę pod nim i wyrywając na wierzch dwie piersi rażąco białe w półmroku wnętrza, unoszące się spazmem coraz gorętszego oddechu, a może szlochu. Janek objął nagie ramiona kobiety i pochylił głowę ku jej szyi i długo tak trzymał. Zanim Dominik cofnął się i oderwał od ściany namiotu, widział jeszcze przez chwilę oczy Kami, wzniesione ku górze nad ramieniem brata, zażawione i szczęśliwe.

Wziął konia za uzdę i poszedł do karety. Wewnątrz spał żołnierz, skulony i przykryty kożuchem, spod którego dobywało się rytmiczne chrapanie. Ruszył dalej, między namioty.

— Jaśnie panie! Panie Dominiku!

Z ciemności wychynęła gęba brodata i ośnieżona. Gil, fagas Jankowy. W lochu pono razem siedzieli. Dominik przyciągnął go bliżej.

— Widziałeś ją? Skąd się tu wzięła?!

— Nie wiem, jaśnie panie, ale znam ją. Cały Kraków ją znał. To Cyganicha, wiedźma, którą niegdyś w Krakowie pan Karśnicki zoczył, a która mu uroku zadała. Pfuj! — splunął z rozmachem — siła nieczysta! Ale tak se myślę, jaśnie panie...

— Panie poruczniku, psiakrew!

— Tak jest, panie poruczniku. Tak się ośmielam dumać, że tam lepiej nie zachodzić, bo brat pański ubije, choćby sam cesarz włożył.

Widać to „cesarz” zbyt głośno wymówił, bo z mroku wyłoniła się trzecia sylwetka, warcząc: „Silence!” Ognik porcelanowej fajki dymił w sumiaste wąsy i oświetlał piękną, rozumną twarz.

— Ktoś jest?

— Dominik Rezler, adiutant marszałka Souлта. Podporucznik do dyspozycji sztabu.

— Co tu robi, u diabła, adiutant Soulta?!

— Meldują, że przybyłem do brata!

— Znaczy do kogo?

— Jan Karśnicki, dowódca trzeciego...

— Ciszej, synu! — wąsacz wytrzepał fajkę o dłoń, potem przygarnął Dominika i pociągnął za sobą. — Chodź do namiotu, ogrzejesz się... Praktyk losu przeklętego i tak nie zgłębisz. Bóg jeno wie, a i to niepewne!

Dominik nie chciał spać, chciał czuwać, czekać, aż brat się wyzwoli z tych białych ramion i wyjdzie z namiotu. Ale nie utrzymał powiek.

Gdy się obudził było jeszcze ciemno. Śnieg przestał padać i zastygł, a dalekie ognie placówek zlewały się z gromadą gwiazd, zacierając linie podziału czarnej przestrzeni. Przeciągnął się głęboko i wyszedł przed namiot. Załatwił się pod drzewem i skierował ku karecie, ale karety już nie było.

Gdyby nie głębokie wąwozy kolein, biegnące w kierunku, z którego wczoraj przyjechał, pomyślałby, że czarodziejka odfrunęła ku swojej konstelacji, na skrzydłach rumaków i w gwiezdny powozie. Gdy podszedł bliżej, usłyszał pisk ośki oddalający się w dół, ku miastu. Widać kareta dopiero co odjechała, Jej ruch wyrwał go ze snu. A Janek? Zanim zdążył podejść do wejścia namiotu, wewnątrz ozwał się głuchy, zwierzęcy ryk, furknęła kotara i Karśnicki wyskoczył na mróz, z nagą piersią i w rozchełstanej koszuli. Brata dopadł, za ramiona ścisnął i widać nie poznając, wycharczał:

— Gdzie onaaaa...! Dominik?

Ręce opadły. Dominik słowa nie wyrzekł, nie zdążył, bo już postać gibka jak chart z mroku zjawą skoczyła, Karśnickiego chwyciła za płótno koszuli, obie jej części na piersiach zwierając.

— Do namiotu!

— Karolu... ona, ona...

— Baczość! Szarżę znasz?!

— Tak? Tak jest, generale.

— Do namiotu mówię i w mundur! Mazgaj, sacrebleu!

Czarne wąsy drżały z pasji. Ale głos już łagodniał, do szeptu schodził:

— Widzisz, Jean... Murata niewolnica, złota jej nie dasz, a serce pewnie twoje. Trza kobiety znać, a któryż mędrzec je zna? Zostać przy tobie nie mogła, bo w noc byś ją kochał, a w dzień w klatce trzymał i przypomnieniem zadręczał. Zrozum...

Karśnicki schylił się w przejściu i zniknął w namiocie, a Dominik na konia skoczył i popędził do oddziału. Nad białą pustynią zaczynało szarżać.

W kilkanaście dni później Bennigsen zdecydował się przyjąć bitwę.

Miasteczko, w którym krzyżowało się kilka dróg, w tym również ważny trakt strategiczny, prowadzący na Królewiec, leżało na niewysokim wzgórzu, zwieńczonym smukłą igłą gotyckiego kościoła. Dnia poprzedniego na ulicach padło pod kulami i bagnetami korpusu Souлта około pół tysiąca żołnierzy rosyjskich. Było to niewiele w porównaniu z ofiarami przeszłości. Było to nic w zestawieniu z hekatombą dnia, który budził się do życia.

Dzień ten — 8 lutego 1807 roku — obejrzał najbardziej krwawe widowisko militarne, jakie wystawiła sobie ludzkość od czasów narodzin. W tym zimowym spektaklu na polach Pruskiej Ławy, razem z ponad 150 tysiącami aktorów kilku narodowości, odegrało swoją rolę kilkuset „pospolitaków” wielkopolskich. Bili się o ojczyznę, więc zagrali dobrze.

Napoleon spał tej nocy w domu ławskiego pocztmistrza. Spał źle. Po czterech niespokojnych godzinach wstał z łóżka, poprosił o konia i ruszył pod górę, a potem lekko w dół, po pochyłości stoku, aż zatrzymał się na prawo od kościoła, na małym cmentarzu, wokół którego biwakowała piechota gwardii. Był zadowolony...

Rosjanie tym razem nie zrobili uniku. Cztery dywizje Bennigsenia siadły okrakiem, w dwóch rzutach, na drodze z Ławy do Domnowa, trzy następne stały w odwodzie, razem z kawalerią. Łącznie, jak oceniali na oko sztabowcy cesarza, około 80 tysięcy nieprzyjaciół. Wywiad potwierdzał te dane. Napoleon, choć miał do dyspozycji niewiele ponad 50 tysięcy ludzi, nie widział powodów do niepokoju, aż do chwili, gdy kolejne doniesienia zapoznały go z faktem, iż przeciwko jego 200 działom Rosjanie wystawili aż 500.

Około siódmej rano Francuzi byli już uszykowani. Korpus Augereau w centrum, między Pruską Ławą a Rothenen, Souлт na lewym skrzydle, a Davout na prawym. Murat warował ze swą jazdą z tyłu, na jeziorach, które tak były pokryte lodem i śniegiem, że nie dawało się ich odróżnić od całej równiny. Skrzydła ubezpieczały brygady lekkiej kawalerii, lewe — Lasalle, prawe — Marulaz.

Gdy punktualnie z wybiciem godziny ósmej działa rosyjskie zaczęły miotać pierwsze pociski w kierunku Francuzów i gdy ci ostatni żywo odpowiedzieli ogniem ze swych pozycji, Dominik znajdował się obok Souлта, w otoczeniu sztabu marszałka, na wzgórzu, z którego rozpościerała się idealna panorama białej sceny. Otaczała ich dywizja Levala. Po lewej stronie mieli młyn i za nim Lasalle'a, po prawej miasto i cesarza, a dalej już tylko śnieżną pustynię, z nielicznymi chałupami, płotami i pagórkami, na których stały rzędy czarnych punkcików. Punkciki błyskały raz po raz. Była to artyleria

Bennigsena.

W momencie pierwszego strzału Dominik przestał myśleć o czymkolwiek innym. Stał się żołnierzem, jednym z masy, kółkiem mechanizmu całkowicie wprzęgniętego w rydwan bitwy. Z miejsca, w którym stał, widać było, że działa Rosjan czynią Francuzom niewielkie szkody, biją w mury, druzgocą gotyckie cegły wieży kościelnej, zrywają gonty. I na nich, na dywizję Levala, padały kule rzadko i niecelnie. Sanitariusze próżnowali.

Marszałek nie odrywał lunety od oka. Co chwila rzucał krótkie słowa-informacje, według których otaczający go oficerowie mogli orientować się w rozwoju poczynań cesarza. Szef sztabu nanosił spostrzeżenia Souлта na mapę.

Przed dziewiątą Davout zmiotł lewe skrzydło rosyjskie Baggavouta i trzymał się twardo we wsi Serpallen. W tym samym czasie uderzono i w nich. Essen zaatakował Levala. W sztabie Souлта panował całkowity spokój — domyślano się, że jest to ze strony przeciwnika zaczepne posunięcie o charakterze sondażowym i marszałek nawet nie musiał wydawać rozkazów w celu odrzucenia atakujących. Leval uszykował swoje dwie brygady, Fereya i Viviesa, w dwa zgrabne czworoboki i przyjął Essena taką lawiną ognia karabinowego, iż nieprzyjaciel podał bez zwłoki tył, zjeżdżając w dół, za rzekę.

Minęła dziewiąta. Widać już było wyraźnie, że ustępujące liczbą armaty Francuzów działają o niebo sprawniej od swych vis à vis i że koszą całe szeregi wroga. Cóż z tego, gdy Davout trzymał się na zdobytych pozycjach ostatkiem sił. Bennigsen widząc, iż ruch Davouta może spowodować zwinięcie całego szyku rosyjskiego, czynił nadludzkie wysiłki, by wyprzeć Francuzów z Serpallen. Od tamtej strony rosnący z każdą chwilą wiatr przynosił pierwsze, pojedyncze śnieżynki, potem całe ich chmury. Nad walczącymi ludźmi rozpoczynała swój taniec zawieja śnieżna. Szła w dzikich porywach od prawego skrzydła i Soult nie widział już Davouta, ale on sam i wszyscy, którzy go otaczali, czuli, że jeśli cesarz nie zareaguje, dywizje tamtego pękną pod naporem Ostermana i Boggavouta.

— Do diaska! Dlaczego cesarz nie ruszy centrum i nie zgniecie flanki tym „les Kozak”? — Soult wiercił się w miejscu, wściekły, że mu śnieżycy odbiera widok. — Czemu Augereau stoi?!

— Marszałek Augereau jest chory, wasza wysokość. Widziałem go wczoraj... ciężka gorączka, powieki opuchnięte, trzęsie go febra. — Mówił to szef sztabu, pochylony nad mapą, którą powoli przysypywał śnieg.

— To niech zejdzie z placu! Tam jest mój Saint-Hilaire i ja tam powinienem być! Ale On... On wolał Augereau... Zdechłak będzie kierować środkiem! — głos marszałka drżał z nie tajonej goryczy, a wyraz „On”

wymawiał tak, że wszyscy pojęli, o kim mówi. Soultowi marzyło się dowodzenie centrum, jak pod Austerlitz.

Dominik wpatrywał się w wieżę kościoła. Dochodziła dziesiąta. Biały huragan szalał daleko, gdzieś nad Davoutem. Dominik wysilił wzrok. Tam w oddali coś się ruszało, jakieś ciężkie masy wojsk drgnęły i rozpoczęły marsz.

— Wasza wysokość!

Soult przyłożył lunetę do oka, odjął, przetarł rękawiczką ze śniegu i raz jeszcze przytknął.

— Centrum w ataku! Nareszcie! Augereau powinien zgnieść łajdaków!

Dwie dywizje Augereau — Desjardins i Hendelet — sunęły po białej płycie jakby ślizgiem, miękko i miarowo. Dominik nie mógł rozróżnić poszczególnych żołnierzy, z tej odległości widział zbite kolumny, schodzące w wąwóz, wyłaniające się z niego i maszerujące w kierunku pozycji Ostermana.

I wtedy stało się.

Wiatr zmienił nagle kierunek i z za pleców stojącej na wzgórzach artylerii rosyjskiej uderzył zamiecią w twarz zbitym masom francuskiego centrum. Obie kolumny szły dalej, otoczone przez białe szaleństwo śniegu, zbielełe i słabo widoczne.

Teraz, kiedy niebo i ziemia były białe tym samym odcieniem bieli, wydawało się, że tamci płyną zawieszeni w jednorodnej przestrzeni, jak napowietrzny okręt, cichy i bezskrzydły.

— Mon Dieu!* — wyszeptał stojący obok Dominika szef sztabu, stary oficer w okularach, przypominający raczej profesora niż żołnierza. — Ils sont morts!**

Dominik w pierwszej chwili nie pojął, dlaczego stary wyga mówi o ludziach Augereau jak o trupach. Soult również. Uwaga sztabowca zirytowała go i zareagował gniewnie:

— Comment? Tu es fou!***

Soult jeszcze lub już nie dostrzegał tego, co się stało i teraz wbijał oko w szkiełko, jakby luneta mogła przebić śnieżną furie, kłębiącą się w oddali. Gdy odjął przyrząd, nic już nie mówił i stał, patrząc szeroko rozwartymi oczami i milczał jak inni. I on zrozumiał, że tamci to gromada szkieletów, która jeszcze maszeruje, ale skazana przez los — maszeruje ku śmierci.

Kohorty centralnego ugrupowania armii francuskiej, oślepienie piekielną zadymką, zmyliły kierunek i nieświadome tego, brnęły mozolnie ku wzgórzom, wprost w paszcze rosyjskich dział.

* — Mój Boże!...

** — Oni już nie żyją!

*** — Co takiego? Zwariowałeś!

Rosjanie, mając kurzawę w plecy, błyskawicznie podciągnęli olbrzymią baterię odwodu artyleryjskiego, przerwali ogień na całej linii i czekali. Czekali na ślepą zdobycz, która była coraz bliżej, bezbronna, obarczona okrutnym wyrokiem przeznaczenia. Ci przy działach wiedzieli już, że nie będą się bić, że są tylko plutonem egzekucyjnym i że wszystko, co im pozostało do zrobienia, to rozstrzelać zbliżające się tłumy.

Widok ten, ukazujący się jedynie momentami w migotliwych dziurach wytryskujących w płaszczu kołującego huraganu, był tak straszny, tak przejmujący swą milczącą grozą, że najstarsi żołnierze czuli, jak im się włosy jeżą na głowach.

Soult zrobił dwa kroki do przodu, zdjął kapelusz i otarł z czoła pot, choć zimno było przenikliwie.

— Czy On... czy On tego nie widzi? Boże, Boże! Masakra!!

— Masakra? Nie, mon marechal! — wtrącił sztabowiec w okularach — to się inaczej nazywa! To będzie rzeźnia. Powinno się ich cofnąć, ale jego cesarska mość nie dostrzega pomyłki w kierunku manewru... Tam też zamieć.

Dominik spojrział w stronę kościoła. Iglica wieży ledwie majaczyła w białym odmiecie. Cesarz oślepl. Ale przecież oni widzą! Soult i... on! Skoczył do boku marszałka. Soult zrozumiał bez słowa, kiwnął głową i pchnął go ręką w kierunku konia.

— Spiesz się! Może jeszcze... Spiesz się, na Boga, spiesz!!!

„Spiesz się! Spiesz się!!” —leciały za nim okrzyki oficerów. Spieszył się jak nigdy. I nigdy chyba nie poruszał się tak wolno, tak rozpaczliwie powoli. Koń grzął w zaspach, utrzymywanie kierunku zależało od szczęścia, huragan tłumiał głośnie. Gdyby działa rosyjskie zagrały, mógłby iść na słuch. Ale tamci milczeli, by podprowadzić Augereau pod sam nos stulufowego piekła. Dominik wiedział, że salwa, którą usłyszy, będzie oznaczała koniec centrum Napoleona, być może klęskę... Tyle od niego zależy. Siekł zad konia, choć z równym skutkiem mógłby siec lód. Byle zdążyć, może...

Nie zdążył. Dopadł pierwszych szeregów, gdy działa rosyjskie jeszcze milczały, ale było już za późno. Za późno było już wtedy, gdy Soult pchnął go do biegu, ale ani on, ani marszałek, ani nikt inny, żaden oficer ni żołnierz nie śmiał odrzucić nadziei. To, co mogło i co miało się stać, było koszmarem nie do wyobrażenia.

Dominik parł konia wśród kroczących wolno szeregów i szukał wzrokiem marszałka Augereau. Wiatr dał w sine, zziębnięte twarze, chmury białego pyłu zatykały oddech, gasiły oczy. Gdzie czoło? Podskoczył do oficera idącego z boku kolumny.

— Gdzie marszałek?!

Odpowiedzią był atak kaszlu i głowa bardziej jeszcze zwieszona w dół, tak by zamieć biła o kapelusze, a nie w obolałe lica.

— Ludzieeee! ...eee...eee...e! Ludzieeee!!! Zatrzymajcie się! Tam śmierć! Ludzieeee...ee!!!

Wył jak szalenciec, połykał śnieg i znowu wył. Gdy drogę zastąpił, uderzono konia bagnetem, przecinając zwierzęciu skórę na zadzie, że z kwikiem skoczyło w bok.

— Ludzieeee...eee...ee!!!

Kilkadziesiąt kroków przed nimi zamajaczyły czarne zjawy. Ciemno było i nagle zrobiło się jasno. Z prawej strony sto dział rosyjskiego centrum Dochturowa plunęło morzem ognia w gęstą masę pierwszej kolumny. Sekunda i druga oślepiająca fala. To Tuczok poprawił nową setką z lewej strony. Krzyżowy cios dział, ogniem bezpośrednim, na sto kroków! Błysk skoczył ludziom pod powieki i dwukrotnie oślepił, a każdy z kartaczy — bo na taki dystans nie można było chybić — wyrwał w mięsie zbitych szeregów wąż czerwony, bluzgający wnętrznościami, kikutami, mózgami na mundurach, strzępami zamków i butów. Ryk armat, krótki jak wieczność tych co padli i ryk trafionego zwierza, zduszony przez zamieć.

Szeregi stały, bezładne, splątane, buchające krwią, przeczesane kartaczami jak orne pola ostrzami pługów. Krzyk strachu, ruch do tyłu w białą nicość i komenda zagłuszająca wszystko i wszystkich:

— Stóóóój!!!

Człowiek wysoki nad podziw, o nieprzytomnych oczach, białej jak śnieg twarzy, obwiązany długim szalem, podnosił się właśnie i wsiadał przy pomocy kilku oficerów na konia z pięknym rzędem. Krew lała się jeźdźcowi z lewego ramienia, prawe uniół do góry.

— Stóóóój!!!

Musieli znać ten głos i ten gest, i postać całą, bo stanęli wszyscy, depcząc we wnętrznościach towarzyszy, w tej czerwonej kałuży, w jaką zamieniła się raptownie lodowa pustynia. Augereau! Dominik nie musiał pytać. Podbiegł bliżej, ale cóż mógł teraz powiedzieć, spóźnił się.

— Gdzie Desjardins? — krzyknął Augereau do swoich.

— Nie ma już Desjardinsa!

— Hendelet?!

— I jego nie ma!

— Wiec sam poprowadzę! Przywiążcie mnie do konia! Żywo, do stu piorunów!

Nie było już dywizjonerów. Był zdziesiątkowany korpus, który ciągle jeszcze stanowił centrum armii francuskiej i na którym spoczywał obowiązek

przełamania szyków rosyjskich.

— Dzieeeci!!! — marszałek ochryplł, lecz wiatr wyjący od wschodu niósł słowa wraz ze śniegiem do uszu żywych i konających.

— Dzieeeeeeci!!! Tchórze zdechną na Sybirze, odważni polegą taaaam!

Szarpnął ręką ku widmom dział i jakby linką pociągnął — ruszyły szeregi.

Wąsy pokryte białym szronem, rozwiane siwe włosy, postrącane kaszkiety, zielonosine paluchy na kolbach i lufach, krok podwójny, przyspieszony. Przed oczami Dominika rozgrywało się niepojęte misterium śmierci i szaleńczej pasji.

— Łącz w prawo!!!

Zgrzyt deptanego rytmicznie śniegu. Szybszy krok.

— Głowy prosto, do cholery! Bagnety dwa cale niżej.

— Równaj się!

— Ludzie z pierwszego szeregu ścieśnij szyk!

— Ludzie z drugiego szeregu w luki pierwszego!

— Vive l'empée...

Wulkan ognia otworzył się po raz wtóry. Krwawe fontanny wystrzeliły w bruzdach wyrwanych przez kartacze. Potworny jęk bólu i znowu cisza w czerwonym jeziorze u stóp.

Oficer, ciągnący za uzdę konia z jeźdźcem przywiązany do siodła, zmierzał ku Dominikowi.

— Ktoś jest?

— Adiutant Soult!

— Masz marszałka! Zawieź go do cesarza... ranny jest. My tu umrzemy! Powiedz cesarzowi...

Wiatr zagłuszył słowa. Dominik chwycił za uzdę i pognał w tył, mijając oszalałych z przerażenia, uciekających w śmiertelnym oblężeniu piechurów. Nim dojechał, zza pleców doszedł go odgłos trzeciej salwy, Dominik zrozumiał, że nie ma już korpusu Augereau. Centrum armii francuskiej przestało istnieć w przeciągu kwadransa, w przeciągu krótkich piętnastu minut.

Młody Rezler doznał wtajemniczenia, które zwie się bohaterstwem lub heroizmem, w największym wymiarze jaki może zostać objawiony człowiekowi uczestniczącemu w wojnie. Tego samego dnia czekały go jeszcze dwie takie msze.

* * *

To, co Dominik ujrzał wokół Napoleona, budziło nie mniejsze przerażenie niż widok zmasakrowanych szeregów. U stóp cesarza leżało kilku zabitych

adiutantów, nieco dalej generał, paru wyższych oficerów, pułkowników i majorów. W promieniu trzydziestu metrów od drzew, pod którymi stał monarcha, pełno było trupów dygnitarzy, uprzątanych przez nielicznych sanitariuszy. Nim Dominik pojął, kula armatnia trafiła w pierś brygadiera stojącego tuż obok Napoleona. Cesarz się nie poruszył. On jeden tylko i stojący za nim z ramionami skrzyżowanymi przed sobą mameluk Rustan, wykazywali nadludzkie opanowanie pod gradem pocisków, które padały na cmentarz, cięży gałęzie nad głowami świty i roztrzaskiwały stare grobowce, wyrzucając w powietrze odłamki kamiennych płyt i strzępy białych piszczeli.

Rosjanie wstrzelili się w cmentarz.

Augereau, zdjęty ostrożnie z konia, leżał za zasłoną drzewa, kilka kroków od cesarza, na cudownie haftowanej kapie. Był już przytomny. Napoleon pochylił się.

— Co z korpusem?

— Nie ma korpusu... Nie dałeś mi wsparcia!

Krzyk marszałka i forma grubiańska, jaką rzucił, wprawiły Dominika w osłupienie. Głowa Augereau opadła na poduszkę. Zamknął powieki — zemdlął. Odniesiono go do tyłu.

Znowu padło dwóch ludzi. Adiutant i pułkownik. Dominik rozumiał już, dlaczego tak stoją. Tylko obecność cesarza w tym strasznym miejscu mogła utrzymać piechotę nieporuszoną. Kule Rosjan przestały już chybiać i w szeregach co chwila wrywały się wolne miejsca.

Cesarz czekał. Na co? Dominik znowu nie wiedział, ale nie odczuwał niepokoju. Tyle razy mówiono mu, że Napoleon nie umie robić błędów na polu bitwy.

Wtem ruch podejrzany dostrzeżono za kościołem. Gwardia rosyjska przedarła się przez zamieć, przeszła po szczątkach korpusu Augereau i była o krok... Cesarz w niebezpieczeństwie! Rosjanie pędzili przed sobą nielicznych fizylierów i podchodzili pod cmentarz.

Napoleon nie stracił zimnej krwi.

— Batalion... — zawahał się, obok stały dwa bataliony.

Dwóch generałów poderwało się i stanęło przed nim. Prośba straszna na twarzy każdego. Jeden chyba o ułamek sekundy był pierwszy, a może Bonaparte bardziej go lubił lub cenił.

— Idź Dorsenne!

Głowa drugiego zwieszona. Dorsenne poderwał swój batalion. Biegiem ruszyli, pochylając bagnety, bez jednego strzału. Za murem cmentarza zwarli się z Rosjanami. Jeśli ulegną, cóż z cesarzem? Rosjanie rozpędem przelecą. Dominik położył dłoń na kolbie pistoletu.

Nie minęło pół godziny, gdy wrzask dochodzący spod przypór kościoła ucichł nagle. Czasami tylko jęk długi przerwał ciszę. Z daleka dochodziło głucho dudnienie rosyjskich dział, z bliska świst kul nad głowami.

Dorsenne stał przed Napoleonem dysząc gęstą parą. Kapelusza nie miał, krecha czerwona przez czoło zalewała mu lewe oko, policzek i mundur, włosy zlepione na skroniach zamarzały.

— No, gdzie jeńcy?

— Nie ma jeńców!

— Gdzie te rosyjskie zuchy, Dorsenne?

— Jedni tam! — Dorsenne pokazał palcem do góry — a drudzy tam! — opuścił palec ku ziemi.

— Merci, Dorsenne!

Dominik zobaczył, jak po twarzy starego żołnierza przeleciał uśmiech tak wielkiego szczęścia, że nie każde życie bywa choć raz takim szczęściem okraszone. Za to krótkie „dziękuję” Dorsenne oddałby wszystkie odznaczenia i splendory. Dominik z oczu mu to czytał. Drugie misterium tego dnia dopełniło się w jego obecności.

* * *

„Na co On czeka?!” Raz po raz wrywały się te słowa tłumione oficerom świty. Najbardziej krwawa ze wszystkich bitew ludzkości trwała już kilka godzin, centrum francuskie nie istniało, klęska wisiała w powietrzu.

„Na co On czeka?!”

Napoleon czekał na właściwy moment. Już nie do rozstrzygnięcia, jakie kombinował na początku dnia, ale do zemsty za Augereau. W sytuacji, jaka się wytworzyła, po pogromie mas piechoty ugrupowania środkowego, tylko czyn najbardziej rozpaczliwy mógł przechylić szalę. Na szczęście cesarz miał człowieka, który był do takiego czynu zdolny.

Skinął ręką. Murat na rozkaz nadbiegł cwałem.

— Joachimie! Nie pozwolisz, by ci Azjaci zjedli nas żywcem?!

— Sire! Zostań tu i... i patrz! — Murat wyszczerzył białe zęby i pognął do swojej konnicy. Historia, która do tego dnia nie widziała hekatombi równej, pod względem szybkości spełnienia czynu, łązni jaką sprawiła rosyjska artyleria korpusowi Augereau, otrzymała jeszcze jedno curiosum. Pierwszy jeździec empiru, w złożonym kozuszk, z pękami strusich piór na kapeluszu, poprowadził największą szarżę w dziejach Europy, siedząc w siodle podesłanym zamiast czapraka lamparcią skórą i dyrygując laską o złotej gałce. Sto tysięcy żołnierzy obu armii patrzyło z nabożnym podziwem, jak ten

cudowny szalenięc Boży pędzi, między cmentarzem a Rothenen, na czele dziewięćdziesięciu szwadronów konnicy, by ocalić Wielką Armię.

Dominik widział ze wzgórze, jak tysiące kawalerzystów — dragonów, kirasjerów, huzarów, lansjerów i strzelców konnych — leciało galopem przez śnieżną pustynię i wbiło się młotem w szeregi rosyjskie, tworząc gigantyczne wyłomy. Zaczynało się trzecie i ostatnie już tego dnia misterium wojennego szaleństwa.

Rosyjska jazda gwardii próbowała uderzyć na flankę Murata. Cesarz, który do tej chwili nie puszczał Dominika, bo mu prawie wszyscy adiutanci padli, teraz skinął na niego.

— Biegnij do Lasalle'a! Niech ich zatrzyma!

Dominik po raz któryś już tego dnia przebiegł równiną, Lasalle czekał na ten znak od rana. Nim Dominik dobiegł, z ust, które musiały wypuścić porcelanowy cybuch, padło krótkie a donośne:

— Na koń!

I nawałnica spadająca w dół, na skos przez równiną, w „korytarzu” między liniami obu armii, zawróciła go jak fala wzburzonego morza. Dostrzegł Janka prowadzącego swoich Wielkopolan i zrównał się z nim. Brat skierował ku niemu przekrwione oczy i wysilając się, by przekrzyczeć tętent kopyt, ryknął:

— Wracaj do Soulta!

— Chcę z tobą!

— Wracaj, szczeniaku! Tam śmierć!

Uskoczył koniem i znikł w szeregu, ale nie zawrócił, jak kazał Karśnicki.

Nigdy jeszcze młody Rezler nie znajdował się w takiej masie jeźdźców, w takiej kupie ciał ludzkich i zwierzęcych, tratujących śnieżny dywan i pędzących na złamanie karku.

Lasalle podniósł rękę i zwolnił bieg. Dominik w lot pojał dlaczego. Oto na ich trasie do celu był niewielki odcinek, stumetrowy może, usytuowany wzdłuż rzędów armat nieprzyjaciela. Dowódca chciał, by zwolnili, nabrali rozpędu i już świeżsi weszli w ten śmiertelny pas błyskawicą i przebiegli go na skrzydłach, nie wykrwawiając się i nie gubiąc impetu. Już blisko. Kolejne komendy i galop coraz większy i szybszy, wreszcie pęd niesamowity, lot nad ziemią... Już!

— Chriiist... Aaaa!!! — skowyt człowieka i złowrogi grzmot dział.

Druga salwa i znowu konie skręcają się w miejscu, łamią kości i walą się na jeźdźców. Kopyta zaryte w lód, pęknięte giczoły rwą skórę, jeździec wylatuje z końskiego grzbietu, szybuje w powietrzu i jak szmata uderza o śnieg i gruchoce ciało siłą upadku. Jeden, potem drugi i trzeci. I jeszcze jeden. Młody chłopak obok Dominika chwyta rękami za twarz.

— Jezuuu!!!

Spomiędzy palców tryska krew, koń pędzi, jeździec odchyła się do tyłu i zjeżdża po zadzie. Rumaki bez jeźdźców, roztrącane na boki, kołują bezmyślnie w śniegu.

I już przeszli przez piekło, są za nim, przed nimi kawaleria rosyjska szarżująca Murata. Janek żyje i Lasalle żyje. Tamci coraz bliżej, już spostrzegli, zmieniają front, szyk się skręca. Za późno! Lasalle staje w strzemionach, szabla błyszczy w słońcu — Dominik dopiero teraz zauważył, że zamieć ustała — i wskazując tamtych rozdziera gardło:

— Dzieeeci!!! Zaszarżować mi tę kanalię!!!

Rosjan nie było tak wielu, jak wydawało się z odległości. Kłęb bitewny wystrzelił jak gejzer pierza, gdy zderzyli się z tamtymi, a potem przeszli po nich siłą rozpędu, gładko, depcząc wierzgającą pod kopytami gęstwę i znowu wyszli na otwartą przestrzeń i związali się z lewą flanką Murata.

Widowisko było fantastyczne. Pancerne kolumny zagonów Murata jak tarany uderzały o zwarte linie Rosjan, odbijały się i jeszcze raz biły obuchem swych ciał, przeskakując nagromadzone stosy własnych towarzyszy, rannych i zabitych. Pawie i strusie pióra Murata falowały nad kaskami i kitami jeźdźców, zawsze w przodzie. Ręce miał prawie bezbronne, nie wyjął jeszcze szabli, tylko ta laska przepyszna, jak królewska szpicruta, wskazywała kierunki i tempa.

Dominik wzrokiem trzymał się brata. Parował ciosy, roztrącał bagnety, przeskakiwał rowy i wały uformowane z trupów i za wszelką cenę starał się nie stracić kontaktu z Karśnickim. Trudno mu było, dziwił się, że jeszcze ani jego, ani też konia nie dosięgło ostrze bagnetu, cios kolby lub metal pałasza. Brat ginał mu z oczu i na powrót się pojawiał, górujący nad tłumem i... wpatrzony w Murata, za którym parł z dziką zaciętością i ze straszliwym uśmiechem, jedynym chyba w tej masie ludzi zadających i odbierających śmierć.

Toczył się ten młyn czerwony i toczył, aż przyszła chwila, gdy kupa Kozaków z wyciem odcięła Murata. Karśnicki wyrwał się z szeregu i runął za nimi. Może to właśnie pociągnęło kilku dragonów. Dominik również rzucił się w tę stronę. Rozpędzili wrzeszczącą masę i zaczęły się utarczki harcownicze, w grupach lub pojedynczo.

Gwar bitwy przesunął się raptownie, oddalił nieco i rozplynał, a oni wymierzali ciosy za zasłoną jodłowego lasku. Kozacy byli w przewadze liczebnej. Padł jeden dragon, potem drugi, dźgnięty długą piką.

Karśnicki bił się z wprawą fechtmistrza. Każdy jego cios wyrывał krzyk bólesci lub strącał człowieka w śmierć. Dominik chciał podskoczyć ku niemu, zerwał konia i poczuł przenikliwy ból, jakby wrzątek wylany strzelił mu na

pierś. Złapał ręką za drzewce kozackiej lancy, mocował się i z rozpaczą i z bólem, krzyczał, aż wreszcie osunął się w ramiona brata. Karśnicki, słysząc jego krzyk, spadł Kozakowi na kark i rąbnął przez futrzaną czapę, rozłupując czaszkę na pół, dopadł do brata i wziął go na ręce, zanim ten zleciał na ziemię.

Dominik leżał pod drzewem i przyciskał do piersi białą szmatę. Karśnicki obejrzał się. Dwadzieścia metrów od nich Murat, zagubiony i zapomniany przez swą konnicę, opędzał się kilku Kozakom, ostatnim jacy pozostali na placu. Bił się wybornie, z ową charakterystyczną nonszalancją w zadawaniu śmierci, jaką dostrzega się tylko w fechtunku największych mistrzów białej broni. Lecz był sam i ręka mu słabła. Widać było, że nie ma szans.

Kozacy na chwilą odskoczyli, otaczając go w pięciu i szykując się do ostatniego ataku. Piki mieli połamane, nie mogli kłuć na odległość, ale ten złocisty, pawiopióry jeździec w środku był u kresu sił.

Dominik przypomniał sobie, jak kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem i biegał po polach, zawołały go przestraszone chłopaki wiejskie.

— „Wołk, panocku, wołk!”

Wbiegł wówczas na pagórek i zobaczył widowisko jedyne. Kilkanaście wołów, ustawionych w koło, zwierzało się coraz gęściej. W środku tego wieńca stał wilk, stary i rosły. Woły pochylały łby uzbrojone rogami i ścieśniały się, wydając głuchy odzew, jak gdyby jęki lub gniewne sapania. Ostatkiem sił zziąjany drapieznik skoczył na kark najbliższego wołu, przewalił się po jego grzbiecie i pognął w las.

Murat tak teraz stał, a oczy miał podobne do wywalonych gał tamtego wilka.

Skoczyli.

Murat, udając że cofa konia, szarpnął go w bok, odtrącił laską–buławą dwa ostrza i szeroką, jego ulubioną, polską karabelą przeciął powietrze tak, że czubek ostrza lekko, pieszczotliwie zawadził o czoło trzeciego Kozaka, w punkt u zbiegu nosa i oczu. Kozak rozłożył ręce i zwinął się w śnieg. W tej samej chwili trzy pióra na czapie Murata padły jak ścięte kosą.

Karśnicki stał, dysząc ciężko i wpatrywał się w ostatni taniec cesarskiego szwagra. Usta to otwierał, ukazując ni to uśmiech, ni grymas ponury, to zamykał, sapiąc ciężko przez nozdrza.

— Pomóż mu! — krzyknął Dominik.

Murat zabił jeszcze jednego Kozaka, był już bez czapki, laska straciła złotą gałkę, krwawił z lewego policzka, słabł...

— Dlaczego stoisz?! Janku!!! Pomóż mu, na Boga!!

— Milcz!

— Jankuuu!!! — Dominik chciał się unieść, lecz ból jak rozpalone żelazo

zgiął go ku ziemi.

— Milcz, mówię!

Dominikowi mgła przesłaniała oczy. Przychodziła i odchodziła, a gdy odchodziła, mniej się pocił i widział cokolwiek. Szmata na piersi była sztywna od mrozu i zupełnie czerwona.

Murat miał już tylko dwóch przeciw sobie. Szablą przerzucił do lewej ręki, prawa wisiała bezwładnie, ranna lub zmęczona do krańca.

— Matka... matka cię przeklnie! Ty...! I Zimorowicz też...! I tyś o wolności prawił...

Kaszel suchy wstrząsnął ciałem Rezlera, a strużka krwi zaczęła zamarzać cienką nitką wylewającą się z ust.

— ...Borkowi jeno radość czynisz... Tedy... tedy czyń! Za niewiastę się mścisz! Ty... zdrajco!!!

Głowa opadła mu na pień drzewa, aż się płaty białego puchu posypały z gałęzi na twarz. Starł je razem z krwią. Ciemność mroczyła mu wzrok.

Karśnicki musiał usłyszeć obelgę, bo drgnął, jakby przebudzony, dyszeć przestał, popatrzył bardziej przytomnie...

Murat miał już dość, zasłaniał się, nie atakował, zobojeźniał prawie — czekał na koniec. Ale gdy szabla Kozaka nie trafiła i przecięła powietrze, odsłaniając na moment pierś wroga, dał się skusić. Ciał straszliwie, resztką sił, na nic nie bacząc i tym samym błęd czyniąc okropny. Ruch niezgrany z resztą ciała i nieprecyzyjny, dał drugiemu Kozakowi czas, by skoczyć Muratowi za plecy...

Dłoń Karśnickiego opadła ku skórzanej cholewie...

...Szablą unieść, wziąć zamach taki, że szczyt ostrza zadu końskiego sięgnął, w strzemionach stanąć nad karkiem Francuza...

Murat dostrzegł kątem oka śmierć czającą się nad nim i w tym tysięcznym ułamku sekundy pomyślał, że nic już nie może mu życia darować.

Świst złowrogi i przeciągły jak szarpnięcie struny wyrwał Dominika z omdlenia... Kozak rękę jeszcze trzymał na plecy zagiętą do ciosu, lecz już bez szabli, a między łopatkami utkwiała, zdobna arabeskami o roślinnej miękkości linii, rękojeść owego noża, który zawsze budził w Dominiku trwogę, a który widział już po raz trzeci.

Murat w sekundzie swego ocalenia, nie wiedząc, co się stało, ale widząc zamarłego wroga, rąbnął go z półobrotu, na ukos przez szyję.

Karśnicki stał jeszcze wychylony do przodu, z ręką, której nie cofnął po rzucie, wyciągniętą. Ten obraz był ostatnim, jaki Dominik zachował w pamięci.

Nie widział już, jak zza lasu wyskoczyły gromady rosyjsko-polskich

ułańów Szegulina, jak Murata i Karśnickiego, który zdążył wyrwać nóż z pleców trupa, porwał ów potok, jak brat głowę ku niemu obracał i krzykiem rozpaczliwym przyzywał, jak Polacy z Wielkopolski zaczęli się rąbać z Polakami z Litwy i z Ukrainy, przekleństwami ohydnyymi w tym samym języku obrzucać... Nie widział wreszcie, jak stalowe kohorty jazdy francuskiej przełamały szyk rosyjski i przechyliły szalę na korzyść boga wojny.

Ocknął się w nocy, słysząc gwar głośny. Znajdował się w konwojowanej przez Kozaków kolumnie jeńców, na wozie wyłożonym słomą. Tych z pojmanych Francuzów, którzy mogli iść, pędzono obok wozów.

Gwar wznieciło kilku pijanych Prusaków z korpusu Lestocque'a, którzy nagle dopadli jeńców i zaczęli ich rąbać. Była wśród nich markietanka — ta dźgała bezbronnych bagnetem. Krzyk się podniósł, jeńcy zasłaniaли się gołymi rękami i chowali za wozy, gdy wtem do oficera, który dowodził Prusakami, doskoczył dowódca eskorty, ściągnął Niemca z konia, szablę wyjął i tłukł co sił płazem po głowie, po plecach i gdzie popadło, klnąc straszliwie. Prusak zwijał się, nie mógł wstać z błota, krzyczał, o litość żebrząc. „Herr Leitnant! Herr Leitnant!”^{*}, łapał za nogi. Obok leżało dwóch zakłutych Francuzów.

Kozaka widać ogarnął szal, bo zaczął kopać bez litości.

— Wot tiebie! Wot tiebie! Ty plenny choczysz rubat?! Podliec!! Wot tiebie, job twoju mat! Wot tiebie...!^{**}

Dominik katowania i okrucieństwa wszelakiego nienawidził, ale teraz patrzył na Rosjanina z sympatią, z wdzięcznością, chciał mu coś rzec, lecz kolumna znowu ruszyła, wozem szarpnęło i stracił przytomność.

* * *

Spotkali się już po Tylży, gdy nastał powszechny pokój i gdy wolno puszczano jeńców po obu stronach. Padli sobie w ramiona i całowali się, szczęśliwi jak dzieci.

— Schudłeś na szczapę, nie pieścili cię Rosjanie?

— Co tam, źle nie było, odpocząłem przynajmniej, ha, ha, ha...

— A rana? Zagoiła się, mniemam...

— Prawie. Jeno kiedy zimno, to dokucza, ale co tam, nie to ważne. Nareszcie, Janku, nareszcie ją masz!

— Co nareszcie?

— Nareszcie masz... mamy ową Polskę wyśnioną, niepodległą, a w niej Wielkopolską. Po tośmy walczyli, by nasza ziemia w Polską wrosła, jako za

* — Panie podporuczniku!...

** — Ty jeńców chcesz rąbać?!... Łajdak!!... A masz, skurwysynu!... A masz!...

dawnych królów...

— Ale nie wrosła. Wrosła... w Księstwo Warszawskie.

— Już tylko po tym, żeś zawsze niekontent, poznać można, żeś szczyry Polak. Oj, Janku, Janku! Naród, patrz oto, z radości szaleje.

— Wiec i ty szalej.

— Czego chcesz, do diabła?! Wtedy źle i teraz źle?! Kiedyż ci wreszcie dobrze na tym świecie będzie?! Gdy dziewczkę ową, co łóżko z baldachimem nad twój siennik przedłożyła, odzyskasz?!

— Wara ci od niej! Ni słowa więcej! O Polsce nie praw, gdyś głupi! Ano księstwo masz, co mu nawet słowa „Polskie” w imię nie wrażono. Mocarstwa wielkie rodzą takie księstwa częściej, niżli kura jajo. A jajo łatwo rozdeptać, tym łacniej, jeśli się but nad nim zawieszony trzyma.

— Przestań! Oszalałeś chyba, mój bracie! Przecież kraj wolny mamy, wolny, rozumiesz, i poczekaj, z każdą wojną rosnać on będzie i mocarnieć!

— Prawda, Dominiku, prawda. Widzisz, jestem zmęczony, już stary. Masz chyba rację, tylko ta Wielkopolska w Księstwie Warszawskim, na litość Boga!

— Na litość Boga, człowieku! Cóż znaczą nazwy, cóż wolałbyś? Księstwo wolne i niepodległe, jakie mamy, czy Polskę Polską zwaną, z pozorami wolności jeno?!

Milczenie ciężkie i pochmurne wbiło się między nich, aż po długiej chwili Karśnicki wydusił z siebie:

— Księstwo, księstwo, Dominiku.

Zakończenie

W 23 lata po wypadkach nakreślonych uprzednio — 8 grudnia 1830 roku — pięciu mężczyzn ubranych bogato, choć nie wystrojonych, a wszyscy sztywni i stremowani, czekało pod drzwiami gabinetu dyktatora Chłopickiego.

Generał Chłopicki wziął w swoje ręce ster powstania, które wybuchło w Warszawie w noc listopadową.

Tych pięciu ludzi było reprezentacją Wielkopolan — wówczas Polaków zamieszkujących Wielkie Księstwo Poznańskie. Mieli prosić dyktatora, by zezwolił włączyć się Wielkopolsce w nurt wspólnej walki narodu polskiego o wolną i zjednoczoną ojczyznę. Nazywali się Ludwik Szczaniecki, Andrzej Niegolewski, Edward Potworowski, Dominik Rezler i Jan Karśnicki. Ten ostatni, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna o czerstwej twarzy — przewodził.

Przywództwo, na które go wysunięto, było oczywistym następstwem szacunku, jakim się cieszył. Niegdyś pono niezrównany zawadiaka, uczestnik Insurekcji Kościuszkowskiej, młodość strwonił na tułaczce po świecie. Bił się w powstaniu wielkopolskim za Napoleona, stawał dzielnie pod Eylau, a potem w 1809, gdy Księstwo Warszawskie powiększyło się znacznie i w 1812—1813, kiedy miało się jeszcze bardziej powiększyć i przemienić z obietnicy cesarza w wielką Polskę, a padło i rozsypało się w proch z woli losu. Gdy departament poznański zmienił się w Wielkie Księstwo Poznańskie pod panowaniem Prus, Karśnicki osiadł na koniec w rodzinnym Buszewie pod Szamotułami. Gospodarował na swej ziemi mądrze i nowocześnie, sprowadził z Anglii książki rolnicze i pługi szkockie, zakładał nowe, nieznane w Wielkopolsce uprawy. Pierwszy zniósł całkowicie pańszczyznę wśród swoich chłopów i częściowo ich uwłaszczył, co wywołało z początku wściekłe ataki szlacheckiej braci, a wkrótce poklask wzbudziło i uznanie. Mogło się wydawać, że polityka nie interesuje go zupełnie. Miał dwie namiętności: polowania i dzieci swego brata,

Dominika Rezlera, z którymi bawił się bez końca i które niemożliwie rozpieszczał. Sam nie ożenił się. Zawistni szeptali, że pod Smoleńskiem kula trafiła go w męskość, lecz nawet ci, co tak mówili, nie bardzo wierzyli w tę bzdurę.

W początkach grudnia 1830 roku dotarły w Poznańskie wieści o wybuchu powstania. I wtedy stary Karśnicki drgnął, przebudził się, a poproszony, bez słowa wsiadł na konia i ruszył ku Warszawie. Wraz z nim podążał brat oraz

Niegolewski, Szczaniecki i Potworowski. Wielkopolska dość już miała niewoli i doli sieroczej.

Drzwi rozwarły się. Weszli. Chłopicki siedział za biurkiem, lecz gdy stanęli w świetle ościeży, wstał na moment i poprosił o zajęcie foteli. Spytał, czego chcą.

Usiedli z wyjątkiem Karśnickiego. On stał przez chwilę nieruchomo, jakby słów szukał i wreszcie zaczął, spokojnie, rzeczowo, później coraz żywiej i gorącej. Przedkładał, iż Wielkopolska stanie u boku Warszawy, że o jedną Polską będą walczyć. Prosił o wskazówki.

Chłopicki milczał i cisza wydawała się już zanadto długa, denerwująca. Gdy odpowiedział, tamci czterej zerwali się na nogi.

— Moi panowie! Mam do czynienia z jednym cesarzem, z drugim nie myślę zadzierać! Z sąsiadem Polski, Wielkim Księstwem Poznańskim — wymówił to tak dobitnie, że aż obraźliwie — żył będę w spokoju. Zachowam wobec Księstwa taką politykę, jak Francja względem Belgów!

Szczaniecki wyprzedził innych:

— Generale! Belgijczycy nie są Francuzami, a my przecież jako i ty Polacy! Takiej krzywdy, by nas za Polaków nie uważać, nie wyrządzisz nam, na miłosierdzie boskie!

— Bez egzaltacji, moi panowie! Jesteście pruscy poddani z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. I nie unoście się! Tu nie karczma!

Chcieli się rzucić z perswazjami, lecz Karśnicki jednym gestem zatrzymał ich w miejscu. Tak to uczynił, iż pojęli, że nic tu nie wskórają. Rękę opuścił powoli, postąpił dwa kroki do przodu, dłonie oparł na blacie biurka i patrząc w twarz siedzącemu dyktatorowi, rzucał słowa ciche, jakby intymne, miarowe jak kroki uderzające o posadzkę.

— Za Naczelnika, za Dąbrowskiego, za Napoleona wielkopolska ziemia budziła do walki naród cały, kolebką krwawą wolności była! Cesarz rękę nam Poznaniakom podał, niepodległość przyniósł, a ja głupi przez lata całe filozofowałem, bo mi się nazwy i granice nie podobały! Teraz przejrzałem! On Francuz był, a serca nam swego część oddał i wiary dochował, a ty, gadzie, Polakiem się mienisz i nas... nas chcesz w Prusaków przekabacić, bo ci się portki trzęsą wobec cara, bo nie wiesz, co czynić!

Chłopicki zerwał się siny i za dzwonek chciał chwycić, lecz siła wzroku Karśnickiego przykuła go na powrót do fotela.

— Mówisz: nie karczma tu. Prawda! Nie karczma, jeno targ, na którym sprzedajesz polskie serca i czucia, i narodem frymarczysz, by się za to migać przed carem! Przez takich jak ty upadnie ta insurekcja, ale ta nasza ziemia, wbrew tobie i tobie podobnym, polska jest, słysz: polska! I do Polski

powróci!!!

Dopadł go brat, a za nim inni i odciągnęli go w tył. Chłopicki, ośmielony tym widać, ryknął na całe gardło:

— Precz z miasta! Spróbujcie zostać, to was Berlinowi wydám! Precz mi z oczu!

Zbiegli po schodach, po dywanie głuszającym kroki. Na ulicy Karśnicki wyrwał się towarzyszom i zniknął w tłumie.

Nie wrócił już nigdy.

Dominik Rezler i jego dwaj synowie wzięli udział w powstaniu, służąc w szwadronie poznaniaków. Chłopicki, udobruchany przez Chłapowskiego, pozwolił w końcu uformować taki oddział, z zastrzeżeniem, że szwadron będzie należał do stacjonującego w Warszawie pułku strzelców konnych i że nie będzie się nazywał formalnie „poznańskim”. O powstaniu w Wielkopolsce nie było mowy, nawet wówczas, gdy Chłopicki odszedł. Jego następcy woleli angażować się na Litwie.

Na wiosnę roku 1831, gdy powstaniem dyrygowali Skrzynecki i Prądzyński, Rezler, który poszukiwał brata na wszelkie możliwe sposoby i dowiedział się tyle tylko, że ostatni raz widziano podobnego człeka pod kościołem sakramentek na Nowym Rynku, otrzymał wiadomość o trupie w cywilnych łachach, wyrzuconym przez ruszające lody na wiślaną płycizną. Pobiegnął tam zaraz. Ciało było nierozpoznawalne, musiało długo moczyć się w wodzie, napuchnięte, fioletowo-przezroczyste, w brudnych strzępach nijakiego koloru i z twarzą zmiażdżoną przez krę.

Rybak, który znalazł trupa, wyciągnął do Rezlera dłoń. Leżały na niej dwa przedmioty: egzotyczny nóż o szerokiej klindze i przedziwny, szczególnej roboty łańcuszek z nanizanymi miedziakami.

Obdarzony sakiewką ze złotem rybak, który widział łzy na twarzy Rezlera, rzekł później do swej żony:

— On go kochał.

— Pies z nim! — odrzekła rybaczka. — Czarcie nasienie! Ja znam ten diabli różaniec z krajcarów.

— Znasz?

— Widziałam go u tej starej cyganichy, żebraczki spod sakramentek. Nosiła go na łbie.

— Trzeba mu to powiedzieć!

— Ba! Ona nie żyje... Zdechła z zimna zeszłego roku. Ludzie znaleźli ją rano i mówili, że wieczorem rozmawiała z jakimś jegomościem o diabelskich oczach... Mówią, że to był czart i że zabrał ją ze sobą.

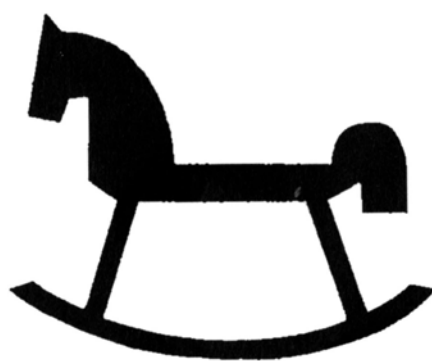
— Głupia! — rybak odwrócił się do pieca i wyciągnął zmarznięte dłonie

w kierunku buzującego ognia.,

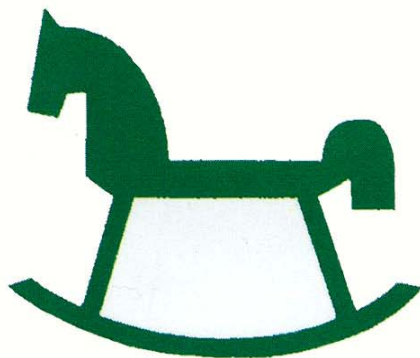
Warszawa, grudzień 1970.

Spis treści

Nota edytorska	7
<i>Dominik</i> <i>Między ojcem a bratem</i>	9
<i>Wspomnienie 1</i> <i>W studni</i>	28
<i>Dominik</i> <i>Edukacja</i>	51
<i>Wspomnienie 2</i> <i>Cienie wysp dalekich</i>	78
<i>Dominik</i> <i>Szabla i bat</i>	100
<i>Wspomnienie 3</i> <i>Konie rozpędzają się w słońce</i>	128
<i>Dominik</i> <i>Operacja „Czarny Orzeł”</i>	149
<i>Wspomnienie 4</i> <i>Za plecami cesarza</i>	170
Zakończenie	208
Spis treści	212







ISBN 83-917612-2-3